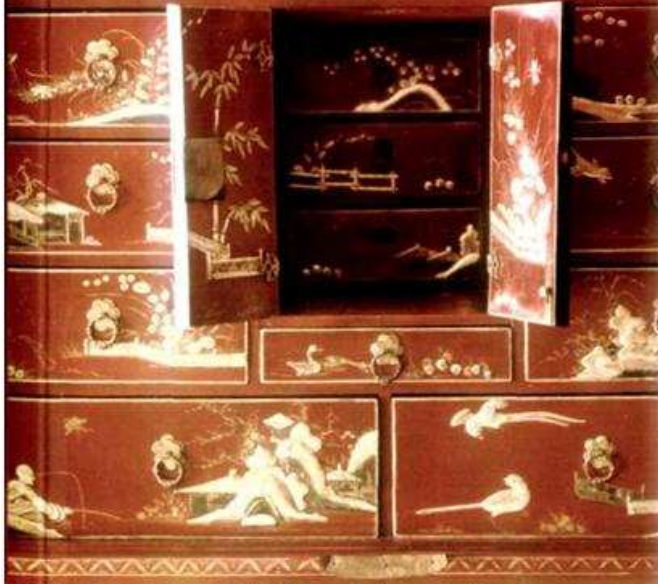


Grimus

Salman Rushdie



„Książka piękna, śmieszna
i nieskończenie zadziwiająca”
Ursula K. Le Guin



Grimus

Salman Rushdie

Grimus, powieść zarazem zabawna i zmuszająca do refleksji, prześmiewcza i dotykająca najpoważniejszych ludzkich bolączek, jest jak wielka stara komoda z mnóstwem szufladek i tajemnych schowków. Salman Rushdie ze zrezygnacją prestidigitatora wyciąga z niej a to archaiczny mit, a to lustro, w którym możemy dojrzeć nasze śmieśności i słabości, a to magiczne zaklęcie czy rekwizyt rodem z kultury masowej. Za tymi błyskotkami kryje się jednak coś głębszego – samotność człowieka we wrogim mu świecie i tęsknota do własnego miejsca na ziemi.

Dom Wydawniczy REBIS spośród powieści autora Szatańskich wersów opublikował *Dzieci północy*, *Furię*, *Ostatnie westchnienie Maura*, *Salimara klauna*, *Wstyd*, *Ziemię pod jej stopami*, a także tom opowiadań *Wschód, Zachód*.



www.rebis.com.pl



cena 14,90 zł

Grimus

Salman Rushdie

Przełożył Krzysztof Filip Rudolf

Tytuł oryginalny *Grimus*

Copyright Salman Rushdie, 1975
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,

Poznań 2000, 2007

Redaktor Grzegorz Dziamski

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki Piotr Majewski

Fotografia na okładce © Pieter Estesohn/Beateworks/Corbis

Wydanie I (w tej edycji)

ISBN 978-83-7510-092- I

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60- 171 Poznań
tel. 061-867-47-08, 061-867-81-40; fax 061-867-37-74
email; rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl
Skład: AKAPIT, Poznań, tel. 061-879-38-88
Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia „LEGA”

Idź, idź, idź, mówił ptak: ludzki gatunek
Znieść nie umie niczego, co zbyt rzeczywiste.

T. S. Eliot, *Cztery kwartety: Bunt Norton*,
(w przekładzie Czesława Miłosza)

Atomy zagubione, do jądra dąicie wszystkie,
Stając się wymarzonym zwierciadłem wieczystym;
Promienie, co wędrowały aż do mroków końca,
Wracają, aby zgasnąć w blaskach swego słońca.

Rarid-ud-din 'Attar, *Ptasia konferencja*

Kruk rozrzucił, słabo zmiotosił swą resztkę.
Był swoim własnym odpadkiem, wyplutym
chudzielcem.
Był tym, czego umysłem nie mógł już wykorzystać.

Ted Hughes, *Kolesie kruka*

Piaski Czasu są zanurzone w nowych
Początkach.

Ignatius Q. Gribb, *Cytaty filozoficzne na każdą okazję*

Dla Clarissy

CZEŚĆ PIERWSZA
CZASY OBECNE

JEDEN

Pan Virgil Jones, człowiek bez przyjaciół i o języku nazbyt dużym dla jego ust, uwielbiał schodzić ową skalną ścieżką we wtorkowe poranki (pan Jones, osobnik niezwykle pedantyczny i zafascynowany pochodzeniem nazw i rzeczy, mówiąc o dniach tygodnia, używał słów: niedzielnik, poniedziałnik, wtorek, środa, czwartak, piątek i sabat; stanowiło to jedną z przyczyn jego samotności). Była piąta rano; zupełnie bez powodu pan Jones zwyczajowo wybierał tę zupełnie przypadkową godzinę, by rozkoszować się jedyną, maleńką plażą na Wyspie Cielęcej. Tak więc, skacząc niby kozica wąską ścieżką opadającą spiralnie w dół, posuwał się w ślad za kroczącą z gracją garbatą wiedźmą zwaną Dolores O'Toole, która niosła na plecach niezwyklej piękności fotel na biegunach wykonany z orzechowego drewna. Przypasała go paskiem swego towarzysza, pan Jones musiał więc podtrzymywać obiema rękami wciąż opadające spodnie. Rzecz jasna było to zajęcie niezwykle absorbujące.

Jeszcze kilka faktów dotyczących pana Jonesa, Esq.: miał w nadmiarze ciała, nie dostawało mu natomiast wzroku. Oczy mrugały mu nieustannie, jakby nie chciały uwierzyć w swoją krótkowzroczność. Szczycił się trzema inicjałami: V B. C. „B” od Beauvoir, a „C” od Chanakya. Imiona te nadano mu po postaciach historycznych, należało się zatem z nimi liczyć, a pan Jones, choć z liczeniem było u niego nietęgo, uważał się za kogoś w rodzaju historyka. Dziś, gdy pojawił się na srebrnoszarych piaskach swojej wybranej wyspy, otulonej w srebrnoszare mgły wiecznie zwieszające się nad otaczającymi ją, izolującymi morzami, miał

odbyć schadzkę z pewnym drobnym historycznym wydarzeniem. Gdyby o tym wiedział, niewątpliwie wygłosiłby filozoficzną tyradę na temat tego nie kończącego się przedstawienia, któremu na imię historia, o doświadczanej przez historyka niemożności zajęcia pozycji niezaangażowanego obserwatora; powiedziałby, że błędem jest uważać się za olimpijskiego kronikarza, jako że jest się aktorem uczestniczącym w tymże przedstawieniu. Historyk pozostaje pod nieustannym wpływem wydarzeń teraźniejszych, które nieustannie odtwarzają przeszłość. Pomyślałby o tym wszystkim z całkowitą powagą, choć od pewnego czasu przedstawienie owo toczyło się bez jego pomocy. Jednakże z uwagi na swą krótkowzroczność, na wspomniane mgły oraz nieustające wysiłki, by utrzymać opadające spodnie, nie dostrzegł on ciała niejakiego Trzepoczącego Orła, niesionego przez pędzącą do brzegu fale; a Dolores O'Toole oszczędzona była rola publiczności.

Czasami zdarza się tak, że ludzie usiłujący popełnić samobójstwo dokonują tego w stylu, który zatyka im dech w piersiach. Trzepoczący Orzeł, niesiony przez ręce grzbiety fal, miał się niebawem o tym przekonać. Chwilowo jeszcze był nieprzytomny; właśnie wypadł przez dziurę w morzu. To morze było wówczas Śródziemne. Teraz już nie, a raczej nie całkiem.

Jędza Dolores postawiła bujany fotel na piasku. Pan Jones przyglądał się temu z aprobatą. Bujany fotel stał tyłem do morza, a przodem do zalesionego masywu Góry Cielęcej, zajmującej niemal całą Wyspę Cielęcą, z wyjątkiem niewielkiej polany tuż nad plażą, gdzie mieszkali pan Jones i Dolores. Pan Jones usiadł i zaczął się

Dolores O'Toole była ongiś katoliczką. Czasami oddawała się grzesznej przyjemności: pobudzała się kościelnymi, rzymskokatolickimi świecami. Czyniła tak, ponieważ rozstała się ze swym małżonkiem, choć nie ze swoimi pragnieniami. Jej niegdysiejszy mąż, pan O'Toole, prowadził lokal z napojami alkoholowymi w Ch., mieście położonym wysoko na zboczu Góry Cielęcej, ona zaś z zasady nie lubiła Ch., w szczególności pijących, a najbardziej już swego małżon-

ka. Ów brak aprobaty objawiał się tym, że żyła z dala od niego, z Virgilem Jonesem (z dala od Ch., od baru pana O'Toole'a i jego ulubionego miejsca wypoczynku - domu rozpusty Madame Jokasty). I w każdy wtorek o świcie dźwigała na plażę bujany fotel pana Jonesa.

- Przygnębione - zamruczał pan Jones do siebie, siedząc tyłem do morza. - Przygnębione jest dziś morze.

Ciało Trzepoczącego Orła osiadło na ładzie twarzą do góry - z tej właśnie przyczyny nie zdołał się utopić. Znajdował się całkiem blisko tyłu fotela pana Jonesa, a uderzające regularnie fale popychały go coraz bliżej. Pan Jones i pani O'Toole nie zdawali sobie sprawy z jego obecności.

Należy nadmienić, że Trzepoczący Orzeł był stworzeniem względnie łagodnym i dobrym; miał się jednak niebawem stać odpowiedzialny za śmierć wielu osób. Poza tym był równie normalny jak pierwszy z brzęgu mężczyzna, z tym że owym mężczyzną był akurat pan Virgil Jones.

Związek Virgila Jonesa i Dolores O'Toole charakteryzowała niezwykle wręcz paralelność: otóż kochali się i zarazem nie potrafili wyznaczyć sobie tego uczucia. Nie była to piękna miłość, gdyż oboje byli ogromnie brzydki. Nie wyznali jej, ponieważ każde zostało niegdyś tak głęboko zranione, że wołało teraz pielęgnować to uczucie gdzieś w głębi serca, niż wystawiać je na ewentualne pośmiewisko i odrzucenie. Siadali więc blisko siebie, lecz oddzieleni barierą swych prywatności, a Dolores śpiewała chrypliwie pieśni, starodawne strofy o żalobliwym spełnieniu; w tym czasie Virgil artykułował rytmicznie swoje eliptyczne przemowy, gimnastykując myśli i język, które były tak wielkie, że ich udźwignięcie przekraczało możliwości jego głowy, i tak oto na tej bezludnej plaży doświadczał szczęścia na miarę swoich możliwości.

- „Białobroda jest ma miłość i białobrode jest me pożądanie” - śpiewała płacziwie Dolores w rytm fotelowego bujania.

Virgil, pogrążony w myślach, gładził podbródek pokryty siwym zarostem i nie słuchał.

- Język - mówił w zadumie. - Język tworzy pojęcia. Poję-

cia tworzą łańcuchy. Jestem przykuty, Dotty, przykuty, choć nie wiem do czego. Za mało tu eteru, by żyć jak Grimus, za mało ziemi, by żyć jak mieszkańcy Ch., a ja w myślach skaczę między nimi a tobą jak piłeczka pingpongowa. Dolores O'Toole. Żal bogów. Moja droga, nie byłem zawsze taki, jakiego widzisz mnie teraz. Postrach wszystkich cycuszków - to ja. Kiedyś. Potem. Przedtem.

- „Wczesnym rankiem, właśnie gdy Syn się rodził, ja płakałam w dolinie poniżej” - zawodziła Dolores.

Nieprzytomny Orzeł leżał o kilka stóp od bujającego się fotela.

- Ta wyspa - wymamrotał Virgil pod nosem, lecz zdecydowanie - jest najstraszniejszym miejscem na ziemi. Ponieważ najwyraźniej udaje nam się przetrwać i wyspa nie wsysa nas w swą głąb, najwyraźniej kochamy.

I pewnie dalej by rozmyślał, na temat rytuałów, obsesji, nerwic i marzeń sennych będących skutkiem wygnania, na temat wieku, pułapek, przyjaźni i miłości, stanu swoich odcisków, ornitologii mitycznej, snując nowatorskie i wyszukane rozważania w tym spokoju wywołanym obecnością Dolores, ona zaś śpiewałaby dalej, do chwili, gdy od jej piosenek łaza zakręciłaby się jej w oku, a potem oboje poszliby do domu.

W tym jednak momencie ciało Trzepoczącego Orła spoczęło na idealnie wyrzeźbionych biegunach idealnie wyrzeźbionego fotela pokrytego figurami idealnie wyrzeźbionych tancerzy. Fotel wobec takiego afrontu zastygł w bezruchu.

-Śmierć! - wykrzyknęła z przerażeniem Dolores. - Śmierć z morza...!

Virgil Jones nic nie odpowiedział, bo usta miał pełne wody morskiej, która zalegała w płucach Trzepoczącego Orła. Lecz i jego opanowało przerażenie, gdy próbował przywrócić życie tej obcej

- Nie - odparł wreszcie, zmuszając siebie i Dolores do uwierzenia w te słowa. - Ma zbyt bladą twarz.

W przybyciu Trzepoczącego Orła na Wyspę Cielęcą było coś niezwykłego: otóż mieszkańcy wyspy, którzy nie powinni być nazbyt zdumieni jego pojawieniem się, byli poruszeni, a nawet nieco przerażeni. Tymczasem sam Trzepoczący Orzeł, gdy tylko nabył odrobinę wiedzy, gwałtownie począł traktować swoje przybycie jako coś najzupełniej zwykłego.

Owa odrobina wiedzy przedstawiała się następująco:

Nikt nie zjawia się przypadkowo na Wyspie Cielęcej.

Góra ściąga podobnych sobie.

Albo może to wszystko sprawił Grimus.

DWA

Dzień zaczął się dość dobrze. To znaczy, że dostatecznie przypominał dzień poprzedni (pod względem pogody, temperatury i nastroju), by dać na pół śpiącemu młodemu mężczyźnie złudzenie ciągłości. Zarazem różnił się na tyle od tych, które już minęły (pod względem rzeczy tak ulotnych, jak: kierunek wiatru, krzyki nurkujących w powietrzu ptaków i skrzeczenie znajdujących się poniżej kobiet), że tworzył równoważne i przeciwne złudzenie upływu czasu. Młody człowiek napawał się tymi sprzecznymi i harmonijnymi złudzeniami, wynurzając się powoli ku świadomości, która wypędzi jedno i drugie, zastępując je trzecim złudzeniem: teraźniejszością.

To właśnie ja byłem tym chłopcem. Byłem Joem-Sue, Indianinem Axoną, sierotą, nazwanym tak dwuznacznie przy urodzeniu, gdyż moja płeć ujawniła się nieco później, dziewczęcą, młodszym bratem dzikiej istoty płci żeńskiej imieniem Ptako-Pies, która lękała się utraty urody, co było dość ironiczne, gdyż nie była urodziwa. Były to również moje (jego) dwudzieste pierwsze urodziny i właśnie miałem się stać Trzepoczącym Orłem. I przestać być kilkoma innymi ludźmi.

(Byłem Trzepoczącym Orłem.)

Indianie Axona nie przywiązują wagi do dwudziestych pierwszych urodzin. Uroczyscie obchodzą jedynie wejście w okres dojrzewania, utratę dziewictwa, dostarczenie dowodu męstwa, małżeństwo i śmierć. Gdy wszedłem w okres dojrzewania, Starsi wzięli koźle włosie i przylepili mi je do twarzy jak brodę, a Szaman namaścił moje świeżo uaktywnione organy wnętrznościami królika, dla zapewnienia płodności, śpiewając przy tym pieśń do boga Axonów.

Bóg Axonów ustalił tylko dwa prawa: lubił, gdy Axonowie śpiewali mu jak najczęściej - w polu, podczas wypróżniania się, w czasie stosunku (warunkiem była tu podzielność uwagi) - oraz polecił Axonom, by nie mieszały się z żadną inną rasą i nie mieli nic wspólnego ze złem tego świata. Nigdy nie miałem wiele czasu dla boga Axonów, zwłaszcza po wejściu w okres dojrzewania, ponieważ głos mi się zmienił i sprawował się nieszczególnie, w związku z czym całkowicie zarzuciłem śpiewanie. Do tego doszła jeszcze Ptako-Pies i jej upodobanie do świata zewnętrznego. Gdyby nie to upodobanie, zapewne nigdy nie spotkałaby domokrażcy Sisy'ego i nigdy by nie wyjechała, i ja nigdy bym nie wyjechał, i być może wszystko byłoby inaczej. A może i tak trafiłby się jakiś Sisy.

Pozwólcie mi jednak wyjaśnić kilka spraw. Dorastałem na tym płaskim stole, który - jak sądzę - w dalszym ciągu nazywany jest Stanami Zjednoczonymi albo, potocznie, Amerindiami. Ów stół był samowystarczalny: oznacza to, że produkował tyle żywności, ile potrzebowali Axonowie. Żaden Indianin Axona nie schodził z tego płaskowyżu na równiny, a po kilku bitwach, gdy tamten świat przekonał się, że Axona jest niezdobyłą twierdzą, zostawiono nas w spokoju. Ptako-Pies była - o ile mi wiadomo - pierwszym Axoną, który przybył na równiny, niewątpliwie zaś była pierwszym, który nauczył się tamtejszego języka i wyraźnie polubił mieszkańców, a

Aby zrozumieć Ptako-Psa, trzeba wiedzieć, że byliśmy - Ptako-Pies i Joe-Sue - sierotami. Moja matka umarła kilka chwil przed moim przyjściem na świat, stąd wzięło się moje pierwsze oficjalne imię: Urodzony z Umarłej. Nazywano mnie Joe-Sue, by oszczędzić mi bólu. Niech jednak inni osądzą, czy mniej bolesne jest nazywanie kogoś przez dwadzieścia jeden lat imieniem hermafrodyty, sprawiającym, że każda panna na wydaniu wręcz drży z lęku, by nie złamać tabu.

Mój ojciec zmarł wkrótce potem i cała odpowiedzialność za mnie spadła na trzynastoletnią Ptako-Psa. Ptako-Pies nie było jej oficjalnym imieniem. Nikt nigdy mi nie powie-

dział, jak ono brzmiało. Gdy miała szesnaście lat, przyjęła je jako imię wojownika.

Axonowie nie polubili jej za to, lecz po śmierci naszych rodziców nikt specjalnie nie kochał ani Ptako-Psa, ani mnie. Powód jest prosty: wśród Axonów sieroty są traktowane jak kundły przez rasowe psy. Odkąd nasz ojciec zamknął oczy, byliśmy niemal pariasami, a nasze natury tylko pogarszały ten stan rzeczy.

Ptako-Pies zawsze była wolnym duchem. Mówię to z odrobiną zawiści, bo sam nigdy taki nie byłem i nie jestem. Nie była układna, a podstępami się brzydziła. Jeszcze w dzieciństwie ciągnęła ją do łuku i strzały, a palenisko i kocioł - ku przerażeniu Starszych - miała w pogardzie. Dla mnie był to uśmiech losu. Oznaczało to bowiem, że może zdobywać dla nas pożywienie. Oznaczało to, że w polowaniu dorównywała większości młodych mężczyzn. Ptako-Pies była urodzonym żywicielem. Z piersiami. A żywiciele z piersiami budzili zgorszenie Axonów.

Dorastając, zauważałem, że ta niechęć staje się coraz jawniejsza. Gdy zbliżałem się do źródła, rozmowy się urywały. Gdy Ptako-Pies szła przez wioskę, odwracano się do niej plecami. Zadzierając nosa, Axonowie odrzucali nas na tyle, na ile to było możliwe. Nie mogli nas wypędzić, gdyż nie popełniliśmy żadnej zbrodni. Lecz nie musieli nas lubić i w pełni z tego korzystali.

- No cóż - powiedziała do mnie Ptako-Pies, gdy miałem szesnaście lat (a jak na ten wiek byłem niedoświadczony i bezradny) - jeśli nas nie chcą, obejdziemy się bez nich.

-Tak - odparłem. - Obejdziemy się bez nich. - Powiedziałem to ze smutkiem, bo choć znajdowałem się pod silnym wpływem Ptako-Psa, jak każdy młodzieniec bardzo potrzebowałem akceptacji.

- Po prostu będziemy musieli znaleźć sobie przyjaciół gdzieś indziej - powiedziała obojętnie, wyczułem jednak lekko buntowniczą nutę. Najwyraźniej ta myśl już od lat chodziła jej po głowie. To zdanie miało zmienić całą naszą teraźniejszość, naszą przyszłość, całe nasze życie. Rzecz jasna Joe-Sue zgodził się ze swoją starszą, kompetentną, męską siostrą.

Było jednak coś, o czym Ptako-Pies nigdy nie wspominała, a co - jak się przekonałem, gdy odeszła - stanowiło główną przyczynę odrzucenia nas przez plemię. Otóż nie chodziło wcale o to, że byliśmy sierotami, ani o wyczyny Ptako-Psa, nie o to, że przyjęła imię wojownika, nie o jej ogólne zachowanie, wcale nie o nią. Chodziło o mnie - Joe-Sue.

Z trzech powodów: po pierwsze, mojej niepewnej płci, po drugie, okoliczności mojego przyjścia na świat i po trzecie, koloru mojej skóry. Omówmy je po kolei. Dla Axonów hermafrodyta to coś strasznego. Istny potwór. A przemiana kogoś takiego w „normalnego” mężczyznę graniczy z czarną magią. To się im nie podobało. Urodzić się z martwej kobiety to przerażająca wróżba: skoro potrafiłem przynieść śmierć w chwili narodzin, siedziała ona odtąd na moim ramieniu jak sęp, gdziekolwiek bym poszedł. A co do mojej skóry: Axonowie są ciemnej karnacji, na dodatek niewysocy. Tymczasem ja, dorastając, z niewytłumaczalnych przyczyn robiłem się jasnoskóry i wysoki. Ta genetyczna aberracja - białość - sprawiała, że bali się mnie i na wszelkie sposoby starali się unikać.

Ponieważ się bali, mieli dla nas odrobinę szacunku. A ponieważ byłem monstrem, mieli dla nas odrobinę pogardy.

Oczywiście Ptako-Pies i ja zawsze byliśmy sobie bardzo bliscy. Nigdy jednak nie powiedziała, jak bardzo cierpi z powodu moich nienormalności. Był to dowód siły jej uczucia.

I tak, nie zdając sobie z tego sprawy, już od młodych lat przygotowywałem się do podróży na Wyspę Cielecą. Byłem wyrzutkiem w żyjącej na uboczu społeczności i kurczowo chwyciłem się uczucia mojej siostry, jak rozbitek unoszącej się na wodzie belki.

Tego dnia, gdy Ptako-Pies wypowiedziała niewypowiedziane, dopuściła mnie do pewnej tajemnicy.

- Gdy byłem młodsza od ciebie, zesłałam na Dół - powiedziała.

Byłem wstrząśnięty. W tym czasie myśl o łamaniu praw Axonów jeszcze była dla mnie wstrząsająca.

- Gdy miałam tyle lat co ty, poszłam do miasta - ciągnęła. - I stanęłam pod oknem jakiejś jadłodajni. Była tam śpiewająca maszyna. Śpiewała o stworzeniu zwanym ptako- psem, sprytnym, podstępny. Bała się tego stworzenia. Pomyślałam sobie: oto imię wojownika w sam raz dla mnie.

Wciąż jeszcze wstrząśnięty spytałem:

- A co z Demonami? - Zająknąłem się przy tych słowach. - Jak uciekłaś Wirującym Demonom?

Potrząsnęła głową.

- Łatwizna - odparła z pogardą. - To tylko powietrze, nic więcej.

Od tego dnia Ptako-Pies często bywała w mieście. Wracła z mnóstwem opowieści o poruszających się obrazach i szybko przemieszczających się maszynach; o maszynach dających żywność i wodę i o przeogromnym morzu ludzi... Nigdy nie miałem odwagi jej towarzyszyć. Właśnie tam, w mieście, dowiedziała się o dwudziestych pierwszych urodzinach.

- W tym właśnie dniu udowadniasz, że jesteś wojownikiem - powiedziała. - Pójdiesz do miasta. Mało tego, pójdiesz sam.

Tego również dnia spotkała pana Sisy'ego i otrzymała życie wieczne.

Jak już mówiłem, dzień ów rozpoczął się dość dobrze dla młodego Joego-Sue. Gdy jednak Joe-Sue się obudził, dzień ten zadał kłam swoim początkom.

TRZY

Był to dzień urodzin Joego-Sue. Wstałem i wyszedłem na zewnątrz. Niebo było oślepiająco błękitne. Nasz stół, upstrzony czerwobrazowymi namiotami, zielenił się soczyście - zielony kciuk sterczący boleśnie nad krwistoczerwonym, jałowobrazowym światem. Jeśli Wirujące Demony wirowały gdzieś poniżej, nie mogły mnie schwytać i świat wydawał się urządzony jak trzeba.

Na odłamku skały siedziała Ptako-Pies, dorosła kobieta w wieku trzydziestu czterech lat, trzech miesięcy i czterech dni, cała w łachmanach, z włosami opadającymi chmurnie na oliwkową twarz. W rękach ścisnęła dwie buteleczki. Tę w prawej ręce wypełniał jaskrawożółty płyn. Tę w lewej ręce wypełniał jaskrawoniebieski płyn. Kolory szalały wszędzie, z wyjątkiem mojej skóry. Poczulem, że chmura zakryła na chwilę słońce.

Ptako-Pies przykucnęła, a błysk podniecenia na jej twarzy rozjaśnił tę ponurą chwilę.

- Byłam na dole - powiedziała. - Żeby sprawdzić, czy Wirujące Demony są dziś spokojne. Są. Wszystko w porządku. - Jej głos był jednak nieobecny, a oczy wpatrywały się dziko w jaskrawe buteleczki. - Wracając, spotkałam jakiegoś człowieka - odezwała się w zamyśleniu. - On mi je dał.

- A co to jest? Kim on był? Dlaczego ci je dał?

- To był wędrowny handlarz. Nazywał się Sispy. Miły człowiek. Śmieszne nazwisko, Sispy. Dał mi je, bo ich chciałam.

- A co one robią?

- Dzięki nim zachowam młodość - odparła, ściskając je jeszcze mocniej. - A przynajmniej dzięki tej. - Uniosła żółtą buteleczkę.

- Na jak długo? - spytałem bojaźliwie. Cień znów powrócił.
- Na zawsze! - krzyknęła z triumfem, po czym wybuchnęła płaczem.

Otoczywszy ją ramionami, mokry od jej łez radości i przerażenia, spytałem:

- A jak działa ta druga, ta niebieska?

Nie odpowiedziała od razu.

Teraz, gdy jestem już znacznie starszy, nie mam do końca pewności, co znaczy słowo „czarnoksiężnik”. Dla ówczesnego Joego-Sue, urodzonego i wychowanego przez plemię, dla którego wydarzenia codzienne przeplatały się z magią, oznaczało ono kogoś, kto ma moc albo wiedzę, której on sam nie posiada. Niewykluczone, że słowo to znaczy cokolwiek jedynie w tym sensie; według tej definicji, dla ówczesnych Joego-Sue i Ptako-Psa pan Sispy był niewątpliwie czarnoksiężnikiem. Oto, jak Ptako-Pies opisała mi to

- Siedziałam za skałą wypatrując Wirujących Demonów i nagle za moimi plecami rozległ się ten głos szepczący SISPY SISPY powiedział a ja zawirowałam szybko jak demon żeby się przekonać gdzie on JEST bo znał moje imię. Ptako-Psie wyszeptał a ten szept zabrzmiał szorstko w jego ustach bo mówił miękko a westchnienie jak powiew wiatru było w tym jego szepcie głos miał cały świat w tym szepcie tak wielki wywierał czar. Ptako-Psie czy jesteś piękna zapytał a skoro o to zapytał więc tak było i odrzekłam tak tak jestem piękna jeśli tak mówisz a on powiedział tak jesteś piękna lecz Ptako-Psie ty umrzesz to słowo zabrzmiało tak szorstko na jego wargach że zapłakałam. Sispy płakałam Sispy. Taki był to uśmiech ze słońcem w środku i latem też gdy się uśmiechnął i nie mogłam płakać. Świat jest pełen tajemnic powiedział i niespodzianek. Mówię Sispy za twoimi plecami i tu cię zaskakuję. Z tajemnicą w mojej sakwie. Podróżuję powiedział i szukam takich jak ty, podobne poszukuje podobnego, przekazując mój mały sekret. Oto jego piękno: z nim pozostaniesz piękna, nie umrzesz, otrzymasz dar czasu, który pozwoli ci szukać tego

wszystkiego, czego pragniesz szukać, nauczyć się wszystkiego, czego chcesz wiedzieć, osiągnąć wszystko, co pragniesz zrobić, stać się wszystkim tym, czym pragniesz zostać. Jego piekło jest takie: każdy, kto posiada ten sekret w końcu pragnie się go pozbyć, gdyż ciąży mu jako ta ostatnia kropla, która przepelnia czarę i zalewa wielbłąda, pod którym uginają się nogi i jakoś przechodzi przez ucho igielne. Następnie podał mi napoje: żółty oznaczający słońce i jasność i życie oraz niebieski oznaczający nieskończoność i spokój i wyzwolenie gdy go zapragnę. Życie w żółtej buteleczce, śmierć niebieska jak niebo, lodowatobłękitna jak stal, powiedział. Był tak nędznie odziany, w jakieś łachmany i miał strasznie połataną torbę pokrytą przeróżnymi rysunkami i odwrócił się żeby odejść. Powiedziałam że mam brata zwanego Urodzony z Umarłej i dziś jest dzień w którym ma zostać wojownikiem, czy masz dla niego jakieś tajemnice? Miał, te same dla Urodzonego z Umarłej, powiedział. Potem zanim odszedł powiedział, dla tych, którzy nie użyją niebieskiej, jest tylko jedno znane mi miejsce; idę tam teraz i pewnego dnia, jeśli nie użyjesz niebieskiej, pójdziesz razem ze mną. A na koniec powiedział: powiedz twojemu bratu, Urodzonemu z Umarłej, że wszystkie orły wracają na koniec do swoich gniazd, a wszyscy żeglarze wracają na koniec na ląd. SISPY SISPY wyszeptał na wietrze i zadrżał a potem już go nie było.

Ptako-Pies nie była zbyt rozmowną kobietą, więc Joe-Sue byłby zdziwiony tak długą przemową, nawet gdyby dotyczyła pogody. Natomiast przemowa na taki temat była wręcz wstrząsająca. Ptako-Pies sięgnęła do przepastnych kieszeni swoich łachmanów i wyjęła dwie kolejne buteleczki, takie same jak te, które przedtem trzymała w rękach. To były jego, moje. Żółta - wieczność życia, a niebieska - wieczność śmierci. Joe-Sue chwycił je i wbiegł do swojego namiotu, gdzie zaczął ryc w ziemi, by ukryć je pod matą. Gdy wrócił, żółta buteleczka była pusta, a niebieska leżała roztrzaskana o skałę, na której siedziała Ptako-Pies.

- Śmierć - powiedziała. - Śmierć na śmierć. Lecz Joe-Sue nie wypił płynu ze swoich buteleczek. Wkrótce brat i siostra mieli się poróżnić.

Po długim milczeniu, podczas którego odległości rozciągały się jak wszechświaty we wszystkich kierunkach, powiedziała po staremu, z agresywnym rozsądkiem:

- Idź już teraz, Joe-Sue, idź do miasta.

Tak więc zszedłem ze stołu Axonów na równinę Wirujących Demonów, których kiedyś nauczono mnie się lękać; jednak pojawiające się gdzieś na jałowej równinie małe wiry powietrzne okazały się niebawem - jak mówiła Ptako-Pies i jak sama nazwa wskazuje - jedynie powietrzem, więc schodząc im z drogi, bez kłopotu dotarłem do miasta. Zobaczyłem tam automobile i pralnie, i szafy grające, i różne maszyny i ludzi ubranych w zakurzone ubrania i z czymś na kształt rozpachy w oczach; zobaczyłem to wszystko, kryjąc się za drzwiami i ogrodzeniami, czając się w korytarzach, i nie sądzę, by ktoś mnie zauważył. Wreszcie stwierdziłem, że udało mi się zobaczyć wystarczająco wiele; patrząc, zaraziłem się tym wszystkim, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy, tak samo zresztą zaraziła się Ptako-Pies.

A ludzie w mieście byli biali.

Gdy wracałem na nasz blat stołu, doszło do niezwykłego zdarzenia. Zobaczyłem orła na skale. Siedział na wysokości mojego ramienia, patrzył na mnie. Mówię wam, od razu się zatrzymałem. Było to wielkie, wyrosnięte, okrutnie wyglądające orlisko. Powoli, bardzo powoli, zbliżałem się do ptaka. Nawet nie drgnął, nie okazywał nawet cienia lęku, zupełnie jakby się mnie tam spodziewał. Wyciągnąłem ręce, a on spokojnie na nich usiadł. Było to moje kolejne zdumienie w tym zdumiewającym dniu. Trzymałem go i przez chwilę głaskałem, gdy nagle - z gwałtownością równie nieoczekiwaną jak jego poprzedni spokój - zaatakował

mnie. Rzecz jasna natychmiast go puściłem, lecz zdążył jeszcze rozorać mi klatkę piersiową swoim straszliwym dziobem. Potem odleciał. Odprowadziłem go wzrokiem; można powiedzieć, że zabierał ze sobą część mnie.

- Trzepoczący Orzeł. - Głos należał do Ptako-Psa. Okazało się, że obserwowała nas w milczeniu. - Oto jest twoje imię. Trzepoczący Orzeł. Jak myślisz, dlaczego ten orzeł przyleciał do ciebie, a potem cię zaatakował? To twoje imię, imię wojownika, i tak musi być.

- Trzepoczący Orzeł - powiedział głośno Joe-Sue. - Tak.

- Na takie imię trzeba sobie zasłużyć - powiedziała Ptako-Pies.

- Tak - powiedziałem.

- A teraz czas zaczynać - powiedziała. Położyła się na plecach na skale, gdzie przedtem siedziała, obserwując mnie z orłem, i zadarła swą poszarpaną suknię.

I tak oto, jednego dnia, ofiarowano mi życie wieczne, złamałem prawo Axonów, przyjąłem imię wojownika od znaku wróżebnego i straciłem cnotę z własną siostrą. Po czymś takim chyba każdy by uwierzył, że dwudzieste pierwsze urodziny to naprawdę wyjątkowy dzień.

CZTERY

Szaman wszedł do namiotu Trzepoczącego Orła, wymachując swoim magicznym kijem jak smutny nauczyciel sadysta przepełniony żalem z powodu cierpień, które uwielbia powodować. Szaman utrzymywał, że lubi zadawać ból jedynie wówczas, gdy zmusza go do tego obowiązek, lecz kochał swoją pracę. Stojąc przed Trzepoczącym Orłem, wyglądał jak ogromny, przewalający się mors obok skupionej, skostniałej i milczącej ostrygi.

- Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam - powiedział Szaman żałośnie. - Wydaje mi się, że mamy do omówienia pewną delikatną kwestię. - (Trzepoczący Orzeł zwrócił uwagę na jego usta: były zaślinione w kącikach.)

- Hm - ciągnął Szaman - zastanawiałem się właśnie, czy wiesz, gdzie... ona... jest. - Podobnie jak większość Axonów, niechętnie przyznawał Ptako-Psu prawo do jej imienia wojownika i podobnie jak większość Axonów, zdążył już zapomnieć, jak przedtem miała na imię.

- Nie - odparł Trzepoczący Orzeł. - Ale tutaj jej nie ma. Nie ma jej w Axonie.

- No właśnie. Zdajesz sobie sprawę, że stawia to nas obu w dość niezręcznej sytuacji? Chodzi o prawo, rozumiesz.

Wszystko było bardzo proste. Nagłe zniknięcie Ptako-Psa oznaczało, że Trzepoczący Orzeł, jako najbliższy krewny i jedyny członek rodziny, mógł wreszcie zostać ukarany przez Axonów. Ponieważ przestępczyni nie można było ukarać, cała wina spadała na niego. A kara była jedna: wygnanie.

Ptako-Pies powiedziała tylko tyle: „Dziś znów widziałam Sispy'ego. Wyjeżdżamy”. Stało się to wczesnym rankiem. Dopiero później Trzepoczący Orzeł uświadomił sobie, że

dzisiaj ma dokładnie tyle lat, ile miała Ptako-Pies w dniu, gdy pierwszy raz spotkała handlarza. Trzydzieści cztery lata, trzy miesiące i cztery dni. Zupełnie tak, jakby jego przyszłość zetknęła się z jej przeszłością.

Rozstanie było nagłe, lecz odsuwali się od siebie już od dawna - od dnia, w którym Trzepoczący Orzeł odmówił wypicia złotego eliksiru. On odczuwał lekkie mdłości, widząc Ptako-Psa zatrzymaną w niezmiennym wieku i zdając sobie sprawę, że codziennie każda jej umierająca komórka zastępowana jest przez nową, dokładnie taką samą, a w miejsce każdego utraconego włosa wyrasta następny. A dla Ptako-Psa widok młodszego brata doganiającego ją z każdym dniem stanowił wyraz jej odrzucenia i utwierdzał ją w powziętej decyzji. Była *to* pierwsza i jedyna ważna sprawa, w której Trzepoczący Orzeł nie poszedł w jej ślady.

Od kilku lat nawet się już nie kochali; obojgu bardzo tego brakowało. Ale, pomyślał sobie Trzepoczący Orzeł, teraz ma Sisy'ego. Kobieta handlarza: całkiem spokojne lądowanie jak na nią.

Szaman znów odchrząkiwał. Trzepoczący Orzeł zmusił się do wysłuchania jego dwuznaczników.

- Wiesz - powiedział mors z namaszczeniem - ze zdrowiem trzeba uważać, bardzo uważać. Chodzi o to, że trzeba starać się zawsze być o jeden krok naprzód. Przechytrzyć chytry zarazek, jeśli wiesz, o czym mówię. Złapać kotka, zanim pokaże pazury, co?

Axonowie mieli obsesję na punkcie zdrowia i czystości. Używali więcej metafor z tej dziedziny niż najdzikszy hipochondryk.

- Obawiam się - (tu twarz Szamana zmieniła się w tragiczną maskę) - że masz przeciwko sobie, stary, uwłaczającą większość.

- Przytłaczającą - poprawił Trzepoczący Orzeł.

- No właśnie. Absolutnie uwłaczającą. Temperatura rośnie, kraj opanowuje gorączka, no wiesz, o co chodzi. Są tacy, którzy zalecają, by upuścić odrobinę krwi - (tu jego usta przybrały wyraz eleganckiego niesmaku) - lecz oczy-

wiecie niezupełnie się z nimi zgadzam. Niemniej jednak pojmuję, o co im chodzi. Choć się nie zgadzam. To chyba wynik mojego liberalnego wychowania.

- A jak ty się na to zapatrujesz? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Ach. Ja. Ach. To dopiero jest pytanie. Zacytuję powiedzenie Axonów i popraw, jeśli się pomyłę: „Wszystko, co nieaxońskie, jest nieczyste”. Obawiam się, że naprawdę nie możemy sobie tutaj pozwolić na żadne nieczystości. Rozprzestrzeniają się w mgnieniu oka. I zanim się zorientujesz - paf! - jest zaraza. Rzecz jasna nic nie mam do ciebie osobiście. Zawsze uważałem, że to przeciwko tobie bardziej zgrzeszono i tak dalej. Ale co zrobić, obawiam się, że nieźle przez nią oberwiesz. Zresztą nie wykluczam, że już jesteś zarażony.

- Co zatem sugerujesz?

- Wiesz co? WIESZ CO? A może być tak dziś wieczór, pod osłoną ciemności, rozumiesz, a może być tak zwiął stąd na dobre? Oszczędziłoby to wielu przykrych scen. Właśnie to sugeruję. Przemyśl to. Naprawdę strasznie mi przykro z tego powodu.

Trzepoczący Orzeł, sam w swoim namiocie, rozgrzebywał zawzięcie klepisko. Potem je wyjął - żółtą i niebieską. Nareszcie, pomyślał sobie. Skoro mam żyć na Zewnątrz, to przynajmniej mogę sobie zafundować coś takiego. Po czym wypił do dna życiodajny płyn. Miał gorzko-słodki smak. Niebieską buteleczkę włożył do

Wspominałem, że życie wśród Axonów przygotowało mnie pod wieloma względami do pobytu na Wyspie Cielęcej. Na przykład: dzięki niemu Trzepoczący Orzeł poznał potęgę obsesji.

Miasteczko nazywało się Phoenix, ponieważ powstało z popiołów po wielkim pożarze, który całkowicie strawił wcześniejsze i znacznie większe miasto, również zwane

Phoenix. Nikt nie wiedział, dlaczego tamtemu miastu nadano taką właśnie nazwę. Teraz było to niewielkie miasteczko.

Gdy Livia Cramm przejeżdżała przez takie miasteczka jak Phoenix, oczy miała szeroko otwarte, choć przybierała pozę omdlewającego znudzenia. Pani Cramm była ludzkim drapieżnikiem: konsumowała męskie namiętności z wręcz niezdrową rozkoszą. Już dawno temu wyssała wszystkie żywotne soki z nieszczęsnego pana Cramma, niewielkiego, nie odpowiadającego jej wymaganiom miliardera w okularach, który wyzionął ducha w jej miazdzącym uścisku, szepcząc czule słowa i zostawiając jej swoje miliardy. Ponadto zapisał jej w testamencie swoje samochody, konie, posiadłości w Amerindiach i na Kaukazie, a przede wszystkim swój jacht. Tylko jedna rzecz potrafiła ją odwieść od uwodzenia - morze. Była to wspólna miłość jej i pana Cramma, chyba jedyna ich wspólna miłość.

- Pan Cramm - lubił powtarzać pani Cramm, nim jeszcze nabrała ogłady w mówieniu - miał taki ulubiony dowcip o morzu. Gdy był smutny, miał gorsze dni, mówił sobie: „To jest piękne - stary człowiek i morze”. Rozumie pan, morze. Pan Cramm miał okropne poczucie humoru. Nazywał mnie swoją Jungfrau, bo był jakby poliglotą. Gdy pytałam go dlaczego, odpalał z miejsca: „Złotko, żadna tam z ciebie Freudlein!” Och, Boże, to jego poczucie humoru. Lubię mężczyzn, którzy umieją mnie rozbawić. Zwłaszcza gdy mają coś wspólnego z morzem.

Obecnie jednak pani Cramm, kobieta już nie pierwszej młodości, była znacznie bardziej subtelna i mniej wybredna. Lubiła, gdy byli młodzi, lecz nie nazbyt młodzi; wysocy, lecz z umiarem; jasnoskórzy, lecz z odrobiną pigmentu. Wszystko inne było nieważne. W takich miasteczkach jak Phoenix miała oczy szeroko otwarte, gdyż pełno tam było dość młodych, dość wysokich, jasnociemnych i beznadziejnie splukanych okazji.

Tak więc, gdy dostrzegła Trzepoczącego Orła, poczuła, że krew zaczyna jej żywiej krążyć w żyłach. Polowanie nieodmiennie ją podniecało. Bierz go, pomyślała sobie.

- Hej, ty z dużymi oczami! - zawołała. - Dziubus!
Snujący się po ulicy Trzepoczący Orzeł przystanął.
Puszka, którą kopał, zatrzymała się z metalicznym klekotem.
- Chciałbyś pracę?!

- A co miałbym robić? - Trzepoczący Orzeł starał się udawać obojętnego.

- Oo, no wiesz, zarabiać pieniądze! - krzyknęła pani Cramm. -
Robić to i owo i tak dalej!

Trzepoczący Orzeł zastanawiał się mniej więcej przez jedną sekundę. Podszedł do jej ogromnego samochodu.

- Psze pani - powiedział - w moich stronach mamy takie powiedzenie: Żywy pies jest lepszy niż martwy lew, lecz śmierć jest lepsza od biedy.

- Widzę, że czeka nas fascynujący związek - stwierdziła pani Cramm. - Lubię mężczyzn, którzy mają olej w głowie.

Gdy samochód ruszył, Trzepoczący Orzeł uświadomił sobie, że znów jakimś trafem znalazł się we władzy starszej odeń kobiety. I natychmiast potem pomyślał sobie, że wcale mu to nie przeszkadza. Był dość elastycznym mężczyzną, bardziej kameleonem niż orłem, nad aktywność przedkładającym reaktywność. Pani Cramm natomiast wyglądała na kobietę nadającą się do pewnych rodzajów aktywności.

PIĘĆ

Trzepoczący Orzeł nie lubił Nicholasa Deggle'a. Przede wszystkim nie mógł pojąć, kim on właściwie jest dla Livii Cramm. Odnosiło się wrażenie, że od czasu do czasu wykonywał jakąś magiczną sztuczkę, a w zamian otrzymywał wielkie sumy pieniędzy lub coś z biżuterii.

- Prezenty, kochanie - wyjaśniała Livia Cramm. - To mój przyjaciel, a ponadto geniusz. Prawdziwy *malin* talent. Czyż nie mogę dawać moim przyjaciołom prezentów?

W opinii Trzepoczącego Orła geniusz Nicholasa Deggle'a ograniczał się do jednego: przyjmowania, z niezaprzeczalnym wdziękiem, dowodów hojności swojego dobroczyńcy. A ponadto - ciemny, zgrabny i szykowny, upierścieniony i wyperfumowany, z nieodłączną różą w butonierce - nie wyglądał na człowieka, który potrzebuje prezentów.

Wolny od trosk związanych ze starzeniem się, Trzepoczący Orzeł nie rozumiał przyczyn zależności Livii od Deggle'a. W miarę jak przybywało jej lat, z rosnącym zacięciem badała zjawiska nadprzyrodzone. Wręcz pożerała taroty, biblie, kabały, wróżbiarstwo i wszystko, co utrzymywało ją w przekonaniu, że ten świat jest czymś więcej, niż widzimy, że fizyczny kres wcale nie jest kresem ostatecznym. Ponieważ zaś Deggle podzielał jej zainteresowania i orientował się w tych kwestiach znacznie lepiej od niej, uważała, że

Deggle zawsze nosił ze sobą coś, co nazywał swoją różdżką. Był to przedmiot niezwykle: cylindryczny, długi na sześć cali i lekko zagięty. Najbardziej niezwykle było jednak to, że wykonano go z litego kamienia. Trzepoczący Orzeł nigdy nie widział czegoś takiego.

- Skąd to masz? - zapytał pewnego razu.

Deggle spojrział nań kpiąco i odrzekł:

- To łodyga kamiennej róży; odłamałem ją kiedyś.

Trzepoczący Orzeł poczuł się głupio: zadając to pytanie, powinien był się liczyć z szyderczą odpowiedzią.

Deggle używał tej różdżki podczas rzadkich pokazów sztuki magicznej. Stawał nieruchomo, ciemny i długonosy, odziany w czarną pelerynę, i wyczarowywał w powietrzu różne dziwy. Robiło to wrażenie nawet na Trzepoczącym Orle, który z tego powodu nie lubił go jeszcze bardziej. Magik nie zdradzał swoich sekretów, a Livia była zakochana w nim po uszy.

Pewnego razu po takim pokazie Livia sama zapragnęła zaprezentować swoje nadprzyrodzone zdolności. Władczym gestem przywołała Trzepoczącego Orła.

- Podejdź no tutaj - nakazała mu. - I pozwól, by Livia przyjrzała się twojej ukochanej dłoni.

Trzepoczący Orzeł podszedł do niej pełen podejrzeń. Livia spojrzała na niego, ścisnęła mu dłoń, obmacała ją i nacisnęła. Zrobiła niezwykle poważną minę.

- No no, mój Orle - powiedziała. - Cóż za straszna ręka.

Serce Trzepoczącego Orła na moment się zatrzymało.

- Na pewno chcesz się dowiedzieć? - spytała pani Cramm z powagą.

Trzepoczący Orzeł pomyślał: Pyta mnie tak, jakbym miał wybór. Spojrział w jej zachłanne oczy, jarzące się przerażającą wiedzą, i skinął głową.

Livia Cramm przymknęła powieki i zaczęła śpiewnie:

- Czeka cię długie życie i poza jedną poważną chorobą będziesz zdrowy. Choroba ta będzie chorobą umysłową, lecz wyleczysz się z niej, choć może ona wyrzeć istotny wpływ na twoje życie. Nigdy się nie ożenisz ani nie spłodzisz dzieci. Nie będziesz miał żadnego zawodu, gdyż nie masz żadnych talentów. Nie będziesz miał szczęścia. Przeznaczone ci jest być kierowanym przez innych i koniec końców pogodzisz się z tym. Lecz nade wszystko jesteś człowiekiem niebezpiecznym. Ludziom, których znasz, przyniesiesz smutek, cierpienia i ból. Oczywiście przypadko-

wo, bo nie jesteś złośliwy. Podąża jednak za tobą zło. Tam, gdzie stąpasz ty, stąpa też Śmierć.

Trzepoczący Orzeł musiał napiąć mięśnie, by ręka mu nie zdrząła. Całkiem nieświadomie Livia Cramm powtórzyła klątwę, która przyłgnęła do jego narodzin i jego pierwszego imienia.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego, jakby chciała mu dodać otuchy.

- Ale za to jesteś niezwykle atrakcyjny - powiedziała normalnym głosem.

Deggle też się uśmiechnął.

Zależność pani Cramm od Deggle'a stawała się coraz większa. Trzepoczący Orzeł zauważył, że po każdej jego sugestii na temat tego, gdzie mogliby popłynąć, przezimować albo nawet zatrzymać się na posiłek, przechylała pytająco głowę w stronę Deggle'a, a dopiero potem ochoczo się zgadzała albo delikatnie odmawiała. Od jej decyzji nie było odwołania.

Trzepoczącego Orła najbardziej denerwowały dwa powiedzenia. Jedno z nich należało do repertuaru Livii Cramm. Za każdym razem, gdy z małomównych ust Deggle'a spływał jakiś ciemny konwersacyjny kwiat, klaskała podniecona, zupełnie jak dojrzewająca dziewczynka, której pokazano coś sprośnego za krzakiem róży, i wykrzykiwała (tracąc swój pielęgnowany akcent): „Czy to nie sam de Gaulle gada do ciebie?” Przy czym wyglądało na to, że jest naprawdę dumna ze swego dowcipu. W takich chwilach Trzepoczący Orzeł zaciskał usta i tłumił w sobie wszelkie myśli.

Natomiast drugie powiedzenie było autorstwa Deggle'a. Przyjeżdżał i wyjeżdżał w nieznaną, witając i żegnając willę pani Cramm na południowym wybrzeżu Morispanii, i zawsze, gdy ją opuszczał, machał poważnie ręką i wołał: „Etiopia!”

Był to złożony i okropny dowcip, oparty na fonetycznym podobieństwie historycznej nazwy tego izolowanego, ta-

jemniczego, starego kraju (Abisynia) i formuły pożegnalnej (*I'll be seeing you*). Trzepoczący Orzeł odchodził od zmysłów za każdym razem, gdy go słyszał. Etiopia. Etiopia. Etiopia.

Deggle sprawiał, że Trzepoczący Orzeł nie był pewny, czy znieśie przeznaczony mu los.

Już od dwudziestu pięciu lat żył z Livią Cramm jako jej osobisty żigolak. Rozumował niezwykle prosto: miał więcej czasu niż ktokolwiek inny we wszechświecie, lecz nie miał pieniędzy. Ona miała strasznie dużo pieniędzy, lecz bardzo mało czasu. A zatem, poświęcając bardzo niewielką część swojego czasu, mógł uzyskać znaczną ilość jej gotówki. Była to jego najbardziej cyniczna decyzja, powzięta w desperacji, w obliczu braku perspektyw zagląającego mu w oczy tego dnia, gdy pani Cramm dostrzegła go w Phoenix. I zapewne odczuwałby coś na kształt wyrzutów sumienia, gdyby nie jedno: nie lubił Li vii Cramm.

Gdy Livia spotkała Trzepoczącego Orła, liczyła sobie czterdzieści pięć lat i mimo urody wyraźnie tkniętej zębem czasu, w dalszym ciągu emanował z niej wyraźny seksapil i magnetyzm. Teraz, gdy miała lat siedemdziesiąt, jej seksapil należał do przeszłości, a magnetyzm przeistoczył się w nieznośne, klaustrofobiczne przywarcie. Trzymała Trzepoczącego Orła z całych sił, jakby zamierzała go tak trzymać do chwili, w której umrze na niej jak nie oplakany przez nią Oscar Cramm lata temu. W miejscach publicznych ani na chwilę nie wypuszczała go ze swoich kościstych szponów, na osobności wciąż niemal leżała z głową na jego kolanach, ściskając swoje nogi tak mocno, że aż bieleły jej kłykcie; w łóżku wyciskała go z tak nieprawdopodobną siłą, że czuł się potem całkowicie wyczerpany. Gdy zauważyła, że rozmawia z jakąkolwiek kobietą, spadała tam jak grom z jasnego nieba, wykrzykując skrzekliwym tonem tak wulgarnie obelgi, że nieszczęśnica niezwłocznie brała nogi za pas. Wtedy przepraszała Trzepoczącego Orła, udając małą, nieśmiałą dziewczynkę (widok mogący wywołać torsje), i mówiła:

- Przepraszam cię, najdroższy, chyba nie zepsułam ci zabawy, co?
Od pani Cramm nie było ucieczki.

Deggle pojawił się na scenie stosunkowo niedawno: przed jakimiś osiemnastoma miesiącami. Sprawił, że życie Trzepoczącego Orła stało się jeszcze mniej znośne, ponieważ przestał pomagać Livii w podejmowaniu decyzji dotyczących jej trywialnego, nieustannie gasnącego żywota. Stał się jedynie symbolem jej siły przyciągania, wcieleniem męskiej piękności, a myślenie nie wchodziło w zakres jego obowiązków. Był jej schronieniem przed samotnymi powiewami starości.

- Mój Orzeł nigdy się nie starzeje - mawiała z dumą. - Spójrzcie tylko na niego: ma pięćdziesiąt jeden lat (Trzepoczący Orzeł skłamał na temat swojego wieku podczas pierwszego spotkania), a wygląda najwyżej na trzydzieści. Zdrowe różnice czyni cuda.

Co uprzejmiejsi z jej znajomych odpowiadali:

- Nie tylko on, Livio. Ty też jesteś niezwykła. - O to właśnie chodziło. Niestety, takich znajomych było coraz mniej i mniej.

Jedynym dozwolonym towarzystwem dla Trzepoczącego Orła był, oczywiście, Nicholas Deggle. A czuł się tak odizolowany i stłamszony przez wszechogarniającą panią Cramm, że niejednokrotnie wykorzystywał to towarzystwo. Próbował sobie powiedzieć, że traktuje Deggle'a jak dziwkę do towarzystwa, tak samo jak on był dziwką do łóżka, jednakże Deggle brał górę w tych rozmowach zbyt często, by je wszystkie opisywać.

Deggle rozłożył się na obitej brokatem sofie.

- Ta kwestia nie ulega wątpliwości - powiedział, przeciągając zgłoski. - Livia Cramm jest potworem.

Trzepoczący Orzeł milczał.

- La Femme-Crammpon - powiedział Deggle, zanosząc się cienkim, piskliwym śmiechem.

- Co?
- Mój drogi Orle, właśnie to sobie uświadomiłem. Czy zdajesz sobie sprawę, w czyje wpadłeś szpony? - Zaśmiewał się do łez z tego niezrozumiałego dowcipu.
Trzepoczący Orzeł udał, że nie wie, o co chodzi.
- Mów dalej. Powiedz, kim ona jest.
- Ależ mój drogi, *c'est la Femme-Crampon!* Kobieta pijawka. Albo, jak może być to ujął, Stara Kobieta z Morza! Starucha we własnej osobie! - Aż trzymał się za boki ze śmiechu. - (Siedziałem w milczeniu, ze zbiełą twarzą. Czasami Deggle naprawdę mnie przerażał.) - To wszystko prawda - wykrztusił przez nieopanowany śmiech. - Jest dostatecznie stara. I dostatecznie brzydka. Żyje, podróżując po morzach. Wyłapuje błąkających się młodzieńców, takich jak ty, choć nie jesteś taki młody, na jakiego wyglądasz. A teraz schwytała cię w swoje szpony i będzie cię wyciskać, miażdżyć i dusić, aż wydasz ostatnie tchnienie. Livia Cramm, postrach wędrowców! Popatrz, nauczyła cię nawet kochać morze, by tym łatwiej było jej tobą rządzić! Biedny żeglarz, biedny urodziwy marynarzyk! Jesteś żywym trupem ze Starą Kobieta z Morza siedzącą ci na grzbiecie, z nogami zaciśniętymi jak węzeł, który tym bardziej dusi, im bardziej z nim walczysz, węzeł zaciskający się wokół twojej, Nawet nie chciało mi się protestować, a on przestał się wreszcie śmiać i otarł łzy.

A oto inna rozmowa z Nicholasem Deggle'em.
- Myślałeś kiedyś o starym Oscarze Crammie?
- Szczerze mówiąc, nie - odparł Trzepoczący Orzeł: miał mnóstwo innych tematów do myślenia.
- Nie miał szans z tym starym ludojadem - powiedział Deggle. - Podobno skonał w czasie stosunku. Ciekaw jestem, czy na szyi miał ślady zębów.
- Chcesz powiedzieć...? - zaczął Trzepoczący Orzeł.
- Zapewne tak. - Deggle uśmiechnął się. - Wiesz, on wcale nie był taki stary. A teraz, gdyby Livia pomyślała sobie,

że nieco się starzejesz, może zachciałoby się jej jakiejś odmiany.

- Nie masz absolutnie żadnych podstaw... - zaczął Trzepoczący Orzeł, lecz Deggle znów mu przerwał. Zdumiewające, jak niewiele zdań Trzepoczący Orzeł kończył podczas rozmów z tym ciemnym, śmiejącym się mężczyzną.

- Chcę jedynie powiedzieć - rzekł Deggle - że z przyczyn trudnych do zrozumienia czuję się jakoś z tobą związany i nie chciałbym, żeby spotkała cię jakakolwiek krzywda, piękniśiu.

Po tej rozmowie Trzepoczący Orzeł zaczął baczniej obserwować panią Cramm. Gdy oplatała go nogami bądź ścisnęła ramionami, przypominały mu się okoliczności zejścia pana Cramma i robił się nerwowy. Nie raz, nie dwa wpływało to - rzecz jasna ujemnie - na wykonywane przezeń seksualne obowiązki, przy czym zauważył, że Livia Cramm marszczy się w zamyśleniu, odyma wargi i zapewnia go, że nic się nie stało. W końcu popijała wodę z dużego dzbanka, który zawsze stał przy jej łóżku, układała się wśród mnóstwa poduszek i zasypiała.

Pewnej nocy Trzepoczący Orzeł miał przedziwny sen. Osłabłe ręce Livii Cramm zacisnęły się jak imadła na jego gardle, a jej kciuki dusiły go coraz bardziej i bardziej. W swoim śnie spał i po obudzeniu przekonał się, że uszło zeń życie. Zaczął więc walczyć z całych sił, by je odzyskać, i walcząc, zmieniał się w przeróżne mokre, cuchnące, bezkształtne i śliskie przedmioty. Nie potrafił jednak jej złapać, a jej uścisk robił się coraz silniejszy. Zanim zemdlał, wydusił z siebie te słowa:

- Jesteś stara, Livio. Stara jędza. Nigdy nie znajdziesz sobie innego.

Nagle (niczego teraz nie widział, w jego oczach panował mrok) uchwyt zelżał. Usłyszał głos Livii:

- Tak, mój orle, mój szybujący ptaku. Tak.

Gdy się obudził, znalazł Livię Cramm martwą i sztywną, z rękami zaciśniętymi kurczowo wokół jej własnej szyi. DzbANEK z wodą był przewrócony, a potężny zapas tabletek - wyraźnie uszczuplony.

Dopiero nieco później tego ranka Trzepoczący Orzeł zorientował się, że gdzieś zniknęła jego bezcenna buteleczka z błękitnym, wyzwalającym eliksirem. Poszedł porozmawiać z Deggle'em, który jak zwykle polegiwał na obitej brokatem sofie w salonie, jak zwykle ubrany w swój ciemny strój.

- Livia nie wyglądała na kogoś, kto mógłby popełnić samobójstwo - powiedział.

- A na kogo, głuptasie? - odparł Deggle. - Była stara.

- Oczywiście nic ci nie wiadomo o zniknięciu żadnej buteleczki, prawda? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Jesteś przemęczony - stwierdził Deggle. - Wiesz, lubię cię. Zdaje mi się, mój chłopcze, że powinieneś się oderwać od tego wszystkiego. Weź jacht i popłyn przed siebie, cha, cha, cha, w błękit.

Co można powiedzieć człowiekowi, który być może jest mordercą i któremu być może zawdzięcza się życie?

- Jesteś w niewiarygodnej formie. - Deggle uśmiechnął się. - Na pewno masz jakiegoś anioła stróża.

Trzepoczący Orzeł pomyślał: Albo diabła.

W testamencie dostałem pieniądze, a Deggle - jacht. Werdykt brzmiał: samobójstwo.

Ponieważ Deggle nie chciał jachtu, a ja wręcz rozpaczliwie pragnąłem uciec, przyjąłem jego propozycję i wyruszyłem na morze, po raz pierwszy od ćwierć wieku, ku nieznanym portom.

SZEŚĆ

Był lampartem, który zmienił cętki, był kotkiem, który pokazał pazury. Był lotnymi piaskami i wzbierającym przyptywem. Był kapryśny jak niebo, powtarzający się jak pory roku, bezimienny jak szkło. Był Kameleonem, odmieńcem, wszystkim dla wszystkich i nikim dla każdego. Stał się swymi wrogami i zjadł swoich przyjaciół. Był wszystkim i nikim.

Był orłem, królem ptaków; a także był albatrosem. Gdy ona otoczyła kurczowo ramieniem jego szyję i umarła, żeglarz został

Przeżył, gdyż nie miał wyjścia, i tak oto żeglował do coraz to nowych brzegów, zarabiając na życie, zapelniając puste godziny próżnych dni bezkresnych lat. Zadolenie bez treści, spełnienie bez celu, takie oto pochłaniały go paradoksy.

Widział rzeczy, których większość ludzi nie ma okazji ujrzeć przez całe życie. Na przykład:

Plażę, gdzie nagą dziewczynę wbijano na pal, a ogromne mrówki wspinały się po jej udach, powoli dążąc do celu; słyszał jej krzyki, lecz płynął dalej.

Człowieka ćwiczącego głosy na szczycie skały: wysokie, jęklive głosy, niskie, zgrzytliwe głosy, delikatne, insynuujące głosy, ochryple, ostre głosy, głosy olukrowane bólem, głosy skrzące się śmiechem, głosy ptaków i ryb. Zapytał tego człowieka, co robi (nie zatrzymując się w podróży). Mężczyzna odkrzyknął - a każde słowo było słowem innej istoty: Szukam odpowiedniego głosu, w którym mógłbym przemawiać. A gdy mówił, przechylił się, stracił równowagę i runął w dół. Krzyk, jaki wydobył się z jego piersi, był jednym głosem; ale skały na dole rozcięły go i na nowo poszatkowały.

Drżącego żebraka, wycieńczonego głodem, który siedział na tratwie, i rybę, która wskoczyła do trzymanej przez niego miski i umarła dla niego.

Kochające się wieloryby.

I wiele innych rzeczy; lecz nigdzie pośród bezkresu fal, mimo całej pociechy wód, mimo wszystkich cudów kryjących się za płynnym, wygiętym w łuk horyzontem, nie dostrzegł, nie wywęszył ani nie wyczuł własnej śmierci.

Śmierć: niebieski płyn, błękitny jak morskie fale, znikł w gardzieli potwora. Pozostawało tylko żyć dalej. A zatem żył, odarty ze swej przeszłości, porzuciwszy język swoich przodków dla języków używanych na wszystkich archipelagach świata, porzuciwszy zwyczaje przodków dla obyczajów miejsc, do których przywiały go wiatry, porzuciwszy nadzieję pokładaną w pewnych ideałach w obliczu niestałych i sprzecznych ideałów, na które napotykał, żył, robiąc to, co dano mu do roboty, myśląc tak, jak pouczono go myśleć, będąc tym, kim spodziewano się, że będzie, mając nadzieję jedynie na to, co było dozwolone, a czynił to z taką naturalną zręcznością, że ludzie, z którymi się stykał, uważali, iż taki jest z natury, i lubili go za to. Kochał wiele kobiet - gdyż z łatwością dostosowywał się do potrzeb każdej kobiety.

Kilkakrotnie zmieniał imię. Miał taką twarz i taką skórę, że w wielu miejscach mógł uchodzić za autochtona; i za takiego uchodził, wykorzystując teraz to, co było jego przekleństwem. Musiał zmieniać imię, gdyż w przeciwnym razie ktoś mógłby się domyślić, że jest nieśmiertelny. To właśnie nieśmiertelność zmuszała go do ciągłej wędrówki: wciąż szukał miejsc, gdzie był nieznan lub zapomniany.

W służbie tyrana wycinał w pień buntowników; w kraju wolnym potępiał tyranię.

Wśród mięsożerców wychwalał zalety mięsa, zapewniał, że daje siłę; wśród wegetarian mówił o duchowej czystości, jaką przynosi powstrzymanie się od pokarmów mięsnych; wśród ludożerców pożerał swego towarzysza.

Choć z natury łagodny, pracował przez pewien czas jako kat, doskonaląc umiejętność postugiwania się toporem

i nożem. Choć uważał się za uczciwego człowieka, zdradził wiele kobiet. Niewielu z nich udało się go porzucić: zazwyczaj to on odchodził pierwszy.

Po jakimś czasie zorientował się, że niczego się nie nauczył. Te wszystkie doświadczenia, to mnóstwo ludzi i niezliczone zbrodnie pozostawiły w nim pustkę, grymas bez twarzy. Zamienił się w skinienie zgody, ukłon przyzwolenia.

Jego ciało utrzymywało się w idealnym stanie; jego umysł nie stępsiał ani na jotę. Codziennie na nowo przeżywał ten sam fizjologiczny dzień. Jego ciało: imperium bez słońca, które mogłoby zająć.

Pewnego dnia, płynąc gdzieś w pustce, powiedział głośno: - Chcę się zestarzeć. Nie umrzeć: zestarzeć się. Rozległo się szydercze skrzeczenie mewy.

Trzepoczący Orzeł zaczął szukać Sispy'ego i Ptako-Psa tak metodycznie, jak tylko potrafił. Popłynął z powrotem do Amerindii i wyruszył lądem do Axony i Phoenix, gdzie wszystko się zaczęło. Jednak ten szlak wiódł donikąd. Najwyraźniej Sispy i Ptako-Pies nigdzie nie pojechali. Oni po prostu zniknęli.

- Sispy? - mówili ludzie w Phoenix. - To chyba nazwisko jakiegoś cudzoziemskiego zbączyńca.

Wtedy Trzepoczący Orzeł przestał udawać, że stosuje jakąkolwiek metodę. Żeglował więc dalej przez morza, kanały, rzeki, jeziora, oceany, tam, dokąd zaniósł go jacht, i pytał w każdej przystani, czy ktoś zna tego handlarza lub jego siostrę.

Wiedział, że to zadanie jest prawie beznadziejne: mogli być absolutnie wszędzie; mogli używać zupełnie innych imion; mogli byli utonąć lub ponieść jakąś inną, gwałtowną śmierć; mogli byli już dawno się rozstać.

Poszukiwań nie zaniechał z dwóch powodów: po pierw-

sze, zdawał sobie sprawę, że tylko Sispy może wiedzieć, czy jest jakaś szansa na to, żeby - skoro w wypadku Trzepoczącego Orła śmierć nie wchodzi w grę - chociaż sprawić, by jego ciało znów stało się normalnym, kruchym ciałem i mogło się zestarzeć. Po drugie, pamiętał wiadomość, którą Sispy przekazał mu przez Ptako-Psa po ich pierwszym spotkaniu: „Powiedz twojemu bratu, Urodzonemu z Umarłej, że wszystkie orły wracają na koniec do swoich gniazd, a wszyscy żeglarze wracają na koniec na ląd”.

Sispy wypowiedział te słowa, na długo nim Joe-Sue stał się Trzepoczącym Orłem; gdy jeszcze nie miał najmniejszego pojęcia, że kiedyś wyruszy na morze. Prawdopodobnie, pomyślał Trzepoczący Orzeł, Sispy przewidział część mojej przyszłości.

Nie można było tego uznać za wielki powód do optymizmu, lecz było to już coś.

Przypomniało mu się jeszcze jedno zdanie Sispy'ego: „Dla tych, którzy nie użyją niebieskiej, jest tylko jedno znane mi miejsce”.

Trzepoczący Orzeł powtórzył sobie twardo kilka razy: jest takie miejsce; jego znalezienie jest tylko kwestią czasu; gdy je znajdziesz, będziesz wiedział, że to właśnie ono, gdyż będą je zamieszkiwali podobni do ciebie. Młodzi czy starzy, nie zdołają ukryć przede mną swoich oczu. Oczu takich jak moje, które widziały wszystko, a nie wiedzą nic. Oczu tych, którzy przetrwali.

Lecz lata mijały. Rok za rokiem, rok za rokiem.

Trzepoczący Orzeł zaczął się zastanawiać, czy jest normalny. Może nigdy nie było żadnego Sispy'ego, żadnej Ptako-Psa, Szamana ani Phoenix; może nawet nie było Livii Cramm i Deggle'a. Tak. Szaleństwo wyjaśnia wszystko. Był obłąkany.

Gdy więc jego jacht zacumował w porcie macierzystym, porcie X na mauretańskim wybrzeżu Morispanii, Trzepoczący Orzeł oczy miał puste i zamglone.

Myślał o samobójstwie.

SIEDEM

Nicholas Deggle siedział na portowym pachołku, wysoki i czarny, a na ustach igrał mu niezwykle niegodziwy uśmiezek.

- Mam nadzieję, że miło ci się pływało, pięknotku - odezwał się. - Wiatr w porządku? Nie za silny? Nie za słaby? Niestety, nie jest to moja specjalność.

Trzepoczący Orzeł powoli uniósł głowę. Teraz wiedział, że jest obłąkany.

- Deggle - powiedział.

- Tenże sam. Żaden inny. Nie zgadzaj się na żadne substytuty - rzekł Deggle. - Tylko jedno słówko do muszli twego ucha: już nie używam tego nazwiska. Jak wiesz, czas przemija, a nazwiska razem z nim.

- Tak - odparł oszołomiony Trzepoczący Orzeł.

- Prawdę mówiąc, nazywam się Lokki. Wielki Lokki, do usług. Porażające Parady Prestidigitatorskie Przekonująco Pokazane. Mój drogi, na co ludziom przychodzi w trudnych czasach. Mus to mus. Stałem się własnym potomkiem albo, prawdę mówiąc, własnym przodkiem, w zależności od historycznej perspektywy. Problemy natury prawnej były niewyobrażalne. W każdym razie byłem na tyle przezorny, że zachowałem dla siebie moją łódź, więc dziękuję za zv- Nie ma za co - wymamrotał Trzepoczący Orzeł.

- Lokki - powiedział Deggle, wyraźnie wymawiając „L”. - Nie uważasz, że to dobre imię? Pobrmiewają w nim echa staronordyckie i różne inne, przez co cała działalność staje się jakby szacowniejsza pod względem artystycznym. Szkoda, że Livia tak skończyła, prawda? Twoja decyzja o odejściu była nad wyraz słuszna. Na pewno był to dla

ciebie ogromny wstrząs, tyle pieniędzy i cała reszta. Teraz jesteś już w lepszym stanie, prawda?

Te oczy.

Oczy Deggle'a: oczy tego, który przeżył, a w oczach błysk bezwielkości.

- Deggle, gdybyś mógł...

Deggle nadal przerywał po mistrzowsku. Zamachał upierścienioną ręką.

- Bardzo cię proszę, mój drogi. Przecież mówiłem. Nazywaj mnie Lokki. Ktoś jeszcze może usłyszeć.

- Lokki. Skoro jesteś tutaj po tak długim czasie, to na pewno wiesz o Sispym. Deggle uniósł głowę i spojrzął ze zdziwieniem.

- Sisy - powiedział w zadumie. - Sisy. Cóż to takiego jest, stary orle? Jakaś zupa? Nazwa brzmi bardzo znajomo.

- Przecież wiesz bardzo dobrze. Sisy. Handlarz Sisy. Z buteleczkami, Lokki. Niebieska buteleczka. Przecież pamiętasz Livię.

Trzepoczący Orzeł starał się, by w jego głosie zabrzmiała groźba, lecz Deggle wybuchnął śmiechem.

- Mmm - powiedział. - Oczywiście, Livia. Rozumiem, że masz na myśli panią Livię Cramm, wdowę po Oscarze Crammie, królu pinezek. Zmarła już bardzo dawno temu. Na długo przed moim urodzeniem. Gdyby żył jeszcze mój czcigodny przodek, Nicholas Deggle, z pewnością by wiedział, o co ci chodzi.

Po czym uraczył go uroczym uśmiechem. Zupełnie jak Deggle, przypomniał sobie Trzepoczący Orzeł.

- No dobrze - powiedział. - Może się czegoś napijesz?

Wielki Lokki mieszkał w wozie taborowym tuż za granicami X. Między dyszlami zalegał koń, a między prześcieradłami zalegała asystentka magika, osóbką wyjątkowej urody i niespotykanej głupoty.

- Lotti - przedstawił ją Deggle. Wyglądał na zakłopotanego. - No wiesz, Lokki i Lotti.

Trzepoczący Orzeł czuł, że wzbiera w nim frustracja, frustracja długich stuleci.

- Deggle - powiedział, nie zważając na jego bolesny protest - chyba najwyższy czas, żebyś przestał robić ze mnie idiotę.

- Ależ mój drogi - odparł Deggle, a w jego oczach nie było już błysku. - To takie proste.

Trzepoczący Orzeł z trudem powstrzymywał się przed użyciem przemocy, gdy niespodziewanie Deggle powiedział:

- Spieprzaj, Lotti.

Jego język najwyraźniej się spauperyzował, podobnie jak spauperyzowało się jego życie. Zatem Livia Cramm musiała żyć bardzo dawno temu. Lotti spieprzyła, aby pogawędzić sobie z koniem, co pozwoliło zwierzęciu doświadczyć uczucia intelektualnej wyższości nad przynajmniej jedną istotą ludzką.

Deggle powiedział:

- Myślę, że jesteś gotów na Wyspę Cielęcą.

Trzepoczący Orzeł niezupełnie rozumiał słowa Deggle'a i nie całkiem dawał im wiarę, gdy ten mówił o „zbudowaniu bramy” do wyspy. Wynikało z nich, że próbowano tego dokonać od stuleci, a przedsięwzięcie to nawet teraz nie było całkiem bezpieczne. Lecz mimo chaosu panującego w jego głowie, Trzepoczący Orzeł czuł, że nic sobie z tego nie robi. Z pewnością była to owa przystań, o której mówił Sisy, z pewnością więc było to przeznaczone mu miejsce.

Pani Cramm powiedziała kiedyś, że jego przeznaczeniem jest być kierowanym przez innych; coraz bardziej wzbierało w nim coś na kształt nienawiści do Sisy'ego, że kiedyś, dawno temu, jednym niedbałym ruchem skazał go na tak pokręcone życie. Uświadomił sobie, że nie tylko pragnie się uwolnić od kajdan nieśmiertelności, lecz potrzebuje też zadośćuczynienia.

Następnego dnia rano udał się samotnie na spacer po wzgórzach wznoszących się nad X. Żegnał się ze światem,

gdyż - jeśli Deggle choć w połowie nie kłamał - było bardzo prawdopodobne, że już nigdy go nie zobaczy.

Po południu zszedł do portu i przygotował jacht do wyjścia w morze. Deggle ciągle powtarzał, że to niepotrzebne.

Wieczorem Deggle i Lotti przyszli się z nim pożegnać.

- Wieczór to najlepsza pora, by spróbować się tam przedostać - stwierdził Deggle. Pomachał mu wraz z Lotti.

- Deggle - powiedział Trzepoczący Orzeł, odbiwszy od nabrzeża - chciałbym wiedzieć, czym się kierujesz.

- No cóż. - Magik wzruszył ramionami, uśmiechając się niegodziwie. - Może po prostu nie przepadam za twoim przyjacielem Sispym. A może przepadam.

- Żegnaj - pisnęła Lotti.

- Etiopia - powiedział Deggle.

Trzepoczący Orzeł już nie wiedział, czy jest niespełna rozumu, że tak bezkrytycznie przyjął opowieść Deggle'a i pomimo ostrzeżeń o fizycznym niebezpieczeństwie tak ochoczo chciał wykonać wszystkie jego polecenia, traktując je jako pretekst do rozstania się z życiem. Powiedział sobie, że nic innego mu w tej sytuacji nie pozostaje.

- Idą tam z wyboru - wyjaśnił kiedyś Deggle. - Ponieważ wybierają nieśmiertelność. Ty jednak pragniesz czegoś innego: starości. Fizycznego rozkładu. I, przypuszczalnie, śmierci. Narobisz zamieszania jak lis w kurniku, pięknotku. Nie wspominając już o prDeggle długo się potem śmiał.

Morze Śródziemne było spokojne, mroczne i spokojne. Żadnego wiatru. Czyste niebo. Gwiazdy. Trzepoczący Orzeł zapadł w krótką drzemkę. Gdy się ocknął, w twarz uderzył mu podmuch wichury, nad jego głową pędziła chmura, a w powietrzu rozległ się trzask pioruna. Trzepoczący Orzeł stał wyprostowany, z całych sił starając się ocalić swoją łódź przed niszczącą siłą żywiołu, gdy nagle, z zupełnie niepojętych przyczyn, zakręciło mu się w głowie i spadł z jachtu, z jachtu Deggle'a, wprost w rozwścieczone odmęty. Ostatnim dźwiękiem, który usłyszał, był głośny łomot... jakby łopot potężnych skrzydeł.

Kilka sekund później przeleciał przez dziurę w Morzu Śródziemnym do tego Morza niezupełnie-Sródziemnego i fale uniosły go o świcie ku zamglonej plaży, gdzie pan Virgil Jones bujał się na swoim fotelu.

Gdy Trzepoczący Orzeł przybył na Wyspę Cielecą, jego ciało liczyło sobie trzydzieści cztery lata, trzy miesiące i cztery dni. Przedtem żył w sumie siedemset siedemdziesiąt siedem lat, siedem miesięcy i siedem dni. Gdy szybko policzymy, okaże się, że jego proces starzenia zatrzymał się przed siedmiuset czterdziestoma trzema laty, czterema miesiącami i trzema dniami.

Był znużony.

OSIEM

Myślę, że w chwili takiej jak ta prezentacja byłaby jak najbardziej na miejscu - powiedział Virgil Jones. - Miałby pan ochotę na czarękę wspaniałej parującej herbatki korzennej pani O'Toole? Właśnie na nią pora. Nikt nigdy nie powie, że w Maison O'Toole nie przestrzega się dobrych obyczajów.

- Mam na sobie sukienkę - stwierdził z zaskoczeniem Trzepoczący Orzeł.

- Bezsprzecznie - odparł Virgil Jones. - Pan pozwoli, że wyjaśnię. Zawsze należy poszukać racjonalnego wytłumaczenia, jak mówią, a raczej - chciałem powiedzieć - jak mówiono.

- Bardzo proszę - powiedział Trzepoczący Orzeł, czując pulsujący ból w głowie.

- A tak - rzekł pan Virgil Jones. - Pańska głowa. Spodziewam się, że odczuwa pan ból, na co, rzecz jasna, jest wytłumaczenie. Podtopione głowy protestują po swojemu, nawet cierpią na ból brzucha, choć oczywiście nie rozmawiamy o pańskim brzuchu. Proszę przyjąć ode mnie, sir, wyrazy najgłębszego współczucia oraz wspomnianą herbatkę korzenną. Pani O'Toole zaklina się, że herbatka z maranty jest dobra na wszystko. Frunie prosto do źródeł dolegliwości i rach-ciach! człowiek jest uleczony.

- Skąd ta sukienka? - odezwał się Trzepoczący Orzeł, podnosząc się z pozycji leżącej, aż złożył się jak scyzoryk, z nogami na macie z sitowia, a torsem i głową zwróconymi pytająco w stronę pokoju, wspierając się na gumowato miękkim ramieniu.

- Powoli, powoli - powiedział pan Jones. - Na pańskim miejscu nie ryzykowałbym jeszcze wertykalizacji. Pozycja

horyzontalna znacznie bardziej sprzyja rekonwalescencji. Niejednokrotnie zastanawiałem się, czy owe tragiczne przypadki pogrzebana żywcem nie są związane właśnie z tym, że pozycja horyzontalna pozwala pogrzebanym dojść do siebie, rozumie pan? Niewykluczone, że powinno się chować ludzi na stojąco, lecz proszę wybaczyć tę krótką ekskursję na teren nekrologii. To tylko taki żart - nie zamierzałem epatować pana różnymi niezdrowymi szczegółami i mam nadzieję, że nie ma mi pan tego za złe.

- Co z sukienką? - nie ustępował Trzepoczący Orzeł.

- Och, najmocniej przepraszam, jeśli wyszło na to, że unikałem tematu - sumitował się Virgil Jones. - Daleki jestem od tego, sir, naprawdę daleki. Z niekłamaną przyjemnością udzielię panu wyjaśnień w kwestii sukienki. Chodzi o to, że liczba moich interlokutorów była ostatnimi czasy dość szczupła, stąd pokusa okazała się niemal nieodparta. Sprawa sukienki to błahostka. Gdy został pan wyłowiony z morza, odzienie pańskie było lekko zawilgocone, by nie powiedzieć wilgotne, by nie powiedzieć absolutnie przemoczone. Ponadto zaś chodzi o to, że moja osobista garderoba jest raczej ograniczona; tak więc uznaliśmy, że najlepiej będzie... jeśli mnie pan rozumie... wykorzystać element garderoby pani O'Toole. Jeśli to jest przyczyna pańskiego zakłopotania, proszę przyjąć nasze najszczerze przeprosiny; zarazem pragniemy pana zapewnić, że przestrzegaliśmy zasad przyzwoitości i pani O'Toole opuściła pokój na czas

- Z pewnością tak było - powiedział Trzepoczący Orzeł, starając się uspokoić podnieconego i nader elokwentnego mężczyznę, a przypomniawszy sobie o dobrych manierach, ciągnął: - Jestem panu winien podziękowanie, sir, za uratowanie mi życia. Nazywam się Trzepoczący Orzeł.

- Virgil Beauvoir Chanakya Jones, do usług - rzekł pan Jones, próbując się ukłonić w pas, co z uwagi na nadmiar tłuszczu w środkowej części ciała było dość trudne. - Pani O'Toole będzie tu niebawem. Wróciła na plażę, by zabrać mój fotel bujany. Nie mogła go przynieść, gdyż dźwigała na plecach pana.

Trzepoczącemu Orłu najwidoczniej nie udało się ukryć zdziwienia, gdyż pan Jones dodał pośpiesznie:

- Jak pan zapewne zauważył, znajduję się w pozycji siedzącej. Gdybym wstał, przekonałby się pan, dlaczego sam nie mogę nosić tego fotela. Rozumie pan, chodzi o mój pasek. Służy do noszenia bagażu, a tragizm sytuacji polega na tym, że moje spodnie przestają wówczas spełniać przypisaną im funkcję.

Wyjaśnienie nie brzmiało zbyt przekonująco, lecz Trzepoczącego Orła nic to nie obchodziło.

- W istocie - odparł, zauważając nie po raz pierwszy, że ma skłonność do naśladowania stylu wysławiania się swych rozmówców.

Głowa przypomniawszy mu o sobie i położył się na macie.

- Chyba wypiłbym tę herbatkę korzenną - powiedział.

Pan Jones wstał z wysiłkiem, podtrzymując spodnie. Mrużąc oczy, ruszył przez pokój ku palenisku, gdzie nad żarzącymi się węglami wisiał mały garnek.

- Dzięki temu wolniej stygnie - wyjaśnił, po czym dodał: - Potępienie. - Właśnie przewrócił niewielki, rozchwiany stolik, rozsypując dokoła elementy dużej układanki. - Porubstwo - po raz kolejny zaklął pan Jones. - Był to czarny dzień dla ludzkości, gdy stłukły się moje okulary. Proszę wybaczyć wulgarną mowę, panie Orle; cielesne niedoskonałości stanowią przyczynę nieprzerwanych cierpień, nieprawdaż?

- Zatem zajmuje się pan układankami.

- Zajmuję się? Ja je tworzę. To jedyne, co pośród tej samotności stanowi podniecie do jakiegokolwiek działania. Spodziewam się, że pewnego dnia wreszcie będę w tym dobry. Chwilowo moje zdolności konstrukcyjne znacznie przewyższają mój talent do rekonstrukcji. A krótkowzroczność bynajmniej mi w tym nie pomaga. Och, cóż bym dał za dobrego optyka!

Nalał do czarki herbaty korzennej i przyniósł ją, omal nie przewracając się na rozsypanej układance. Ponownie usiadł obok Trzepoczącego Orła.

Jakie to niezwykle, pomyślał Trzepoczący Orzeł, że z tak ubogiego otoczenia może emanować atmosfera takiego komfortu i ciepła. Pomieszczenie, w którym leżał, przypominało wnętrze jakiejś nory. Na idealnie wymiecionym klepisku leżały dwie nieco oddalone od siebie słomiane maty, z których jedna dźwigała obecnie jego osłabłe ciało. Miotła, kilka wiązek patyków, spoczywała oparta leniwie o ścianę. Ściany zbudowane były z drewnianych kłód uszczelnionych błotem, podobnie zresztą jak dach. Potem palenisko i niski, przewrócony stolik. Kilka garnków. W dalekim kącie jakaś stara skrzynia. Puste ściany, nigdzie żadnych ozdób. Całość miała tyle wspólnego z bogatą rezydencją, co - dajmy na to - Livia Cramm z Chinami. A mimo to wszystko sprawiało przyjemne wrażenie.

Żadnych dźwięków, tylko świergot ptaków. Szelest w gęstych krzewach. Od czasu do czasu wycie dzikiego psa. Niczyich kroków ani zgromadzeń ludności. Jedno okno, osłonięte skrawkiem grubego płótna łopoczącego na wietrze; jeden otwór drzwiowy, osłonięty w ten sam sposób. Było to mieszkanie dzikusa albo rozbitka. Pasowało do Virgila Jonesa jak wół do karety.

Ubrany w ciemny i wiekowy garnitur, gospodarz usiadł z godnością na podłodze. Na głowie miał melonik, a jego kamizelkę zdobiła złota dewizka (choć na jej końcu nie było złotego zegarka). Jakoś jednak, pomyślał Trzepoczący Orzeł, mimo nieprzyjemnego otoczenia, udało mu się zachować dostojeństwo. Swoiste, krótkowzroczne, niezdarne, elokwentne, oślinione dostojeństwo z przerośniętym językiem, zraniona duma tych, którzy popadli w nędzę. Przypominał Trzepoczącemu Orłu widzianą kiedyś starą lokomotywę, parowego giganta swoich czasów, który rdzewiał gdzieś na boczniczy. Forma stanowiła tu zaprzeczenie treści. Opuszczony wrak. Stara ciuchcia. Trzepoczący Orzeł dopił herbatkę korzenną, odstawił czarękę i natychmiast zapadł w kamienny sen.

- Bardzo dobrze - wymamrotał Virgil Jones. - Trzeba się wzmocnić.

A ptaki siedzące na drzewie przytaknęły mu zgodnym śpiewem.

Gdy się obudził, ujrzał wpatrzoną w siebie zupełnie inną twarz: pomarszczone małpio fałdy fizjonomii Dolores O'Toole. W pierwszej chwili poderwał się przerażony, lecz zaraz doszedł do siebie i zrozumiał, że to, co początkowo wziął za grymas nienawiści, było uśmiechem. Chyba po raz pierwszy dane mu było widzieć równie brzydką kobietę.

Zebrał się w sobie i spytał:

- Czy mogę zadać bardzo oczywiste pytanie? Gdzie jestem?
- Bardzo dobre pytanie - rzekł Virgil Jones.
- Wśród przyjaciół - uspokoiła go Dolores O'Toole, warcząc współczująco. Trzepoczący Orzeł nic nie rozumiał.

DZIEWIĘĆ

Znajduje się pan u stóp góry - powiedział Virgil Jones. - Jesteśmy na Wyspie Cielęcej, a ta góra to Góra Cielęca. Poza tą górą na wyspie nie ma w zasadzie niczego.

- Mieszkacie tu sami? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Tutaj tak. Tak, całkiem sami. By tak rzec - powiedział Virgil Jones. - Są tutaj, rzecz jasna, ptaki, kurczaki i kilka niegroźnych dzikich zwierząt.

- Chcecie przez to powiedzieć, że na całej wyspie nie ma żadnych innych ludzi?

- O nie - odparł Virgil Jones. - Tego nie mogę szczerze powiedzieć.

- Nie - potwierdziła nieszczerze Dolores O'Toole.

Trzepoczący Orzeł spostrzegł, że odpowiadają z pewnym ociąganiem.

- Gdzie więc oni są? - naciskał.

- Ach - powiedział Virgil.

- Bardzo daleko stąd - odpowiedziała Dolores. Trzepoczącego Orła bolała głowa; nie czuł się najlepiej.

Ledwo starczyło mu sił, by wydusić z tej małomówniej pary jakies informacje.

- Proszę - powiedział - zdradźcie mi gdzie.

Virgil Jones najwyraźniej podjął decyzję.

- Zbocza góry są w dużej mierze porośnięte lasem - odrzekł. -

Sądzę, że tam właśnie mieszka trochę ludzi, lecz ponieważ trzymamy się raczej na uboczu, trudno nam powiedzieć gdzie.

- I to wszystko? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- N... n... nie - przyznał Virgil.

- Są jeszcze inni. - Dolores wreszcie zmiękła.

- Więc powiecie mi coś na ich temat? - spytał Trzepoczą-

cy Orzeł, który miał wrażenie, że jego czaszka za chwilę rozprysnie się na miliony kawałeczków.

- Och, na pewno nie chce pan o nich niczego wiedzieć - zaczął z nadzieją pan Virgil Jones.

- Są zupełnie nieciekawi - zapewniła go Dolores. Trzepoczący Orzeł przymknął oczy. - Proszę - powtórzył.

- Prosi nas tak grzecznie - rzekła w rozpacz Dolores. Więc mu powiedzieli.

Od Dolores dowiedział się, że miasteczko Ch. zamieszkują rozpustne i podłe typy, ludzie samolubni i upadli, od których każda przyzwoita kobieta powinna się trzymać z daleka; lecz przecież Trzepoczący Orzeł nie był przyzwoitą kobietą. Od Virgila Jonesa dowiedział się tego, co chciał. To było właśnie to miejsce, o którym mówił Sisy. Wyspa nieśmiertelnych, którzy - choć długowieczność stała się dla nich zbyt wielkim brzemieniem - wcale nie kwapili się z nią rozstać. Postępując zgodnie z zaleceniami Sisy'ego, przybyli na Wyspę Cielecą, aby żyć pośród podobnych sobie.

- Czy mówi panu coś imię Ptako-Pies? - spytał.

- Ptako-Pies - powtórzył Virgil Jones (czy wyraz jego twarzy świadczył o zaniepokojeniu czy koncentracji?). - Ta dama jest pańską przyjaciółką?

- Moją siostrą - odparł Trzepoczący Orzeł.

- Nie, nic mi nie mówi - odparł Virgil Jones.

Dopiero później tego samego wieczoru Trzepoczący Orzeł zdał sobie sprawę, że usłyszał kłamstwo. Skąd pan Virgil Jones wiedział, że Ptako-Pies to imię żeńskie? A co ważniejsze: dlaczego zaprzeczał, że ją zna?

Następnego ranka wrócił do sprawy.

- Mój drogi panie Orle - powiedział Virgil Jones - jestem absolutnie przekonany, że powinien pan skupić całą swoją energię na odzyskaniu zdrowia. Ta niefortunna przygoda poważnie nadwątliła pańskie siły. Daję panu słowo, że gdy

pański stan nieco się poprawi, pani O'Toole z pewnością odpowie na wszystkie pańskie pytania. To bardzo złożona kwestia; byłbym znacznie szczęśliwszy, gdyby był pan w jak najlepszym stanie.

- Chcę tylko odpowiedzi na jedno pytanie - rzekł Trzepoczący Orzeł. - Czy moja siostra i pan Sispy są na tej wyspie? Mogę pana zapewnić, że odpowiedź, której oczekuję, nie nadszarpnie mojego zdrowia.

- No dobrze - odparł pan Jones. - Odpowiedź brzmi: tak, są tutaj. W pewnym sensie. A teraz nie powiem już nic więcej. Niech się pan kuruje, drogi panie Orle.

Trzepoczący Orzeł nie poruszał już tego tematu i wypił kolejną czarkę korzennej herbaty.

Dolores O'Toole pokuśtykała zebrać trochę owoców i jagód. Virgil usiadł przy posłaniu Trzepoczącego Orła. Nie skrywając zazdrości, obserwował, jak zręcznie rekonwalescent radzi sobie z układanką.

- Pańska zręczność mnie zdumiewa - powiedział z całą życzliwością, na jaką było go stać.

- Zwykły traf - zaprotestował Trzepoczący Orzeł. Szło mu doskonale.

- Ponieważ pański stan uległ wyraźnej poprawie, Dolores i ja bardzo byśmy chcieli dowiedzieć się wszystkiego o panu. Zapewne wiele pan przeżył w drodze tutaj. Wszelako zastanowiwszy się, doszliśmy do wniosku, że byłoby znacznie uprzejmiej, gdybyśmy najpierw opowiedzieli panu trochę o sobie, aby poczuł się pan nieco swobodniej. Rzecz jasna, jeśli chce się pan czegoś o nas dowiedzieć.

- Oczywiście - odrzekł Trzepoczący Orzeł, dopasowując trzy kolejne elementy.

Pan Jones zmarszczył brwi.

- Wydaje mi się, że ten powinien być u góry - powiedział, odrobinę zbyt szorstko.

Trzepoczący Orzeł sprawdził: nie pasował. - Ach, wiem! - zawołał. - On wchodzi tutaj! - Element doskonale pasował na samym dole.

- Wie pan, zawsze pragnąłem zostać archeologiem - po-

wiedział Virgil Jones, zmieniając temat. - Niestety, życie krzyżuje najambitniejsze ludzkie zamiary. Malarze, którzy chcą być artystami, zwykle kończą, malując ściany. Rzeźbiarze są zmuszeni projektować ubikacje. Pisarze zostają krytykami lub publicystami. Archeologowie zaś, jak ja, mogą zostać grabarzami.

-Był pan grabarzem? - spytał Trzepoczący Orzeł ze szczerym zdziwieniem w głosie. Choć całkiem to do pana Jonesa pasowało. Ze swym wiecznie ponurym wyrazem twarzy doskonale nadawał się do tego zawodu.

- Przez pewien czas - powiedział pan Jones. - Przez pewien czas. Lecz wydarzenia sprzysięły się, by sprowadzić mnie tutaj. Przyznać jednak muszę, że praca była wcale przyjemna; najbardziej lubiłem w niej to, że wszyscy, których przy niej spotykałem, byli szczęśliwi. Zwłoki wyglądały na względnie zadowolone, żałobnicy również. Widok tylu łez radości wylewanych bez żadnych zahamowań był dla mnie nieustającym źródłem pociechy.

- Co za cyniczne stwierdzenie - zauważył Trzepoczący Orzeł.

- Niestety, mój biedny Joriku - powiedział Virgil Jones: najwidoczniej resztki jego romantyzmu zostały wyjedzone przez

W ciszy, jaka nastąpiła po tych słowach, Trzepoczący Orzeł dopasował niemal wszystkie elementy - zostały mu tylko trzy.

- Grabarze nie mają zbyt wiele do roboty na Górze Cielęcej - odezwał się Virgil Jones. - Powróciłem zatem do mojej prawdziwej miłości: kontemplacji.

- A Dolores? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Ach, Dolores. To smutna opowieść. Kochać życie tak bardzo pod tak ogromnym ciężarem fizycznym... mam wrażenie, że ona żyje samotnie, a ściślej mówiąc, ze mną, ponieważ stwierdziła, że może kochać inne ludzkie istoty jedynie pod ich nieobecność.

- Ten ostatni element nie pasuje - powiedział Trzepoczący Orzeł.

Virgil Jones uśmiechnął się z zadowoleniem.

- To mój dowcip - odparł. - Tej układanki nie można skończyć.

DZIESIĘĆ

Gdy Virgil Jones i Dolores O'Toole przygotowywali wieczorny posiłek, Trzepoczący Orzeł dostrzegł, że na swój pokrzywiony sposób tworzą naprawdę doskonały zespół. Odnosiło się wrażenie, że Dolores, niska i pochylona, oraz Virgil, gruby, lecz wyprostowany, działają na różnych poziomach pokoju. Przez moment Trzepoczącemu Ortu zdawało się, że chodzą po różnych podłogach. Po chwili jednak wszystko wróciło do normy i Trzepoczący Orzeł uśmiechnął się. Mimo że byli niezwykle tajemniczy i nie chcieli rozmawiać o wyspie, nie dało się ich nie lubić. Zastanawiał się, czy ze sobą sypiają.

Tego dnia, wczesnym popołudniem, opowiedział im o sobie; słuchali go jak dzieci, w ciszy, skupieni, kiwając głowami i wstrzymując oddech. Pan Jones odezwał się tylko raz, gdy Trzepoczący Orzeł po raz pierwszy wspomniał o Nicholasie Deggle'u. Brwi powędrowały mu do góry, wbijając się w mięsiste czoło, i pc- Tak, tak.

Gdy Trzepoczący Orzeł skończył, przez chwilę siedzieli w pełnym szacunku milczeniu; wreszcie odezwał się pan Jones:

- Wielkie nieba, panie Orle, wygląda na to, że wiódł pan istic epicki żywot. Obawiam się jednak, że nasze opowieści nie mogą się równać z pańską. Widzi pan, my żyjemy zatopieni w mikrokosmosie. Dla mnie kondycja moich odcisków i kondycja narodów mają ten sam ciężar gatunkowy. W żadnym razie nie chciałbym teraz wygłaszać kazań, lecz radziłbym panu skupić się na najdrobniejszych szczegółach: są znacznie mniej skomplikowane.

- Muszę osiągnąć cel moich poszukiwań - powiedział Trzepoczący Orzeł.

- Szczerze mówiąc, obawiam się, że zarówno osiągnięcie wyznaczonego celu, jak i heroizm przestały mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie - rzekł ze skrucą w głosie Virgil Jones. - Człowiek swoim życiem i działaniami usiłuje wnieść nieco sensu do bezmyślnego wszechświata; tych, którzy próbują osiągnąć coś więcej, wysysa on jak wir.

Trzepoczący Orzeł pomyślał: Bardzo im zależy, bym odstąpił od moich zamiarów. Wydało mu się jednak, że w głosie Virgila Jonesa usłyszał jakąś dodatkową nutę: nutę niepewności. Być może nie do końca wierzył w to, co mówi. Pomyślał również, że z tych dwojga Dolores O'Toole jest znacznie bardziej spięta. Gdy zaczął mówić, że chce kontynuować poszukiwania, rzuciła mu spojrzenie, które nie było zbyt przyjazne.

- Mam dla pana dobrą radę, panie Orle: niech się pan skoncentruje na tu i teraz - zakończył Virgil Jones. - Nie ma sensu troszczyć się o to, co jest tam. Ani o przeszłość. Ani o przyszłość. Niech się pan zatroszczy o swoją kolację i swoje odciski. Na to może mieć pan wpływ.

- Obiecała pani, że odpowie na moje pytania, gdy mój stan się poprawi - powiedział Trzepoczący Orzeł. - Czuję się już dobrze.

- Jutro rano - odparła pośpiesznie Dolores. - Najpierw niech się pan dobrze wyśpi.

- Jest tylko tu i teraz - powiedział Trzepoczący Orzeł.

- Jutro - powtórzyła błagalnie Dolores O'Toole.

Trzepoczący Orzeł westchnął.

- Żyję dzięki waszej dobroci - odparł - jestem więc, rzecz jasna, zdany na waszą łaskę. Jutro całkiem mnie za dowala.

Virgil Jones odezwał się z wymuszoną serdecznością:

- Uczcijmy zatem pańskie wyzdrowienie - powiedział. - Może nawet zarżniemy dziś wieczór kurczaka. Szczerze mówiąc, panie Orle, jako że obieranie warzyw i cała reszta spada na barki pani O'Toole i moje, to może pan łaskawie by się tym zajął?

Trzepoczący Orzeł nie mógł w zasadzie odmówić; przyjął zatem wężony mu nóż i wyszedł na podwórze. Uświa-

domił sobie naraz, że jest to jego pierwszy wypad na Wyspę Cielęcą.

Gdy znalazł się za drzwiami, Dolores wstała z wahaniem i podeszła do pana Jonesa.

- Ale chyba ty... nie pójdziesz z nim? - Z oczu wyzierał jej strach.

Virgil Jones wziął ją w milczeniu za rękę. Gwałtownie ścisnęła jego dłoń. Dla obojga była to nieodwracalna deklaracja, wyciągnięta na siłę z wiecznego ukrycia.

- Nie zniosłabym utraty ciebie - powiedziała.

Trzepoczący Orzeł zadarł głowę, ogarniając wzrokiem Górę Cielęcą w gasnącym świetle. Pnące się stromo stoki ginęły w lasach, posepnych, zielonych, które gdzieś tam w górze robiły miejsce dla miasteczka Ch. Góra Cielęca: równie obca jemu, jak światu, który znał. Mimo to było jakieś podobieństwo: podobieństwo jaźni i góry, odciętej mgłami wyspy i kontynentów deptanych milionami stóp. Była gdzieś tam, w mroku, lecz on jej nie widział. Tylko twarze jego siostry i nieznanego handlarza, ukryte w ciemnościach, czekające na odnalezienie albo zapomnienie.

- Kurczaku - powiedział do kurczaka - czy mam cię zabić?

W ręce trzymał nóż, ptak był na jego łasce; Trzepoczący Orzeł zawahał się jednak, czując, że odradza się w nim dawny konflikt. Nie był outsiderem z wyboru, a pragnienie akceptacji, zadowolenia, które w sobie nosił, wywoływało sprzeczne doznania. Gdyby nie to, chyba nie miałby nic przeciwko temu, by pobyć przez pewien czas z panem Jonesem i panią O'Toole. Być może sprawiłoby mu to przyjemność: związałoby go, chociaż raz, z innymi ludźmi, stanowiłoby miłą odmianę w jego powszedniej osobności. Przyniosłoby mu spokój. Lecz całkowicie zrezygnować z poszukiwań...

Zabił kurczaka, ponieważ był on tam po to, by zostać zabity.

Przez większą część kolacji panowało milczenie. Dolores O'Toole, która zapadła w nerwową zadumę, co pewien czas otrząsała się z zamyślenia, by zaproponować panu Jonesowi i Trzepoczącemu Ortu kolejną porcję kurczaka. Trzepoczący Orzeł dostrzegał w jej oczach jakiś nowy blask; nie wiedział, co on oznacza, był jednak pewien, że widzi go po raz pierwszy. Jego myśli natomiast cały czas krążyły wokół góry, otulonej chmurami i nieznaną.

Virgil Jones nerwowo próbował nawiązać rozmowę:

- Zgodzi się pan ze mną, panie Orle, że rasa ludzka naj bardziej obawia się mechanizmów własnego umysłu?

- I tak, i nie - odparł z roztargnieniem Trzepoczący Orzeł.

Pan Jones zmarszczył brwi: wiedział, że powinien znaleźć nieco lżejszy temat, jednak w ciemnościach, rozświetlanych jedynie przez świecę, nic nie przychodziło mu do głowy. Siedzieli przykucnięci wokół niskiego, rozchwanego stolika - Trzepoczący Orzeł znów bez sukienki, Virgil bez kapelusza, przeżuując swe myśli.

- Wieczorem o tej porze ta góra jest wręcz niemożliwie kusząca - zaczął znów Virgil Jones; w odpowiedzi uzyskał kilka sylab.

-Tak, to prawda - odrzekł Trzepoczący Orzeł, a pani O'Toole rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Z pewnością słyszał pan tutejsze ptaki - nie ustawał w wysiłkach pan Jones. - Imię ich legion. Nie zastanawia pana, jak często opisuje się ludzkie przymioty i zachowania, przyrównując je do ptasich?

- Nie - powiedział Trzepoczący Orzeł.

- Ach. Niech pan tylko pomyśli. Królestwo ptaków stanowi wspaniały materiał dla mitotwórców. Zajmuje inne środowisko, a mimo to pod wieloma względami pozwala na wyśmienite paralele - z zakresu języków, zalotów, więzi rodzinnych i tak dalej. Ptaki, choć wystarczająco odmienne, by analogie były bezpieczne, są nam jednak na tyle bliskie, że darzymy je zainteresowaniem. Weźmy na przykład skowronka. Albo sokoła. Albo słowika. Albo sępa. Ich nazwy nie tylko je opisują; stały się symbolami. Proszę również zwrócić uwagę na obfitość ptasich bóstw w starożytności.

Feniks. Rok. Homa. Garuda. Bennu. Bar Yuchre. Hathilinga o sile pięciu słoń. Kerkes. Gryfon. Norka. Święty Smok. Feng. Kirni. Orosz. Saena. Anqa. No i oczywiście władca ich wszystkich, sam Simurg. Wcale znaczna liczba. Wcale znaczna.

Odpowiedzi nie było.

- Jeśli się zbytnio nie mylę, panie Orle - dodał pan Jones - również orzeł ma interesujące znaczenie w mitologii Amerindii. Czy daleki jestem od prawdy, twierdząc, że jest on symbolem Niszczyciela? Niszczy on przerażająco i błyskawicznie. Imię, które pan sobie wybrał, jest doprawdy fascynujące.

- Ja nie wybierałem tego imienia - rzekł Trzepoczący Orzeł. - Ono wybrało mnie.

- Bezsprzecznie - powiedział Virgil Jones i skrzyżował palce.

JEDENAŚCIE

Północ albo coś koło tego. W małym domku na małej polanie, przy szarych skałach nad szarą plażą cisza. W ciemnych lasach na ciemnych zboczach magicznej góry cisza. Ucichły nawet niebo i

Trzepoczący Orzeł spał, lecz zatroskana brzydka kobieta leżąca nieopodal na macie czuwała.

Virgil Jones siedział na bujanym fotelu, częściowo okrywszy wzgórek swojej tuszy kusym pledem. Jego nieregularne ruchy zdradzały jednak, że i on nie śpi. Na moment przymknął powieki, a gdy nieuchronnie znów się uniosły, ujrzał, że stoi przed nim Dolores. Jej zgięte ciało okrywała zgrzebna sukienka na ramiączkach, a cienkie nogi nieznacznie drżały. Dostrzegł zaproszenie w jej oczach. Podszedł do drzwi, odsunął zasłonę i zaczął ze sztywną galanterią, aż pani O'Toole wykuśtyka na zewnątrz.

Zatrzymali się na polanie, pośród śpiących kurczaków: niepewność sparaliżowała ich na wpół ochocze członki. Przerośnięty język Virgila pokonał długą drogę wokół ust, a ręce Dolores O'Toole zatrzepotały omdlewająco przy bokach, jak u wróbla z przetrąconym skrzydełkiem.

- Virgil.

Jego imię popłynęło cicho przez paraliz; Dolores wypowiedziała je z troską kobiety odkrywającej ukryty skarb. Przeszyło jego starą koszulę nocną, wbijając się w głęb niego, i gwałtownie poczuł, że jest mniej śmieszny.

- O, Virgil.

Drugie wezwanie; jego wzrok przesuwiał się tak długo, aż natknął się na oczy Dolores i dostrzegł w nich blask. Czuł, że przepętnia go czar tych oczu, tak żywych, tak czułych.

- Pani - odezwał się, a przerażenie raz jeszcze przeszło go na wskroś. - Pani, lękam się, że być może nie jestem...

- Dolores - powiedziała. - Nie „pani”. Dolores.

Otworzył usta; wyłoniło się z nich to imię, by go oczyścić.

- Dolores - powtórzył za nią.

- Virgil.

I znowu rozziew. Teraz to kobieta czekała na mężczyznę, nie chcąc wykonać następnego kroku bez jego pomocy.

Virgil Jones pomyślał sobie: Jesteśmy niczym dwie przelęknione, brzydkie dziewice. Poczul, że wraca mu władza w kończynach, i postąpił kilka kroków, zbliżając się do Dolores.

- Służę ramieniem - rzekł. Skinęła

krótco głową.

- Dziękuję ci, panie - powiedziała, opierając się na nim.

- Sądzę, że tędy - odezwał się Virgil Jones. - Na trawie tuż przy studni znajduje się miękkie zagłębienie.

Skłoniła głowę na znak zgody. Podeszli do krańca polany poważnym, powolnym krokiem, a po chwili znaleźli się wśród drzew.

Virgil Jones usiadł ciężko w zagłębieniu, gwałtownie wydychając powietrze. Nie miał pojęcia, co Dolores zamierza teraz zrobić, podobnie jak nie wiedział, co sam zamierza. Niestety, biedny Joriku.

Dolores wciąż stała, obejmując go szklistym, znaczącym spojrzeniem; uniosła dłonie do ramion, gdzie zawiązane na kokardkę ramiączka utrzymywały jej sukienkę. Gdy Virgil zdał sobie sprawę, na co się zanosí, o mało nie wpadł w panikę; jednak Dolores robiła to ze skupieniem, a na jej twarzy rysowała się determinacja. Ręce osiągnęły cel i szarpnęły - sukienka opadła.

- Na szczęście noc mamy ciepłą - spróbował coś powiedzieć pan Jones. - Mgła niemal już opadła. - Brzmiało to wręcz idiotycznie, lecz Dolores w żaden sposób nie okazywała dezaprobaty. Stała przed nim nieśmiało, trzymając

dłoń - na pół przypadkowo - u zbiegu swych ud. W ciemnościach była jakby mniej pomarszczona, a jej przygarbione ciało nie aż tak zniszczone.

Virgil wyciągnął rękę, a ona podeszła do niego, usiadła niezdarnie na trawie, wreszcie położyła się na ziemi i zastygła w oczekiwaniu.

Pocałował ją.

Z początku ich dłonie były powolne i niepewne; na nowo ucząc się dotyku, wędrowały niezdarnie po złączonych ciałach. Jednak krok za krokiem ruchy obojga stawały się coraz bardziej celowe, a rozradowane dłonie rozmasowywały napięte mięśnie karku, ramion i pleców, odnajdując naturalny rytm.

Teraz ręce już pamiętały; do tego doszły usta, gorączkowo się poszukujące, usta, które rozchyłały się i łączyły, języki splecione w uniesieniu płynącym z tego ponownego odkrycia.

- Nieźle jak na taką młodą parkę - powiedział Virgil Jones, a Dolores O'Toole wybuchnęła śmiechem. Już dawno nie słyszał jej śmiechu, a ponieważ sprawiło mu to wielką przyjemność, on też się zaśmiał.

I właśnie śmiech stał się tu katalizatorem: śluzę puściły i woda zatopiła resztki wahań. Ich ciała przypuściły na siebie gwałtowny atak.

Dolores wykrzyknęła w pewnym momencie:

- Mój garb! Trzymaj mój garb!

I ręce Virgila chwyciły tę zakazaną deformację, głaskały ją, drapały i ścisnęły; Dolores zadrżała z rozkoszy, czując, że jej kalectwo się seksualizuje.

Przez chwilę leżała obok niego; potem nagle się poderwała, dosiadła go, a jej ręce z dziecinną radością zaczęły ugniatać wielkie fałdy jego tłuszczu. Znow się zaśmiali;

Virgil poczuł się uwolniony od ciężaru, jaki stanowiło dlań jego ciało.
- Przypomina mi to wyrabianie ciasta - zachichotała, udając, że ugniata jego brzuch na bochenek chleba.

On szczytował tylko raz, ona ani razu. Nie używane narządy zanikają. Jednak te ograniczenia były dla nich nieistotne: obchodziło ich i zadowalało wspólne osiągnięcie. Przez długi czas po prostu leżał na niej, rozlewając się po obu jej bokach, otulając ją sobą, czując jej kości, twarde i sterczące, oblane jego ciałem, i tak tworzyli jedno zwierzę, czterorękie, czteronogie, dwugłowe i opasane uśmiechem.

Piersi miała małe jak suszone figi, podczas gdy on - mięsiste jak melony. Jego penis, krótki i gruby, spoczywał w twardym zagłębieniu jej dłoni.

- Nie schudnij - poprosiła. - Nigdy nie schudnij. Bądź zawsze gruby. Bądź Virgilem.
- Szczerze mówiąc, w tej sprawie nie mam wyboru - odparł. - Moja tarczycza nie reaguje na diety.
- To dobrze - powiedziała.
- Tak samo ja nie potrafię sobie wyobrazić ciebie z nadwagą - rzekł Virgil Jones.

- Nic się nie zmieni - powiedziała. - Będziemy siadywać na plaży i karmić kurczaki, i słuchać ptaków, i odkurzać dom, i...
Wyraz jego twarzy sprawił, że przerwała.
- Virgil! - krzyknęła. - Nic się nie zmieni! Nic!
Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

Może źle się stało, że się z nim przespałam. Dałam mu wszystko, czego chciałam. Teraz nie mam dla niego już nic,

nic nie zatrzymałam, nie mam nic, czym mogłabym go zatrzymać.

Może źle się stało, że się z nią przespałam. Kolejny obowiązek, kolejne zobowiązanie, kolejne potencjalne źródło poczucia winy. Czy robiąc to, szukałam ją?

Może dobrze się stało, że się z nim przespałam. Teraz nie ma już żadnych tajemnic, wszystko jest jasne i ustalone. Teraz będzie wiedział, że mnie kocha.

Może dobrze się stało, że się z nią przespałam...

- Kocham cię - powiedziała Dolores O'Toole.

- Kocham cię - powiedział Virgil Jones.

I obojgu zrobiło się niewypowiedzianie smutno.

- To przez niego - rzuciła gwałtownie Dolores.

- Przez kogo?

- Przez Trzepoczącego Orła - powiedziała. - Gdyby go tutaj nie było, nas też by nie było. Tutaj.

- W takim razie winniśmy mu gorące podziękowania - odrzekł Virgil Jones.

- Tak - przyznała Dolores z nieszczęśliwą miną. - Winniśmy mu ogromne podziękowania.

Lecz to ryzyko żalu, pomyślał Virgil, i ryzyko winy: czy nie można by złożyć tego, jak przystało, u wrót Grimusa? Dolores z opętańczym skupieniem wpatrywała się w górę.

- Nic się nie zmieni - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

DWANAŚCIE

O świcie Trzepoczącego Orła obudziło trzęsienie ziemi. Cienka mata nie złagodziła wstrząsu, który przewrócił niski stolik, rozsypując układankę. Trzepoczący Orzeł obudził się błyskawicznie i od razu poderwał się na nogi. Lecz było już po wszystkim, a wstrząs okazał się zbyt słaby, by spowodować jakiegokolwiek straty.

Wcześniej miał sen, a dokładniej koszmar senny. Stał na czarnej skale, cały w barwach wojennych, ścisnął tomahawk i bezskutecznie próbował trafić nim pikującego nań co rusz orła. Ptak szarpał go, wbijał się w jego ciało, a gdzieś tam, poniżej, stała jakaś postać bez twarzy, wysoka, czarna i niezwykle gładka, zanosząc się niepowstrzymanym śmiechem: śmiechem Deggle'a.

W pokoju wciąż było ciemno, gdyż zastępujący drzwi materiał nie wpuszczał słabutkich promyków światła. Przez chwilę stał, łykając nerwowo powietrze, gdy zauważył, że mata Dolores O'Toole nie była używana, a bujany fotel Virgila Jonesa buja się bez właściciela. Wyszedł na zewnątrz.

Pan Jones i pani O'Toole stali na polanie; słychać było pogdakiwanie zaniepokojonych kurczaków i świergot ptaków zbudzonych ze snu. Kuriozalna para stała nieruchomo. Język Virgila poruszał się machinalnie; spojrzenie Dolores było puste i nieobecne. Nie dostrzegła Trzepoczącego Orła.

- Trzęsienie ziemi - powiedziała.

- Co? - spytał Trzepoczący Orzeł. Dolores najwyraźniej nie słyszała.

- Wielki Żółw się poruszył - odezwała się do Virgila i zarechotała.

Virgil spojrział na nią zmartwiony, a ona przestała się śmiać i powiedziała poważnie:

- Nie, nie, myliłam się. Nic się nie stało. Nic się nie zmienia.

- Czy pani O'Toole czuje się dobrze? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Tak, tak - odparł pan Jones, wprowadzając ją ostrożnie do pokoju.

- Może jest nieco podenerwowana - powiedział na stronie do Trzepoczącego Orła. - Przede wszystkim potrzeba jej wypoczynku. Proponuję, byśmy się przeszli. Ucieli sobie pogawędkę. Niech sobie wypocznie, prawda?

- Oczywiście - odparł Trzepoczący Orzeł.

Zatem zostawili ją w chatce i ruszyli w stronę nocnej kryjówki Virgila i Dolores. Dolores, gdy już była sama, przemieściła się spazmatycznie w kierunku starej skrzyni stojącej w kącie i nigdy nie otwieranej. Tam była zamknięta jej przeszłość, jej nie zmieniona, niezmienna przeszłość. Siedziała na podłodze i obejmowała skrzynię, szepcząc do niej:

- To jest wczoraj. Każdy dzień jest wczoraj, więc jest niezmienny.

TRZYNAŚCIE

Trzepoczący Orzeł, wrażliwy na wszelkie zmiany w atmosferze, wiedział, że dzisiejszy Virgil Jones jest kimś innym od wczorajszego Virgila Jonesa. Zdawał sobie również sprawę, że niechęć Dolores O'Toole do niego, początkowo ledwie wyczuwalna, przybiera na sile. Jednakże tego ranka z całym rozmysłem to ignorował, pragnął bowiem informacji od pana Jonesa. Im wcześniej dowie się czegoś na temat natury Wyspy Cielęcej i tej góry, nie wspominając już o miejscu pobytu Ptako-Psa i Sispy'ego, tym rychlej będzie mógł zostawić tę parę wyrzutków samą sobie i wyruszyć w swoją samotną drogę.

Virgil Jones odciągnął go od chatki i poprowadził na skraj lasu. Usiedli obok głębokiej studni, a raczej głębokiego dołu, który miał być studnią, lecz nią nie był z braku wody. Virgil Jones dzielnie próbował ukryć targające nim emocje za chłodną, nauczycielską

- Doskonale - zaczął. - Może przypomnę panu jego własne przypadki... a raczej wypadki. Z pańskiej relacji wynika, że pana udziałem stały się przynajmniej dwa doświadczenia, które w normalnych okolicznościach zostałyby zakwalifikowane jako nadprzyrodzone. Weźmy na przykład pańską zgodę na nieśmiertelność: większość przedstawicieli gatunku ludzkiego uznałaby to za czary. No cóż. Musi pan się pogodzić z myślą, że świat, w którym pan żył, wcale nie jest takim prostym, konkretnym śvTrzepoczący Orzeł skinął głową.

- Čanakja - mówił Virgil Jones. - Nie mam na myśli siebie, lecz starożytnego króla-filozofa noszącego to imię; otóż ów Čanakja zwykł był powtarzać, że świat nie jest taki, jaki się nam wydaje, ani taki, jaki się nam nie wydaje, lecz ni

mniej, ni więcej, tylko jest wszystkim tym naraz. Zarówno tym, czym się wydaje, jak i tym, czym się nie wydaje. To znaczy sędzę, że właśnie Canakja powiedział coś takiego. Rozumie pan, to wszystko było bardzo dawno temu. Wszelako, żeby nie komplikować rozmowy, przyjmijmy, że jest to cytata autentyczna.

Jego spojrzenie błysnęło w kierunku pobliskiego zagłębienia w ziemi, lecz siłą oderwał je stamtąd.

- Ujmijmy to inaczej - ciągnął. - Gdy spogląda pan na mnie, odbiera mnie pan jako ciało stałe. Dla kontrastu, gdy spojrzysz pan na tę studnię, odbierzesz pan ją jako pustą. Czy teraz zgodzi się pan ze mną, że rozumowanie kryjące się za tymi dwoma opisami ma znacznie mniej wspólnego z naturą tej studni bądź moją aniżeli z tym, w jaki sposób pan postrzeżę jedno lub drugie?

Trzepoczący Orzeł zmarszczył brwi.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział pan Jones. - Widzę, że jest pan zdeorientowany, i nic dziwnego. Niech pan spojrzysz: ja sam jestem zbudowany z materii, która z kolei składa się z coraz to mniejszych cząsteczek i tak dalej, aż dojdziemy do ultramikrokosmosu. Chodzi tu o to, że odległości między siadającymi się na mnie cząsteczkami materii są tak duże jak odległości między cząsteczkami składającymi się na powietrze w tej studni. Zatem istota wyposażona w odmienny zestaw narzędzi percepcyjnych... to znaczy odmienny od oczu... może stwierdzić, że - powiedzmy - jestem tak „pusty” jak powietrze w tej studni albo że to powietrze jest tak samo „pełne” lub „stałe” jak ja.

- Chyba tak... - odparł niepewnie Trzepoczący Orzeł.

- Zmierzam do tego - mówił Virgil Jones - typową dla mnie, okrężną drogą, że ograniczenia, jakie nakładamy na świat, mają źródło raczej w nas samych aniżeli w naturze świata. Dlatego właśnie, gdy natykamy się na rzeczy nie przystające do naszego obrazu rzeczywistości, umieszczamy je poza jego obrębem. Duchy. Niezidentyfikowane obiekty latające. Wizje. Powątpiewamy w zdrowie psychiczne tych, którzy twierdzą, że je widzieli lub ich doświadczyli. Tu ciekawe spostrzeżenie: człowiek jest uważany za jednostkę

zdrową psychicznie w takim stopniu, w jakim jego percepcja odpowiada apriorycznemu obrazowi rzeczywistości.

- Mhm - powiedział Trzepoczący Orzeł.

- „Idź, idź, idź, mówił ptak” - zaintonował Virgil Jones. -Co?

- Cytat literacki - odparł Virgil Jones. - Kaprys. Przyjemnostka. Kontynuujmy i proszę o wybaczenie za tę dygresję. Może przeprowadzę wielce niedokładną analogię, aby zademonstrować moją tezę. Istniejemy zatem jako świat istot żywych i przyrody nieożywionej, i podmuchów wiatru, a wszyscy w nieskończenie większej części składamy się z pustki aniżeli z materii. Czy zatem nie jest teoretycznie możliwe, że pośród nas istnieje zupełnie inny świat, przenikający wszystko i wszystkich, składający się z materii innego rodzaju i odmiennych pustych przestrzeni, wyposażony w całkowicie odmienne od naszych narzędzia percepcyjne, sprawiające, że nie istniejemy dla jego mieszkańców w takim samym stopniu jak oni dla nas? Jednym słowem: inny wymiar?

- Nie wiem - powiedział Trzepoczący Orzeł. - A jeśli byłoby coś takiego?

- Jeżeli pan przystanie na tę teoretyczną możliwość - odparł pan Jones - musi pan uznać, że równie dobrze wymiarów tych może być znacznie więcej. Przypuszczalnie jest ich nawet nieskończona liczba, niczym palimpsesty nakładające się na nasz wymiar, istniejące wewnątrz i wokół niego, przy czym my w żaden sposób nie potrafimy ich dostrzec. Ponadto nie ma powodu, by te wymiary istniały wyłącznie w naszej skali. Nieskończoność może występować, poczynając od najmniejszych cząsteczek subatomowych, aż do wszechświata. Czyż to nie fascynujące pomyśleć sobie, że wszyscy moglibyśmy istnieć w przestrzeni ograniczonej kilkoma mikrocząsteczkami bądź w jakimś innym, niepojęcie ogromnym w: Trzepoczący Orzeł czuł, że narasta w nim irytacja.

- Może to i ciekawe - odparł szorstko - nie wiem jednak, jaki ma związek z miejscem pobytu mojej siostry.

- Mój drogi Orle - odrzekł pan Jones - po prostu ze wszystkich sił staram się otworzyć panu oczy. Tylko tak mogę wytłumaczyć, gdzie się znajduje Wyspa Cieleca.

Trzepoczący Orzeł poczuł, że ma mętlik w głowie. Nie mógł wypowiedzieć ani słowa.

- Zapewne zetknął się pan kiedyś z teorią egzystencji potencjalnej - ciągnął przyjaźnie Virgil Jones. - Załóżmy więc, że mamy, dajmy na to, zaledwie cztery potencjalne przeszłości i przyszłości dla Morza Śródziemnego. W jednej z nich nigdy nie było ani nigdy nie będzie takiej wyspy jak ta. W innej taka wyspa istniała, lecz już nie istnieje. W trzeciej nie istnieje, lecz będzie istniała. A w czwartej - zatoczył krąg dłonią - wyspa istnieje... i już.

Tutaj przerwał dla udratyzowania wyводу.

- Widzi pan, jest wiele różnych wymiarów - podjął po chwili. - Milion możliwych Ziemi z milionem możliwych historii, a wszystkie istnieją jednocześnie. W czasie jednego dnia naszego życia niejako przewijamy się między nimi, jednak to nie niweczy tych wszystkich przeszłości albo przyszłości, których akurat nie zdecydowaliśmy się wybrać. Otóż tak się złożyło, że wpadł pan w odmienne historyczne kontinuum, w którym istniejemy zarówno my, jak i Wyspa Cieleca. Tam, skąd pan pochodzi, nic o nas nie wie.

- Więc wszyscy jesteście duchami - stwierdził Trzepoczący Orzeł - a ja zwariowałem. To właśnie chce pan powiedzieć? Że widzę rzeczy i miejsca, które nie istnieją?

- Maluje pan zbyt przygnębiający obraz - odparł Virgil Jones. - A że ma on dwie strony, może to właśnie pan jest duchem. I pańska siostra Ptako-Pies.

- Gdzie ona jest? - spytał ze złością Trzepoczący Orzeł, jakby sądził, że gdy ją zobaczy, rozwiążą się wszystkie jego problemy.

- Nie jestem pewien - odparł Virgil. - Gdzieś tam, w górze. Zapewniam pana, że szanse na jej odnalezienie są znikome, nawet gdyby pojawienie się pana w tym miejscu dowodziło pańskiej szczególnej wrażliwości na istnienie Wymiarów.

- Przecież ta wyspa nie jest aż tak wielka! – wykrzyknął Trzepoczący Orzeł.

Virgil Jones milczał przez chwilę. Wreszcie powiedział:

- Proszę to przemyśleć, panie Orle. Teraz pan rozumie, dlaczego chcieliśmy poczekać, aż pan wydobrzeje.

- Znajdę ją - oznajmił Trzepoczący Orzeł.

- Odpukać - rzekł Virgil Jones. Podszedł do drzewa i zrobił, jak powiedział. - Stwierdzam, że w rzeczywistości, której struktura pozwala na wszystko - odezwał się z zawstydzeniem - lepiej dmuchać na zimne. Stąd zapewne bierze się moja cokolwiek idiotyczna predylekcja do przesądów. W tym drzewie może drzemać jakiś zły duch albo mściwy bóg. Można wywołać demony. Być może linie na ludzkiej ręce mówią prawdę. Symbole mogą być równie rzeczywiste jak ludzie. Jedna z teorii głosi, że w tym wymiarze, podobnie zresztą jak w pańskim, pokrywamy naszą symboliczną naturę ogromnym, obskurantycznym brzemieniem osobowości. W rezultacie trudno nam dociec, co w rzeczywistości nami kieruje, jakie to siły. Widząc ten nie kończący się strumień możliwości, uważam, że moje słabostki są mi wielką pociechą.

Trzepoczący Orzeł siedział bez ruchu, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, zupełnie zbielełymi kłykciami i ustami zaciśniętymi w twardą, cienką kreskę.

- Tylko spokojnie, panie Orle - powiedział Virgil Jones. - Sądziłem, że ma pan znacznie większe zdolności adaptacyjne.

- Jeszcze dziś wejdę na tę górę - oznajmił Trzepoczący Orzeł. - Chcę znaleźć Ptako-Psa i Sisy'ego i wypłatać się z tego całego podłego galimatiasu.

- Och, nie wolno panu tego zrobić! - zawołał Virgil Jones.

- A niby dlaczego?! - krzyknął Trzepoczący Orzeł.

- Chodzi o Efekt Grimusa - odrzekł Virgil Jones. - Nieustannie przybiera na sile. Prawdę mówiąc, tylko czekać, aż jego moc dotrze tu do nas, na dół. Zdecydowanie odradzam panu tę wspinaczkę.

Trzepoczący Orzeł znów poczuł się gorzej.

- Jaki efekt? - spytał zmęczony.

- Grimusa. Efekt Grimusa.
- A cóż to, u diabła, takiego?
- Ach, powiem panu tylko tyle: na stokach Góry Cielecej wręcz roi się od potworów, panie Orle - odparł Virgil. - Bez przewodnika pan nie przeżyje. A i z przewodnikiem szanse są niewielkie.
Trzepoczący Orzeł potrząsnął głową, zupełnie tym wszystkim oszołomiony, i ukrył twarz w dłoniach. Virgil Jones podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.
- Bardzo mi przykro - odezwał się. - Bardzo, bardzo przepraszam.
- Nie. To ja winien jestem panu przeprosiny - odparł Trzepoczący Orzeł. - Zachowuję się jak złośliwy bachor.
- To całkowicie zrozumiałe, mój drogi przyjacielu - powiedział dobrodusznie Virgil Jones.
- A może mógłby mi pan coś powiedzieć na temat tych potworów?
Virgil Jones skinął smutno głową.
- Trudno pana odwieść od raz powziętego zamiaru, prawda? - spytał.
- Tak - odparł Trzepoczący Orzeł. - W dobrym i złym.
- Dotychczas opisywałem panu Wymiary Zewnętrzne - powiedział pan Jones. - Istnieją również Wymiary Wewnętrzne. Nigdy nie wiadomo, jakie wszechświaty mogą się kryć w ludzkim umyśle. Wpływ tego efektu na mózg może być niszczący.
Zamilkł. Trzepoczący Orzeł próbował wydusić zeń coś więcej, lecz pan Jones powiedział tylko:
- Są pewne sprawy związane z Górą Cielecą, których nie da się wyjaśnić; trzeba ich doświadczyć. Mam nadzieję, że nigdy ich pan nie doświadczy, panie Orle. Polubiłem pana. W tym poszukującym ciele mieści się całkiem zdrowy duch, nieprawdaż?
Trzepoczący Orzeł uśmiechnął się niepewnie.
- Niechże pan pomyśli o tej studni - ciągnął Virgil Jones, za żywiolową gestykulacją próbując ukryć zakłopotanie. - Stanowi ona namacalny dowód na to, że nie wszystkie przesady są skuteczne. Do tego miejsca doprowadziła

mnie różdżka, a jak pan widzi, studnia jest zupełnie sucha. Jakoś jednak nie mam serca jej zasypać, żywiąc beznadziejną nadzieję, że nadejdzie taki dzień, kiedy przez te wysuszone ściany zaczną się sączyć woda.

- Ale przecież wcale nie potrzebował pan studni! - zawołał Trzepoczący Orzeł. - Tam jest strumień! - I wskazał na słodkowodny potoczek płynący wśród drzew.

Virgil Jones prychnął.

- Przynajmniej było to jakieś zajęcie - odparł. - Nawet jeśli sam pomysł nie okazał się najlepszy.

- To przygnębiające pragnienie, panie Orle - powiedział Virgil Jones. - Zestarzeć się, umrzeć... Skąd ta skłonność u kogoś tak młodego zarówno ciałem, jak i umysłem?

Trzepoczący Orzeł odpowiedział z goryczą, która zaskoczyła nawet jego:

- Chcę powrócić do ludzkiej rasy.

Przez twarz pana Jonesa przebiegł mroczny błysk: najpierw szok, a potem coś jakby... przeprosiny? Coś dużo przeprasza, pomyślał Trzepoczący Orzeł.

- Doprawdy interesujące, że uważa pan śmierć za moc uczłowieczającą - powiedział Virgil.

Chaos panujący w głowie Trzepoczącego Orła wpadł w kolejną niepożądanego przygnębienia, Virgil Jones też nie wykazywał zbyt dużego optymizmu. Wstał, otrząsnął się, poprawił kapelusz, otrząsnął spodnie i spróbował rozładować atmosferę.

- Góra Cieleca zawsze mi przypominała gigantyczną lingę nurzającą się w toni morskich fal - zaczął, był jednak zmuszony udzielić wyjaśnień nic nie rozumiejącemu Trzepoczącemu Orłu: - Taki sanskrycki eufemizm, mój drogi Orle. Ot, żarcik. Obawiam się, że mam zbyt skomplikowane poczucie humoru. - Znów ogarnęło go przygnębienie, kontynuował jednak: - Choć szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego postrzegam to przeklęte miejsce w kategoriach tak otwarcie fallicznych. Bo przecież jedyne, co nas łączy na tej wyspie, to... - Przerwał.

- Cóż takiego? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Ależ musi pan to wiedzieć, sir - powiedział Virgil Jones, chowając się za skorupę konwenansów. - Bezpłodność. Bezpłodność. Właśnie tego nie chciałem powiedzieć. Tragiczny skutek uboczny Eliksiru Życia. Nie znajdzie pan dzieci na tej skale, przeklętej przez Boga i ludzi. Bezpłodni, wszyscy jesteśmy bezpłodni. Łącznie z panem. - W głosie Virgila Jonesa zabrzmiała gorycz.

Trzepoczący Orzeł zostawił go i ruszył ku chacie. Zostawił Virgila Jonesa, który siedział bez ruchu, w zamyśleniu skubiąc gałązkę.

CZTERNAŚCIE

W innych okolicznościach Trzepoczący Orzeł czułby instyktowne współczucie dla pani O'Toole z uwagi na jej kalectwo. Sam przecież musiał znosić bolesne ciosy, których społeczność nie szczeni odmieńcom; wiele zatem powinno ich łączyć. Teraz jednak wiedział, dlaczego tak nie jest. Jeśli Virgil Jones mówił prawdę, twierdząc, że nie można, a raczej nie powinno się wspinać na Górę Cielęcą bez doświadczzonego przewodnika, nie ulegało wątpliwości, kto ma być owym przewodnikiem. Trzepoczący Orzeł zdał sobie sprawę, że nie może się doczekać, kiedy wyruszy w drogę, i złapał się na tym, że się zastanawia, jak przekonać pana Jonesa, by wyruszył razem z nim. Nic dziwnego, że Dolores była tak podenerwowana; nic dziwnego, że po tym jakże miłym początku zwróciła się przeciwko

Czy da się przekonać, aby do nich dołączyła? Byłoby to najlepsze rozwiązanie, pomyślał sobie. Jeśli jednak nie pójdzie, trzeba będzie uznać, że ona i Trzepoczący Orzeł są wrogami. Stwierdzenie to nie zmniejszyło jego przygnębienia.

PIĘTNAŚCIE

Och, cóż to za niewzruszona rzecz, ta skrzynia, tak ciężka, opleciona pajęczynami, tak pocrzepiająca, ta skrzynia ze swymi od dawności popsutymi zamkami, nigdy nie otwierana, więzicielka jej życia. Och, rzecz to cudowna, bez cienia wątpliwości, tak szczelnie kryć jej wspomnienia. Wystarczy uchylić wieka i wypłyną rzeką, obmywając ją pewnością dni i smutków, z których żaden nie może się zmienić ani na jotę. Poruszający się palec pisze, a napisawszy, porusza się dalej. Łzy twoje nie zmyją z tego ani słowa. Ani łzy, ani duch orła. Niewzruszone, niewzruszone, niewzruszone słowa, tak niezmiennie w płynie lat jak jej nieśmiertelne ciało, nieśmiertelne jak dusze, uzupełniane co dnia, ani się nie starzejące, ani nie młodniejące, statyczne. Teraźniejszość jest przeszłością jutra, tak samo niezmienna, tak samo niewzruszona, a skrzynia na pewno tak powie. Oto skrzypnięcie, ciężar unoszonego wieka, ziejąca przepaść czasu. Oto świece, oddani słudzy boga, nieśmiertelnego niewidzialnego bogajedyniemądrego, w świetle niedostępnym skrytymprzednaszymwzrokiem. O ty, który zmieniasz, nie zamieszkuje we mnie. Nie, nie, tego nie mogą mi odebrać. Och, świece moje, jakżeż upadłam, jakżeż je zbzcześciłam, niepokalanie białe czyste świece? Spójrz na te zdjęcia, żółtkłe jak kurz, prawie się rozsypujące, z prochu obrócisz się w proch, do grobu skacze królowa wieczny śpioch. Poważny Virgil, nazwany tak na cześć poety, sfotografuj gdyby tylko był aparat i unieruchom go tam, żółtego i rozsypującego się, na wieki wieków. Jej oczy, lepsze od wszystkich aparatów, wyczarowują go teraz i utrzymują, ani nie żółtkłego, ani nie rozsypującego się, ciepłe ciało, które czuła tamtej nocy, oblewające ją fałdy ciała, zapewniające bezpieczeństwo, zatrzymujące czas, pod tymi fałdami nic zmienić się nie może. Oto fotografie. Mała dziewczynka, biedactwo powiedziała Cioteczka przez ten cały garb Garb garb

kameliowy garb. Ona, La Belle Dame Aux Camelias. Albo Sans Merci*. Litościwe niebiosy, które się nie zmieniają, spójrzcie oto na ten uniform, komplecik dla zakonnicy, dziewczynka czysta jak zakonnica, odmów siedem zdrowaś mario, a on nie odejdzie. Oto przeszłość. Włóż go do skrzyni, drogiego grabarza- poetę, włóż go tam, by trwał nie zmieniony, włóż go do skrzyni i trzymaj go, złożonego, obłożonego, takiego samego na wieki wieków, w królestwie, któremu nie będzie końca, amen. Utrwal mnie Jezu, utrwal go w piosence, grubego grekoimiennika, virgil, virgil, odpowiedz, proszę. Szaleję z miłości do ciebie. I jakże mógłby opuścić, jakże powrócić do tego całego bólu? Rany już się zasklepiły, ból jest na wpół uleczony, tutaj jest bezpieczny i ja mam to ułatwić, bezpieczny w niezmiennym zdnianadzień. Żaden orzeł nie zabierze go stąd, żaden orzeł nie zabierze go do jego przeszłości, przeszłość jest pewna, nie można do niej powrócić, ustalona i zżółkła, i rozsypująca się, przeszłość. Poruszający się palec napisał. Zamknij skrzynię, odłóż dziecinne przedmioty, dokonało się i on zostaje i nic się nie zmieni nic nic nic niczego nie można tu zmienić i zostaniemy virgil i dolores ustaleni i niezmienni w kleju naszej miłości. Kochany biedny grabarz Jones, jakże wiele w nim ma zostać zapomniane, brzemię przeszłości i jej wyczyny zapewniają niezmierność terażniejszości. Virgil, virgil, odpowiedz, proszę. Oto skrzynia, zamknięta, niewzruszona, niezmienna, ustalona. Poklep ją i bądź wdzięczny. Oto okazja, teraz. Poklep, załatwione.

Zamiotła izbę i posprzątała na stole, zwinęła maty i odkurzyła fotel bujany, podsyciła żar, napełniła garnek wodą i korzeniami i zaczęła przygotowywać posiłek dla dwojga. Było ich tylko dwoje, trwałych jak skała, niezmiennych jak ta izba, Dolores O'Toole i Virgil Jones, Virgil O'Toole i Dolores Jones, Virgil Dolores i Jones O'Toole, Virgil O'Dolores i Dolores O'Virgil. Całkiem jak ta para pedałów: William Fitzhenry i Henry Fitzwilliam. Zarechotała, nie przerywając pracy.

* Aluzja do *Damy kameliowej* Aleksandra Dumasa syna i wiersza Johna Keatsa *La Belle Dame Sans Merci* (przyp. tłum.).

Początkowo nie dostrzegła ducha. Stał w progu, wysokawy i jasnawy, najwyraźniej zmartwiony, próbując zdecydować, jak ma jej przedstawić swoje problemy. Wreszcie - widząc, że ona wciąż go ignoruje - zakaszał.

Odwróciła się ku drzwiom, układając wargi do słowa „Virgil”, i skamieniała. Z jej poruszających się ust wydobył się bezgłośny krzyk. Zaczęła się powoli cofać, aż oparła się plecami o skrzynię.

- Pani O'Toole - powiedział duch - czy pani jest chora? Wygląda pani jak śmierć.

Opanowało ją przerażenie. Gwałtownie otwarła wieko skrzyni i wskoczyła do środka. Zaczęła w niej gorączkowo grzebać, wreszcie znalazła, czego szukała. Podniosła to do góry: mały krucyfiks, wyrzeźbiony z drewna, na wpół zjedzony przez korniki.

Powiedziała:

- *Apage me, Satan.*

- Dolores - rzekł duch. - Uspokój się, Dolores.

- Idź precz - odezwała się Dolores O'Toole. - Ciebie tu nie ma. Mieszkamy sami. Virgil Jones i Dolores O'Toole. Nikogo innego tu nie ma. Spójrz: są tylko dwie maty. Gotuję dla dwojga. Nas jest tylko dwoje. To się nie zmienia.

- Poznajesz mnie? - spytał powoli duch. - Wiesz, kim jestem?

- Idź precz - powtórzyła pani O'Toole, kuląc się w rogu skrzyni. - Nie podchodź bliżej. Wracaj tam, skąd przyszedłeś. Wracaj tam, gdzie twoje miejsce. Wracaj do Grimusa. Duchu Kamiennej Róży - zniknij! Nie wierzę w ciebie.

- Kamienna Róża - powtórzył duch. - Grimus. A co...

- *Apage me!* - wrzasnęła przeraźliwie Dolores O'Toole i zatrzęsła nad sobą wieko skrzyni.

Duch stał pośrodku izby, zastanawiając się, co zrobić. W końcu, jako że bardzo chciał porozmawiać z Dolores na osobności, postanowił jeszcze nie wzywać Virgila Jonesa. Zbliżył się do skrzyni.

- Boże, chroń mnie - dobiegło ze środka, kiedy uniósł wieko.

- Pani O'Toole... Dolores... - powiedział duch. - Mam dla pani propozycję.

- Nie, nie - odparła Dolores. - Ciebie tutaj nie ma.

- Wiem, że wolałaby pani, abym sobie stąd poszedł - ciągnął duch - i boi się pani, że przekonam Virgila, by wyruszył ze mną. Mam jednak następującą propozycję: może przyłączyłaby się pani do nas?

- Nie namówisz mnie, bym weszła na tę górę - odparła Dolores, a oczy jej lśniły. - Tam na górze jest przeszłość. Zostawiliśmy ją za sobą. Nie można powrócić do przeszłości. Nic się nie zmienia. Przeszłość jest ustalona. Idź precz.

Duch westchnął.

- Muszę więc stać się pani wrogiem - powiedział. - Droga pani O'Toole, proszę uwierzyć, bardzo mi przykro; szczególnie że widzę, iż nie czuje się pani najlepiej. Pójdę po Virgila... pana Jonesa.

- Zostaw go w spokoju! - krzyknęła Dolores. - Idź precz i zostaw go w spokoju!

I opuścił ją duch.

Trzepoczący Orzeł, biegnąc w poszukiwaniu Virgila Jonesa, przypomniał sobie usłyszaną w dzieciństwie rozmowę dwóch A: Jedna z nich powiedziała wtedy:

- Musimy się wystrzegać Urodzonego z Umarłej. A druga kobieta, starsza od tamtej, potwierdziła:

- Racja. Tacy jak on noszą śmierć pod powiekami. A Livia Cramm powiedziała to samo.

A Virgil Jones nazwał go Niszczycielem.

A mimo to on wcale tego nie chciał.

Więc kto chciał?

A kto to lub co to jest Grimus?

A Kamienna Róża?

A czy Virgil Jones zgodzi się mu towarzyszyć? Albo czy decydującym czynnikiem będzie choroba pani O'Toole? Pobiegnął, dysząc, do zagłębienia przy studni.

SZESNAŚCIE

To właśnie studnia pomogła w końcu Virgilowi Jonesowi podjąć decyzję; nim jednak do tego doszło, zdążył obłamać z trzaskiem wszystkie gałązki znajdujące się w pobliżu. Gdy już je poobłamywał, cisnął je do studni.

A oto, jak się przekonywał:

Nicholas Deggle nie mógł wiedzieć, że Trzepoczący Orzeł spotka starego Virgila.

Trzask.

Ergo, m o ż l i w e, że wysiał Axonów na Górę Cielęcą wyłącznie na zasadzie eksperymentu, aby się przekonać, czy brama, którą zbudował, wytrzyma.

Trzask.

Co oznacza, że zamierza kontynuować.

Trzask.

Gdyby Nicholas Deggle powrócił, życie i tak stałoby się nieznośne. Virgil Jones jest po Grimusie jego drugim największym wrogiem. Od czasu, gdy został wyniany z wyspy

Trzask.

Gdyby nie powrócił, życie nie byłoby dużo lepsze. Efekt się rozprzestrzenia. Dolores robiła eksperymentalne wypadki na zbocza góry i zaraz go odczuła. Gdy dojdzie do ich chatki, będzie tu podobnie jak w Ch. Przynajmniej dla Dolores.

Trzask.

Jednakże Nicholas Deggle na pewno wiedział (Trzepoczący Orzeł nie może tego wiedzieć, jeszcze nie teraz), co Trzepoczący Orzeł - chcąc tego, czego chce, i będąc tym, kim jest- zrobi na tej wyspie. Co zrobi według wszelkiego prawdopodobieństwa.

Trzask.

Mimo to pozostanie na miejscu nie przyniosłoby chwały.

Trzask.

Rzecz jasna, wyjąwszy Dolores: ona już nigdy nie wejdzie na górę. Lecz w takiej sytuacji można by argumentować, że gdyby Virgil Jones zgodził się poprowadzić Trzepoczącego Orła - nieodwołalny wybór - zrobiłby to dla jej dobra.

Trzask.

Ale co by się stało, gdyby wyruszył w drogę, a na miejscu zjawił się Deggle? Czy Dolores dałaby sobie radę? Zastanawiał się nad tym przez chwilę; w końcu stwierdził, że gdyby poszedł, musiałby przyjąć założenie, że tak.

Trzask.

Decydujące pytanie: czy biorąc pod uwagę to, jak okaleczyły go dotychczasowe doświadczenia z wymiarami, byłby jeszcze dobrym przewodnikiem? I znów ponura odpowiedź: musiałby mieć nadzieję, że jakoś mu się uda.

Trzask.

Kolejne decydujące pytanie: czy uda mu się w takiej mierze wpłynąć na Trzepoczącego Orła, by cały plan zadziałał? I tu znowu niepewność: wszystko zależy od tego, jak Trzepoczący Orzeł zareaguje na to, co spotka na górze.

Trzask.

Czy jednak ma jakikolwiek wybór? Z powodu narastania Efektu i zwiększania się częstotliwości wstrząsów sejsmicznych, co prawda niewielkich, stan wyspy się pogarsza, i to bynajmniej nie powoli.

Trzask.

Wtedy właśnie pomogła studnia. Rzucił do niej odłamaną gałązkę i zadumał się nad podobieństwem między studnią i wyspą. Pomysł, z którego nic nie wyszło. Czy należało ją porzucić, odciąć się od niej tak, jak on odciął się od życia tej wyspy? Czy należało się pokusić o ratunek dla niej? A może należało ją zniszczyć, zasypać, jak to się robi z suchą studnią...?

Jak Trzepoczący Orzeł, który już wybrał wspinaczkę zamiast bezruchu; jak Dolores O'Toole, która ubiegłej nocy

wybrała otwarte wyznanie uczuć zamiast milczenia - tak Virgil Jones wybrał aktywność zamiast przedłużającej się pasywności. Ponieważ to musiało być zrobione, tak jak ten kurczak musiał być zabity przez Trzepoczącego Orła, tak jak miłość Dolores O'Toole musiała być wyznana i tak samo jak studnia musiała być wypełniona. Koniec końców człowiek robi to, co jest do zrobienia, powiedział sobie i wstał, mrugając i poprawiając melonik.

Odłamał z trzaskiem ostatnią gałązkę, gdy nadbiegł Trzepoczący Orzeł.

Virgil Jones zebrał się na odwagę i powiedział:

- Panie Orle, czy wciąż jest pan zdecydowany wspiąć się na tę górę?

Trzepoczący Orzeł zatrzymał się, łapiąc oddech.

- Tak - odrzekł i chciał powiedzieć coś jeszcze, gdy Virgil dodał:

- W takim razie musi mi pan pozwolić, bym mu służył za przewodnika.

Były to tak nieoczekiwane słowa, że Trzepoczący Orzeł aż zaniemówił.

- Wygląda na to, że pani O'Toole nie czuje się najlepiej - powiedział wreszcie.

Gdy Virgil wszedł do chatki (sam - za radą Trzepoczącego Orła), Dolores O'Toole wciąż siedziała w skrzyni. Zobaczywszy go, podniosła się z okrzykiem radości.

- Virgil - powiedziała. - Tak się bałam.

- Tylko spokojnie, Dolores - rzekł bezradnie, zdając sobie sprawę ze swej hipokryzji.

Wygramoliła się ze skrzyni i podeszła do niego. Stała przed nim jak krucha szympansica.

- Nic się nie zmieni, prawda, Virgil? - zapytała.

Virgil Jones zamknął oczy.

- Dolores - powiedział - proszę, spróbuj zrozumieć. Muszę wejść na górę z panem Orłem. Muszę.

- Świetnie! - zawołała od razu, klaszcząc w ręce. - Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze.

Spojrzał na nią.

- Dolores - powiedział - słyszałaś, co mówię? Rano wyruszamy w drogę. Wyruszamy.

- Tak - odparta. - Wcześniej rano. Pójdziemy jak zwykle na plażę, ja zaniosę twój fotel, bo przecież jesteś niezdarnym krótkowidzem. Mój kochany.

- O boże - jęknął Virgil Jones.

- To nie pańska wina - powiedział na zewnątrz do Trzepoczącego Orta. - Proszę sobie niczego nie zarzucać. To wszystko przeze mnie. *Mea culpa*.

- Oczywiście zostanie pan z nią - rzekł Trzepoczący Orzeł.

- Nie - odparł Virgil Jones. - Jeśli to panu odpowiada, wyruszmy jutro rano.

Trzepoczący Orzeł nie mógł nie zapytać:

- Dlaczego, panie Jones? Dlaczego wybrał pan mnie?

Pan Jones uśmiechnął się krzywo.

- Drogi przyjacielu - powiedział - darowanemu koniowi nigdy nie zagląda się w zęby. Zna pan łacinę?

- Nie - odparł Trzepoczący Orzeł. - A raczej kilka słów.

- *Timere Danaos et dona ferentes* - powiedział pan Jones. - Rozumie pan?

- Nie - odrzekł Trzepoczący Orzeł.

- Może to i dobrze - stwierdził Virgil Jones - skoro mamy być przyjaciółmi.

SIEDEMNAŚCIE

By tego wieczoru nie denerwować Dolores, Trzepoczący Orzeł zjadł kolację samotnie, przy studni; przyniósł mu ją Virgil Jones. Był zbity z tropu: pojawiło się mnóstwo faktów, których nijak nie umiał powiązać - jakaś straszna historia, z której nie zdawał sobie sprawy i która sprawiła, że pan Jones podjął taką właśnie decyzję. Próbował zrozumieć to wszystko, lecz bez powodzenia; spróbował więc zasnąć - z powodzeniem.

Tymczasem Virgil Jones rozpaczliwie próbował przebić się przez mur, jaki powstał w umyśle Dolores.

- Pamiętasz Nicholasa Deggle'a? - zaczął.

- O tak - odparła Dolores zupełnie normalnym tonem. - Nie potrafiłam go polubić. Gdy zniknął, pomyślałam sobie: Deggle z wozu, koniom lżej.

- Nie zniknął, Dolores. Został wyrzucony. Więc słuchaj: gdyby przypadkiem wrócił, nie mów, że mnie znasz, dobrze?

- Dobrze, kochanie - powiedziała spokojnie. - Ale chyba ogłupiałeś. Przecież on cię zobaczy, na litość boską!

- Dolores! - wykrzyknął Virgil Jones. - Ja ruszam w drogę!

- Ja też cię kocham - odparła pani O'Toole.

Virgil potrząsnął bezradnie głową.

- Posłuchaj, Dolores - spróbował raz jeszcze. - Nicholas Deggle ma do mnie żal. Więc nie może się dowiedzieć, że cię kochałem... kocham. Dla twojego dobra.

- Skarbie - powiedziała pani O'Toole - chcę, żeby cały świat dowiedział się o naszej miłości. Chcę to wykrzyknąć na całą wyspę. Chcę...

- Dolores - przerwał jej Virgil Jones. - Przestań. Przestań.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że zostajesz - powiedziała. - I jestem z ciebie dumna.
- Dumna - powtórzył jak echo pan Jones.
- Och, tak - powiedziała. - Za to, że przepędziłeś to widmo z Grimusa. Świetnie się spisałeś. Teraz nic nie może się wydarzyć.
- Nie - zgodził się pan Jones, uznając swoją klęskę. - Nic.

Tej nocy Virgil Jones śnił o Liv. Wysokiej, pięknej, nieubłaganej Liv, która zniszczyła go tak dawno temu. Była samym jądrem wodnego wiru, a on leciał ku niej. Rozchyliła usta w przyjaznym uśmiechu i rozchyliła je coraz szerzej i szerzej i rozchyliła je i rozchyliła, a on leciał ku niej, a woda podniosła się, zakrywając mu głowę, a on pękł jak gałązka.

Nocą Trzepoczący Orzeł kilkakrotnie budził się ze snu, ponieważ ziemia, na której spał, była twarda i nierówna. Poczul, że swędzi go klatka piersiowa, i podrapał się leniwie; zapadając znów w sen, pomyślał sobie: Ta cholerna blizna.

Ta cholerna blizna czasami dawała mu się we znaki.

Znowu wtorek rano. Mgliście.

Virgila Jonesa zbudziło lekkie potrząśnięcie. Uśmiechnięta pani

O'Toole powiedziała:

- Czas wstawać, mój kochany.

Wstał. Z kołka na ścianie zdjął starą torbę i zaczął ją metodycznie napełniać owocami i warzywami.

- Co zrobisz z tym wszystkim na plaży? - spytała Dolores.

Nie odpowiedział.

- Będzie mi potrzebny twój pasek, kochanie - ciągnęła, starając się mówić słodkim głosem.

Ubierał się w milczeniu: czarny garnitur, melonik.

- Och. - Wydeła usta. - Jeśli zamierzasz się tak zachowywać, poradzę sobie sama. - Dźwignęła fotel na garb. - Chodź - zagruchała. - Już czas.

- Nie idę z tobą - odparł.

- W porządku, skarbie - powiedziała. - Pójdiesz tyłem, jak zwykle. Zobaczymy się na dole.

- Żegnaj, Dolores.

Wykuśtykała z chatki, z fotelem bujanym na plecach.

Spotkał się z Trzepoczącym Orłem przy studni. Indianin Axona zdążył obwiązać sobie głowę opaską, a z tyłu zatknął pióro.

- Strój ceremonialny - zażartował. Virgil Jones nie uśmiechnął się.

- Ruszajmy w drogę - powiedział.

Bujany fotel stał na plaży, tyłem do morza. Obok, na srebrnoszarych piaskach, siedziała Dolores O'Toole, śpiewając swe pieśni o żalobliwym spełnieniu.

- Och, Virgil - powiedziała. - Jestem bardzo, ale to bardzo szczęśliwa.

W lasach porastających zbocza Góry Cielęcej, na którą wspinał się gruby, niezdarne mężczyzna ze swoim wysokim, pierzastym towarzyszem, piórko i melonik, krocząc po szerokich ścieżkach, milczący i niewidzialny, obserwując ich i czekając, stał pewien Chupor.

OSIEMNAŚCIE

Planetę Chuporów nazywa się niekiedy Aimeiz. Krąży ona dookoła gwiazdy Skolon w galaktyce Agord Anczelm w Chuporskim Wiszewśatchu. Stanowi ona główny element strefy określanej mianem Chuporskich Endymionów.

Obsesja Chuporów na punkcie anagramów obejmuje zarówno zabawy polegające na zwykłym przestawianiu form słownych aż do wyśrubowanego poziomu Boskiej Gry Porządku. Owa Gra jednak wykracza poza zwykłe zabawy słowne; niewyobrażalnie wielkie zdolności umysłowe pozwalają Chuporom zmieniać anagramatycznie swe bezpośrednie otoczenie, a nawet swój wygląd fizyczny - rzecz jasna w surowych granicach narzucanych im przez nieco groteskową materię, z której są zbudowani. Zasady Gry noszą nazwę Anagramatyki; a największym marzeniem każdego żyjącego Chupora jest uzyskanie tytułu *Magister Anagrammaticus*.

Określenie „żyjącego” jest dość kłopotliwe, Chuporowie bowiem nie należą do żadnej ze znanych nam form życia. Nie potrzebują żywności, wody, atmosfery i mają jedno tylko, niepojęte, narzędzie zmysłowe, odbierające wrażenia wzrokowe, słuchowe, dotykowe, smakowe, zapachowe i jeszcze mnóstwo innych - jest to coś w rodzaju aury czy emanacji otaczającej ich ogromne, twarde, bezużyteczne ciała.

Żeby nie było żadnych wątpliwości: Chuporowie najbardziej ze wszystkiego przypominają gigantyczne, bezokie żaby, obdarzone pewną osobliwą cechą: całe ciało mają z kamienia.

Początki ich giną w mrokach dziejów; być może jakiś rodzaj promieniowania, natrafiając na ich obecnie jałową planetę, stworzył ze skał te arcydzieła inteligencji, więząc je

tragiironicznie w niemal całkowitym bezruchu i zupełnym odosobnieniu. Na tym bowiem polega tragedia Chuporów: nie tylko na Aimeiz, lecz i na całych Endymionach nie występują żadne formy życia. Nie skaczą tam żadne zwierzęta, a żadne rośliny nie poruszają się na wietrze, zwłaszcza że nie ma tam żadnego wiatru, który mógłby nimi poruszać.

Z tego właśnie powodu przez wiele tysięcy Chuporowie nie potrafili ocenić stopnia zaawansowania swojej kultury, gdyż brakowało im jakiegokolwiek skali porównawczej. W rezultacie wytworzyła się swoista filozoficzna paranoja. Najwyższy Mistrz Gry, sam Abaż, zadał przesławne Pytanie Abaża: „Czyżbyśmy byli najmniej inteligentną rasą w naszych Endymionach?” - wyraz filozofii beznadziei: ten, kto jest niepowtarzalny, jest zarazem największy i najmniejszy. Wspomniany przez nas Chupor, ten, który z zaciekawieniem śledził marszrutę Trzepoczącego Orła i Virgila Jonesa, szczyił się Uporządkowaniem tego ostatniego i najślynniejszego z Pytań. Przeformułował je zatem zupełnie, aż ułożył tę oto dyrektywę: „Ustalmy, jakim katalizatorem jest elita; wykorzystajmy nasz talent i płał poznawczy”. Jest to wspaniały przykład Anagramatyki, gdyż nie tylko nawiązuje do przesławnego Pytania Kardynalnego, lecz również wzbogaca o pojęcie elityzmu i jego pożądalności, pojęcie katalizy i jej pochodzenia oraz instrukcję, jak na nie odpowiedzieć. Dla Chuporów „talent” oznacza tylko jedno: zręczność w Porządkowaniu. Zatem ta sama zręczność, która sprawiła, że zadano Pytanie Kardynalne, musi zostać użyta przy jego rozwiązaniu, za pomocą płata poznawczego, niewyczerpanej krypty pamięci umożliwiającej temu gatunkowi nieustanny dostęp do wszystkiego, co się kiedykolwiek przydarzyło każdemu Chuporowi.

Można powiedzieć, że uzyskanie przez naszego Chupora tytułu *Magister Anagrammaticus* oraz wiążący się z tym umiarkowany entuzjazm pobratymców (Chuporowie są dość powściągliwi) przewróciły mu nieco w głowie (choć, ściśle mówiąc, jej nie miał).

Należy podkreślić, że Chuporowie nie stworzyli żadnej konwencjonalnej technologii; Boska Gra w zupełności im wystarczała, zastępując zarówno naukę, jak i sztukę. W ich filozofii - jak widać z powyższych przykładów - przedkładano pytania nad odpowiedzi; gdyż jeśli nawet Uporządkowanie Pytania Abaży dokonane przez naszego Chupora wskazywało, jak szukać odpowiedzi, zdawał on sobie doskonale sprawę, że dalsze Uporządkowania mogą położyć kres jego dociekaniom. Jednakże nasz Chupor, upojony sukcesem, zmierzał teraz w stronę herezji. Do tego stopnia rozwinął pewną pomniejszą gałąź Boskiej Gry, że zaczęła ona w końcu zagrażać samej Grze. Ponadto Chuporowie mogli się wreszcie porównać z innymi cywilizacjami i ocenić, czy należą do

Owa pomniejsza gałąź nosiła nazwę Konceptualizmu. Chyba najlepszą jej definicję stanowi jedno z rzadkich Twierdzeń Abaży: „Myślę o tym, więc to istnieje”. Nasz Chupor pierwszy dostrzegł niewyobrażalne implikacje tego twierdzenia. Abaż chciał przez to po prostu powiedzieć, że żaden obiekt obserwacji nie może istnieć bez poznającego umysłu, który postrzega jego istnienie. Nasz Chupor natomiast rozszerzył to twierdzenie, oznajmiając, że skoro taki umysł może sobie coś wyobrazić, „więc to coś musi istnieć”. Podążył zatem tym szlakiem, wyobrażając sobie możliwość istnienia innych Endymionów: innych Endymionów, na których istnieją inne formy życia. Chuporowie nie byli pewni, czy mają wiwatować, czy rzucać kamieniami. Prysło dotychczasowe poczucie bezpieczeństwa. Wygodny, choć melancholijny okres izolacji raptownie dobiegał

Aby uśmierzyć obawy swoich pobratymców, nasz Chupor przeszedł do konceptualizacji Przedmiotu. Przedmiot miałby istnieć w każdym możliwym Endymionie, a ruch między poszczególnymi Endymionami możliwy byłby tylko poprzez kontakt z Przedmiotami. Dzięki temu Chuporowie mogliby do pewnego stopnia panować nad tą nową Ideą.

Dzięki takiemu właśnie Przedmiotowi możliwy był kontakt naszego Chupora z Grimusem. I z Wyspą Cielecą. Aby ją bezkarnie obserwować, wydał Rozkaz swojemu nikczemnemu ciału, by stało się niewidzialne. I obserwował.

Obserwując niełatwą wspinaczkę pana Jonesa i Trzepoczącego Orła, czuł, że narasta w nim podniecenie. Jego aura, pod wpływem przyjemności, weszła w fazę pozytywnych drgań. Powód zaś był następujący: gdy tylko przybył na Wyspę Cielecą, wyczuł, że brakuje pewnego kluczowego ogniwa, składnika, który mógłby ustabilizować strukturę tego miejsca. Dostrzegłby je każdy Chupor: jednym z podstawowych etapów Boskiej Gry było osiągnięcie pewności co do posiadanych składników. W rękach Mistrza ta pewność stawała się instynktowna, dlatego nasz Chupor wiedział, patrząc na Trzepoczącego Orła, że to właśnie ten człowiek jest owym brakującym ogniwem. Że rezultatem tej podróży będzie również zakończenie Porządkowania tej wyspy oraz góry. Nie mógł się

Jedyną wadą naszego Chupora było to, że lubił wtykać nos w nie swoje sprawy (choć go, ściśle mówiąc, nie miał). Długie lata Porządkowania rozbudziły w nim gorącą namiętność do tej czynności. Do tej pory, przebywając na Wyspie Cielecej, skutecznie odpierał tę pokusę, jednak teraz, gdy zbliżały się owe wielkie wydarzenia, na które wyspa (nieświadomie) czekała, stwierdził, że ma powód, by w Argumentował to sobie następująco:

Tylko będąc Grimusem, można by sobie w pełni uświadamiać, co się dzieje na Wyspie Cielecej.

Rzecz jasna jeśli nie jest się Chuporem.

Skoro zaś świadomość jest stanem dynamicznym (to znaczy, że trzeba wybierać, czy działać czy nie działać zgodnie z posiadaną wiedzą, a nawet decyzja o zaniechaniu działania też jest działaniem), to przywilejem, ba, nawet obowiązkiem, istot świadomych jest działać i w miarę możliwości wpływać na bieg wydarzeń.

Zatem każdy Chupor na Wyspie Cielecej, Chupor posiadający taką właśnie wiedzę, Chupor taki jak on, postąpiłby jak najbardziej właściwie, podejmując działania, które uważałby za słuszne.

Chupor pokiwał radośnie głową (której nie miał). Liczył bowiem na to, że jeszcze przed Ostatecznym Uporządkowaniem czeka go prawdziwa przyjemność: miał nadzieję, że Trzepoczącego Orła powali straszliwa, nierzadko śmiertelna Gorączka Endymionowa.

Rzecz jasna, powiedział sobie, będę musiał być bardzo ostrożny.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Gęsty las, mroczny jak grób. Gdzieś tam, z tyłu, zostało złamane, samotne serce Dolores O'Toole, porzucone przez miłość w chwili, gdy pozwoliło się jej opanować; przed nimi zaś Ch. i to, co ono z sobą niosło. A między jednym i drugim niegościnnie zbocza Lasu Cielęcego. Trzepoczącego Orła pobudzało do działania tylko jedno: widmo Ptako-Psa. Widział oczyma duszy, jak odchodzi, trzymając się za rękę z tajemniczym panem Sisypem. Bardzo chciał wiedzieć, co pobudza do działania Virgila Jonesa.

Słaby jęk gdzieś w zakamarku jego czaszki. Zdawało mu się, że w miarę wspinaczki przybiera na sile. Patrząc na Virgila Jonesa, miał wrażenie, że on niczego nie słyszy. Miał minę człowieka, który usiłuje sobie przypomnieć stare nawyki.

- Tak, tak - mruczał co rusz pod nosem, przedzierając się przez gęste zarośla. - A niech to szlag! - klął czasami i krył twarz w dłoniach, wspominając coś lub rozpamiętując. Później otrząsał się gwałtownie z zamyślenia i parł przed siebie jak zraniony bawół. Trzepoczący Orzeł szedł za nim krok w krok. I tak oto wytyczali błędny szlak przez gęste poszycie stoków góry.

Jęk nie ustawał. Czyżby coś było nie tak z jego uszami? Czy tylko dlatego jęk wydawał się coraz głośniejszy, że o nim myślał? W przypływie rozpaczliwej uderzył się dłonią w głowę. Przez chwilę nie mógł się oprzeć wrażeniu, że las jest jedną, wielką, nieprzeniknioną ścianą, która otacza go i zamyka. Zamrugał i wrażenie minęło; ponownie stał na ledwo widocznej ścieżce.

Virgil Jones wpatrywał się weń uważnie.

- Dlaczego pan krzyknął? - spytał.

- O co panu chodzi? - odpowiedział pytaniem Trzepoczący Orzeł.
- Nie słyszał pan samego siebie?
- Z całą pewnością nie - odrzekł z irytacją Trzepoczący Orzeł. - Czy to jakiś żart?
- Nie, nie, zapewniam pana - powiedział Virgil Jones. - Czy pan coś słyszy? Taki dziwny, wysoki gwizd?
- Tak - odparł Trzepoczący Orzeł, czując narastającą panikę.
- To dobrze - powiedział Virgil Jones. - Niestety, mój słuch, podobnie zresztą jak wzrok, pozostawia nieco do życzenia, zwłaszcza w górnych rejestrach. Chodzi o to, że wkraczamy w strefę Efektu. Odtąd jest niezmiernie ważne, byśmy z sobą rozmawiali.
- Jakiego efektu? - spytał Trzepoczący Orzeł. - I o czym mamy rozmawiać?
- O wszystkim z wyjątkiem Efektu - odrzekł Virgil Jones. - Teraz nie czas na wyjaśnienia. Niech pan robi, co mówię. Milczenie może mieć groźne reperkusje.
Trzepoczącemu Ortu cisnęły się na usta dziesiątki pytań, lecz przygryzł język i postanowił słuchać rad pana Jonesa.
- A Dolores? - zapytał. - Czy się jej polepszy?
- Mam nadzieję, że tak - odparł pan Jones. - Naprawdę mam taką nadzieję.
Krótkie milczenie; po czym z pana Jonesa wylał się potok słów:
- Słyszał pan tę historię, jak to pewna prostytutka do prowadziła kiedyś do wybuchu wojny domowej w naszym kraju? Nazywała się Polly Adams...
Lecz Trzepoczący Orzeł nie słuchał. Jego myśli krążyły wokół Ptako-Psa, motywów pana Jonesa, gęstego lasu, po którym się błąkali, tego jęku w uszach, jęku, który nieustannie przybierał na sile...
Virgil Jones krzychał mu prosto do ucha:
- Zagadka dla pana, panie Orle! Niech pan słucha: dla czego Irlandczyk nakłada trzy prezerwatywy?!
Słabość. Choroba. Trzepoczący Orzeł czuł, że oba te zjawiska,

jednakowo mu dotąd obce, zalewają go teraz jak fale, które wyrzuciły go na brzeg Wyspy Cielecej. Raz jeszcze poczuł, że opanowuje go to samo uczucie niepojętego oderwania, którego doświadczył na łodzi, zanim stracił przytomność. Nogi miał miękkie; coraz trudniej przychodziło mu stać; wspinaczka stała się niemożliwa. Zatrzymał się. Czuł, że twarz mu płonie. Jęk potężniał z każdą chwilą.

- Nie wiem, panie Jones - odparł słabym głosem. - Nie wiem, dlaczego Irlandczyk nakłada trzy...

Coś niedobrego działo się z jego wzrokiem: Virgil wydawał się oddalony od niego o milę, a jego ręka wyciągała się długą, węzową macką na wiele lat świetlnych. Trzepoczący Orzeł zrobił instynktowny unik i upadł. W kościach czuł chłód. Czoło miał teraz lodowato zimne. Dudniący głos pana Jonesa przebijał się przez rozlegający się wokół jęk.

- Proszę się nie martwić! - krzyczał Virgil Jones. - To tylko niegroźny atak Gorączki Wymiarowej, nic więcej. Wyciągniemy pana z tego... - Słowa odbijały się echem i ginęły.

Gorączka Wymiarowa: cóż to takiego? W Trzepoczącym Orle wzbierała wściekłość, że nikt go o niczym nie uprzedził, czuł przy tym, że wzrok mu się poprawia. Ujrzał Virgila Jonesa, który pochylał się nad nim z troską.

- W ciemnościach jest znacznie gorzej! - krzyczał. - Wyprowadzę pana na polanę! Niech pan się próbuje skupić na moim głosie! Będę cały czas mówił! Światło dzienne pomaga: odpędza potwory!

- Potwory... - powtórzył Trzepoczący Orzeł słabym głosem.

- One wyłaniają się z pańskiego wnętrza! - mówił Virgil Jones. - Wnętrza... -(Jego głos słabł, ginął.)

Trzepoczący Orzeł poczuł, że się gubi. Wróciły problemy ze wzrokiem.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć! - ryczał Virgil przez długi tunel. - Żeby zrozumieć, trzeba to przeżyć! Proszę słuchać mojego głosu! Proszę słuchać tylko mojego głosu!

Trzepoczącego Orła opadł lęk, lęk zdrowego człowieka przed nieznaną chorobą. Czuł, że słabnie w nim początkowe

zdecydowanie. Co on właściwie tutaj robi? Cóż za diabelstwo go opanowało? Dlaczego po prostu nie popełnił samobójstwa, gdy nadarzała się sposobność? A może już nie żyje? Tak, nie żyje. Utonął wówczas w łodzi, teraz jest w piekle, Virgil Jones jest demonem, a to wszystko to jakaś piekielna tortura. Tak, jest nieżywy.

O tak, pamiętam, pamiętam: byłem kiedyś Trzepoczącym Orłem. A gdy opanowało mnie nieznane, postradałem zmysły. Halucynacje... początkowo brałem je za halucynacje, lecz rychło nabrałem pewności, że to absolutna rzeczywistość, a jak we śnie dobiegł mnie głos Virgila Jonesa. Świat wywrócił się do góry nogami, wspinając się na górę, schodziłem w piekielną otchłań, wchodząc w głąb siebie.

Scena, którą widziałem, zdawała się nieruchomieć; przechodziła miriady przeobrażeń, podczas których zmieniały się barwy, drzewa stawały się żywymi istotami, ziemia przeistaczała się w płyn, a niebo - w ciało stałe, trawy przemawiały, a kwiaty grały muzykę. Podczas niektórych przeistoczeń Virgil Jones całkiem zniknął; podczas innych jawił się jako ropiejące monstrum. Podczas innych był martwy. Podczas innych dobiegał mnie jego głos: przemawiał do mnie, lejąc w moje uszy porady i słowa pocieszenia. Był to chrzest ogniowy.

Virgil Jones i ja: dziwaczne stadło. On: człowiek wypalony, skorupa własnej przeszłości, czerpiący pewność z wiedzy o wielkiej porażce, i ja: człowiek nie dokończony, poszukujący wiedzy o umieraniu, która mnie dopełni, poszukujący swej twarzy w oczach śmierci. Z powodów, które zrozumiałem znacznie później, kochał mnie jak syna, jak ostatniego żyjącego syna; a gdy gorączka minęła i wydobrałem, też zacząłem go kochać, choć kochałem go źle i niewystarczająco. Pielęgnował mnie zatem, wyciągnął na polanę, choć byłem miękki jak guma i nieprzytomny, mówiąc do mnie, cały czas do mnie mówiąc, by odciągnąć moją uwagę od niszczących działań Efektu. Mrok panował taki, że zobaczyłem go, dopiero gdy dotarliśmy na polanę. Tam jego głos dodał mi siły. Gdy podszedł do m Virgil Jones: dusza bez przyszłości, która pomagała mi

dotrzeć do mojej, która zostawiła Dolores, swój smutek i swoją miłość, zmierzając tam, skąd dawno uciekła. Mężny człowiek.

Przeżyć Gorączkę Wymiarową znaczy porzucić pytanie „dlaczego”. A mimo to, przed końcem, miałem odpowiedź na wszystkie nie opowiedziane „dlaczego” i jeszcze na kilka nie zadanych.

Gdy Virgil Jones dociągnął Trzepoczącego Orła na polanę, powiedział:

- Mój ty przyjacielu. Żałuję, że padło właśnie na pana. Grimus mawiał, że w tym lesie człowiek albo się zgubi, albo się odnajdzie. Na tym właśnie polega różnica między mną a panem. Ja mogę tylko stracić.

Panie Orle - ciągnął - jest pan człowiekiem, który nic o sobie nie wie. To pańska słabość, a zarazem siła. Zanim człowiek pozna sam siebie, przepelnia go optymizm płynący z ignorancji. Rzecz jasna dzięki temu można ocalić życie. Zyskawszy tę wiedzę, człowiek musi spojrzeć w oczy przerażającej prawdzie o sobie i własnych uczynkach... człowiek taki może wywierać ogromny wpływ na otaczający go świat; musi też jednak ponosić konsekwencje, przystać na poczucie winy...

Gdy wreszcie dotarli na polanę, Virgil Jones usiadł, położył sobie głowę Trzepoczącego Orła na kolanach i z roztargnieniem podał rozwiązanie własnej zagadki:

- Irlandczyk nakłada trzy prezerwatywy dla pewności, dla pewności, dla pewności.

W duchu zaś dodał:

A teraz, panie Jones, przekonamy się, czy potrafi pan być przewodnikiem.

DWADZIEŚCIA

Ptako-Pies, wymachując kością, mówiła:

- Spójrz, braciszku. Spójrz. Mam dla ciebie kość. Dobry piesek. To niezwykajna kość. Kość miasteczka Ch. Bierz. Idź ją gdzieś zakop.

- Ptako-Psie - powiedział powoli Trzepoczący Orzeł - czy to ty?

Stała z szyderczą miną na skale, przytupując prawą nogą i obracając się dookoła. Cisnęła mu kość, która bezbłędnie trafiła do jego dłoni. Ze szczeliny w kości wyrosła róża. Wepchnął ją do

Leżała z szyderczą miną na skale, zadzierając swą poszarpaną suknię aż do pasa, rozkładając nogi i wyginając plecy w łuk.

- Chodź no, braciszku - powiedziała. - Chodź ją zagrzebać.

Zaczął się ku niej czołgać bezwolnie, a im bardziej się zbliżał, tym większa się robiła. Gdy znalazł się od niej o jakieś sto jardów, zdało mu się, że jest wielka jak koń. Między jej nogami ział ogromny otwór, porastające go włosy były grube jak liny. Dziesięć jardów. Była już domem, jaskinią, czerwoną i pulsującą mu przed oczami za zasłoną włosów. Dobiegał go jej huczący głos:

- Na co ten opór? - mówiła. - Poddaj się, braciszku. Wchodź tutaj. Poddaj się. Wchodź. Poddaj się.

Wczołgał się do jaskini. Zasłona zamknęła się za nim, odcinając dopływ światła.

Wewnątrz... ciemnoczerwonawy blask. I znowu ona, uciekająca Ptako-Pies, pędząca gdzieś do swoich głębi, piszcząca z dziecięcej uciechy.

- Głupiutki braciszku, nie złapiesz mnie! - krzyknęła,

znikając za zakrętem. Brakowało mu jeszcze sił, by za nią gonić. Wstał. I wtedy usłyszał głos Virgila Jonesa.

- Problem z Grimusem polega na tym - mówił głos - że nie potrafi on zapanować nad Efektem, którego pole robi się coraz silniejsze. Będzie się pan musiał stopniowo do tego przyzwyczaić. Panować nad myślami. Powoli. Nie można się gorączkować. Wymiary Wewnętrzne to bardzo odludne miejsca. Rzec można, wszyscy tworzymy własne wymiary. To dosyć przerażające: każdy człowiek jest swoim wszechświatem. Chyba może pan sobie wyobrazić skutek. Ludzie wariują. Na tym polega tragedia Ch. Wszyscy tam umierają ze strachu. Ja sam byłem kiedyś w takim samym stanie, ale niewiele już z tego zostało. Całkiem jak stary ojciec William, co? To taki żarcik. Czy wolno mi przedstawić panu pewną teorię? Otóż mój znajomy w Ch., którego niedługo pan pozna, uważa się za filozofa. Ignatius Gribb, Ignatius Q. Gribb. Q od Quasimodo. Niech pan pomyśli: I. Q. Gribb. Nigdy nie wiedziałem, czy te inicjały to dowód poczucia humoru Gribba, czyjego rodziców. Otóż zwykł on mawiać: ludzie nie są żywi. Jesteśmy Skorupami, a w otaczającym nas eterze unoszą się tak zwane Formy. Na przykład emocje, argumenty i tak dalej. Wypełniają nas przez chwilę, potem opuszczają, robiąc miejsce następnym. W pewnym sensie to bardzo zgrabna teoria. Tłumaczy nielogiczność niektórych ludzkich zachowań. Zmiany nastroju itepe. Oczywiście wymiary zupełnie to rozsadzają. W tych przesunięciach między wymiarami jedyną stałą jest nasza świadomość. Jednak pan Gribb za wszelką cenę stara się ignorować wymiary. A one są naprawdę przerażające. Niech pan pracuje nad swoją świadomością, panie Orle, to jedyne wyjście. Nic trudnego. Dla chcącego. To jedyne, nad czym może pan zapanować.

Głos znowu umilkł.

Trzepoczący Orzeł wziął głęboki oddech, zamknął oczy, otworzył oczy i spróbował ustalić, gdzie właściwie się znajduje.

Zupełnie jakby stał w pianie. Ugięła się pod nim, zapadały mu się w nią stopy. Miękka, wilgotna, czerwona piana.

Czerwień - oznacza światło. Skoro jest kolor, jest i światło, lecz źródła tego światła nigdzie nie było widać. A mimo to było, słabe, rozproszone, lecz było. Zaniechał poszukiwań.

Odwrócił się, by spojrzeć w stronę wejścia. Już go tam nie było. Krótka, klaustrofobiczna groza, potem spokój, pomimo starożytnego zdania, które rozrastało się w jego głowie, aż wreszcie przyjęło ostateczny kształt: „Jonasz w brzuchu wieloryba”.

W sytych cywilizacjach instynkt samozachowawczy przetrwał w formie szczątkowej; w perypatetycznej naturze Trzepoczącego Orła był on w pełni rozwinięty, choć nieco uspijony przez świadomość nieśmiertelności. Teraz, gdy wydarzenia rzuciły go w świat, który wedle świadectwa jego zmysłów nie mógł istnieć, lecz który - wedle świadectwa tychże zmysłów - jednak istniał, instynkt ów przejął nad nim kontrolę. Sprawował ją nader fizycznie. Trzepoczący Orzeł przestrzegał siebie jak rzecz, będącą całkowicie nim samym, lecz zarazem nie-nim-samym, w pełni panując nad jej władzami umysłowymi i zgrzytając za nią zębami. Był to prosty, choć najważniejszy autorokaz: przetrwać to wszystko. Siła jego woli zdumiewała go, zarazem sprawiając coś na kształt przyjemności. *In extremis veritas.*

DLA CHCĄCEGO. Zdał sobie sprawę ze swej siły, zrozumiał, co mówił mu Virgil Jones. Oto była droga wyjścia, pod warunkiem że wystarczy mu siły woli.

Zaczął więc ćwiczyć. Podczas pierwszej próby z podłoża tego miejsca wyrosła róża (cały czas nie dopuszczał do świadomości, że są to wnętrzności jego siostry, zwłaszcza że widział, jak Ptako-Pies znika w czeluściach mięsistego korytarza). Róża zwiędła niemal natychmiast. Przemyślał to i natychmiast wyrosła druga. Tym razem nic nie wskazywało na to, że zwiędnie.

Spojrzał na podłoże, które natychmiast stwardniało. Pokrywał je dywan, jedwabny, ręcznie tkany dywan, pośrodku którego

widniało wielkie Oko. Wykorzystał je, by stworzyć okna. Spoglądało na czerwone ściany, aż wszystko poukładało się jak należy.

Był to całkiem elegancki pokój, mimo że czerwień na ścianach była cokolwiek zbyt jaskrawa. Poczul się niemal dumny.

Na zewnątrz powoli formowała się Góra Cielęca. Udało mu się ujrzeć polanę, otaczającą ją las, a przez krótką chwilę widział nawet Virgila Jonesa, który podszedł tak blisko do jednego z okien, że jego mięsista twarz całkiem je zasłoniła. W ścianie były drzwi, z hebanową klamką; wystarczy je otworzyć i wyjść na zewnątrz, a wszystko będzie dobrze. Panowanie nad Wymiarami nie należy do trudnych zadań, pod warunkiem że człowiek wie, co robi, powiedział sobie buńczucznie. Zdawało mu się nawet, że pan Jones patrzy na niego z szacunkiem.

Chupor był rozczarowany. Podłączył się pod jaźń Trzepoczącego Orła, używając pasożytniczej techniki komunikacji stosowanej przez Chuporów, i naturalnie nastawił się na długie, rozkoszne Mieszanie Endymionów, stanowiące jeden z przyjemniejszych elementów Boskiej Gry. Trzepoczący Orzeł jednak wykazał wręcz wyjątkową zręczność w kontrolowaniu Endymionów.

Nasz Chupor postanowił zatem poczynić pewne kroki. Ostateczne Uporządkowanie wyspy mogło sobie jeszcze trochę poczekać... Gdy Trzepoczący Orzeł sięgnął wreszcie do klamki, stwierdził, że cały pokój zaczyna się rozpyływać. Ten wstrząs zburzył jego świeżą pewność siebie. Zapadł zmrok. Przez moment stał, nic nie widząc, i czuł, że kręci mu się w głowie. Świat zdawał się gwałtownie wirować. Gdy wszystko się uspokoiło, tuż przed nim siedzieli w kukki Abisyńcy.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Taniec pełni rozliczne funkcje. W wymiarze społecznym służy do przełamywania lodów, w wymiarze rytualnym - do rozpędzania chmur. Stanowi zarówno wyraz namiętności, jak i nienawiści. Gwiazdy tańczą w oczach młodych dziewcząt, a śmierć tańczy ze swoją niechętną rodziną. W sercu pewnego lasu, pokryty cętkami zielonego światła padającego z roztańczonych liści, pewien gruby człowiek o nagim ciele i ponurym wyrazie twarzy, człowiek zwany Virgilem Jonesem, tańcem próbował wyblagać życie dla swego nowego przyjaciela.

Przyjacieli: powtarzał sobie to słowo miliony razy, szeptał je do ucha nieprzytomnego Trzepoczącego Orła, by dać mu siłę.

- Ty jesteś brzytwą, Trzepoczący Orle - mówił. - A ja tonącym.

Ostatnią szansę, podobnie jak pierwszą, ma się tylko raz. Virgil Jones był przekonany, że stoi przed ostatnią szansą. Ostatnią szansą, by coś zrobić, by pomóc, odpokutować za swe winy i bezużyteczność, które niszczyły go od środka; szansą, by coś ocalić zamiast niszczyć.

Człowiek żyjący w znośnych warunkach pośród przerażającej nędzy po pewnym czasie uczy się nie dostrzegać tego trzęsawiska beznadziei. Jest to normalny mechanizm umożliwiający przetrwanie. W podobny sposób Virgil Jones nie dopuszczał do siebie przeszłości. Zszedł z góry i wymazał z pamięci te wszystkie potworności, przed którymi uciekał. Choć pozostały zamknięte w jego głowie, on ich nie widział.

Teraz, dla dobra Trzepoczącego Orła, otworzył bramy więzienia, skąd - niczym z puszek Pandory - wylała się struga nieokiełzanych

elfów pamięci, drażniąc go boleśnie. Zdążył zapomnieć o bólu: wewnętrzne odrętwienie trwało już zbyt długo.

Początkowo wydawało mu się, że Trzepoczący Orzeł jest dostatecznie silny i że dzięki podróżom nabrał odporności umożliwiającej mu samodzielne przejście przez Wymiary (zapomniał jednak o ich niszczącej potędze). I rzeczywiście, oczy Trzepoczącego Orła zabłyśły na moment i niemal udało mu się oderwać swe myśli od siebie; nie był jednak dość silny, pozostało więc tylko jedno wyjście.

Virgil Jones musiał tam wejść, wkroczyć w wymiar umysłu innego człowieka, bardziej nawet niebezpiecznego niż on, i go stamtąd wyprowadzić. Gdyby tego zaniechał, skutek byłby oczywisty. Mózg Trzepoczącego Orła by się przegrzał i w końcu wypalił, zapewne już nieodwracalnie. To samo stało się z umysłem Virgila Jonesa, który o mało nie zniszczył sam siebie. Tak oto wąż gryzący własny ogon miał się wreszcie położyć.

A wszystko to dlatego, że światy uwolnione w jego głowie przez Górę Cielecą i jej Efekt nie były zjawami. Były jak najbardziej realne. Mogły uderzać i ranić.

Virgil Jones siedział cały wiek, wracając myślami do swoich przeszłych cierpień, kiedy to podróżował przez Wymiary, zanim jeszcze Efekt stał się tak potężny, że nie mógł dać sobie z nim rady, gdy usiłował zdobyć tak bardzo potrzebną mu wiedzę. Kołatało mu w głowie, że kiedyś przecież to wiedział; że podczas jednej z wędrówek spotkał kogoś - kogo? - kto znał technikę wchodzenia w umysł innej istoty żywej.

Virgil Jones nigdy nie opowiadał Trzepoczącemu Orłu o swoich peregrynacjach. Był czas, że owe międzywymiarowe podróże sprawiały mu niekłamaną przyjemność. Odbywał wyprawy do rozmaitych kontinuumów: realnego, fizycznego i alternatywnego przestrzenno-czasowego. Były tak bliskie, a jednak odległe o wieczność. Była jeszcze jego unicestwiająca podróż do Wymiarów Wewnętrznych, przypominających to internalne inferno niczym imadło ściskające

Trzepoczącego Orła, które zostawiło w nim pustkę i niemoc i które cudem tylko przeżył. I był jeszcze trzeci rodzaj.

Coś jakby most łączący te dwa pierwsze rodzaje.

Virgil Jones odkrył, że odpowiednio wysilając wyobraźnię, potrafi stwarzać światy - fizyczne, zewnętrzne, nie będące ani przejawem jego samego, ani wszechświatem palimpsestem.

Wyobrażenia, w których może żyć człowiek.

W owych dniach pan Jones był człowiekiem obdarzonym niezmiernie bujną wyobraźnią.

Przedarł się z wysiłkiem przez gąszcz nieznośnych wspomnień o chwili, w której się załamał, gdy ta moc, zamieniona w potwora, zaatakowała go, przesywając jego umysł, po czym odetchnął z ulgą. Uśmiechnął się. Cóż za światy dane mu było oglądać! Jakich rzeczy dane mu było się nauczyć! Wspomniatł z podziwem techniki seksualne Ydjców, instynktowną logikę genialnych geniuszy z Poli XI, tonalne rzeźbiarstwo Aurelionów. Ból już minął, on zaś minął blokadę, odgrzebując swą historię z upodobaniem prawdziwego archeologa. I tak oto wreszcie doszedł do czasów, gdy zjawił się wśród Spiralnych Tancerzy.

Pewne rodzaje nauki aspirują do rangi poezji. Na planecie Spiralnych Tancerzy w wyniku wielowiekowych wysiłków naukowcy- poeci doprowadzili pewną gałąź fizyki do postaci wysoce symbolicznej religii. Naukowcy ci badali materię, dzieląc ją na coraz to mniejsze elementy, aż wreszcie, dotarłszy do dna, odkryli tam czysty, piękny taniec życia. Była to harmonia rzeczy nieskończenie drobnych, gdzie materia i energia poruszały się niczym ciała płynne. Pola energii łączyły się wdzięcznie, tworząc w punkcie styku „skurcz”, czyli materię. Owe skurcze łączyły się w większe skurcze albo rozpadały się na czystą energię, zgodnie z zasadami wielce sformalizowanego, spiralnego rytmu.

Gdy owe skurcze były połączone, tańczyły Taniec Siły. Gdy się natomiast rozpadały, powracając do Stanu Pierwotnego, tańczyły Taniec Słabości.

Po tym odkryciu powstała religia Spiralnej Jedności. Skoro wszystko jest energią, wszystko jest tym samym. Istota myśląca i stół są jedynie przejawami tej samej siły. Zostało to udowodnione

Głównym rytuałem w tej religii, powstałym dopiero w rezultacie prowadzonych przez całe stulecie badań naukowych nad możliwościami zastosowania Teorii, był Spiralny Taniec. Było to ćwiczenie fizyczne oparte na pierwotnych rytmach, a celem jego było umożliwienie osiągnięcia stanu fundamentalnej perfekcji wszystkim pokornym i niedoskonałym istotom żywym. Tańcz ów taniec, a doznasz zjednoczenia z otaczającą cię zewsząd Jednością.

Virgil Jones wstał.

Zdjął swoją starą, ciemną marynarkę. I swoje ciemne spodnie. I swoją starą, ciemną kamizelkę ze złotą dewizką bez zegarka.

Z głowy zdjął melonik, a wszystkie te rzeczy, razem z bielizną, złożył równiutko na wyprostowanym ciele Trzepoczącego Orła, gdzie miały nie przeszkadzać.

I nie zważając na protestujące odciski, zaczął tańczyć.

Naszego Chupora, podłączonego pod umysł Trzepoczącego Orła (co było znacznie łatwiejsze niż podłączenie się pod pana Jonesa), czekała teraz niespodzianka.

Pan Jones krążył powoli wokół ciała Trzepoczącego Orła, bucząc pod nosem w niskich rejestrach. Jednocześnie obracał się wokół własnej osi, wybijając stopami regularny rytm. Po chwili przestało mu się kręcić w głowie. Jeszcze chwila i nie musiał nawet myśleć o tym, co robi. Jego ciało przejęło ster, prowadząc go krętą ścieżką jak po sznurku. Z czasem przestał być świadomy czegokolwiek - otoczenia, ciała, wszystkiego - z wyjątkiem owego niskiego dźwięku, który zawisł wokół niego niczym kurtyna. Potem dźwięk ustał (choć jego struny głosowe w dalszym ciągu go wydawały) i na ułamek

sekundy pan Jones przestał być nawet świadomy tego, że istnieje. W tym właśnie momencie „fale” Trzepoczącego Orła nałożyły się na jego własne, a Virgil Jones natychmiast dostroił się do jego cierpiącego umysłu. Przebywając w odpowiednim wymiarze, dostrzeżlibyście, że ich ciała otacza cieniutka mgła, przypominająca woalkę.

Virgil Jones ruszył na pomoc.

DWADZIEŚCIA DWA

Chupor był zadowolony z zagadki, którą zadał Trzepoczącemu Ortu. Doszedłszy do konkluzji, że przyczyną niemal całkowitej odporności Amerindian na Gorączkę Wymiarową jest czasowy paraliż wyobraźni, Mistrz Porządkowania postanowił zapełnić ową lukę za pomocą własnej wyobraźni. Ułożona przezeń łamigłówka była szczególnie zadowalająca z uwagi na to, że zarówno wszystkie jej elementy, jak i rozwiązanie zaczerpnął ze wspomnień Trzepoczącego Orła; była to więc doskonale wierna kopia wymiaru, w który mógł wkroczyć obdarzony większą wyobraźnią Trzepoczący Orzeł. Chupor rozluźnił się, oczekując na spektakl w wykonaniu Trzepoczącego Orła.

A oto elementy owej łamigłówki.

Miejsce zwane Abisynią. Wszystkie jego cechy charakterystyczne wzięły nasz Chupor wraz z nazwą, którą wydobyl z umysłu Trzepoczącego Orła. Była to przepastna otchłań, wąski kanion o skalnych ścianach pnących się ku niebu. Ponadto - jakież intrygujący czynnik czasowy - kanion wolno się zwężał. Skalne ściany napierały z obydwu stron i wydawało się nawet, że łączą się gdzieś tam w górze, grożąc stworzeniem duszącego, kamiennego grobowca.

Na dnie kanionu znajdował się Trzepoczący Orzeł w towarzystwie dwóch Abisyńczyków. Obaj przypominali Deggle'a, twórcę pamięci. Byli wysocy i ponurzy. Mieli na sobie długie, czarne szaty, a na szyjach szmaragdowe naszyjniki. Tu jednak kończyło się podobieństwo do Deggle'a (mimo to cel został osiągnięty: na widok bliźniaczych Deggle'ów Trzepoczący Orzeł zupełnie stracił rezon i zapomniał o Ptako-Psie oraz swojej mocy - trwało to na tyle długo, że wymiar zdążył się porządnie utrwalić, „związać” jak beton).

Dwaj Abisyńczycy nazywali się Khallit i Mallit. Toczyli oni odwieczny spór, nie mający początku ni końca, którego bezsensowność oraz brak jakiegokolwiek rozwiązania uniemożliwiały Trzepoczącemu Orłu logiczne myślenie.

I jeszcze jedno: Trzepoczący Orzeł miał związane ręce i nogi. Leżał między dwoma Abisyńczykami, którzy przykucnęli przy ognisku. Wydawało się, że zupełnie nie zdają sobie sprawy z obecności Trzepoczącego Orła; nie odpowiadali, gdy ich zagadywał.

Naprawdę bardzo przyjemna łamięćówka.

Khallit i Mallit położyli między sobą złotą monetę. Co pewien czas jeden z nich ją podbijał; tak właśnie ustalali każdy element swego odwiecznego sporu.

W tej chwili wydawało się, że dyskutują pośrednio o Trzepoczącym Orle.

- Każde pytanie ma dwie strony, prawda Mallicie?

- Cóż... - odparł powątpiewająco Mallit. Podrzucił monetę. - Tak - przyznał.

Khallit odetchnął z ulgą.

- Zatem jeśli po jednej stronie monety jest dobro, to po drugiej jest zło. Jeśli z jednej jest pokój, to z drugiej jest wojna.

- To kwestia sporna - rzekł Mallit.

- W imię sporu - powiedział błagalnie Khallit.

- W imię sporu - zgodził się Mallit i podrzucił monetę.

- Zatem jeśli po jednej stronie jest życie, po drugiej musi być śmierć - powiedział Khallit.

- Tylko jeśli - rzekł Mallit.

- W imię sporu - powiedzieli unisono i uśmiechnęli się do siebie.

Ściany kanionu przesunęły się nieznacznie.

- Tu jednak mamy paradoks - zauważył Khallit. - Wyobraź sobie człowieka, który jest nieśmiertelny. Wyobraź sobie, że błąka się przez całą wieczność, bez początku i bez końca. Czy nieobecność śmierci w tym człowieku oznacza również nieobecność życia?

- Można polemizować - powiedział Mallit. Znów podrzucił monetę.
- Tak - odparł.
 - Zatem jest on, w gruncie rzeczy, zaledwie żywym trupem?
 - Albo aż.
 - Czy zgodzisz się, że zasadniczą różnicą między żywymi a umarłymi jest możliwość działania?
 - W imię sporu - powiedział Mallit.
 - Zatem człowiek taki byłby bezwolny. Bezradny.
 - Bezwolny. Bezradny - powtórzył jak echo Mallit.
 - Niezdolny wpłynąć na swoje życie.
 - Niezdolny wpłynąć na swoje życie.
 - Ciśnięty na wieczność między swoje lęki i rozterki.
 - Ciśnięty.

Mieli melodyjne głosy. Trzepoczący Orzeł stwierdził, że przysłuchuje się im zachłannie. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z piękna mowy, z tego, jak bardzo może oczarować nie kończąca się rozmowa, dyskusja... czuł, że jego umysł powoli gdzieś odpływa, i usiłował go zatrzymać. Było to horrendalnie trudne.

Nagle zdał sobie sprawę, co się dzieje ze ścianami kanionu. Było między nimi znacznie mniej miejsca niż wtedy, gdy się tam pojawił. Zaczął rozpaczliwie szarpać więzy. Bez skutku. Wrzasnął do Khallita i Mallita.

- Czy umarli mogą mówić? - spytał Khallit.
- Szczerze wątpię - odparł Mallit, rzucając monetą. - Nie - odparł wreszcie.
- Nie - odparł jak echo Khallit.

Trzepoczący Orzeł, przygnębiony, zdał sobie sprawę, że znajduje się w sytuacji bez wyjścia. Przypomniał sobie zaraz szept Virgila Jonesa: zawsze jest jakieś wyjście. Już w to nie wierzył. Leżał więc dalej, wsłuchując się w wieczne niezdecydowanie tych dwóch ekstrapolacji siebie samego czekających, aż wchłonie ich skała.

Trzepoczący Orzeł zamknął oczy.

Tym razem Chupor był zirytowany. Jakież sens miała taka prosta, piękna łamigłówka, skoro ten człowiek w ogóle nie próbował jej rozwiązać? Oczywiście, że było

rozwiązanie. I to na dodatek bardzo proste. Ten człowiek musiał tylko je znaleźć. Naszego Chupora dręczyło podejrzenie, że Trzepoczący Orzeł nigdy nie będzie dobry w Grze Porządkującej.

A potem jego irytację zastąpiło zdumienie, gdyż wydarzyło się coś, czego absolutnie nie przewidział.

U wejścia do kanionu pojawił się nagle wir powietrza.

Khallit podniósł wzrok i ogromnie się ożywił.

- Mallit - odezwał się - Mallit, czy to jest wir powietrza? Mallit podrzucił monetę, nawet nie racząc spojrzeć.

- Nie - odparł. - To nie to.

- Mallit! - krzyknął Khallit. - Ależ tak! To jest wir powietrza!

Mallit podniósł wzrok.

- To niemożliwe - powiedział.

- Ale tak jest, tak jest! - krzyczał Khallit. Tymczasem wir powietrza był coraz bliżej.

- Fascynujący paradoks - powiedział Mallit.

- Fascynujący - przyznał Khallit z powątpiewaniem. Wtedy wir powietrza spadł na nich. Siła przybycia Virgila Jonesa zniszczyła ich jak zwykle wyobrażenia, jak mniej-niż-ludzkie twory obcej wyobraźni. Na powrót stali się strzępkami energii, wracając do swojej pierwotnej formy. Na planecie Spiralnych Tancerzy powiedziano by: Tańczyli Taniec Słabości aż do końca.

Trzepoczący Orzeł otworzył oczy. Wir powietrza stał przed nim, powoli się uspokajając. Coraz bardziej przypominał ludzką postać.

- Wirujący Demon! - krzyknął Trzepoczący Orzeł, używając określenia sprzed siedmiu stuleci.

- Cześć - powiedział Virgil Jones.

Kilka pytań od Virgila Jonesa i Trzepoczący Orzeł zaczął mówić o Deggle'u i wypowiedział słowo „Etiopia”. Gdy tylko je wymówił, łamigłówka Chupora była rozwiązana.

Ponieważ to właśnie był klucz, to było wyjście. Etiopia... Abisynia...
I'll be seeing you. Do widzenia. Wystarczyło tylko powiedzieć do
widzenia i łamigłówka była rozwiązana.

To takie proste, pomyślał Chupor ponuro. Takie proste. Ci dwaj
wyglądają jak Deggle. To miejsce zostało nazwane połową jego
ulubionego zwrotu. Nawet idiota by się domyślił, że droga ucieczki
wiedzie przez drugą połowę. Nawet idiota. Na tym właśnie polega
problem z większością ludzi. Gry nie są ich najmocniejszą stroną.

DWADZIEŚCIA TRZY

Czuli pod sobą gładkość morza, a na policzkach słony pył wodny i jego ożywiające uklucia; morza mgieł i chmur, szarych, skręconych fal ukrytych za zasłonami; morza, w którym można było się zgubić, pędzącego, niezmiennego morza.

Trzepoczący Orzeł leżał bez tchu na szorstkich deskach tratwy, na pół oszołomiony, nic nie rozumiejący; Virgil Jones, biała plamka na horyzoncie drugiego człowieka, stał czujnie przy poszarpanym żaglu, w jego żyłach znowu krążył eliksir podniecenia. Dramatyczna scena zastęła w bezruchu.

- Mogę do pana mówić „Virgil”? - spytał z wahaniem Trzepoczący Orzeł.

Virgilowi Jonesowi pytanie to sprawiło niezmierną przyjemność.

- Oczywiście, oczywiście. Oczywiście, proszę do mnie mówić „Virgil”.

Zapadła długa cisza, cementująca tę więź.

- A jak ja mogę do pana mówić? - przerwał tę ciszę Virgil.

Trzepoczący Orzeł nie odpowiadał.

- Panie Orle? - Virgil Jones odwrócił się i spojrzał na Axonę.

Lecz Trzepoczący Orzeł spał.

Virgil przeszedł ciężkim krokiem przez pokład i usiadł obok niego.

- Nie dziękuj mi za uratowanie życia - odezwał się. - To ja jestem ci wdzięczny i trudno mi nawet wyrazić jak bardzo. Nie dziękuj, że się tu zjawiłem; to była spleta długu, zwykła rzecz. Za nic mi nie dziękuj. I nie bój się.

Morze pochylało się nad ich słabą tratwą i odstępowało, pochylało się i odstępowało, jak wielki, stary słoń czuwający nad ciałem dorastającego słońtka.

- Mam coś do jedzenia - powiedział ze zdumieniem Trzepoczący Orzeł. W kieszeni poszarpanych spodni znalazł dwa stare suchary. Jeden podał Virgilowi Jonesowi, który zakrył swą nagość starym płaszczem Trzepoczącego Orła. Jedli powoli.

- Mów do mnie „Trzepoczący Orle” - odezwał się znów Trzepoczący Orzeł, a potem dodał: - Virgil.

Spojrzeli na siebie, żując powoli.

- W pewnym sensie wszystko, co dotąd robiłeś, było przy gotowaniu do Góry Cielecej - powiedział Virgil.

Trzepoczący Orzeł dostrzegł pewną zmianę w Virgilu: miejsce ospałości zajął teraz spokój. Wyczuwał u niego krzepiący przypływ siły. Trzepoczący Orzeł uświadomił sobie z niekłamaną przyjemnością, że stali się od siebie zależni.

- W pewnym sensie robiłem dotąd jedno i to samo - powiedział Virgil.

- A co robiłeś? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Och, podróżowałem, jak ty - odparł Virgil.

A morze szeptało tratwie swoje tajemnice.

- W życiu - powiedział Virgil - zawsze jest punkt kulminacyjny. Rozumiesz, taka chwila, która nadaje temu wszystkiemu wartość. Usprawiedliwia wszystko. W każdym razie tak mi się wydaje. Albo zbliżasz się do tego punktu, albo się od niego oddalasz. Albo doganiaasz go i osiągasz... pełnię.

Ustał wiatr. Trzepoczący Orzeł usiadł, patrzył ze spokojem na otaczający ich bezruch. Język Virgila oblizywał z ukontentowaniem krawce ust: patrolował granice.

- Zastanawiałeś się kiedyś nad określeniem „skamieniały ze strachu”? - spytał Virgil. - No wiesz, zamieniony w kamień.

Trzepoczący Orzeł już się ku niemu odwracał, już miał odpowiedzieć, lecz Virgil nie czekał.

- Widzisz, wszyscy w Ch. są właśnie tacy - ciągnął. - Skamieniali. A dlaczego? - Wzruszył ramionami, jakby zrzucał z nich ciężar. - Wszystko przez te przeklęte wymiary. - (Zmarszczył brwi.) - Pamiętasz, jak ci mówiłem, byś się skupił na jednej rzeczy, tak jak Ptako-Pies. Tylko tak możesz się obronić. Widzisz, w samym Ch. Efekt jest znacznie silniejszy. Dużo bliżej Grimusa. Omal od tego nie zwariowali... i stwierdzili, że jedynym ratunkiem przed tym cholernym zjawiskiem może być jednostronność. Do przesady. Obsesja. O, to jest najwłaściwsze słowo. Obsesje zamykają umysł na wymiary. Takie właśnie jest Ch. Obsesyjne. Zapewne pojmujesz dlaczego. Być kimś obcym we własnym wnętrzu to przerażające doświadczenie. Ludzie nie chcą być skomplikowani. Nie lubią tego. Naprawdę trafi Trzepoczący Orzeł spytał:

- Na punkcie czego? Ta obsesja. Na punkcie czego?

- Och, czegokolwiek - odrzekł Virgil. - To nieistotne. Mycia podłogi. Czegokolwiek. Doprowadź ją do skrajności, a ocalejesz. Obsesja pani O'Toole na punkcie stałości prawdopodobnie pełni doskonałą funkcję ochronną. Jak już mówiłem, Efekt się rozprzestrzenia. Rozprzestrzenia.

Zamilkł.

- Często wybierają jakąś część swego życia - podjął po chwili - i zaczynają nad nią dumać. Zachowują się jak wygnańcy. Podrabiają swoje korzenie. Ciągle. I jeśli fasada, którą wzniesli, jest wystarczająco gruba, spełnia swoją funkcję. Chroni.

Nie było czasu; siedzieli, stali, przemieszczali się, spali. W pewnej chwili Trzepoczący Orzeł zapytał:

- A co z tobą, Virgil?

- A co ze mną? - powtórzył pytanie Virgil.

- Mówiłeś, że w życiu zawsze jest punkt kulminacyjny...
a ty go osiągnąłeś?
- O tak - odparł Virgil. - Już dawno.
Znów zapadła cisza. Po chwili Virgil dodał:
- Kiedyś. Wtedy. Przedtem. Postrach wszystkich cycuszków.
Trzepoczący Orzeł spytał:
- Byłeś kiedyś żonaty?
- O tak - powiedział Virgil. - Tak. W końcu. Z grubsza. Czasowo.

Zaczął wiać wiatr. Szczątkowy żagiel złapał podmuch.
Przemieszczali się po nieskończonym morzu zewsząd donikąd.
- Ku nieskończoności - powiedział Virgil Jones. - Tam,
gdzie wszystkie paradoksy znajdują rozwiązanie.
- Virgil, czy ze mną jest lepiej? - spytał Trzepoczący Orzeł.
- Lepiej?
- Chodzi mi o Gorączkę Wymiarową - wyjaśnił Trzepoczący Orzeł.
- Jakoś wszystko się uspokoiło. Czy mój stan się poprawia?
- Nie wiem - odparł Virgil. - Może tak. Może nie. Zwykle człowiek
natyka się na kilka potworów. Wiesz, o co chodzi.
- Nie - odpowiedział Trzepoczący Orzeł.
- W każdym razie - rzekł Virgil Jones, starając się, by w jego głosie
brzmiała pewność - we dwójkę powinniśmy dać sobie z nimi radę.

Nasz Chupor podjął decyzję. Już nie będzie się mieszał. Może
jednak przyspieszyć bieg wydarzeń: robiło się dość nudno. Choć
obecność pana Jonesa była bardzo interesująca.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Na ich spotkanie z morza wynurzył się ląd; nie przypominał żadnej znanej im ziemi czy gleby. Nie było to ciało stałe, choć nie ciecz - jakaś kleista, galaretowata substancja. Chwilami zdawała się niepochwytana jak powietrze, to znów nabierała konsystencji melasy, po czym zmieniała się w coś gładkiego jak szkło. Wydawało się, że lekko dymi lub paruje.

Virgil Jones orientował się, gdzie są. Było to najbliższe miejsce, dokąd mogli uciec, a zarazem najniebezpieczniejszy z Wymiarów Wewnętrznych. Znajdowali się na samych obrzeżach świadomości Trzepoczącego Orła, bardzo blisko granicy, poza którą jego zmysły mieszały się z próżnią. Była to niewyrobiona glina, surowiec umysłu. Przy odpowiednim podejściu poprowadziłaby ich, gdziekolwiek by sobie zażyczyli; gdyby natomiast nie udało się im nad nią zapanować, popłynęliby na unoszących się z niej smużkach poza obszar istnienia Trzepoczącego Orła. Ujmując to innymi słowy - umarliby.

Tratwa utknęła, a raczej się p r z y k l e i ł a. Bardzo ostrożnie stanęli na bezbarwnej, bezkształtnej substancji. Trzepoczący Orzeł wyglądał na zdenerwowanego.

- Jesteśmy bardzo głęboko - powiedział Virgil i zaczął tłumaczyć: - A teraz musimy się maksymalnie skupić. Spróbuj sobie wyobrazić topografię tego wymiaru, gdyż odnoszę wrażenie, że jest on topograficzny. Składa się z ciągu koncentrycznych kół.

- Z ciągu koncentrycznych kół - powtórzył Trzepoczący Orzeł.

- Znajdujemy się na kole zewnętrznym. Musimy się dostać do środka.

- Musimy się dostać do środka - powtórzył Trzepoczący Orzeł.
- Gdy znajdziemy się w środku, będziemy musieli się wspinać. Stan świadomości położony jest dokładnie nad środkiem. Rozumiesz?
- Tak - odparł Trzepoczący Orzeł.
- Jeśli dostatecznie się skupimy, będziemy mogli wykorzystać ten materiał do zbudowania przejścia. W ten sposób zabezpieczymy się przed wpływem wymiarów i przedostaniemy się do środka.
Sam Virgil Jones przyjął teraz nowy wymiar. Był szorstki i władczy. Trzepoczący Orzeł zajął się kształtowaniem surowca swojego umysłu.

Przejście, a raczej tunel, nabierało wokół nich kształtu. Było ciemnoszare, oblane brudnożółtym światłem. Trzepoczący Orzeł uświadomił sobie z rosnącym podnieceniem, że wyrabia całkiem udatną kopię tego czerwonego tunelu, w którym zniknęła Ptako-Pies na początku jego gorączki. Poczul, że wracają mu siły; ciągliwa nieziemia rozciągała się w coraz szerszy tunel. Obserwujący to Virgil Jones odetchnął z wielką ulgą. I wreszcie, daleko, na samym końcu tunelu, dostrzegli przyzywający ich błysk małego światełka.

- Czas iść - powiedział Virgil Jones.

Trzepoczący Orzeł nie odezwał się ani słowem. Cały jego wysiłek skupiał się na utrzymaniu tunelu, zachowaniu go do czasu, aż się utrwali. Virgil Jones zatem, nieodmiennie chętny do współpracy, skupił się na stworzeniu jakiegoś środka transportu. Po chwili (czerpał piramidalną przyjemność ze swej sprawności) obaj byli dumnymi właścicielami pary rowerów.

- Przykro mi - usprawiedliwiał się - ale nigdy nie udało mi się przeniknąć tajemnic motoru spalinowego.

Tunel wreszcie się utrwalił. Dosiedli swych anachronicznych rumaków i ruszyli w głąb, skąd przyzywało ich syrenie światło.

Trzepoczący Orzeł nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że mimo swych niedawnych osiągnięć, mimo zdobycia pewności siebie, Virgil Jones jest czymś zmartwiony.

- Virgil - zaczął - chyba niczego przede mną nie ukrywasz, co?

- Ależ mój drogi przyjacielu - odparł Virgil Jones. - Mój drogi przyjacielu.

- No cóż. Nie wiesz przypadkiem, co znajduje się na końcu tego tunelu?

- Mój drogi przyjacielu - powtórzył Virgil Jones i po chwili milczenia dodał cicho: - To całkowicie zależy od ciebie.

- Jak mam to rozumieć?

- Najprawdopodobniej nic tam nie będzie - odparł Virgil - I właśnie to cię martwi? Virgil Jones zakasłał.

- Wydajesz się niezwykle człowiekiem - powiedział. -Może wcale nie będziesz potrzebował... - Urwał.

- Czego? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Potworów - odrzekł Virgil Jones.

Gdy wyjaśnił mu wszystko, Trzepoczący Orzeł zrozumiał, co musi się wydarzyć.

Lekarstwo na Gorączkę Wymiarową jest niezwykle złożone. To coś więcej niż tylko przetrwanie i znacznie więcej niż umiejętność odnalezienia drogi w labiryncie. Jeżeli chory nie potrafi nic więcej, gorączka będzie stale powracać. Gdy chory na nią zapada, jego układ odpornościowy słabnie i można się spodziewać, że kolejne ataki pojawią się bez jakiegokolwiek ostrzeżenia. Zdarza się również, że wyleczenie jest niepełne; jednakże chroni chorego przed najgorszymi skutkami Efektu. Czyli przed śmiercią.

W Wymiarach Wewnętrznych każdej ofiary czai się jej własny zestaw potworów. Osobistych diabłów płonących w osobistych płomieniach. Osobistych robaków nadgryzających jej siły. To są właśnie przeszkody, które - w miarę możliwości - ofiara musi pokonać. Często, niestety, okazują

się od niej silniejsze; i wtedy umiera. Albo żyje nadal - sprawne ciało kryjące wrak mózgu.

Trzepoczący Orzeł pomyślał: Do tej pory całą uwagę skupiałem na przetrwaniu. Dane mi było tak dużo, a działałem tak niewiele. Szukał, wiecznie szukał w labiryncie prowadzącym do Ptako-Psa i Sisy'ego, szukał wyjścia. Wskutek tego wszystkiego stał się niepełnym człowiekiem, który nawet sam siebie dobrze nie poznał. Właśnie ten brak był powodem obecnego kryzysu. A dodatkowo ten krzyż, który dźwigał prawie nieustannie - odpowiedzialności za życie Virgila, jego wybawcy, przewodnika i przyjaciela. Dlaczego, pomyślał z bólem, zawsze narażam życie i szczęście tych, których napotykam na swojej drodze? Nigdy tego nie chciałem.

Virgil powiedział, jakby czytał w jego myślach:

- Nie martw się o mnie. Cieszę się, że mogłem się przysłużyć. Może nawet zdołam udzielić pomocy.

Wiedział, że to nieprawda. To właśnie walka Trzepoczącego Orła musiała czekać w powiększającym się kręgu światła. Nikt nie zdoła pomóc, nie narażając się na utratę własnych szans na sukces.

Trzepoczący Orzeł zacisnął zęby.

Ptako-Pies, jego poszukiwania - to wszystko. Gigantyczna ślepa uliczka. Podróż przez ziemię jałową, która pozbawiła go apetytu na największy skarb: życie. Postanowił, że jeśli uda mu się wyjść z tego tunelu, zaprzestanie poszukiwań. Pójdzie do Ch., by tam osiąść. Odkrycie innych ludzi i przyjaźń z nimi absolutnie wystarczy, nawet komuś, kto ma wieczność w zasięgu ręki. Jeśli Góra Cieleca nie jest doskonała (a nie jest Utopią), to co z tego? Doskonałość jest przekleństwem, ośmieszającą nieodwołalnością. Będzie wyszukiwał i bogacił się w chwalebnej omyłności ludzkich stworzeń, istot brudnych, pokrytych brodawkami i wspaniałych.

Virgil domyślał się po części, co się dzieje w głowie przyjaciela. Jego oczy zasnuły się mgłą. Nie bez powodu. Rozmyślał nad własnym losem, który całkowicie wyrwał mu się spod kontroli. Teraz, gdy Trzepoczący Orzeł zdecydował

się podjąć walkę, z całą pewnością do niej dojdzie. Wszystko zależało od niej. Virgil przestroił swój umysł na coś, co przypominało rezygnację.

Chupor ocknął się, obudzony przez wewnętrzny system alarmowy, i natychmiast żywo zainteresował się biegiem wydarzeń. A rozwijały się znacznie ciekawiej, niż się spodziewał. To było to. Gdyby miał ręce, z pewnością by je zatarł.

Na swoich rozklekotanych rowerach, w nędznym odzieniu, Trzepoczący Orzeł i Virgil Jones, Don Kichot i Sancho Pansa, ruszyli na umówione spotkanie.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Wszystkie kolory były nie takie, jak trzeba. Niebo było czerwone, trawa - fiołkoworóżowa, a woda - jaskrawozielona. Trzepoczący Orzeł zamrugał, lecz nic się nie zmieniło. Przez dłuższą chwilę przyglądał się tej niesamowitej scenie, aż wreszcie, stopniowo, gdy jego wzrok zaczął się przyzwyczajać do ostrego światła, wszystko wróciło do normy.

Stali na brzegu rzeki. Za nimi znajdowało się gęsto zalesione wzgórze oraz wyjście z ich tunelu. Przestrzeń między nim a następnym wzgórzem wypełniała rzeka, która dalej wpływała do jasnozielonego jeziora. Zewsząd otaczały ich wzgórza, milczący zdobywcy i sędziowie. Na samym środku jeziora wznosiła się kamienna budowla, wysoka i okrągła. Jakiś wysoki głos wyśpiewywał słowa, które dla Trzepoczącego Orła były początkowo równie bezsensowne jak kolory, które w pierwszej chwili ujrzał: a potem jego uszy, podobnie jak wcześniej oczy, znalazły klucz do owych

Był to śpiew, którego nie słyszał od ponad siedmiu stuleci: hymn pochwalny na cześć wielkiego boga Axony. Przygryzł wargi. Virgil Jones spojrział na niego, lecz nie odezwał się ani słowem.

Stali wciąż na brzegu rzeki przy swoich rowerach, gdy Trzepoczący Orzeł ujrzał łódź. Prostą łódź na wiklinowej ramie. Na przywiązanej do burty desce wymalowana była jej nazwa: *Skęcące Ostrze*. Trzepoczący Orzeł, po mistrzowsku władający nożem, poczuł jeszcze większy strach, zdając sobie sprawę, że ta nazwa to zły omen. „Tam, gdzie ostrze skęca, tam skęcą i ja”. Wszedł do łodzi, dając znak Virgilowi Jonesowi, by został na brzegu. Pan Jones bezradnie i ciężko opadł na ziemię, a Trzepoczący Orzeł

powiosłował w kierunku kamiennej świątyni, która wzywała go głosem jego przeszłości. Na brzegu rzeki, obok Virgila, leżały ich rowery, koślawe i bezużyteczne.

Drugie złudzenie było dziełem wotywnego ognia. Gdy Trzepoczący Orzeł, niezwykle czujny, przepłynął przez otwarte wrota świątyni, ujrzał - w świetle, znów brudnym i żółtym - sylwetki dwóch olbrzymów, których cienie majaczyły na odległej ścianie. Ogromne sylwetki: wodza Axonów w pełnym nakryciu głowy, siedzącego sztywno na ceremonialnym stolcu, i błagalnika, który nucił jakąś melodię, klęcząc u jego stóp. Cały obraz był wysoki na jakieś

Wszystko jednak było robotą wotywnego ognia. Płonął on w kamiennej misie umieszczonej bezpośrednio pod niewielkim podwyższeniem, na którym rozgrywała się cała scena, i rzucał olbrzymie cienie na odległą ścianę. Lecz Trzepoczący Orzeł, choć zdał sobie sprawę, że te złudzenia to sprawka jego wzroku, nie poczuł ulgi: dwukrotnie uległszy iluzji, spodziewał się tego samego po raz trzeci. Przede wszystkim jednak czuł w głębi duszy absolutną pewność, a zarazem paraliżujący lęk, że ten stary, ciemnoskóry, orlonosy i pierzasty wódz jest wcieleniem samego boga Axony. I - biorąc pod uwagę obecny wymiar - wcale się nie mylił.

Bóg Axona wstał ze swego stolca; błagalnik wciąż nucił tę samą melodię, aż wódz uciszył go jednym ruchem ręki. Nie był wysoki, lecz płomień jego dzikich oczu, osłoniętych ciężkimi powiekami, przeszywał nawet styksowe mroki świątyni.

- A zatem Urodzony z Umarłej wreszcie trafił przed oblicze swego boga - powiedział Axona, a jego głos zmroził serce Trzepoczącego Orła, ponieważ ujawnił to, co tak starannie kryły uroczyste szaty.

Bóg Axona był starą, ciemnoskórą, orlonosą i pierzastą kobietą.

- Urodzony z Umarłej.

Gdy bóg wymawiał to imię (rozmyślnie obraził Trzepoczącego Orła, ignorując jego imię wojownika, które sam sobie nadał), w jego głosie pobrzmiwał nieopisany wstręt.

- Wszystko, co nieaxońskie, jest nieczyste – powiedział bóg. - Nieczyste. Czyżbyś zapomniał, żalosny, plugawy szczeniaku, co oznacza to przykazanie? Wchodząc w progi tego świętego miejsca - białoskóry, bladotwarzy kundlu pośród czystych, zdrajco własnej rasy - popełniasz świętokradztwo, straszliwie plugawiając tę świątynię. Urodzony z Umarłej nie ma cierpliwości do Axony; na pewno nie przyszedł tu, by oddawać jej cześć. W śmierci na świat przyszedłeś, a przeznaczeniem twym zniszczenie. Czegokolwiek dotykasz, staje się zbrukane; cokolwiek do rąk bierzesz, pęka; kogokolwiek kochasz, ginie zaduszony twą miłością; kogokolwiek nienawidzisz, zostaje oczyszczony twą nienawiścią. Czyżbyś chciał zniszczyć samą boginię Axonę? Czyżby tak bardzo urósł drzemiający w tobie robak?

Poruszyła tymi słowami najgłębsze pokłady lęku Trzepoczącego Orła; ledwie mógł mówić, mimo to zmusił się do wypowiedzenia kilku słów zupełnie wyschłymi wargami, które zaszeleściły słabo w półmroku.

- Jeśli zdołam - powiedział Trzepoczący Orzeł. – Złamię cię, jeśli zdołam.

Axona wybuchnęła śmiechem, który echo poniosło po całej sali.

- Twoje własne usta cię potępią, Urodzony z Umarłej! - krzyknęła. - A twoja własna ręka będzie przyczyną twej śmierci.

Gdy ponownie usiadła na swoim stolcu, ów błagalnik, który przez cały ten czas nie zabierał głosu, obrócił się na pięcie i zrzucił okrywający go płaszcz. I raz jeszcze Trzepoczący Orzeł przeżył potężny wstrząs.

Patrzył we własne oczy.

Jego własne oczy... cała postać jednak została nikczemnie zmieniona. Ciało było to samo, lecz choć podobnie jak

Trzepoczący Orzeł owa istota miała we włosach jedno pióro, reszta ubioru była teatralnie odmienna. Nosiła prążkowaną jednorzędową marynarkę włożoną na gołe ciało. Jej skóra była śmiertelnie biała. Biodra otaczał sznur koralików, z którego zwieszały się dwa kawałki materiału: żółty kwadrat osłaniał genitalia, a niebieski - pośladki. Poza tym była zupełnie naga. W uszach miała damskie kolczyki, policzki uróżowione, usta pociągnięte pomadką. Brwi zostały wyskubane w delikatne łuki, a rzęsy były długie i podwinięte.

I ten głos: jednostajny, wysoki głos eunucha, parodia jego głosu.

- Chodź, Urodzony z Umarłej - powiedziała istota. - Chodź.

W prawej ręce trzymała lekki toporek czy tomahawk, w lewej - strzelbę. Trzepoczący Orzeł nie wątpił, że jest naładowana. Wiedział również, że sam jest beznadziejnie bezbronny.

- Chodź, Urodzony z Umarłej - szydził głos Axony. - Nie stawisz czoła mojemu obrońcy? Podobno jesteś dzielnym wojownikiem. Chodź.

Trzepoczący Orzeł westchnął i postąpił naprzód.

Igrał ze swoim sobowtórem, zakładając, że zachowa się dokładnie jak on sam i chwyci za tomahawk, zanim ucieknie się do strzelby. Zawsze pewniej władał bronią, którą można było rzucać, zawsze też wolał walkę w zwarciu. Dlatego więc ruszył swobodnym krokiem, wręcz bezzwrotnie, wsunąwszy niedbale ręce w kieszenie, żeby zirytować przeciwnika.

Jego prawa ręka zacisnęła się na jakimś twardym, zaokrąglonym przedmiocie. Wyjął go ze zdziwieniem. Była to Kość Ch.! Ta sama kość, którą cisnęła mu Ptako-Pies, nim zniknęła w tunelu siebie samej.

Kość Ch: Trzepoczący Orzeł nie tracił czasu na rozmyślanie. Mógłby sobie pomyśleć: Skąd się tutaj wzięła po tak długim czasie? Jak dotąd mógł jej nie zauważyć?

Wszystko to nie było jednak istotne. Miał teraz broń, co diametralnie zmieniało charakter obecnej walki. Było bardzo prawdopodobne, że jego sobowtór wybierze bezpieczeństwo i użyje strzelby. Miał zatem tylko kilka sekund krótkiego „zmrożenia”, które nie ominie jego przeciwnika, gdy ujrzy ten nieoczekiwany przedmiot.

Trzepoczący Orzeł rzucił Kość jednym gładkim ruchem, jakby ciskał dużą, ciężką strzałkę. Trafiła w strzelbę tam, gdzie ją trzymał jego przeciwnik. Okrzyk bólu i strzelba upadła na ziemię. To samo stało się z Kością: roztrzaskała się, lecz to zdarzenie zmroziło zarówno Trzepoczącego Orła, jak i jego alter ego.

Dopiero później Virgil Jones wyjaśnił Trzepoczącemu Ortu ukryte znaczenie tej nazwy. Chodziło o szyfr, do którego kluczem było brzmienie tejże tajemnej nazwy.

Os to „kość”. Ch. to miejsce. Kość Ch. Stąd Ch.-os, czyli „chaos”.

Wówczas jednak Trzepoczący Orzeł dostrzegł tylko przerażające skutki rozbicia się Kości. Z ziemi niczym wirująca mgławica uniosły się drzazgi i odłamki, tworząc gęstą chmurę w samym środku areny walki. Strzelba zniknęła bez śladu. Po prostu przestała istnieć. To samo spotkało całą resztę.

Została tylko dziura. Burzliwy zamęt w strukturze wymiaru. Chaos.

Trzepoczący Orzeł otrząsnął się z osłupienia o ułamek sekundy wcześniej niż jego alter ego; być może dzięki temu, że znajdował się nieco dalej od dziury. Ruszył na przeciwnika z pochyloną głową i w pełnym rozpędzie uderzył go w brzuch. Namiastka Trzepoczącego Orła zachwiała się, zrobiła krok w przód, a potem w bok.

Po czym zniknęła w dziurze, powracając do stanu chaosu, niebytu.

Axona wstała ze stolca, w jej oczach płonął gniew. Trzepoczący Orzeł wiedział jednak, że za tym gniewem kryje się lęk. Ta Kość, rzecz najzupełniej przypadkowa, pokrzyżowała

jej doskonały plan i teraz bogini była zdana na łaskę Trzepoczącego Orła. Zbliżał się do niej powoli i z rozmysłem.

- Nie podchodź do mnie, Nieczysty - powiedziała, lecz jej głos ją zdradzał.

- Nie wiem, kim jesteś - rzekł Trzepoczący Orzeł, zbliżając się ku niej. - Lecz gdy cię splugawię, będę oczyszczony z mojej przeszłości. Oczyszczony z poczucia winy i wstydu, dręczących mnie gdzieś w głębi umysłu, czego dowodem jest twoja obecność. Aby się uwolnić, muszę zbezczścić Axonę. Rozumiesz, co mówię?

Wypowiedział te słowa z łagodnym zdumieniem, jak prawdy, które właśnie zrozumiał. A potem ją zgwałcił.

Gdy *Skręcające Ostrze* przybiło do brzegu, gdzie czekał Virgil Jones, siedział w nim zupełnie nowy Trzepoczący Orzeł. Virgil wysłuchał jego opowieści, po czym powiedział:

- Uważam, że zdecydowanie powinienes coś zrobić ze swoją wyobraźnią. Jest strasznie ponura.

Z pomocą Virgila Jonesa Trzepoczący Orzeł bez trudu wypłatał się z pajęczyny Gorączki Wymiarowej. Ucieczkę obmyślił bardzo prostą: Trzepoczący Orzeł zamknął oczy, a gdy Virgil Jones tańczył Taniec Siły, zmusił się do przebudzenia. Był to bardzo gwałtowny przeskok: teraz, po walce, Trzepoczący Orzeł był silniejszy od Wymiarów Wewnętrznych.

Jednak na pewnym etapie doświadczenia siła wzbogaca się o pewną wrażliwość na niuanse oraz zło; zatem gdy wynurzali się obaj z nieświadomości (kiedy to ich osobne świadomości zbliżały się coraz bardziej do siebie, aż się niemal zetknęły, po czym szybko znów się rozdzieliły), to nie Trzepoczący Orzeł, lecz Virgil Jones uświadomił sobie obecność trzeciej osobowości. Która również się wynurzała.

Na ułamek sekundy przed utratą przytomności obejmującą tę część czasu, w której wracał do siebie, Virgil zdołał dotknąć intruza i po prostu wiedział.

Pełne oprzytomnienie. Był nagi, jego ubranie leżało tam, gdzie je zostawił, na piersiach Trzepoczącego Orła, otoczonego lasem, a jego ciało wciąż jeszcze odtwarzało metodyczne, koliste ruchy Tańca Siły. W rękach i nogach czuł przeogromne wyczerpanie, lecz narastający w nim gniew sprawił, że o wszystkim zapomniał.

- Gdzie jesteś?! - krzyknął. - Gdzie?!

Z głębi lasu doszedł go słaby „głos” niewidzialnego Chupora.

- Witam, panie Jones.

Virgil ubrał się pośpiesznie.

Gdy Trzepoczący Orzeł oprzytomniał, głowa pękała mu z bólu. Po raz drugi, odkąd przybył na Wyspę Cielęcą, na jego wargach pojawiło się pytanie „Gdzie jestem?” i po raz drugi zbył je skrzywieniem ust. Gdzie jest gdziekolwiek? - spytał siebie.

Niemniej jednak była to Góra Cielęca - poznał ją po zalesionym stoku. I jeszcze ten krzyk wymiarów, ponieważ Efekt trwał nadal, mimo że zdołał go opanować... kłucie w kącikach oczu, w uszach i umyśle. Niebawem przerodzi się w coś na kształt dzwonięcia w uszach wywołanego łagodnym zapaleniem; cierpiący na coś takiego uświadamia to sobie dopiero w głuchoj ciszy. Teraz drażniło, naprzykrzało się wspomnieniem nieskończonych dziur.

Wstał i stwierdził, że jest sam. Chwila paniki; zwrócił się ku polanie, wykrzykując imię Virgila. Po chwili, gdy nieco się opanował, usłyszał dochodzący z głębi lasu głos. Głos Virgila, niski i gniewny. Zaczął się skradać w tamtym kierunku, zupełnie jak w dzieciństwie.

W leśnych ostępach Virgil robił wymówki swemu staremu znajomemu.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Jak pan widzi - mówił „głos” Chupora - zostałem.

- Ręka urodzonego mąciwody nie może się powstrzymać przed niepotrzebnymi gestami - powiedział Virgil.

- Przyganiał kocioł garnkowi... - odparł głos. – W cudzym oku widzi źdźbło, a we własnym nie widzi belki...

- Przystwojenie rudymenarnego idiomu nie daje żadnych praw - powiedział Virgil. - Intelkt własnowolnie ograniczający się do czystego strukturalizmu jest skazany na to, by uwięzić we własnej sieci. Jedyną funkcją wypowiedzanych przez pana słów jest uprzedzenie kokonu wokół bezsensu pańskiego istnienia.

Właśnie coś takiego przytrafiało się Virgilowi Jonesowi, gdy wpadał w złość: jego mowa stawała się poplątana i niejasna. Taki spektakl braku opanowania napawał go przerażeniem. Wiedział, że w gniewie traci siły i że wówczas najłatwiej wystrychnąć go na dudka, a jego mowa przędzie wokół siebie te same kokony, które przypisywał Chuporowi.

Nie pamiętał, aby się kiedyś tak rozszłościł. Tłumaczył sobie, że to po prostu reakcja. Przedtem poddał się żelaznemu egzaminowi fizycznemu i umysłowemu, z wielkim trudem ocalał - to chyba naturalne, rozumował, że po czymś takim reakcja człowieka może być nieadekwatna do bodźca.

W tym wszystkim tkwił jednak jeszcze jeden cierni. Podczas niedawnych podróży czuł się dobrze, tak dobrze jak kiedyś. Dawno. Temu. Przedtem. I trudno było pogodzić się z tym nagłym przeskokiem od tak ogromnej pewności siebie do tej wściekłości, nadwątlającej teraz jego siły. Ta myśl wzmagała jego gniew. A koło robiło się błędne.

Jego przerośnięty język wędrował z roztargnieniem po ustach.

Koralik śliny przemieszczał się w dół, kierując się ku szczelinie w podbródku; dłonie, tkwiące w kieszeniach powypychanych spodni, drżały jak w gorączce. Siedział na złamanej gałęzi jakiegoś nieznanego drzewa iglastego; przez spodnie wyczuwał jego szorstkość. Ponuro kopnął jakąś szyszkę i patrzył na niewidzialną istotę, miotając oczami błyskawice, jakby chciał ją spopielić.

Przykucnąwszy cicho za kępą drzew, Trzepoczący Orzeł słuchał, jak jego przewodnik przemawia w pustkę i najwyraźniej otrzymuje jakieś odpowiedzi (głos Chuporów jest słyszalny jedynie dla tych, do których się zwracają). Pomyślał sobie: Virgilu Jonesie, jest w tobie znacznie więcej, niż oko dostrzega. A ponieważ Virgila było tak dużo, że każde oko miało co dostrzec, te słowa stanowiły komplement.

Trzeci bohater tej opowieści siedział sobie spokojnie, jakieś dziesięć jardów od Virgila, oparty o drzewo, a jego sensoryczna aura nieznacznie drżała. Od początku nie lękał się tej konfrontacji; był rozbawiony ponownym spotkaniem z panem Jonesem, a zarazem czuł, że uzyskał wskazówkę prowadzącą do Ostatecznego Uporządkowania, które tak bardzo pragnął teraz odkryć. Jednak ostatnie słowa pana Jonesa wciąż dokuczały mu jak cierń, co zresztą było ich zadaniem. Zbędność, rzeczywiście.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że mam status Porządkowacza? - spytał butnie.

Pan Jones milczał.

- Widzę, że pan sobie zdaje - ciągnął głos z irytacją. - W takim razie niewątpliwie przypomina pan sobie Pierwszą Zasadę tego szlachetnego powołania.

Pan Jones miał minę niewiniątka. Przejrzawszy na wylot (grubą skórę Chupora, czuł, że jego gniew stygnie).

- Może powinienem odświeżyć pańską pamięć - warknął Chupor. - Może skłoniłoby to pana do powstrzymywania się od podobnych aluzji.

- O ile mnie pamięć nie zawodzi - wtrącił pan Jones - Pierwsza Zasada Porządkowania mówi o konieczności powstrzymywania się od wszelkich zbędnych działań. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę.

Zapadło krótkie milczenie. Potem padła odpowiedź:

- Nie, nie myli się pan.
- A więc - powiedział pan Jones - czy wolno mi będzie oskarżyć Mistrza o karygodne pogwałcenie jego własnych zasad?
Czas i cisza były przerażające.
- Uzasadnienie - odezwał się z rozdrażnieniem Chupor. - Proszę o uzasadnienie.
- Po pierwsze, wdzierając się w osobisty wymiar innej istoty żywej, a więc popełniając czyn dozwolony wyłącznie w razie skrajnego zagrożenia, dopuścił się pan czynu nie tylko niekoniecznego dla tych wymiarów, lecz i w istocie niebezpiecznego. Nawet najrzeczniejszy Mistrz nie może zabawiać się czyimiś wymiarami, nie narażając tego kogoś na niebezpieczeństwo. A było ono w tej sytuacji ogromne.

Chupor powiedział:

- Jeśli uważa pan, że zamierzałem go skrzywdzić, to najwyraźniej nie ma pan wielkiego mniemania o moich umiejętnościach. Skoro bowiem, jako uczestnik Ostatecznego Uporządkowania, przeczułem intuicyjnie tę rolę, każdy rozmysłny czyn zakłócający to Uporządkowanie stanowiłby kardynalny błąd. Po prostu zadałem mu zagadkę mającą pogłębić jego wiedzę o wymiarach. Proszę rozważyć: gdybym tego nie zrobił, gdyby natychmiast zwalczył tę gorączkę, nie udałoby mu się pokonać swoich potworów. Jakże więc coś takiego można nazwać zbędnym?

Virgil rozważył.

- Jest w tym niewątpliwie nieco racji - przyznał. - Nie wiemy jednak, czy naprawdę musiał pokonać te potwory. Teraz, gdy stało się już to, co się stało, nawet on będzie mówił, że musiał. Lecz gdyby sprawy przybrały wówczas inny obrót, może by nie musiał. Pańska obrona opiera się na Pierwszej Zasadzie, której naruszenia nie sposób udowodnić.
- Ciężar przedstawienia dowodów spoczywa na panu - padła odpowiedź.

Virgil wznowił atak:

- Po drugie, nie było dla pana miejsca w Ostatecznym

Uporządkowaniu Wyspy, odkąd więc pan to zrozumiał, pańska obecność stała się niestosowna, a mimo to postanowił pan zostać. Pańskiego pobytu tutaj nie da się niczym uzasadnić: Wyspa nie przewidziała pana na etapie powstania, a zatem pański udział w jakichkolwiek procesach Porządkowania byłby równoznaczny z ich zakłóceniem. Podobnie też nie potrzeba żadnych obserwatorów. No i co pan na to powie?

Przez kilka minut trwała cisza (Trzepoczący Orzeł, który podsłuchiwał połowę tej niesamowitej debaty, myślał, że to już koniec). Potem jednak rozległ się głos Chupora, ciężki i powolny:

- To było właściwe posunięcie, panie Jones. Choć na początku nie powinien pan być dopuścić, by irytacja wzięła górę nad chłodnym osądem. Pierwsze posunięcie było błędne, co pozbawia pana doskonałości. Niemniej jednak wynik to wynik. Wynik to wynik. Wynik to wynik. Wynik to wynik. Wynik to wynik.

W tym monotonicznie powtarzanym zdaniu czuło się ogromny ciężar porażki. Virgil spytał z nagłym współczuciem:

- Mistrzu, skoro pan wiedział, to dlaczego pan został?

- Nie powinien mnie pan nazywać Mistrzem. Mistrz by tak nie postąpił.

- A jednak Mistrz tak postąpił - powiedział Virgil. -Chciałbym poznać powody. Chupor odparł po prostu:

- Podobało mi się tutaj.

Virgil pomyślał o planecie Aimeiz. Ponurej. Pustej. Rozumiał, dlaczego ta niezwykle inteligentna istota wolała skomplikowany porządek Wyspy Cielecej.

- Mistrzu - odezwał się wreszcie - muszę poprosić, by niezwłocznie opuścił pan to miejsce.

Głos Chupora był dziki. Prowokujący.

- Nie opuścę go. Zostanę.

- W takim razie - powiedział ze znużeniem Virgil, czując w ciele bolesne zmęczenie - będę musiał wydać Nakaz Porządkująco-Wydalający.

Z pustki dobiegło coś, co przypominało pusty śmiech.

- Aż tak źle ze mną nie jest - rzekł Chupor. - Wygrał pan tylko dlatego, że z rozmysłem pogwałciłem obowiązujące zasady. Jednak nie zdołałby pan zwyciężyć w Pojedynku Porządkującym.

Trzepoczący Orzeł ujrzał, że Virgil Jones wstaje. Ukrył twarz w dłoniach i stała się rzecz niezwykła: zaczął rosnąć. Nie w górę. Nie wszcz.

W głąb.

Jedyne pasujące tu zdanie miało dziwaczne drugie dno.

Przybyło mu kilka wymiarów.

Trzepoczący Orzeł pomyślał sobie: Wygląda na to, że każdego z nas czeka kiedyś walka; lecz ja byłem gotów, a Virgil jest słaby. Poza tym to jego przeciwnik wybrał pole walki.

Podobne myśli nachodziły też Virgila; jednocześnie to wciąż trwające, ponowne przebudzenie sprawiało mu dużą przyjemność. Znow, po tak długim czasie, mógł się przenieść między wymiarami, mimo wszystko. Ten. Ból.

Odwrócił się, by stawić czoło Chuporowi.

- Panie Jones - powiedział Chupor - drobne ostrzeżenie, nim rozpoczniemy pojedynek. Na wypadek, gdyby pan wygrał.

- Tak? - odrzekł Virgil. (Czyżby to była gra na zwłokę?)

- Nie stanowiąc jedyne go zbędnego elementu na tej wyspie, panie Jones. Pan też tu jest zbędny.

Virgil nie odezwał się ani słowem, lecz czuł, że strzał Chupora jest celny. To odrodzenie było niezwykle kruchym zjawiskiem. I znow opadła go cała chmara wątpliwości.

- To tylko takie przeczucie, panie Jones - dobiegł go głos znikąd. - Nawet się cieszę, że weźmie pan choćby skromny udział w Ostatecznym Uporządkowaniu. Naprawdę. Wprowadzi to do naszej rozgrywki pewną symetrię, nieprawdaż?

- Bierzmy się do dzieła - warknął Virgil Jones.

Obserwującemu wszystko Trzepoczącemu Ortu wydawało się, że po tych słowach zapanował całkowity bezruch. Ponieważ jego wiedza na temat Wymiarów Zewnętrznych

była raczej skromna, nie mógł wkroczyć na plac boju. Virgil Jones stał jak skamieniały, z pochyloną głową, rozłożonymi ramionami i otwartymi dłońmi, jak człowiek pchający niezwykle ciężkie drzwi. Nagle, całkiem nieoczekiwanie, padł na ziemię. Kupka bezwładnej materii na leśnej ściółce. Trzepoczący Orzeł! rzucił się ku niemu.

Virgil Jones powoli dochodził do siebie.

- Niepotrzebny wysiłek - powiedział. - Cóż to za pojedynek? Bez krzty nadziei. Jakby pchła chciała zgwałcić słonia. Nie zdołałem wydać Nakazu Porządkująco- Wydalającego. W żadnym razie. To jego gra.

- A gdzie on jest? - spytał Trzepoczący Orzeł, rozglądając się dokoła.

- Kto wie - odparł Virgil. - W sumie to bez znaczenia. Już nie będzie się nam naprzykrzał. Przynajmniej w tym punkcie odniosłem zwycięstwo. - A potem, starając się desperacko, aby zabrzmiało to niefrasobliwie, powiedział: - Kto uwolni mnie od tego Chupora mąciwody?

Z twarzy Virgila Jonesa coś wyraźnie uciekło. Ta klęska pozbawiła go czegoś więcej niż tylko energii. W oczach Trzepoczącego Orła powrócił do swojej pierwotnej postaci: powłóczącego nogami, nieskładnie mówiącego, nieudolnego mężczyzny. Stanowcza postać związana z Wymiarami Wewnętrznymi gdzieś zniknęła, ponownie kryjąc się w skorupie klęski.

- Virgil - powiedział Trzepoczący Orzeł. - Virgil. Dziękuję.

Virgil Jones prychnął.

I zemdlął.

I tak odwróciły się role pacjenta i pielęgniarka.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Razu pewnego. Kiedyś. Dawno temu. Przedtem. Postrach wszystkich cycuszków - to ja. Tak łatwo wpadały mi w ręce. Wpadały. Łatwo. Można łagodnie, choć niektóre wolą ostro. Łagodnie aż do szczytu rozkoszy. Miętko aż do szczytu bólu. Piersi niczym bliźniacze szczyty, miały je wtedy, góry miękkie w dotyku. Moje. Słodziutkie. Cóż to za cud. Niezły obleś, co? „Daj mi, Virgil!” Dawać i brać, dawać i brać, ping-pong opętanych ciał. „Och, Virgil, ty wiesz, jak zrobić dobrze”. Błagały, a ja gniołem ich giętkie wulkany. Potrzebowałem ich miękkich. Cnotka, co? A ja niecnotka. Czy taki przedrostek może rozdzielić przyjaciół? Był czas, że to działało. Sikorki, sikoreczki. Słodkie były ptaszyny, nie ma co. Ornitologia nie zastąpi seksu. Pióra najlepiej służą w łóżku, w poduszkach, pod szczepionymi ciałami. Czego tylko mogłem sobie życzyć, więcej życzeń do mnie, niż sobie życzyłem, zduś mnie, proszę, mnie! Kiedyś. Wtedy. Dawno. Idź gdziekolwiek, do środka, na zewnątrz, spółkowanie zawsze jedno. Dziwne. Zasada przyjemności przekracza wszystkie granice. Antykoncepcja rozciąga się na milion różnych miejsc, różnych światów, różnych technik, *vive la difference*, byłem tam, gdzie była pigułka i miękka bułka, gdzie była spiralka i moja walka. I wpadały. Łatwo. W moje ręce. Kiedyś. Wtedy. Dawno. Przedtem. Liv.

Wypij to, Virgil. Woda ze strumienia.

Zjedz to, Virgil, jagody prosto z krzewu.

Odpocznij teraz, Virgil. Nic nie mów, odpocznij. Śpij. Sen leczy.

Wina. Moja wina. *Mea maxima*. Wybacz, że powiedziałem. Wybacz, że się ruszyłem. Wybacz, że żyłem. Wybacz. Daruj. Na kolanach. Daruj mi, Liv. A ty do rymu: waruj.

Zawsze była moją żoną. Ach, postrach jej cycuszków. Strasznie cudownie białych. Płonąłem jak ćma w jej płomieniu, parzyłem się i spadałem. Silni nie wybaczą słabym. Ich. Małości. Płonęliśmy jaskrawię niczym gwiazda, jaśniej niż najjaśniej. Żar jest okrutny dla zim. Gorąco. Żaba, powiedziała, a ja zakumkałem. Idź, powiedziała, a ja poszedłem. Przerażony cycuszkami. Wtedy. Ale. Przedtem. Córa Wzwodzonego Końca, myślałem, że mnie kocha. W domu rozkoszy zapłaciłem jej dobrem. „Taki jesteś dobry, powiedziała, taki dobry”, myślałem, że mnie kocha. Miłość, wzrastając, połyka obiekt miłości, wysysa z niego soki, a na końcu wypluwa. Spalony przez soki trawienne jej miłości. Daruj. Liv. Z domu wschodzących słońce do czarnej czeluści, domu czarnego jak czeluść, twój wzlot i częściowy upadek. Przykro mi, ale gorycz wypiera z ciebie dumę. Mierzwiła mi włosy, pewnego dnia wydarła mi ich całą garść. Czarna dama o jasnej skórze, jasnych włosach, tak jasnych oczach i tak mrocznych, a mimo to tak jasnych. Jej ogień trawi mężczyzn, jej lód ich leczy. Ja nie byłem odpowiedni. Dla. Niej. Liv, lodowata doskonałość, jak ona mnie odrzuciła, jak przykro... *mea, maxima*. Wtedy. Dawno. Przedtem. Silni nie wybaczą. Słabym ich małości.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Liv była moją żoną - powiedział Virgil, siadając na skraju polany i opierając się o drzewo. - Przydałby się jej silniejszy mężczyzna.

Trzepoczący Orzeł już dawno postanowił, że nie będzie zbyt dociekliwy, gdy Virgil wraca do swej przeszłości: nie chciał mu sprawiać bólu. Nie pytał więc o Liv.

- Pamiętam, jak do Ch. przyjechały pierwsze z nich - odezwał się zamyślony Virgil. Żeby się osiedlać, wychodzić za mąż, kurwić. A kilka... posunęło się nawet dalej.

- Jak Grimus? - spytał ostro Trzepoczący Orzeł.

- No cóż - odparł Virgil, sznurując usta. - Nie wiem, czy...

- Co?

- ...lubię Grimusa.

Mimo nie najlepszego stanu ducha Trzepoczący Orzeł nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

- Chyba naprawdę czujesz się lepiej - powiedział - skoro cię stać na takie żarty.

- Mój drogi przyjacielu - odrzekł Virgil - to nie był żart.

- Wiem - rzekł Trzepoczący Orzeł, nie mogąc opanować śmiechu. - Takie żarciki.

Virgil wzruszył ramionami.

- Virgil - odezwał się znów Trzepoczący Orzeł - co to lub kto to? Ten Grimus.

- No cóż - odparł Virgil Jones.

- To smutne - mówił Virgil. Wspinali się. - Otoczenie człowieka jest bardziej epickie niż on sam. Wydarzenia mogą być epickie, ludzie natomiast rzadko.

Dlatego właśnie takie otoczenie jest dla nich przerażające. Wspominałem ci kiedyś, że byłem przesądny, ponieważ tutaj wszystko mogło się zdarzyć. Z pewnością rozumiesz teraz, co miałem na myśli. Można jednak do tego podejść całkiem inaczej. Na przykład tak: „Jeśli cokolwiek może się zdarzyć, postarajmy się, by nigdy się nie zdarzyło”.

- To tak jak Dolores - powiedział Trzepoczący Orzeł.

Virgil nie odpowiedział.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

A niech to szlag - zaklął Nicholas Deggle.

Stał na Plaży Cielecej, przybywszy przez „bramę”, którą dwa tygodnie wcześniej wysłał Trzepoczącego Orła. Był zły na siebie, a przez to na cały wszechświat. Popęłnił tak elementarny błąd, jakby był niespełna rozumu: nie zastanowił się, gdzie na Wyspie Cielecej zostawi go brama, i w efekcie znalazł się po przeciwnej stronie Lasu, co zmuszało go do pokonania tej ogromnej góry.

Oczywiście powinien był to sobie wszystko wyliczyć: ponieważ brama znajdowała się na poziomie morza, można było logicznie wywnioskować, że wyjście znajdować się będzie właśnie tam. Tyle że kreśląc różdżką, Łodygą, „wzory utrwalające”, wycelował w punkt położony powyżej Ch. - radośnie założywszy, że tamtędy właśnie udał się Trzepoczący Orzeł - gdy upływ czasu dał mu pewność, że brama działa. Jesteś czystej krwi idiotą, powiedział sobie, lecz zaraz odsunął od siebie tę myśl: miał zbyt wiele do zrobienia, by tracić czas na samokrytykę.

Próby wykorzystania bramy do podróży w przeciwną stronę, czyli z powrotem do X, i ustawienia jej pod innym kątem nie miały sensu: jasne było, że Łodyga jako „utrwalacz” jest zawodna, a dotarcie tutaj zajęło mu długie lata. Ponadto owa brama miała zastosowanie wyłącznie jednostronne: raz jeszcze funkcja czasu. Podobnie bezsensowne byłyby próby dostania się na szczyt z pomocą Łodygi; z uwagi na jej zawodność należało się liczyć z tym, że można wylądować gdziekolwiek, nawet w znacznie gorszym miejscu. Nie miał wyjścia: trzeba się było wspinać.

- Niech to szlag - powtórzył. Jego długie i giętkie ciało nie było stworzone do tak wielkiego wysiłku fizycznego;

sama myśl o czymś takim sprawiała, że jego język wchodził w nieco prostackie rejestry.

Jedyną pociechą była spodziewana reakcja Grimusa - a w istocie Virgila Jonesa - gdy odkryje, że Deggle wrócił. „Wróciłem” - powiedział głośno do plaży. Wrócił, by zrobić to, co powinien był zrobić już bardzo dawno temu, a co oni mu uniemożliwiali. Tym razem postara się, by znów nie stanęli mu na przeszkodzie.

Po chwili dostrzegł, że nie jest na plaży sam. W oddali, na piasku, obok pustego fotela bujanego, siedziała jakaś kobieta wpatrzona w skały. Znał ten bujany fotel: należał do Virgila Jonesa. Znał również tę kobietę: nie mogło być na Wyspie Cielecej drugiej tak brzydkiej kobiety jak żona O'Toole'a. Podszedł niespiesznie do Dolores; śpiewała, bezzębnie, zupełnie go ignorując.

- Pani O'Toole? - spytał.

Dolores umilkła i odwróciła się powoli ku niemu.

- Kochanie - powiedziała - bardzo cię proszę, usiądź.

Kochanie? - pomyślał Deggle, był jednak tak zmordowany, że opadł na fotel pana Jonesa.

Virgil, pomyślała Dolores. Ten melodyjny głos w workowatej twarzy. Lotny duch w obwisłym ciele. Virgil, który odciągnął ją od bezdusznych kościelnych świec i dał swoje ciało. Jakie to szczęście mieć kogoś takiego jak on!

- Virgil - powtórzyła głośno, rozkoszując się tym imieniem. - Virgil Jones.

Deggle wpatrywał się w nią uważnie.

- On tutaj jest? - spytał, przesywając ją spojrzeniem.

- Jak zawsze - odparła, chwytając go za rękę. - Virgil jest tutaj.

Deggle z lekkim obrzydzeniem uwolnił dłoni.

- Czy pani jest... jego kobietą? - zapytał.

Spojrzała na niego czule i zaśpiewała okropnym głosem:

- „Póki wszystkie morza nie wyschną, mój najdroższy”.

Zafamujący się głos, którym stara kobieta śpiewała tę pieśń, szczerze rozbawił Deggle'a. Krztusząc się ze śmiechu, zauważył:

- Cóż za odmiana po Liv, prawda, pani O'Toole?

- Nic się nie zmieniło? - zapytała Dolores O'Toole. - Prawda, kochanie?

- Chyba nie - odparł Deggle, gdy umilkła wyczekująco.

Uśmiechnęła się radośnie.

- Och, Virgil - powiedziała do Deggle'a, który cały czas się od niej odsuwał - tak bardzo, bardzo cię kocham.

Deggle podjął szybką decyzję.

- Ja też cię kocham - odparł, z trudem powstrzymując odruch wymiotny.

- Chodźmy do domu - rzekła. - Czas na śniadanie. Daj mi swój pasek od spodni.

- Mój pasek? - pisnął Deggle.

- Och, nie grymas - powiedziała. - No już, dawaj.

Patrząc na nią tępo, podał jej pasek. W przeciwieństwie do Virgila nie potrzebował go do podtrzymywania spodni. I w przeciwieństwie do Virgila nie był gruby; w związku z czym jego pasek nie był zbyt długi.

- Dziś chyba poradzę sobie bez niego - stwierdziła z rezygnacją Dolores O'Toole.

Nicholas Deggle, na wpół ubawiony i na wpół przerażony przez tę starą wariatkę, ruszył za nią wąską ścieżką prowadzącą do jej nory. Ciekawe, co się stało z Virgilem Jonesem, pomyślał.

Później tego samego dnia.

Gdy Deggle, rozczochrany i jeszcze bardziej ponury niż w chwili przybycia, wszedł do chatki, Dolores O'Toole parzyła herbatkę korzenną.

- Gdzieżeś był, mój kochany? - spytała. - Wypij trochę herbatki korzennej.

Podszedł kawałek pod górę, gdy usłyszał śmiertelny jęk. Początkowo go zignorował, po chwili jednak, gdy dźwięk stał się zbyt natrętny, zaczęło mu się kręcić w głowie i odniósł wrażenie, że się oddala. Na szczęście dla siebie Nicholas Deggle nie cierpiał na brak przytomności umysłu, więc wycofał się chwiejnie, po czym sturlał się po zboczu, uciekając od strefy zagrożenia. Potem (ponieważ rozpoznał

po objawach Efekt Róży) długo meł w zębach przekleństwa pod adresem Grimusa.

- Korzenna herbatka - oznajmiła Dolores O'Toole, podając mu czarękę.

Napój był obrzydliwy i Deggle w przypiływie gniewu cisnął naczyniem o podłogę, gdzie roztrzaskało się na kawałki.

- Cśś, cśś - powiedziała Dolores. - Każdemu się zdarza. - I zaczęła wycierać szmatą podłogę, bez słowa skargi.

Gdy skończyła, podeszła do niego i spoczęła u jego stóp. Znów siedział w fotelu bujanym.

- Będziemy tak siadywać - rozmarzyła się - każdego popołudnia, już zawsze.

- Wiesz co? - rzekł Nicholas Deggle. - Może nawet masz rację.

- Mądrze zrobiłeś, odpędzając tego ducha - powiedziała z podziwem.

- Jakiego ducha? - spytał Deggle.

- Och, daruj sobie tę fałszywą skromność. Przecież wiesz. Widmo Grimusa z blizną na piersi.

- Aa - odparł Deggle. - Tego.

Jones najwyraźniej poszedł gdzieś z Trzepoczącym Orłem, ale gdzie? Może się pozabijali? A może podjęli szaleńczą decyzję, że przedrą się przez Efekt?

- Jedno jest pewne - powiedział do siebie. - Jeśli Trzepoczący Orzeł dotrze do Ptako-Psa, a potem nie zrobi tego, co ja zamierzałem zrobić, to utkwię tu na wieki. Z jakąś wiedźmą, która mnie kocha, ponieważ myśli, że jestem Virgilem Jonesem. Zastanowił się, czy Virgil Jones uznałby to za zabawne.

Wątpił, bo i dla niego nie było to zabawne.

Nicholasa Deggle'a, śpiącego na macie starannie ułożonej dla niego przez panią O'Toole, obudziło mocne szturchnięcie w bok. Otworzywszy oczy, ujrzał przed sobą Dolores O'Toole. Była naga, gdzieś z tyłu majaczył jej garb, wyschłe

piersi kiwały się w rytm oddechu, a na rozjaśnionej twarzy widniało przerażające zaproszenie. Usta miała zapętlone w uśmiechu.

- O Boże - jęknął Deggle i zamknął oczy, by myśleć o Imperium. Po chwili je otworzył. Wciąż stała nad nim, patrząc pożądliwie. - Nie dzisiaj, Josephine - poprosił błagalnie.

- Dolores - poprawiła go czule i wróciła na swoją matę.

Nicholas Deggle leżał zlany potem.

TRZYDZIEŚCI

Walhalla - powiedział Virgil Jones.

Walhalla: miejsce, gdzie polegli wojownicy żyją w ponurym przepychu, co dnia staczając swoje dawne bitwy, przeżywając ponownie godzinę chwały, w której przyszło im polec, padając w kałużach krwi na lśniące posadzki i powstając każdego następnego ranka, by ponownie stanąć do nie kończącej się walki. Walhalla, pałac sławy, żywe muzeum heroizmu lat minionych. Walhalla, położona nieopodal źródła wiedzy, z którego pił Odyn, w cieniu Wielkiego Jesionu Yggdrasil - Drzewa Świata. Gdy padnie ten jesion, upadnie też Walhalla.

Virgil, kląsknąwszy z chytrym rozbawieniem, pokazał język miasteczku Ch.

Gdy tylko Virgil odzyskał siły (choć nie wigor), wspinaczka przestała być problemem. Teraz Trzepoczący Orzeł stał obok swego przewodnika na samym skraju zalesionego zbocza, obejmując spojrzeniem zdumiewająco rozległą równinę.

Wydawało się, że ten ogromny step został wbity w bok Góry Cielęcej. Trzepoczący Orzeł, zobaczywszy po raz pierwszy jak ona naprawdę wygląda, wyobraził sobie olbrzyma, który stawia nogę na wyspie jak na stopniu, zmierzając z morza do nieba. Na płaskiej linii horyzontu leżało miasteczko Ch., cisnące się do urwistego zbocza odmłodniałej góry. Pozostałą część równiny zajmowały łąki, na których pasły się stada bydła lub owiec, i pola, na których rosło zboże oraz inne rośliny. Teraz jednak, po zmroku, na polach i pastwiskach nic się nie działo. Cała równina upstrzona

była domkami farmerów, jarzącymi się niczym świetliki w ogrodzie.

Ponad miasteczkiem, na skalnym występie, stał dom. Jego ściany - w przeciwieństwie do jednolicie białych domów w całym miasteczku - były czarne jak smoła. Choć teraz go nie widzieli, gdyż nie paliły się światła, Virgil wiedział, że tam jest. Był to dom Liv.

Wznoszący się nad nim szczyt ginał w gęstych chmurach.

- Nigdy się nie podnoszą - powiedział Virgil Jones, po czym zapadła cisza.

Trzepoczący Orzeł nie zapomniał o ślubowaniu, które złożył sobie w wymiarze wewnętrznym, że jeśli to będzie możliwe, zaprzestanie poszukiwań i się tutaj osiedli. Miał to być kres wielowiekowej tułaczki, matuzalemowego czasu spędzonego na wędrówce tam, gdzie prowadził wycelowany palec. Powinien był odczuwać ulgę; nie czuł jednak nic prócz napięcia. Opróżnienie umysłu ze wszystkich wytoczonych celów i ustalenie - tak po prostu - nowego ich zestawu to niełatwe zadanie nawet dla zwykłego człowieka. Dla Trzepoczącego Orła, którego cele, podobnie jak jeden z tych wymiarów wewnętrznych, były ustalone od siedmiuset lat, było to zadanie nadludzkie.

Również Virgil Jones czynił pewne plany, a były to plany dotyczące Trzepoczącego Orła. Teraz bowiem, gdy przyprowadził Trzepoczącego Orła do Ch., nadeszła przełomowa chwila. Jeśli Orzeł odpowiednio zareaguje na miasto (a miasto na niego) - jak liczył Virgil - będzie gotów wykonać zadanie, które Virgil mu wyznaczył. Jeśli zaś nie, nic się nie da zrobić. Virgilowi już nie starczało sił na podchodzenie Grimusa. Wprawdzie tam, w lesie, mignął mu, lecz walka z Chuporem to zaprzepaściła. Teraz wszystko zależało od Trzepoczącego Orła. Świadomość, że zamierza zrobić właściwie to, czego pragnąłby Deggle, wywołała u Virgila jakieś

mroczne rozbawienie. Niewątpliwie ubawiłoby to także Mistrza Nicholasa. Gdyby nie było boga, należałoby go wymyślić, przypomniał sobie Virgil i odwrócił ten aforyzm: Ponieważ Grimus istnieje, należy go zniszczyć.

To był właśnie powrót do dawno przerwanej wojny. Trzeba będzie stanąć oko w oko z O'Toole'em, a może nawet z Liv. Nie było już jednak odwrotu.

- Trzepoczący Orle - rzekł - chciałbym ci coś powiedzieć: najmniej odporni jesteśmy na ciosy tych, których kochamy.

Trzepoczący Orzeł słuchał z roztargnieniem. Virgil mówił, wpatrując się w nocną mgłę zwieszającą się nad równiną i nadającą całemu miasteczku drżącą, nierzeczywistą aurę.

- Mówię o tobie - ciągnął Virgil. - Mam nadzieję, że nie sprawisz mi bólu. Naprawdę nie zniósłbym żadnej rany, którą mógłbyś mi zadać. Sądzę, że na tym właśnie zasadza się istota przyjaźni.

Trzepoczący Orzeł zaczął słuchać z uwagą. Virgil mówił niepewnie, jakby słowa przychodziły mu z trudem. Było to błaganie o pomoc, krzyk człowieka, który już dwukrotnie uratował mu życie.

- Zgoda - powiedział.

Virgil skinął krótko głową.

Już jakiś czas siedzieli na skraju lasu. Był środek nocy.

- No cóż - rzekł Virgil Jones. - Ruszamy?

Pod wpływem impulsu Trzepoczący Orzeł wziął pod lewą rękę prawe ramię Virgila, po czym ruszyli, równym krokiem, towarzysze broni, ku swym odrębnym przeznaczeniom.

Światło księżyca, sączące się leniwie przez warstwę mgły, rzuciło blade plamki na ich poruszające się głowy.

CZĘŚĆ DRUGA
CZASY MINIONE

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Ch. nocą: domy przytulone do siebie, jakby w tej bliskości szukały wsparcia, dzieliły się ciepłem. Budynki o surowych fasadach, pokryte plamami wilgoci, mgły i czasu, niezdarnie pobielone architektoniczne kaleki, trwające pomimo koślawych dachówek i źle umocowanych drzwi.

Wokół domów ulice. Arterie kurzu, który wzbiera i krąży wokół zniekształconych budynków, kręci się bezładnie, zajęty wyłącznie sobą. Każda miejscowość musi mieć ulice; białe plamy między zaplombowanym dziurami.

Jedna ulica, i tylko jedna, mogła nosić wysoko głowę. Aleja wybrukowana kocimi łbami, na których rozdawały się piaskowe wiry, kroczyła z godnością przez całe miasteczko, dumnie obwieszczając swe starszeństwo: Rzymianin wśród barbarzyńców.

Jakiś człowiek rozpadający się tak jak jego ubranie, pokryty pyłem jak tutejsze ulice, posuwał się ociężale, na czworakach, przez całą długość tego majestatycznego traktu, pielgrzym zdążający do Rzymu, oddający cześć Bogu.

Był to Kamień; nie reagował na żadne inne imię, a i na ten wybrany przydomek bardzo rzadko. Milczenie było jego drogą życiową, ta ulica - jego górą, a kocie łby - kamieniami Syzyfa. Liczył je każdego dnia, jeden po drugim, sporządzając dla potomności listę kocich łbów. Dla człowieka z nietęgą pamięcią to praca bez końca, nieskończony ciąg liczb, nie dający się podsumować. Początkowo - a było to tak dawno, że zdążył już zapomnieć - naprawdę się starał: jego wyschnięty język potykał się o wielkie, nieporęczne liczby, a one umykały mu z pamięci. Wtedy zaczynał cierpliwie od początku. Teraz liczenie było jedynie wymówką: w rzeczywistości chodziło mu o nieustanne od-

nawianie przyjaźni z każdym kamieniem. Witał je jak starych przyjaciół, z niekłamana przyjemnością natrafiając na jakieś ulubione pęknięcie bądź wyjątkowe zaokrąglenie. Niektórym nadał nawet jakieś imiona; inne były sceną wielkich przygód, jakie przeżywał z swoich snach. Ta ulica stanowiła jego mikrokosmos, źródło wszystkich radości i smutków. Mały i osłabły, był takim samym elementem tej ulicy jak każdy z jego kamieni. Podczas jednego z niezwykle rzadkich wypadów w świat żywego słowa powiedział poważnie do Elfridy Gribb, małżonki Ignatiusa Q. Gribba,

- Gdyby nie ja, ta droga by się rozsypała. Kamienie potrzebują miłości na równi z panią.

Z praktycznego punktu widzenia rzeczywiście opiekował się tą aleją, chroniąc ją gorliwie przed brutalnymi atakami pyłu nawiewanego z bocznych uliczek oraz przed ranami, które mogły jej zadać wracające z pól zwierzęta. Mył ją i karmił. Była jego. W zamian za to miłosne oddanie otrzymywał jedzenie od każdego, kto znalazł się w pobliżu, gdy akurat dręczył go głód, a schronienie u każdego, kto znalazł się w pobliżu, gdy ogarniało go zmęczenie. To właśnie jego drogą kroczyli Virgil Jones i Trzepoczący Orzeł, zmierzając ku tej nieszczęśliwie dobranej społeczności.

Mijając rozrzucone z rzadka domy farmerów, Trzepoczący Orzeł czuł, że serce bije mu coraz szybciej. W oknach, za cienkimi zasłonami migotały światełka, wysepki ciepła, na których mógłby się schronić wędrowiec. Zerknął z ożywieniem na Virgila i już miał wyrazić przepełniającą go radość, gdy zauważył, że twarz towarzysza jest ponura i nieruchoma. Nie była to odpowiednia chwila, aby mu zawracać głowę, Trzepoczący Orzeł pohamował więc kipiący w nim entuzjazm.

„Dom”: słowo, które wywołało to uczucie. Wpełzło do jego umysłu, gdy stanął na skraju lasu i spojrzął z góry na miasteczko. Jego nadejście ogłosił posłaniec: słaba smuga światła sączącego się z odległych okien. Powrócił żeglarz, powrócił z morza, a myśliwy z leśnych ostępów. Trzepoczący Orzeł wracał do domu, do miasteczka, w którym nigdy

nie mieszkał. Ujrzał ten dom we mgle, miękko otulającej pola; wywąchał go w perfumerii nocy; wyczuł go w twardości kocich łbów; przede wszystkim jednak ujrzał go w oknach, zamkniętych oczach bezpiecznego życia, jaśniejących zadowoleniem, zamkniętych

Trzepoczący Orzeł zatrzymał się na chwilę. Virgil spojrział nań z ciekawością i bezwiednie odważemnił uprzejmość: by się nie narzucać, powstrzymał słowa, które miał już na końcu języka.

Na skraju drogi stała farma. Dom był długi i biały. Zwierzęta bez wątplenia spały już w szopie, lecz w oknach domu ujrzał coś, co sprawiło, że stanął jak sparaliżowany. Za nimi poruszali się ludzie, toczyło się życie. Nagle przeskoczył przez furtkę i zaczął się czołgać w kierunku żółtego światła. Virgil Jones stał na drodze, nie spuszczać zeń wzroku.

Trzepoczący Orzeł podniósł się powoli z ziemi, by zajrzeć przez okno, a gdy się wyprostował, ujrzał przed sobą nieruchomą, granitową twarz. Farmer najwidoczniej rozsunął zasłony w tej samej chwili, gdy Trzepoczący Orzeł zajrzał do środka. Była to twarz poryta głębokimi zmarszczkami, pocięta dolinami i upstrzona dziobami po ospie. Spojrzenie jednak farmera miało twarde i nie sposób było w nim dostrzec śladu gniewu czy zaskoczenia. Jego wzrok przenikał Trzepoczącego Orła, jak gdyby wcale go tam nie było. Rozedrgany, bełkocząc pod nosem jakieś bezsłowne przeprosiny, wycofał się ku furtce, na drogę, do Virgila, który dostosował się do jego tempa. Oddalili się od tej kamiennej twarzy, a Trzepoczący Orzeł zauważył, że drżą mu ręce. Wszystko przez te oczy: powiedziały mu, że wciąż jest pariasem. Niedotykalnym.

„Parias”. Słowo to wyłoniło się z mroków jego przeszłości, powiększając tylko przygnębienie.

- Virgil, gdzie się zatrzymamy? - spytał z wahaniem.

Virgil wzruszył ramionami.

- Coś znajdziemy - odparł. - A jak nie to, to coś innego. - Jego ośliniony język tkwił gdzieś w kącie ust.

Na samych przedmieściach stał najwyższy budynek w miasteczku, jedyny - jak zauważył Trzepoczący Orzeł - który liczył sobie dwa piętra. Był w idealnym stanie i już to wyróżniało go spośród reszty. Ściany miał proste jak spod pionu, lśnił bielą w mglistoniebieskim mroku, nieskazitelny wartownik i strażnik tego miasteczka. Był to burdel. Dyskretna drewniana tabliczka przy drzwiach głosiła: Dom Wzwołanego Końca Madame Jokasty. A tuż obok tabliczki ktoś nagryzmolił jakieś dziwne zdanie. Nie ulegało wątpliwości, że jutro ktoś je zamaluje białą farbą, by nie kalało śnieżnobiałej czystości domu rozkoszy. Napis głosił: WITAMY DZIELNYH OFICERUE

Virgil, gdy go ujrzał, mruknął pod nosem:

- A więc Alex ma dzisiaj swoją rundkę.

- To znaczy? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Dziecinny dowcip - odparł Virgil. - Produkt dziecinnego umysłu.

Ponieważ Virgil zamilkł, Trzepoczący Orzeł był zmuszony powtórzyć pytanie.

- Ci oficerowie to Spółkownik, Gmerał i Zmurszałek - odparł Virgil.

Lecz Trzepoczący Orzeł, zbity już z tropu przez kamienne oczy w granitowej twarzy, poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, gdy się dowiedział, jak rozumieć ten głupawy żart.

A teraz w miasteczku: co pewien czas coś się dzieje, lecz nie za często, gdyż godzina jest późna. Rzut oka przez inne okno: jakaś stara kobieta wpatrzona w album z fotografiami, zagłębiona w swej przeszłości. Zwykły los wygnańca - zakorzenie w wspomnieniach. Trzepoczący Orzeł wiedział, że musi się nauczyć tych przeszłości, uznać je za własne, aby społeczność mogła go uznać za swego. Wkroczył do miasteczka Ch. w poszukiwaniu historii.

Przed sobą ujrzeli w oddali czołgającą się postać człowieka zwanego Kamieniem, witającą się z kocimi łbami. Trzepoczący Orzeł słyszał również stukot końskich kopyt,

gdzieś niedaleko, za ścianą stłoczonych domów. Od czasu do czasu dochodziło go echo czyjegoś śmiechu, niesione przez wiatr i tłumione przez mgłę.

Źródło tego śmiechu biło na samym końcu brukowanej kocimi łbami ulicy, naprzeciw przybytku Madame Jokasty. Virgil bał się tam wejść, a zarazem wiedział, że musi. Był to Elbaroom, punkt zborny pijącej społeczności Ch., centrum wiadomości lokalnych. Według jego planów mieli się tam udać nie tylko dlatego, by znaleźć jakiś dach nad głową, lecz także po to, aby wprowadzić Trzepoczącego Orła w życie Ch. Musieli zatem poznać właściciela.

Nazywał się O'Toole.

Virgil Jones wymamrotał coś pod nosem. Trzepoczący Orzeł, który dosłyszał tylko: „Elba”, domyślił się, że chodzi o oklepny palindrom. Oprócz palindromu w języku malajalam, był to jedyny, jaki Virgilowi udało się zapamiętać.

TRZYDZIEŚCI DWA

Trzepoczący Orzeł ujrzał ją pierwszy: niesamowita postać, pół kobieta, pół czworonóg, szła ku nim przez wirującą mgłę. Gdy się zbliżyła, stwierdził ze zdumieniem, że nigdy nie widział równie pięknej i bladej kobiety.

Elfrida Gribb cierpiała na bezsenność, choć nie chroniczną. Gdy ją jednak nachodziła i Elfrida stwierdzała w późnych godzinach nocnych, że leży z suchymi i szeroko otwartymi oczami, wstawała z łóżka, owijała się swą najcieplejszą chustą, wsiadała na aksamitnego osiołka i jeździła po Ch. Na otuloną szczelnie z obawy przed wilgocią i mgłą Elfridę przejażdżki te działały kojąco. Poza tym musiała sobie znaleźć jakieś zajęcie.

Elfrida - to imię doskonale do niej pasowało, a ona nienawidziła wszelkich zdrobnień. Imię to imię, zwykła mawiać. Trudno byłoby o lepsze imię dla pani Gribb - kobiety o twarzy i kościach elfa. Delikatna różana skóra lgnęła do wszystkich zagłębień i krągłości jej ciała; Elfrida miała małe, lekko odęte usta i migotliwe jak górski strumień oczy. Nosila stare koronki, chustę wyszywaną w lilie i kapelusze o szerokich rondach nad szeroko otwartymi, zielonymi oczami, rondach opadających jej na twarz jak długie, spokojne rzęsy. Lubiła woalki. Zazwyczaj była radosna, a jej pogoda ducha udzielała się wszystkim dokoła, smutku zaś nie okazywała. Ludzie mają dość własnych zmartwień, mawiała stoicko. Świetnie poradzi sobie sama.

Dzięki Ignatiusowi. Ignatius Gribb dawał jej poczucie bezpieczeństwa, był niewzruszonym centrum jej świata. Wokół niego obracało się jej życie i wszystkie radości. „Jestem wdzięczna temu, co nas połączyło, bez względu na to, co to było” - mówiła mu. - „Jeśli to prawda, że małżeństwa

dobierane są w niebie, to nasze dobrano w siódmym”. A on chrząkał i kiwał głową, a ona wciągała w nozdrza kojący zapach jego nowych skarpetek, pokrzepiona i ozdrowiona. W miasteczku takim jak Ch. kobieta potrzebuje miłości. Miłość przepędza smutki.

Umocniona siłą tej miłości czuła, że ma obowiązek dołożyć wszelkich starań, by choć część tej siły przelać na słabych. Podpierać chorych i karmić głodnych było dla niej zaszczytem i czymś w rodzaju spłaty długu. Gorliwość ta przysporzyła jej zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Nie każdy lubi, gdy się mu pomaga; w związku z czym nie każdy w Ch. odwzajemnił jej ujmującą życzliwość. A ponadto El-frida Gribb miała i drugie oblicze, odrobinę

Była jednak piękna, czego nie skrywała nawet woalka, i Trzepoczący Orzeł, oczarowany i oniemiały, zastygł na chwilę u wejścia do Elbaroomu, na tle Virgila, stojącego w żółtym świetle sącącym się przez drzwi i w blasku lampki migającej nad ich głowami - dwie ciemne sylwetki obserwujące cudowną, bladą zjawę odbywającą nocną przejażdżkę.

Ich spojrzenia spotkały się na mgnienie oka i na to mgnienie, błysk flesza, zatrzymał się wszechświat, unieruchamiając mieszkańców miasteczka w rozlicznych pozach - żywy obraz zastygły w auszpiku niepodzielnej chwili.

Przy niskim, okrągłym stoliku, mniej więcej w połowie długości tego długiego, wąskiego zajazdu, siedział najbardziej nieprawdopodobny duet w całym Elbaroomie. Jeden z tych dwóch był ogromnym, niedźwiedziowatym mężczyzną, a wrażenie to potęgowała niedźwiedzia skóra, którą nosił praktycznie bez przerwy, mimo że w Ch. bardzo rzadko bywało zimno. Niewykluczone, że właśnie ta skóra nadawała jego twarzy jaskrawoczerwone zabarwienie. Twarz ta wyglądała jak pomarszczony pomidor. Na czole lśniły wywołane podnieceniem kropelki potu. Nad jego zakrzywionym nosem i jaśniejącymi oczyma zwieszały się krzaczaste brwi. Mówił szybko; jego ręce zataczały ogromne, niebezpieczne, hakowate łuki.

Jego towarzysz był tak szczupły jak on obszerny, tak wiotki i elegancki jak on niezgrabny: delikatny mężczyzna o młodej twarzy i oczach starych jak świat, tak charakterystycznych dla mieszkańców Wyspy Cielęcej. Oczy te wyrażały bezbrzeżne znudzenie i wyglądało na to, że jest to ich naturalny wyraz. Dyskretnie spoglądały w dół, na wychudłe ręce, które zdecydowanie, elegancko obrywały nogi pajakowi.

Do owego delikatnego mężczyzny zwracano się Hunter. Jego pełne nazwisko brzmiało Anthony St Clair Peyrefitte Hunter, lecz niedźwiedziowaty towarzysz mówił na niego Dwururka, za czym nie kryła się obelga, lecz częste zapewnienia Huntera, że chętnie „spróbuje wszystkiego dwa razy”. Niedźwiedziowaty, który miał dar bezbłędnego utrafiania w kwestie oczywiste, zapytał: „A dlaczego dwa razy?”, na co pan Hunter odpowiedział z lekką pogardą, nabytą przez stulecia chowu wsobnego:

- Raz, żeby spróbować, czy się spodoba, a drugi raz, żeby sprawdzić, czy to nie była pomyłka.

- No taaak. - Niedźwiedź parsknął rubasznym śmiechem. - Ty mała dwururko! - Jego potężny głos zagłuszył subtelne szyderstwo Huntera.

Niedźwiedź nazywał się Peckenpaw. W Ch. znany był jako Monotematyczny Peckenpaw. Opowiadał historyjki, których nikt nie podawał w wątpliwość - był za duży, aby mu zarzucać, że zmyśla; nie wydawał się zresztą na tyle zmyślny, by móc zmyślać. Jego opowieści pełne były legend z Dzikiego Zachodu: twierdził, że stanął przed Dzikim Billem i powalił go samym spojrzeniem; że chwycił kiedyś lufę strzelby Williama Bonneya i zawiązał ją na supeł; opowiadał o osadach górniczych z czasów gorączki złota, gdzie mężczyźni byli mężczyznami, a kobiety były wdzięczne. Jednak gdy na mgnienie oka zastygł wszechświat, zanudzał właśnie pana Huntera swoją ulubioną historią, którą opowiadał chyba po raz tysięczny - był to jeden z powodów, dla których nazywano go Monotematycznym. Drugim było to, że nie potrafił się powstrzymać od opowiadania rozmaitych historyjek.

Monotematyczny Peckenpaw długie stulecia polował na północnoamerykańskiego odpowiednika yeti, Wielką Stopę. Nigdy go jednak nie złapał. Z jego opowieści, w których sucho wyjaśniał, jak temu stworowi udało się uciec, emanowała agresywna melancholia klęski. By złapać Wielką Stopę, przyjął brzemię nieśmiertelności, lecz przygnębiająca pewność, że łowy nigdy mu się nie powiodą, sprawiła, iż koniec końców został Kandydatem na Mieszkańca Wyspy Cielecej.

- Był taki czas - mówił - kiedy dałbym sobie łeb uciąć, że jest kobietą. Sprytny sukinsyn, cały czas mnie tak kiwał. Bo pomyślałem sobie tak: jakby był człowiekiem, to na mur byłby kobietą, i to taką podpuszczalską. To głupi pomysł, że niby on jest kobietą, ale weszło mi to do łba i nijak nie chciało wyjść. Raz nawet śniło mi się, że go... to jest ją... pieprzyłem. O Jezu, ale to były zapasy! Po czymś takim nic by z ciebie nie zostało, panie Dwururka.

- Wszystkiego próbuję... - zaczął łagodnie pan Hunter.

- Dwa razy! - huknął Monotematyczny Peckenpaw, zagłuszając zupełnie interlokutora. -Taa. Właśnie. Tropienie go to była prawdziwa frajda. Jak pogoń za dziką kobietą, którą trzeba oswoić. Myślałem sobie o tym, jak zachowałaby się kobieta, gdybym znalazł przy strumieniu odciski jego stóp. Czy to bief? A może podwójny bief? W którą stronę tak naprawdę poszedł? Zawsze najbardziej ufałem instynktowi. Woń ofiary jest silniejsza niż cokolwiek innego. Jeśli trop nie zgadza się z tym, co czujesz, to ignorujesz trop. Tym się różni prawdziwy tropiciel od partacza.

- Ale przecież nigdy go nie złapałeś - wtrącił słodko Dwururka.

- Widziałem go dwa razy - powiedział Peckenpaw stłumionym głosem. - Wielki jak góra, szedł przez gęste zarośla, jakby nic mu nie stało na drodze. Kiedy dotarłem do tego miejsca, wyglądało, jakby przejechał tam czołg. Coś takiego budzi w człowieku respekt.

Milczał przez chwilę.

- Za drugim razem - wrócił do opowieści - to on mnie podszedł. Na terytorium Wielkiej Stopy spanie to rzecz ryzykowna.

Wokół obozowiska rozstawiałem system alarmowy - potykacze, na których zawiesiłem dzwonki i garnki, żeby ostrzegł mnie hałas. Pewnej nocy budzę się, a on stoi nade mną i wbija we mnie ślepią. Ominął wszystkie druty, bez problemu, tylko po to, żeby sobie popatrzeć. Wtedy właśnie przestałem uważać, że jest kobietą. Leżałem cicho jak mysz pod miotłą, a on kiwnął głową i ruszył w swoją stronę. Wtedy chciałem chwycić za strzelbę. ALE JEJ NIE ZNALAZŁEM. Przeniósł ją na drugą stronę ogniska. Niezły z niego cwaniak. I powiem ci coś jeszcze, przemądrzały panie Hunter. Może nie złapałem tego skurwiela, ale zrobił ze mnie mężczyznę, którym ty nigdy nie będziesz. CHODŹ I ZŁAP MNIE, mówił tym spojrzeniem. DROGA WOLNA. Widzisz, on pokazał mi punkt, z którego już nie ma odwrotu. I nie miało znaczenia, że byłem najlepszym tropicielem wszech czasów, z doświadczeniem przemnożonym przez dziesięć żywotów. On uciekał od milionów lat. I co teraz? Teraz szanuję jego

Naraz Monotematyczny Peckenpaw zerwał się i wymachując ramionami jak wiatrak, zawołał:

- CHODŹ I ZŁAP MNIE, SUKINSYNU! DROGA WOLNA! - po czym wybuchnął konwulsyjnym śmiechem, który wstrząsał jego krzaczastymi brwiami. Tymczasem Dwururka urwał swemu pajakowi ostatnią nogę, zostawiając okrągłe, wijące się i konające coś.

Błysk.

Elfrida Gribb sądziła zawsze, że przyczyny kłopotów z Flannem O'Toole'em są dwie: jego nieustanne udowadnianie, że jest odrażająco hałaśliwym złotym chłopcem, oraz jego drugie imię, Napoleon. Irlandzki Napoleon - był to pomysł tak groteskowy, że O'Toole nie mógł skończyć inaczej.

O'Toole pędził na zapleczu ziemniaczaną whisky i dybał na każdą osobę płci żeńskiej przekraczającą progi Elbaroomu; regularnie przysięgał na wszystkie świętości, po czym bez skrpułów łamał obietnice; miewał napady wściekłości, lecz uważał się za rozsądnego; o dowolnej porze dnia

i nocy był gotów zapaść w pijackie zamroczenie, lecz utrzymywał, że ma silny charakter; co wieczór taszczono go do łóżka, okrytego hańbą i wymiocinami, lecz upierał się, że jest przywódcą tej społeczności. Na dodatek swe obrzydliwe czyny okraszał poezją. Elfrida uważała, że ten człowiek sprowadza ponury nastrój, odbiera urok życiu. Natomiast we własnym mniemaniu był piorunochronem, przewodnikiem elektryczności, Prometeuszem rozkowanym, ożywczym, zmysłowym mężczyzną pierwszej młodości, uosobieniem sił witalnych. Jednakże nie zanikły w nim całkiem uczucia religijne: każdego ranka po jego wyskokach można było zobaczyć, jak umartwia swe członki za pomocą trzciny, bądź usłyszeć, jak jęczy z bólu za drzwiami komnaty Mademoiselle de Sade w Domu Wzwołanego Końca. Był to właśnie jeden z powodów, dla których opuściła go Dolores. Ludzie, których los zmusza do dźwigania ciężaru cierpień oraz fizycznych zniekształceń, z natury nienawidzą tych, którzy takie cierpienia zadają sobie w imię Boga. Mogła więc tylko od - Najświętsza Panienko! - krzyknąć O'Toole do żony rolnika, która skuliła się ze strachu. - Moim zdaniem jużes na to gotowa, złotko. Co byś powiedziała na dużą porcję gorącego kutasa pana O'Toole'a? Dobra, dobra, nie ma się czego bać! Ofiarowuję ci Organ O'Toole'a, ty protestancka dziwko! A to nie byle jaki prezent!

Rolnik siedział, dysząc ze złości, lecz nawet nie kiwnął palcem w jej obronie: po opróżnieniu całej butelki ziemniaczanej whisky nie miał ochoty do walki.

- No dalej, popatrz na swojego męża. - O'Toole zatoczył się. - Jeśli nie jest rozsądniejszy od ciebie, to ja już naprawdę nie wiem. Zaprawdę uległość jest cnotą, opór zaś aktem przemocy, a ja po prostu nienawidzę tego wszystkiego. No dalej, spódnice w górę, majtki w dół, a Napoleon O'Toole zafunduje ci niezapomniany wieczór. Byłby to akt prawdziwego pacyfizmu. O ile mnie pamięć nie myli, w sanskrycie nazywa się to *ahimsa*. Sam pan Gandy byłby z ci Kobieta potrzęsła głową i spojrzała błagalnie na męża.

- No dobra - powiedział małżonek, próbując wstać, lecz O'Toole pchnął go na miejsce.

- A zatem odmawiasz mi tego, co mi się prawnie należy? Ta ziemia to moje włości, a pan na włościach ma określone prawa. Nie denerwujcie mnie. Nie denerwujcie. Rankiem niewątpliwie będę się umartwiał, jak niegdyś się umartwiałem, całymi latami, trwając w świętym związku małżeńskim ze starą jędzą. Był to, tak bym rzekł, czyn całkowicie religijny - należy przecież dogadzać chromym, cierpiąc przy tym katusze. Czyś ty rznął kiedyś garbuskę, rolniku? Nie wzbraniaj mi zatem moich praw. Swoje już odsłużyłem.

- Nie pójde z tobą - powiedziała kobieta.

- Nie?! - ryknął O'Toole. - Nie pójdziesz?! Przychodzisz do Elbaroomu, a nie słuchasz pana i właściciela? A więc to tak, kobieto, traktujesz swego gospodarza? Niech sama nazwa tego zajazdu będzie ci ostrzeżeniem - El Baroom! Huk rakiety i fiut Napoleona. Nigdy nie marzyłaś, by wytarzać się z cesarzem? Dałbym ci genialne dzieci. Gdybym mógł.

- Nie pójde - upierała się kobieta ze łzami w oczach.

- Więc idź do diabła! - krzyknął O'Toole, unosząc wysoko stół oddzielający go od pary rolników. Dokoła posypały się szklanki i butelki. Chciał rzucić stolikiem przez salę.

Błysk.

(O'Toole przedstawił całkiem odmienną wersję rozpadu swego małżeństwa z Dolores: gdy już dość się nacierpiał, udęczony jej zniekształceniem i niewdzięcznością, po prostu ją wyrzucił. Jednak prawda wyglądała zupełnie inaczej. Dolores O'Toole opuściła męża, gdyż nie potrafił jej zaspokoić. Otóż Flann Napoleon O'Toole miał jedynie połówkę jądra, jako że resztę stracił podczas walki z pewnym psem. Jego penis, w stanie spoczynku, mierzył zaledwie cal i z uwagi na destrukcyjne skutki diabelskiego napoju tylko sporadycznie udawało mu się go wzwieść - do podwójnych rozmiarów. Okoliczności te podajemy na usprawiedliwienie jego zachowania.)

Gdy Jokasta zastąpiła Liv na stanowisku burdelmamy, to właśnie Virgil Jones podsunął jej ową ironiczną grę słów, która posłużyła za nazwę tego przybytku. Lecz choć Jokaście marzył się dom piękny i nieskazitelny, brakowało mu, niestety, tego nowoorleańskiego szyku misternie kutego żelaza, a i sama Madame nie miała, poza imieniem, nic wspólnego z tragiczną królową, żoną i matką edypalnego króla. Z tej to przyczyny owa gra słów niezbyt udanie spełniała swoją funkcję, a Dom Wzwodzonego Końca wyrobił sobie własny styl.

Jedną z pierwszych innowacji, jakie wprowadziła, gdy poczuła się dość silna, by wyjść z cienia Liv, było przydzielenie swoim pracownikom określonych specjalności. Liv zadawała, że jej podwładne oddają się sztukom horyzontalnym *en general*; Jokasta nigdy nie podzielała tego zadowolenia, być może dlatego, że sama najlepiej się czuła w roli złotej rączki, zatem ten stan rzeczy jej nie satysfakcjonował. Tak więc tego samego dnia, w którym przemianowała swój przybytek, przechrzciła też pracownice, a za nowymi imionami poszły wąskie specjalizacje seksualne. Uznała, że te zmiany się opłaciły: klienci uznali, że w Domu Wzwodzonego Końca zapanowały lżejsze obyczaje, że stał się bardziej publiczny i że jest tu swobodniej i sympatyczniej, niż gdy gospodarzyła w nim Liv. (Klientom znacznie łatwiej przychodzi prosić o wykonanie usługi damę, o której wiedzą, że specjalizuje się w ich ulubionej technice, niż przekonać anonimową dziwkę do swych zachcianek.) A Jokasta widziała po dziewczętach, że praca napawa je teraz znacznie większą

Zmartwień przysparzał jej tylko Gilles Priape, jedyna męska dziwka. Jak na swoje rozmiary był leniwy i choć Jokasta wiedziała, że mężczyźni potrzebują dłuższych okresów odpoczynku, nieodparcie nachodziło ją podejrzenie, że Gilles symuluje. I znowu za wszystko winiła brak specjalizacji: jako jedyny osobnik praktykujący sztuki męskie, był skazany na wszechstronność. Mimo wszystko klienci nie narzekali -mówili na niego *specialite de la maison*, co irytowało dziewczęta. Zwłaszcza gdy jego klienci byli pici męskiej.

Jokasta przemierzała korytarze swego imperium. Za każdymi drzwiami jej personel pracował w pocie czoła. Jokasta nade wszystko lubiła te stłumione odgłosy, ekstatyczne stęknienia mieszające się z perfekcyjnie symulowanymi okrzykami rozkoszy. Czasem zdawało się jej, że woli stymulację dźwiękową od samej czynności... lecz natychmiast się reflektowała, bezlitośnie tłumiąc tę nieprofesjonalną

Niewątpliwie wzbudzała pożądanie i doskonale o tym wiedziała. Jeśli chodzi o aparycję, nie dorównywała ekstraklasie swego personelu, bezsprzecznie jednak była kobietą z klasą. Rysy twarzy miała równie klasyczne i greckie jak imię, a jeśli jej piersi były rzeczywiście ciut przyciężkie, już dawno przestała się tym zamartwiać. I tak prezentowały się jak należy, wypychając w odpowiednim miejscu cieniutką, koronkową, białą koszulę nocną, opadającą aż do ziemi, oświetloną blaskiem świecy, którą trzymała w rękę podczas swych wędrówek po budynku. Любиła się tak ubierać. Dzięki temu czuła się czysta.

Jednakże, o czym doskonale wiedziała każda z jej pracownic, Madame Jokasta potrafiła przy pracy roztoczyć dwakroć więcej erotyzmu niż one. Nie miała sobie równych i jeśli nawet zbyt nisko ceniła swoją wszechstronność, jej personel był od tego jak najdalszy. W nielicznych sytuacjach, gdy sama brała się do dzieła, wszystkie dziewczęta tłoczyły się przy otworkach obserwacyjnych w ścianach jej pokoju, by się przyglądać i uczyć.

Tego trzasku bicia nie sposób było pomylić z niczym innym. Dobiegał zza drzwi pokoju, w którym na pełnych obrotach pracowała Bum-Bum de Sade. Żarłocznym głosem mówiła coś przeciągle o rozpalonym do czerwoności pogrzebaczu i ukontentowana Madame Jokasta ruszyła dalej.

Bum-Bum była ulubienicą Flanna O'Toole'a, gdyż dzięki niej mógł czerpać rozkosz ze swych sesji samoumartwienia; lecz Flann O'Toole nie zaliczał się do ulubieńców Jokasty. Zbyt często wykazywał skłonność do sadyzmu i istniało niebezpieczeństwo, że skrzywdzi kogoś z personelu.

Za kolejnymi drzwiami panowała cisza. Była to komnata Mademoiselle Florence Nightingale. Roztaczała ona wokół siebie atmosferę swojskiej seksualności: zarówno gdy - niby przypadkiem - odsłaniała pierś, jak i gdy zawstydzona pozbywała się ubrania. Florence zawsze „robiła te rzeczy” - nigdy się nie rzucała, nie ruchała, nie pieprzyła i nie jebała. Robiła te rzeczy z wdziękiem i pod osłoną ciemności. Gdy Jokasta się zatrzymała, usłyszała, że ktoś nuci wdzięczną melodię: Florence usypiała klienta kołysanką.

Natomiast z pokoju Gillesa dochodziła muzyka. Zapewne chciał w ten sposób ukryć swą bezczynność, lecz Madame Jokasta uznała, że tego wieczoru nie poruszy tej kwestii. Zbliżał się jednak czas poważnej rozmowy z Gillesem.

Kamali, młodej Hinduski, nie było w jej pokoju. Madame Jokasta pamiętała, że obok, w łóżku Lee Kok Fook, chińskiej „kobiety-gumy”, przebywa dzisiaj absolutnie wyjątkowy gość. Hrabia Czerkasow zażyczył sobie towarzystwa swoich dwóch ulubionych dam i podczas gdy madame hrabina Czerkasowa chrapała w błogiej nieświadomości, owe mistrzynie sztuk wschodnich dokładały starań, by błękitna krew sympatycznie tępawego hrabiego płynęła nieco zwawiej niż zwykle. Lee Kok Fook i Kamala Sutra stanowiły idealny ze- Proszę wejść, Madame.

Głos Medii sprawił, że twarz Jokasty zajaśniała radością. Media była jej ulubienicą: tylko ona naprawdę ją rozumiała. Jej talent dorównywał niemal talentowi Madame. Aby uniknąć rywalizacji ze swą protegowaną, Jokasta przydzieliła ją wyłącznie do obsługi kobiet, czemu zresztą Media oddawała się z nie słabnącym zapałem. „Lubię kobiety” - powiedziała kiedyś. - „Dobrze się nam układa”.

Jokasta weszła do pokoju swej asystentki.

- Najwyraźniej obie mamy dziś wolny wieczór – rzekła Media. Stała naga, tyłem do okna, prezentując nocy swoje wdzięki.

- Zamknij okno, Medio, jest mgła. Możesz się przeziębnić.

Media wykonała polecenie bez szemrania. Madame wie najlepiej.

- Ponieważ mamy dzisiaj trochę czasu, co Madame powiedziała by na drobną rozgrzewkę? - zapytała.

- To właśnie lubię, Medio - powiedziała Madame Jokasta. Zsunęła z ramion nocną koszulę, która spłynęła na podłogę. - Oddanie.

- To prawdziwa przyjemność, Madame - odparła Media, podchodząc do niej.

Błysk.

Pan Norbert Page był niewielkiego wzrostu.

Nosił niewielkie okulary w srebrnej oprawie.

Stawiał niewielkie kroczki.

Pijał również niewiele.

Jego ręczki zdrząły nieznacznie, gdy stwierdził, że drzwi szopy nie są zamknięte. Alex coraz sprawniej posługiwał się swoją złotą wykałaczką. Gdy otworzył drzwi, przywitał go szeroki uśmiech Alexa, pełen niewinności i dziecięcego uroku.

- Aleksie - odezwał się Norbert Page, grożąc mu palcem z całą surowością, na jaką potrafił się zdobyć - chyba nie wychodziłeś, prawda?

Pytanie nie miało najmniejszego sensu. Alex skinął radośnie głową.

- Wychodziłem.

- A czy ktoś cię widział?

Alex potrząsnął głową; wciąż promiennie się uśmiechał.

- Aleksie - westchnął pan Page z wielką ulgą - wykończę się kiedyś przy tobie, naprawdę. Gdyby cię ktoś zobaczył... gdyby twoja matka nakryła mnie na tym, że wyszedłem łyknąć sobie co nieco... - Poddał się.

Alex uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Graj - zakomenderował. - Czysto.

Norbert Page uwielbiał sporty uprawiane pod dachem, a dzięki fotelowym wyczynom zyskał przydomek Sportsmena. Z uwagi na tę pasję był wręcz idealnym opiekunem Alexa.

Grali w warcaby na szachownicy, używając figur szachowych.

Pozwalało to panu Page'owi utrudniać sobie tę grę, czego jednak Alex nie był świadomy. Gdy Sportsmen dochodził na skraj szachownicy, zastępował pionki silnymi figurami szachowymi. Dla Alexa była to jedynie zamiana pionka na damkę, ale Sportsmen drobiazgowo przestrzegał wyższości hetmana nad wieżą, wieży nad gońcem i tak dalej, nigdy nie pozwalając sobie na to, by silną figurą zbić słabszą. Sprawiało mu to większą satysfakcję, Alexowi natomiast dawało szansę na zwycięstwo.

- Twój ruch - powiedział pan Page.

Błysk.

Rzecz jasna byli również tacy, którzy przespali błysk. Na przykład taka Irina Czerkasowa, która spoczywała nieporuszona w swoim wielkim, choć nieco surowym łóżu o czterech kolumnach, nie zdając sobie sprawy, co się dzieje, tak jak nie zdawała sobie sprawy z nocnej aktywności swego męża.

Jeśli Dom Wzwodzonego Końca był najwyższym budynkiem w Ch., to rezydencja Czerkasowów, położona w pewnym oddaleniu od centrum miasteczka, była najbardziej rozległa. Stała ponadto w dużym i pięknym ogrodzie. Prawdę mówiąc, zbudowali ją jak najbliżej swojej starej daczy, lecz ponieważ rodzina nie była dostatecznie liczna, by zapełnić tak duży metraż, dokwaterowano im niejakiego pana R. S. Moonshy'ego. Na temat jego inicjałów opowiadano sobie dowcip: swoje istnienie zawdzięcza temu, że jego rodzice zastanowili się po fakcie. R. S. Moonshy był miejscowym kwatermistrzem, a uporczywa walka, która toczyła się między nim a hrabiostwem Czerkasow, dostarczała mieszkańcom miasteczka nieprzerwanej rozrywki. „Prawdziwie to szczęсна ironia” - powiedział kiedyś na trzeźwo O'Toole - „że w tym szlacheckim gnieździe zagnieździł się zajadły zwolennik drastycznej równości”.

R. S. Moonshy spał każdej nocy z tomem Marksa pod poduszką. Nie było mu z nim zbyt wygodnie, robił to jednakże na znak szacunku. Teraz też spał. Nie najlepiej.

Natomiast w sąsiednim domostwie przebywał inny właściciel znaczących inicjałów - Ignatius Quasimodo Gribb.

Elfrida Gribb, jak to kołtunka, poczuła lekkie mdłości, gdy skręciwszy w brukowaną ulicę, zbliżyła się do Elbaroomu. Tolerowała go z równym trudem jak piekielną norę Madame Jokasty i jeśli miała kiedykolwiek jakiś żal do śpiącego obecnie męża, to jedynie ten, że w swojej wszechogarniającej miłości do tego miasteczka, w którym urządził sobie dom, nie potrafił wykrzesać słów potępienia dla tych dwóch przybytków niegodziwości.

I tak oto przed Elbaroomem znalazł się dziwaczny kwartet: Virgil Jones, powłócząc nogami, zgarbiony i ze zwieszoną głową szedł obok Trzepoczącego Orła, który wbijał wzrok w otaczającą ich mgłę, człowiek zwany Kamieniem czołgał się po kocich łbach, a na grzbiecie posłusznego osiołka jechała błada kobieta.

Oczy Elfridy napotkały wzrok Trzepoczącego Orła. Wstrzymała oddech.

Błysk.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Jak długo może trwać przerwa w istnieniu? Błysk zniknął, zanim w ogóle do niego doszło - tak przynajmniej utrzymywali ci, którzy go doświadczyli; a jednak był i Elfridę przeszył zimny dreszcz. Stwierdziła nagle, że z całych sił stara się myśleć o Ignaciusie, wyobraża sobie jego twarz, usiłuje sprawić, żeby stał się na tyle materialny, by mogła się go uchwycić. W innym miejscu Jokasta i Media kontynuowały swoje praktyki z niezwykłą zaciętością, a w Elbaroomie Flann O'Toole odstawił stolik, którym zamierzał był cisnąć, i wycofał się za kontuar, gdzie wytrzeszczyła nań zdziwione oczy jego oniemiała alzacka suka.

- Virgil? - spytał Trzepoczący Orzeł; lecz Virgil Jones potrząsnął głową, zupełnie zagubiony.

- Chyba nas zamroczyło - powiedział. - Na pewno jesteśmy zmęczeni.

- Ale nas obu, Virgil? Jednocześnie?

Virgil znów potrząsnął głową.

- Nie wiem - odparł, a własny głos boleśnie zagrał mu na starganych nerwach.

- Wejźmy do środka - powiedział Trzepoczący Orzeł. -Może znajdą się dla nas jakieś łóżka.

Elfrida usłyszała imię Virgila. To niemożliwe, pomyślała, niemożliwe, żeby pan Jones wrócił. A mimo to w jednej z tych postaci wyczuwało się dużo z Virgila Jonesa. Ten drugi zaś... jego towarzysz... ten, który się w nią wpatrywał... ta twarz... nie, to wina mgły oraz jej wyobraźni. To ktoś obcy. Pióro było dowodem. To ktoś oł. Jedno jest pewne, powiedziała sobie Elfrida. Wszelkie

nadzieje, że zasną, okazały się płonne. Może będzie najlepiej, jeśli spędzę noc, próbując wyjaśnić tę zagadkę.

Trzepoczący Orzeł i Virgil weszli do Elbaroomu.

Elfrida zsunęła się z grzbietu osiołka i owinąwszy się dokładnie chustą, podeszła ukradkiem do ściany Elbaroomu; stanęła między drzwiami i oknem.

Pierwszy raz w życiu pani Gribb świadomie podsłuchiwała.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Szli przez tę długą, wąską salę, a dokoła zapadała cisza. Zupełnie jakby emanowała z nich jakaś niewidzialna, śmiertcionośna substancja, zabijająca słowa na ludzkich ustach i dławiąca w zarodku wszelkie poruszenia. Miała ona też właściwości magnetyczne, ponieważ wzrok sparaliżowanych podążał niewolniczo za oboma mężczyznami. Cisza była tu czymś obcym - wejście Trzepoczącego Orła i Virgila zmieniło charakter żywiołu, w którym biesiadnicy czuli się jak ryby w wodzie. Trzepoczący Orzeł, również zszokowany, zwietrzył coś nieuchwytnego, niebezpiecznego, nieprzewidywalnego. Coś takiego czułby strażnik więzienny, do którego z własnej, nieprzymuszonej woli powrócili zbiegli podopieczni, bądź lew, który nagle stanął oko w oko z chrześcijaninem samobójcą. Co zastanawiające, uczucia te najwyraźniej odnosiły się do nich obu. Nie pierwszy już raz Trzepoczący Orzeł zapragnął lepiej poznać przeszłość swego towarzysza. Ponadto zdumiewało go, że również na niego patrzono tak, jakby już był tu znany. A po chwili stwierdził - z równym zdumieniem - że zupełnie go tu ignorują. Zupełnie jakby powinno go tu nie być i wszyscy właśnie tego sobie życzyli.

Gdy mnie poznają, ich wrogość ustąpi, pocieszył się. Martwa cisza w Elbaroomie świadczyła jednak, że był zbytnim optymistą.

Równie raptownie jak się urwał, w sali wybuchł gwar i niczym na komendę wszystkie oczy odwróciły się od przybyłych. Gwałtowność tej zmiany zbiła ich z tropu. Gdy bywalcy baru ponownie buchnęli potokami mowy, Trzepoczący Orzeł i Virgil odnieśli wrażenie, że właściwie mogliby wcale nie istnieć.

Hunter wpatrywał się w Monotematycznego Peckenpawa z rozpaczliwym zainteresowaniem.

- Opowiedz mi o swoich technikach łowieckich - odezwał się z nieco sztucznym ożywieniem.

Z ust Peckenpawa wyrwały się opowieści. Mówił, jak zastawiać pułapki, podkradać się i przetrwać w dzikich ostępach. Z twarzy Dwururki zniknęły wszelkie oznaki nudy, ustępując świeżo rozbudzonej namiętności do polowania. Sam Monotematyczny chyba jeszcze nigdy nie opowiadał z równym żarem: mówił o swojej przeszłości, jakby zależało od tego jego życie.

Tymczasem Flann O'Toole zupełnie się załamał. Stał, zaciskając kurczowo powieki, i walił pięściami w kontuar, powtarzając monotonię:

- Najświętsza Matko Boża, przysięgam, że nigdy więcej nie wezmę do ust alkoholu. Najświętsza Matko Boża, przysięgam, że nigdy więcej... - Urwał i zwymiotował do stojącego za kontuarem wiadra. - Jezus Maria - wyjęczał.

Nagle alzacka suka O'Toole'a zrobiła coś nieoczekiwanego. Przepchnęła się obok swego wymiotującego pana, przecisnęła się pod barem i skoczyła na Virgila Jonesa. Merdała ogonem i lizała go po twarzy, ciesząc się z jego powrotu. O'Toole uniósł poszarzałą twarz i wybałuszył oczy.

- Nie wierzę - powiedział. - Ale przecież ta suka zawsze go lubiła. A on potrafił się dogadać ze zwierzakami pewnie dlatego, że bliższe mu były niż ludzie. Prawdziwie to Virgil Jones, a nie żaden miazmat. Jones Kopacz. Zaprawdę ten błazen powrócił.

Klienci przenieśli powoli wzrok na stojących nieruchomo przy barze Virgila i Trzepoczącego Orła oraz na wielkie, obskakujące ich przyjaźnie zwierzę, a następnie na Peckenpawa i Dwururkę. Trzepoczący Orzeł patrzył im w oczy i dostrzegł w nich szybką serię metamorfoz: najpierw niedowierzanie (pod wpływem O'Toole'a), potem zachwyty, a na koniec ulga.

- O jeny - powiedział Peckenpaw. - Jones i jakiś obcy. - Ostatnie słowo wymówił z silnym naciskiem.

- Cóż, cóż - rzekł dwukrotnie Dwururka - Jones i jakiś obcy.

Z różnych kątów sali dobiegły podobne okrzyki. Powoli, stopniowo powracała jowialna atmosfera.

Flann O'Toole wyszedł zza kontuaru. Szybko odzyskał zwykły wigor. Na twarzy miał uśmiech, który wyglądał na przyjazny. Wygląda na przyjazny, ostrzegł siebie Trzepoczący Orzeł. To, że na taki wygląda, nie znaczy, że taki jest.

- Ten jego koleś - zahuczał Monotematyczny Peckenpaw - ma pióro we włosach! Przypomina mi się, jak oskalpowałem jednego indiańskiego wodza! - (Śmiechy, okrzyki, protesty.)

Nagle w pamięci Trzepoczącego Orła ożyło pewne wspomnienie. Nie czegoś, co mu się przydarzyło, lecz co widział. Zrozumiał, z czym mu się kojarzy ich przyjazd: ze starymi filmami w podrzędnych kinach w Phoenix, do których chadzał potajemnie. Czerwonoskóry wchodzi do saloonu. Chłopcy nabijają się z niego, a potem otwierają ogień. „W tym mieście nie kopiemy czerwonoskórych. Kopiemy doły”.

- Psie - powiedział Flann O'Toole do swojej suki - zachowuj się.

Te słowa sprawiły, że niepokój Trzepoczącego Orła przybrał jeszcze większe rozmiary, lecz twarz O'Toole'a nadal przecinał ten sam przyjazny uśmiech. Suka umknęła chyłkiem za kontuar.

Ręce Flanna O'Toole'a: wielkie szynki zwisające z ramion. Ręce dusiciela, pomyślał Trzepoczący Orzeł. Miał sobie to przypomnieć w innym miejscu i innym czasie. Na razie jednak O'Toole rozkładał je całkiem przyjaźnie.

- Virgil! - zahuczał. - Virgil, mój chłopcze! Tyś to jest, czy nie ty?!

Wyciągnął lewą rękę i mocno uszczypnął w ramię Virgila, który od dłuższej chwili stał nieruchomo. Trzepoczący Orzeł dostrzegł na twarzy przyjaciela błysk bólu, który zaraz znikł. Oczy miał pozbawione wyrazu.

Flann O'Toole zarykiwał się ze swego dowcipu.

- Jesteś albo głupcem, albo geniuszem, panie Jones -

powiedział. - Tylko głupiec puściłby coś takiego płazem. Głupiec albo człowiek, który wie, że jest słaby. Przynajmniej mam teraz pewność, że to ty, z krwi i kości. Podejź no do mnie, pogódźmy się. Postawię ci drinka. Virgil nawet nie drgnął.

- No dalej, dalej - chichotał O'Toole. Drażniąc tego grube go, mrugającego oczami mężczyznę, był w swoim żywiole. - I tak się nad tobą zlitowałem, bo mogłem użyć prawej ręki. Przecież trzeba się upewnić, co? Chodź się napić z O'Toole'em i przedstaw nam przy okazji swojego nieszczęsnego przyjaciela. O'Toole stawia! - wrzasnął na całą salę. - Chodź cie bliżej, powitamy zbłąkaną duszyczkę!

Virgil przemówił:

- Zanim się z tobą napiję, O'Toole, musimy porozmawiać.

- Bzdura! - krzyknął O'Toole. - Tutaj rozmawiamy, pijąc!

- Na osobności - dodał Virgil.

Flann O'Toole zrobił na poły kpiącą, na poły poważną minę. On traktuje Virgila jak wiejskiego przygłupa, pomyślał Trzepoczący Orzeł, zdziwiony, że Virgil odgrywa tu taką rolę. Być może, zastanowił się, nie jest to wcale przypadek.

- Uhu! - zahuczał O'Toole. - Poważna sprawa, co? Ale tu są tylko moi przyjaciele, moi bliscy i wspaniali towarzysze. Nie mam przed nimi żadnych tajemnic. Więc wal prosto z mostu, stary. Zaszło mi w gardle z radości, że cię widzę.

- Chodzi o twoją żonę, Dolores - powiedział Virgil Jones. - Jak pamiętasz, zostawiła cię. Zresztą nie bez powodu. Otóż ona i ja jesteśmy kochankami. Nie mogę więc z tobą pić. Wszystko, co powiedziała o tobie, to prawda. Było prawdą, zanim uciekła. I jest prawdą teraz. Nie przyjechaliśmy tu, by z tobą pić. Po prostu szukamy pokoi i już. Więc jeśli wybaczysz...

Głęboko w piersi Flanna O'Toole'a rozległ się jakiś hurkot, który powoli przeszedł w potężny, przerażający grzmot. Wytrzeszczone oczy nabiegły mu krwią. Stał tak przez chwilę, rycząc i czerwieniejąc, aż nagle jego ręce wystrzeliły ku Virgilowi Jonesowi.

Nim Virgil zdążył zrobić choćby krok, jego gardło znalazło się w potwornym uścisku. Rzęząc, próbował złapać oddech.

- Co mam wybaczać! - wrzasnął straszliwie O'Toole. - Jesteś skończonym durniem, panie Virgilu Casanovo! Niech mnie diabli, jeśli cię tu nie uduszę, nie zmiażdżę gardła, żebyś konał długo i zasłużenie! Przychodzić do domu O'Toole'a i zarzucać mu, że jest rogiaczem - na coś takiego zdobyć się może tylko kompletny wariat! Uwodzić moją żonę! Masz szczęście, że ci nie wierzę. Nie potrafiłbyś uwieść nawet parówki, co zresztą ratuje ci życie.

- Jak mi się zdaje, mówiłeś kiedyś, że nie możesz wytrzymać z żoną - powiedział z zainteresowaniem Dwururka.

- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy - odparł O'Toole. - Moja żona jest moją żoną i nikomu nie pozwolę jej obrażać, bo to obraża i mnie. Najwyższy czas, by pan Jones nauczył się manier. Nawet idiotów nic od tego nie zwalnia.

Puścił Virgila, który cofnął się chwiejnie i wciągnął w płuca wielki haust powietrza. Trzepoczący Orzeł dostrzegł, że ogromna jaskrawoczerwona łapa zaciska się w pięść i rusza do ataku. Stał sparaliżowany. Jak na zwolnionym filmie ujrzał, że pięść szybuje ku dyszącemu Virgilowi; odgłos uderzenia był słabszy, niż można się było spodziewać. Pod Virgilem ugięły się kolana, po czym bezgłośnie osunął się na podłogę.

Trzepoczący Orzeł wciąż stał osłupiały. O'Toole obrócił się do niego jak byk szykujący się na kolejnego matadora.

- Nie chcesz pomóc przyjacielowi, panie jak ci tam?! - spytał, wciąż hucząc z przerażającą mocą.

Trzepoczący Orzeł pokręcił głową.

- Nie.

O'Toole wybuchnął śmiechem.

- Virgil nigdy nie miał dobrych przyjaciół - powiedział. - Mądrze robisz, że się trzymasz z daleka.

Trzepoczący Orzeł poczuł, że zbiera mu się na mdłości.

- Kopa mu - dobiegł z głębi sali czyjś głos. - Kopa w tyłek i już.

O'Toole wyszczerzył zęby.

- Monotematyczny! - zawołał. - Pomóż mi, jeśli łaska!
Dźwignęli Virgila Jonesa i powlekli go do drzwi. Trzepoczący Orzeł tylko patrzył.

Raz.

Dwa.

Trzy.

I Virgil spadł z głuchym stukiem na kocie łby.

Przestraszona Elfrida Gribb podbiegła do niego i wzięła jego głowę na kolana; lecz gdy odzyskał przytomność, wstał drżący, nałożył kapelusz i - nawet jej nie dziękując - ruszył przed siebie po kocich łbach. Przewrócił się tylko raz, na posuwającym się na kolanach

Elfrida zacisnęła usta - rozżalona kobieta, której pomocny gest nie został doceniony. Ignatius zawsze twierdził, że Virgil jest niespełna rozumu. I najwidoczniej miał rację.

Sparaliżował go głos, który rozległ się w jego głowie. Nalegał bardziej niż kiedykolwiek przedtem, a gdy ucichł, Trzepoczący Orzeł czuł do siebie wstręt. Oto, co mu powiedział głos:

W miasteczku, gdzie zamierza się osiedlić, jest obcy i podejrzany. Potrzebuje ludzi z Elbaroomu - potrzebuje ich zaufania i pomocy, nawet jeśli chce tylko znaleźć nocleg, nie mówiąc już o miejscu w tej społeczności. Opowiadając się teraz za Virgilem Jonesem, przekreśliła wszystkie swe nadzieje, że dotrze do kresu wędrówki, znajdzie bezpieczną przystań. Na myśl o tym go zemdliło: już się sprzymierzył z Virgilem Jonesem i zaciągnął u niego dług w wysokości dwóch żywotów. A mimo to głos wewnętrzny był bardzo przekonujący. Teraz już rozumiał, co się z nim dzieje: wiedział, że słabnie w nim podróżnicza żyłka i traci serce do tak długo już trwających poszukiwań, ustępując miejsca chęci dopasowania się i

- Jutro - obiecał sobie. - A może jeszcze dziś wieczorem. Znajdę Virgila i go przeproszę. O tak. Jutro.

W pamięci wciąż miał jeszcze błagalne słowa Virgila wypowiedziane przed godziną: „Naprawdę nie zniósłbym żadnej rany,

którą mógłbyś mi zadać”. Obawy kryjące się za tymi słowami już zdążyły stać się ciałem. Trzepoczący Orzeł zdawał sobie sprawę, że uderzył przyjaciela znacznie mocniej niż Flann O’Toole, a na dodatek trafił go w dużo czulsze miejsce. Wina była niezaprzeczalna, lecz chwilowo nie zamierzał odbywać pokuty. Jeszcze nie. Najpierw musiał się przedstawić. Wina. Moja wina *Mea maxima*.

Wrócił do rzeczywistości. Otaczały go same ponure twarze; oprócz twarzy O’Toole’a, który dziko szczyrzył zęby.

- Gdzie on pójdzie? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Jak to gdzie? Do Jokasty - odezwała się czerwona twarz z krzaczastymi brwiami. - Tylko ona go zechce.

- Przypuszczam - powiedziała szczupła twarz o delikatnych kościach - że znów będziemy musieli się do niego przyzwyczaić.

- Ale nie tutaj - rzekł Flann O’Toole. - Nie pozwolę mu przekroczyć progów Cesarstwa Napoleona.

- Mogę usiąść? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Możesz - rzekł Flann O’Toole. - I od razu odpowiesz na kilka pytań.

Cynizm na szczupłej, delikatnej twarzy, gwałtowność w obliczu O’Toole’a. O’Toole: świadome oblicze gwałtowności, brutalna siła upajająca się sama sobą, masturbacja władzy. O Boże, pomyślał Trzepoczący Orzeł, gdzie ja trafiłem?

- Odpowiem z przyjemnością - odparł, gryząc się w język ze wstydu.

- Jak się nazywasz? - spytał O’Toole.

- Trzepoczący Orzeł. Jestem z amerindyjskich Axonów. - (Stopień i numer służbowy. Na ustach czuł krew. A na rękach - Virgila. Kolejna istota ludzka skrzywdzona po zetknięciu ze mną.)

- Pierwsze o takich słyszę - powiedział Peckenpaw, wolno kręcąc głową.

- Wiek? - spytał O’Toole.

- Siedemset siedemdziesiąt siedem. - (Brzmiało to doprawdy idiotycznie. Jakże odległe było całe jego dotychczasowe życie. Tutaj, na Wyspie Cielecej, boleśnie odczuł, że jego nieśmiertelność straciła znaczenie, straciła znowu, nie było po co o niej myśleć ani rozmawiać, nie mówiąc już o tym, by się smucić. Aż dziw, że kiedyś o mały włos nie popełnił przez nią samobójstwa. Inteligencja traci wartość pośród geniuszy; rywalizują oni w gotowaniu lub seksie. Dotyczy to też nieśmiertelności. Gdy wiek staje się stały, staje się ni- Zawód?

- Żeglarz... byłem żeglarzem. - (To również wyglądało teraz na opis jakiegoś innego Trzepoczącego Orła.)

- Prymarne zainteresowanie?

- Przepraszam... co?

- Prymarne zainteresowanie - powtórzył O'Toole.

- Niezupełnie rozumiem - powiedział Trzepoczący Orzeł.

- Może wytłumaczysz, Dwururka - westchnął O'Toole. - A ja postaram się o jakąś miksturę na wzmocnienie.

Na miejscu O'Toole'a usiadł osobnik o szczupłej, delikatnej twarzy.

- My tutaj w Ch. - zaczął głosem ciężkim od cynizmu - uważamy się za kompletnych. Większość z nas, a właściwie wszyscy, podziela określone zainteresowania, które uważamy za własne. Nie sądzę, byśmy mogli zaakceptować kogoś, kto ma na ten temat odmienny pogląd. Widzi pan, na tym właśnie polega różnica między zwyczajnym seksem a miłością. Im bardziej ktoś kogoś kocha, tym bliżej poznaje tę osobę, tym więcej dostrzega i tym bardziej go to wzbogaca. A my lubimy się uważać za ludzi tak wzbogaconych. Chcielibyśmy wiedzieć, że się pan z nami zgadza.

-Tak - odrzekł Trzepoczący Orzeł. - Zgadza się. -(„...żadnej rany, którą mógłbyś mi zadać”, powiedział kiedyś Virgil. „Zgoda”, odparł wtedy Trzepoczący Orzeł.)

Wrócił O'Toole.

- No cóż, spróbujmy jeszcze raz, co? - powiedział. - Prymarne zainteresowanie?

Twarze zastygły w oczekiwaniu.

Trzepoczący Orzeł, oszołomiony i zdeorientowany, odpowiedział, nie wiedząc, skąd mu się wzięła odpowiedź: - Grimus. To Grimus.

- Ach - powiedział O'Toole, tracąc nagle kontenans.

- Pst, pst - syknął Hunter. - Ma pan, niestety, niezaprzeczalny dar poruszania drażliwych tematów. My raczej nie mówimy zbyt dużo o... o tym tutaj.

Na twarzach pojawił się ponury wyraz. Gdyby O'Toole spróbował teraz nakłaniać do przemocy, próba ta zakończyłaby się fiaskiem.

Nieoczekiwanie Monotematyczny Peckenpaw stanął po stronie czerwonoskórego.

- Do diabła - powiedział. - Żyj i daj żyć. Nie wiem, dlaczego mielibyśmy go nie dopuszczać tylko z tego powodu, że jest dziwnie wyglądającym Indianinem. Masa moich najlepszych kumpli była Indianami. Więc nie ma co utrudniać, no nie? Jest inny, no nie? Zapelnia jakąś lukę, no nie? Więc czemu, kuźwa, nie?

Peckenpaw był jedynym człowiekiem, który mógł śmiało przeciwstawić się Flannowi O'Toole'owi. Z twarzy O'Toole'a spelzł tępy wyraz i rozlał się na niej ten jego dwuznaczny uśmiech.

- OK- powiedział. - Niech tę sprawę rozstrzygnie dobry hrabia. Możemy przecież mówić o Grimusie. Lubię baśnie.

- Podobno alkohol szybko uderzał mu do głowy - powiedział ktoś z powagą. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Podobno był dobry w różne gry - odezwał się inny, a śmiech podniósł się jeszcze większy.

- Podobno był świetnym myśliwym - dodał Peckenpaw, wzbudzając trzeci huragan śmiechu.

Trzepoczący Orzeł odezwał się:

- Panowie, naprawdę nie musicie stroić sobie ze mnie żartów. Przybyłem tu w dobrej wierze: chciałbym tutaj osiąść.

- Przynajmniej jesteś teraz w lepszej kompanii - powiedział O'Toole. - Napij się pan, Trzepoczący Orle. Tutaj decyzje

podejmuje hrabia Czerkasow, a nie my. Spotkasz się z nim jutro, Tymczasem znajdę ci jakieś miejsce do spania. Trzepoczący Orzeł! poczuł ulgę, wciąż był jednak ostrożny.

- Chciałbym zapytać... - zaczął.

- Wal śmiało - rzucił O'Toole.

- To znaczy... Jaki mamy dzisiaj dzień?

Tym razem śmiech O'Toole'a był szczery.

- Widzisz, czym się kończy szwendanie z takimi jak Jones? - powiedział. - Człowiek zupełnie traci poczucie czasu. Mamy akurat wtorek, choć bardziej prawdopodobne, że jest środa rano. Masz może w zanadrzu podobne zagadki?

- Tak - odparł Trzepoczący Orzeł. - Kto to jest Virgil Jones?

Flann O'Toole patrzył nań przez chwilę z szeroko otwartymi ustami, a potem ryknął tak ogłuszającym śmiechem, że Trzepoczącemu Orłu omal nie pękły bębienki.

- No, niezły dowcip. To twój przyjaciel i już, a z ciebie niezły głupiec. Pij do dna, panie Orle, do dna.

Może był to skutek ziemniaczanej whisky, a może zmęczenia, w każdym razie Trzepoczący Orzeł poczuł nagle mdłości i zawroty głowy.

- Wyjdę na moment na świeże powietrze - powiedział, ruszając ku drzwiom, brudny włóczęga z przekrzywionym piórem we włosach i na granicy wytrzymałości.

Twarze rozstały się, by zrobić mu miejsce. W pokoju unosiła się mgła.

Flann O'Toole i Dolores O'Toole w łóżku. On - pijany w sztok, ona - całkowicie przebudzona, wyciąga do niego ręce. Flann Napoleon O'Toole chrząknął przez sen:

- Nie dziś, Józefino.

- Dolores - poprawiła go chłodno i zapadła w sen.

Na to wspomnienie O'Toole zmiażdżył w ręce szklanę.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Pod słuchującą Elfrida Gribb powzięła decyzję; jej delikatna szczęka była stanowczo zaciśnięta. Czekając, z niepokojem, choć zdecydowana, na pojawienie się Trzepoczącego Orła.

Wywłócił się z baru i natychmiast poleciał na ścianę. Głowa mu opadała i nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten znajduje się w ostatnim stadium fizycznego i umysłowego wyczerpania. Ponadto jest okropnie ubrany, pomyślała Elfrida. Taki brudny.

- Proszę pana - powiedziała, starając się, by zabrzmiało to stanowczo.

Głowa Trzepoczącego Orła przekreśliła się ku niej. Ta kobieta... to ta piękna kobieta... tak, tam, osiołek... Nie rozumiał, czego od niego chce.

- Proszę pana - powtórzyła z naciskiem - nie może pan tutaj zostać.

- Hę?

- Musi pan pójść ze mną - powiedziała kategorycznie Elfrida. - Jeśli rzeczywiście poważnie myśli pan o osiedleniu się w Ch., to chyba nie mógł pan gorzej zacząć. Najpierw pan Virgil Jones, a teraz ta... ta dzika, rozwydrzona tłuszcza. Nie, proszę pana, pójdzie pan ze mną. Mój mąż i ja mamy pokój gościnny, gdzie może pan spać. Czy nie jest panu przyjemnie na myśl o czystej pościeli? No i smacznych posiłkach, choć być może to subiektywna opinia. Bardzo pana proszę. Czerkasowowie są naszymi przyjaciółmi i sąsiadami. Hrabia Czerkasow liczy się ze zdaniem mojego męża. Zapewniam pana, że to najlepsze wyjście w tej sytuacji. Tylko niech pan nie traci czasu, proszę, bo zaraz tu po pana przyjdą.

Trzepoczący Orzeł zrozumiał, że ta piękna kobieta proponuje mu gościnę. Nie wiedział dlaczego, ponieważ nie znał jej uzależnienia od dobrych uczynków, a był zbyt zmęczony, aby się nad tym zastanowić. Natomiast było zupełnie jasne, że urodą niezaprzeczalnie przewyższa Flanna O'Toole'a, stąd też wybór był oczywisty. Mimo że usłyszał słowo „mąż”.

Spróbował wyprostować się z godnością.

- Trzepoczący Orzeł - wybełkotał.

Zachichotała.

- Proszę wybaczyć, że to mówię, ale wygląda pan komicznie, panie Orle. Jednak zdrowo przespana noc zdziała cuda. Nazywam się Elfrida Gribb. Moim mężem jest pan Ignatius Gribb, filozof.

- Ja natomiast - odparł z wysiłkiem Trzepoczący Orzeł - jestem młyńskim kamieniem filozoficznym. - Zachwiał się na nogach.

- Co? - spytała. - Czy to miał być dowcip? Dałabym głowę, że w pańskim stanie może pan zaledwie zmieniać metale nieszlachetne w mikę. A teraz niech się pan pośpieszy.

- Ja... będę potrzebował pani pomocy.

Wspierając się na niej, ruszył powoli ku osiołkowi. Z pewnym trudem obojgu udało się wdrapać na jego grzbiet (pani Gribb usiadła z przodu). Następnie zaś pojechali po kocich łbach do miejsca, które tak prześladowało go w myślach tego wieczoru: do domu.

Gdy mijali Dom Wzwodzonego Końca, Trzepoczący Orzeł już spał, otaczając ramieniem talię pani Gribb, żeby nie spaść, i z głową na jej karku.

Ojej, pomyślała sobie Elfrida Gribb, to ci dopiero przygoda.

Długa noc dobiegała już końca.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

W nogach łóżka stał jakiś gnom.

- Nadzwyczajne - powiedział. - Doprawdy nadzwyczajne.

Był to bardzo czysty gnom, nieustannie podskakujący na jednej nodze i pełen nienasyconej ciekawości, którą psuło jednak wyraźne zniecierpliwienie. Ubrany był nienagannie, w jedwabną koszulę i fular, bonżurkę i raczej nie pasujące niezwykle wiekowe (acz nieskazitelnie higieniczne) sztruksowe spodnie oraz bambosze. Gdy zauważył, że Trzepoczący Orzeł się obudził, błysnął purpurowymi oczkami.

- Ach, panie Orle - powiedział. - Niech pan będzie dobrze przybyłym, jak mawiano w La Belle France. Pozwoli pan, że uściskę jego kciuk.

Trzepoczącemu Ortu przychodziły do głowy dwa wytłumaczenia: albo wciąż jeszcze śpi, albo się przesłyszał. - Kciuk?

- Tak, tak, tak, tak, tak - rzucił spieszenie gnom. - O tak, widzi pan?

Zbliżył się w podskokach do łóżka Trzepoczącego Orła i wyciągnął rękę. Dłoń Trzepoczącego Orła powędrowała tam z uprzejmości. Kciuk gнома zacisnął się wokół jego kciuka, a palce opłotły jego dłoń.

- O tak - powiedział. - Wie pan co, lokalny wzorzec zachowań jest bardzo ważny. Opanuje pan taki lokalny wzorzec, a wszystkie drzwi staną przed panem otworem. Ignatius Quasimodo Gribb, do usług, sir. Niedysiejszy profesor filozofii w... to zresztą nieistotne. W przeciwieństwie do wspomnianego lokalnego wzorca zachowań. Który jest. Tuszę, że doszedł już pan do siebie. - Czekać na odpowiedź Trzepoczącego Orła, przeskakiwał z nogi na nogę, oczy mu błyszczały, a kąćki ust obwisły.

- Dziękuję panu, panie Gribb - powiedział Trzepoczący Orzeł. - Pan i pańska żona jesteście ludźmi wielkiego serca.

- Nonsens, nonsens, nonsens, nonsens! Teraz pójdzie się pan wykąpać, a my znajdziemy panu jakieś ubranie, które jeszcze nie zostało podarte na strzepy przez dzikusów. Człowiek schludny - człowiek cudny. Higienista - oczywista - zawsze myje się do czysta.

- Tak - odparł z powątpiewaniem Trzepoczący Orzeł. - Nie jestem jednak pewien, czy pańskie ubrania będą na mnie paso... - Przerwał, gdyż pan Gribb zamachał gwałtownie rękami.

- Nie moje, nie moje, nie moje - powiedział. - Podziękowania dla dobrego hrabiego Czerkasowa. Taki dobrosąsiedzki gest, nieprawdaż? Dobrze wróżący. Nie ma nic złego w noszeniu ubrań za zgodą właściciela, co? Co? - Tu, przymknąwszy swe purpurowe oko, ostro szturchnął Trzepoczącego Orła w zebro.

- Oczywiście, że nie - odparł pośpiesznie Trzepoczący Orzeł.

Do pokoju weszła Elfrida Gribb. Wcale nie było po niej widać, że ma za sobą bezsenną noc, a otoczenie, w jakim się znajdowała, oraz zamglone światło dnia uwydatniały jeszcze jej subtelną cudowność.

- Proszę wybaczyć mojemu mężowi - powiedziała. - Obecność pana wprawia go w ekscytację i obawiam się, że może się zachowywać cokolwiek frenetycznie. Musicie panowie odbyć dłuższą przechadzkę. Gdybyście mnie potrzebowali, będę w pobliżu.

Pochyliła się i ucałowała małżonka w kopułę łysiejącej głowy (a raczej głowy znajdującej się w stanie permanentnego linienia). Potem wyszła.

A więc tu właśnie zaczęło się to nowe życie, pomyślał Trzepoczący Orzeł, kąpiąc się. Noc w drogiej pościeli na puchowym materacu. To musiało się udać. Przynajmniej jedno nie ulegało wątpliwości: poziom życia państwa Gribb sytuował ich znacznie wyżej niż jego poprzednich dobroczyńców - Virgila Jonesa i Dolores O'Toole.

Woda w wannie była czarna. Czyli że był odrażająco brudny. Jego włosy przypominały dzikie, splątane chaszczki. Postanowił wykapać się ponownie. Nie przejął się wcale, że tym razem popłynęła tylko zimna woda. Znów jednak zrobiła się czarna. Dopiero po trzeciej kąpieli uznał, że jest już czysty. Gdy wreszcie wyłonił się z łazienki, Ignatius Gribb czekał nań, rozłożywszy na łóżku całą kolekcję ubrań. Trzepoczący Orzeł wybrał skromny, ciemny garnitur i krawat; okazało się, że całkiem znośnie na nim leżą. Jednak na kapelusz się nie zgodził.

- Mam nadzieję, że nie zużyłem zbyt dużo wody.

- Nonsens, nonsens - odrzekł Gribb. - Na dachu mamy duży zbiornik. Teraz proszę pójść i zaprezentować Elfridzie swoje lśniące jestestwo. Osłupieje.

Przeszli z sypialni do niezwykle schludnego pokoju. Elfrida leżała na szezlongu z tamborkiem w dłoni. Na ich widok usiadła i klasnęła.

- No, no - powiedziała. - Teraz widzimy pana w całej okazałości, panie Orle.

- To dzięki pani, madame - rzekł z ukłonem.

Pozwoliła, by na jej policzki wypełzła purpura zadowolenia.

- Idźcie już sobie - powiedziała. - Jestem teraz zajęta.

Obok niej stał jakiś stary, wręcz antyczny gramofon; Elfrida właśnie kładła igłę na płycie. Rozległa się muzyka. Muzyka, której Trzepoczący Orzeł nie słyszał od niepamiętnych czasów. Flety i skrzypce: interludium niemal zapomnianego spokoju. Poczuł, że coś ściska go za gardło.

- Przejdźmy do mego gabinetu, panie Orle - powiedział Ignatius Gribb. - Zechce się pan ze mną napić?

Z trudem oderwawszy wzrok od tej czarownej sceny, Trzepoczący Orzeł ruszył za tym niewielkim, pogodnym i pomarszczonym mężczyzną.

- Niewątpliwie niejedno pan w życiu przeszedł, panie Orle - powiedział Ignatius Gribb. - Widać to w każdym pańskim geście.

- Pana dom wciąż przypomina mi moją przeszłość - odezwał się Trzepoczący Orzeł. - Jej najprzyjemniejsze chwile. Na przykład ta sherry. Od ponad stu lat nie miałem w ustach sherry.

- Elfrida ma wiele cnót, a jedną z nich jest roztropność - powiedział Gribb. - Gdy zdecydowaliśmy się przybyć na Wyspę Cielecą, uparta się zabrać na nią wszelkie atrybuty cywilizowanego gospodarstwa domowego. Mamy zatem niewielką piwniczkę, rozumie pan, na tak rzadkie okazje jak dzisiejsza. Zazwyczaj pijamy miejscowe wina. Być może powoduje to lekką nadwagę, zawsze to jednak lepsze niż otyłość.

Trzepoczący Orzeł stłumi! śmiech: pan Gribb wyglądał na zachwyconego swoim krytycyzmem.

- A zatem - ciągnął filozof - stwierdziłem, że można ustalić stopień oraz naturę ludzkiego doświadczenia na podstawie oczu. Człowiek, który odebrał cięgi od życia, będzie patrzył przez wąskie szparki; jego przeciwieństwo, na przykład zwycięzca i zdobywca, będzie miał dumne, szeroko otwarte oczy. Z przyjemnością stwierdzam, że ma pan tak duże oczy, panie Orle. Oznacza to, że możemy być przyjaciółmi.

Kompletna kontuzja. Trzepoczący Orzeł wyjąkał podziękowanie. W duchu zaś powiedział sobie: Ten człowiek jest głupcem, i to dogmatycznym; niewątpliwie jednak można coś takiego znieść, biorąc pod uwagę jego nie słabnącą gościnność.

Pan Gribb zaczynał się rozkręcać i gdy Trzepoczący Orzeł spytał: „Do jakiej szkoły filozoficznej pan należy, panie Gribb?“, nie potrzebował już zachęty.

- Przed wielu laty - zaczął - pochłoneńy mnie badania nad pamięcią rasową: osadem niezwykle skoncentrowanej wiedzy, która przekazywana jest poprzez stulecia, przy czym każdy wiek coś do niej dodaje bądź ujmuje. Uderzyła mnie myśl, że rdzeń tego zasobu wiedzy to sama materia filozofii. Krótko mówiąc, sir, udało mi się osiągnąć ostateczną harmonię: połączenie najgłębszych, poddanych próbie czasu przemyśleń ludzkiej rasy, z kadencjami zapewniającymi im

spójność, a co znacznie istotniejsze - popularność. Moim zadaniem jest ściągnięcie intelektu na poziom mas ludzkich.

- Niezupełnie chyba... - zaczął Trzepoczący Orzeł.

- Czyż pan tego nie pojmuje, drogi przyjacielu? Kadencja, struktura, styl: to wszystko jest gotowe w opowieściach ludowych, w wydumanych historiach, a nade wszystko... -(machnął teatralnie prawą ręką i uniósł ze swego biurka manuskrypt) - ...w banale!

O mój Boże, pomyślał Trzepoczący Orzeł.

- Na tym właśnie - powiedział Gribb, dźgając palcem kartki manuskryptu - polega moje dzieło. *Cytaty filozoficzne na każdą okazję*. Cytata na każdą okazję czyni życie znośnym i zrozumiałym. To system konstrukcji słownych brzemiennych uniwersalnym znaczeniem. Jak, dajmy na to, pierwszy przykład, najgenialniejsza chyba uniwersalna cytata:

Piaski Czasu są zanurzone w nowych Początkach.

- Niewiarygodne - rzekł Trzepoczący Orzeł.

- Tak pan sądzi, tak pan sądzi? Tak, tak, tak: niech pan tylko pomyśli. Na przyjęciu weselnym stara ciotka szuka jakiegoś zdania, aby nadać temu wydarzeniu właściwą perspektywę. Wypowiada wówczas to zdanie i od razu stawia całą uroczystość w nowej i znacznie głębszej perspektywie. Ta sama kobieta stawia na stół potwornie nieudany posiłek; korzysta więc - ze stoickim hartem ducha - z tejże cytaty, łącząc te dwa, niczym nie powiązane wydarzenia. W ten oto sposób cytata na wszystkie okazje sprawia, że lepiej rozumiemy powiązania między poszczególnymi przejawami życia. Dzięki temu dostrzegamy, że przyjęcie weselne przypomina gotowanie posiłku po raz drugi. W ten sposób nasza cytata rzuca św- Niezwykłe - stwierdził Trzepoczący Orzeł.

- Ojej, ojej, ojej - powiedział Ignatius Gribb. - Widzę, że będziemy najlepszymi z przyjaciół. I nie mam wątpliwości, że również Czerkasow pana polubi. Poinstruję go zresztą, że musi.

- Mogą być pewne kłopoty w związku z wybranym przeze mnie prymarnym zainteresowaniem - stwierdził Trzepoczący Orzeł.

- Phi - powiedział Gribb. - Czerkasow jeszcze nigdy mi nie odmówił.

- Gdy wspomniałem o tym w Elbaroomie, wywołałem duże poruszenie.

Gribb prychnął pogardliwie.

- Dobrze, dobrze, dobrze, więc cóż to jest za niebezpieczne zainteresowanie, co, co?

- Grimus - odparł Trzepoczący Orzeł.

Ignatius Gribb usiadł w milczeniu. Duży zegar szafkowy tykał sekundy. Jakaś mucha zabrzęczała z wyraźnym natręctwem.

- Elfrida coś wspominała - powiedział wreszcie Gribb. - Niemniej jednak. Niech się pan nie zamartwia. - I pokiwał głową, jakby dla uspokojenia. Ale Trzepoczący Orzeł nie był do końca spokojny.

Elfrida siedziała na szeszlunku; Ignatius obok niej; tam-borek leżał na podłodze - jedyny dysonans w tym idealnie wysprzątanym pokoju. Z gramofonu dochodziły dźwięki jakiegoś starego, bardzo starego szlagieru.

Było popołudnie, a złoto porannej mgły zmieniło się w popołudniową żółć. Żółty kolor oznacza życie, przypomniał sobie Trzepoczący Orzeł, siedząc naprzeciwko nich w wiklinowym fotelu o nieco zbyt sztywnym oparciu. W całym pokoju unosiła się leniwa mgiełka. Czas płynie teraz znacznie wolniej, pomyślał Trzepoczący Orzeł, czując się niemal szczęśliwy. Pobyt w Ch. przywrócił w jego umyśle historię, dobre czasy, a nawet poczucie przynależności narodowej: O'Toole, Czerkasow... bez względu na sympatie czy antypatie, nazwiska te sprawiały, że w czarodziejski sposób ożywał jakiś dawny świat. Tutaj, w salonie państwa Gribb, czuł się jak płód w łonie matki - odnalazł spokój.

Wszystkie atrybuty przeszłości były tu zazdrośnie chronione. Dla człowieka poszukującego domu było to niebagatelne.

Przyglądał się Elfridzie, która ze spuszczonego wzrokiem słuchała słów męża. Widok ten stanowił kolejne źródło przyjemności. Jej długie, smukłe palce powoli i starannie przeciągały nitkę w jedną i drugą stronę. Siedział jak zahipnotyzowany.

Ignatius zaś mówił:

- Najbardziej mnie cieszy, że tutaj, w Ch., nie ma nikogo z kierunków ścisłych. Zawsze mnie bolało, że technicy uzurpują sobie prawo do miana ludzi nauki. Pod ich nieobecność nauka wróciła do swych prawowitych opiekunów: erudyty, myślicieli i poświęcających się abstrakcjom teoretyków mojego pokroju.

Brak technokratów nie oznacza jednak, że popadamy w przesady, mój drogi Trzepoczący Orle; przeciwnie - tym większy spoczywa na nas obowiązek racjonalnego myślenia. Świat jest ni mniej, ni więcej, tylko taki, jakim go widzimy. Dane empiryczne stanowią jedyną prawdziwą podstawę filozofii. W żadnym natomiast razie nie jestem reakcjonistą; za młodu wyśmiałbym ideę nieśmiertelności, lecz teraz, gdy wiem, że nieśmiertelność jest osiągalna, zaakceptowałem ją. Przynajmniej za to jestem wdzięczny technokratom; chylę czoło. Uważam, że możliwość oddawania się studiom nad ulubionym przedmiotem przez całą wieczność to prawdziwa łaska i błogosławieństwo; natomiast gdybym był zabobonny, rzekłbym, iż cudem jest trwanie w niezmiennym mikrokosmosie tego miasteczka. Tutaj można się bezkarnie oddawać swojemu prymarnemu zainteresowaniu i folgować zachciankom; tutaj ma się dom, jedzenie i towarzystwo. Gdy do tego dodać jeszcze wzajemne oddziaływanie tezy i antytezy, trudno być nieszczęśliwym. Ja jestem szczęśliwym człowiekiem, panie Orle. A wie pan dlaczego? Pozwoli pan, że

Otóż widzi pan, również my przybyliśmy tutaj stosunkowo niedawno. Mówię „stosunkowo”, gdyż minęło zaledwie kilka stuleci. Przyjechawszy do Ch., stwierdziłem, że powstaje tutaj kilka niefortunnych mitów; mitów, które poprzysiągłem sobie wypełnić z głów mieszkańców miasteczka.

Nawiasem mówiąc, jest to interesujący produkt uboczny moich studiów nad pamięcią rasową; rozwój mitologii w małym miasteczku, zamieszkanym przez jedno, długowieczne pokolenie. W każdym razie, panie Orle, nie wiem, co pan proponuje, jeśli idzie o pańską sferę zainteresowań; żywię jednak nadzieję, że nie będzie się pan starał rozpowszechniać tego mitu.

Trzepoczący Orzeł poczuł nagle, że stoi na bardzo kruchym lodzie.

- Chce pan przez to powiedzieć, że Grimus nie istnieje?

Ignatius Gribb był wyraźnie poirytowany.

- Tak, tak, tak, tak, tak - powiedział. - Naturalnie to mam właśnie na myśli. Nie istnieje ani jego bezcenna maszyna, ani te wydumane wymiary, ani nic. To wszystko bełkot takiego idioty jak Jones. Wściekłość i wrzask, które nic nie znaczą.

- Jestem zdumiony, panie Gribb - odparł Trzepoczący Orzeł. - I nie zgadzam się z panem.

- Zbyt wiele czasu spędził pan z tym oszustem... tym szarlatanem. Nie ma dla niego miejsca w tym miasteczku. - Widać było, że Gribb wpadł w złość. Czerwony karzeł.

- Kochanie - powiedziała Elfrida - sądzę, że gdyby zbadał tę sprawę człowiek o tak niezaprzeczalnym doświadczeniu jak pan Orzeł, mogłoby się to okazać dla ciebie interesujące.

Pan Gribb wziął się w karby.

- Tak, oczywiście - odparł. - Ojej, ojej, ojej. Byłoby to... ogromnie zabawne.

Trzepoczący Orzeł myślał gorączkowo: Wygląda na to, że nikt w Ch. nie przeżył nigdy Gorączki Wymiarowej; a od czasu, gdy jemu się to przytrafiło, wymiary przestały się wdzierać do jego świadomości. Ponadto chorował w towarzystwie Virgila. Targnął nim żal, że nie wie więcej o Virgilu.

Jednego był pewien: jeśli to będzie możliwe, dowie się jak najwięcej o Grimusie, bez względu na to, czy istnieje naprawdę, czy jest jedynie wymysłem. Tylko tak może zrozumieć, co właściwie mu się przydarzyło.

A gdzie jest teraz Virgil Jones?

Rzekł oficjalnie do pana Gribba:

- Pragnę pana zapewnić, sir, że prowadząc badania, będę wcieleniem bezstronności. To mój dług honorowy wobec pana, człowieka, który udzielił mi gościny. Badania naukowe rodzą naukowe nastawienie.

- Dobrze, dobrze, dobrze, dobrze, dobrze - powiedział Gribb, nieco ułagodzony.

- Wielkie nieba! - krzyknęła Elfrida. - Jeśli wybieramy się na kolację do Czerkasowów, trzeba się ubierać i pędzić.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Posiniaczony mężczyzna w podartym garniturze stuka do drzwi burdelu, siedem razy. Wraz z siódmym uderzeniem drzwi się otwierają. Z głuchym stukiem uderzają o mroczną ścianę. Blask świecy: kobieta w długiej, koronkowej koszuli nocnej, z ciemnymi włosami opadającymi kaskadą na ramiona, z rozjaśnioną twarzą. Mężczyzna wchodzi chwiejnie do środka; drzwi się zatrząskują. Bez pustyni nie ma oazy.

Mężczyzna leży na kolanach kobiety trzymającej lampę. Śpi, a ona śpiewa. Za nią stoi jakaś dziewczynka, naga i nieruchoma; u ich stóp leży kobieta w długiej, koronkowej koszuli nocnej i czuwa. A oto niektóre słowa tej piosenki:

Czyżbyś zapragnął się wdrapać
Na niezdobyty szczyt góry?
Każdego potrafi połamać,
Każdego skruszą jej mury.
Dla niej to fraszka rym złamać,
Na radość nasyłać chmury.
Więc teraz nie próbuj się wdrapać
Na niezdobytej szczyt góry.
Każdemu tam przyjdzie się wspiąć.

Przebudzenie, mężczyzna prosi, by udzielić mu schronienia; ponieważ zaś burdel jest miejscem schronienia, udziela się mu azylu. Dostaje również żywność i nowe odzienie.

- Twój imiennik, Ćanakja - wyszeptła Kamala Sutra do Virgila Jonesa - potrafił położyć prawą dłoń na koszyku

pełnym rozżarzonych węgla, a drugą na chłodnej piersi młodej dziewczyny, nie czując ani żaru ognia, ani chłodu jej skóry. Zadaj sobie pytanie, czy to twe szczęście, czy nieszczęście, że czujesz jedno i drugie. Teraz zaś, skoro oparzył cię ogień, pozwól kobiecie, by cię uleczyła.

Położyła się obok niego, a z jej gardła wydobyły się niskie, gdakliwe dźwięki. Potem podniosła ręce do twarzy i oparłszy nasadę dłoni w kącikach powiek o kształcie owocu tarniny, zaciskała i otwierała pięści, rozpościerając palce. Widząc, że Virgil siedzi nieruchomo, wzięła jego dłoń i położyła ją na swojej piersi. Powoli zaczęła się poruszać.

- Doznaj pociechy - powiedziała.

I doznał.

- Jeśli skupisz wzrok na czarnej kropce umieszczonej pośrodku białej kartki papieru - powiedziała Lee Kok Ebok – to albo zniknie, albo się rozrośnie, aż będzie ci się zdawało że zajmuje całą kartkę. W starożytnym symbolu jin i jang na półkolu jin znajduje się kropka jang, a na półkolu jang - kropka jin, co oznacza, że w każdej połówce jest ziarno jej przeciwieństwa. Jeśli zatem utkwisz wzrok w tej kropce, to jak ten smutek, który cię trapi, rozrośnie się w chmurę, zakłócając równowagę twego umysłu. Pomogę ci odwrócić wzrok od tej chmury: będziemy się kochać i być może dzięki temu uda się nam przywrócić harmonię.

Oplotła go jak wąż, jej ręce i nogi zdawały się wić wokół niego jak spirale; a gdy wreszcie nieodwracalnie się zasupłali, nie pozostało mu nic innego, jak zareagować.

Nocą Florence Nightingale raz jeszcze zaśpiewała mu kołysankę; i znów naga Media stanęła w milczeniu za nimi, a Madame Jokasta spoczęła u ich stóp. Była to płynna pieśń, przywodząca na myśl czyste wody i wartkie strumienie, ożywcza i kojąca. Spał znacznie lepiej.

- Przekleństwem niektórych mężczyzn jest to, że różnią się od pozostałych - powiedziała Lee Kok Fook. - U myślicieli dostrzegają jedynie brak praktyczności; wśród ludzi czynu leją lzy nad uwiązaniem myśli. Osiągnąwszy jedną skrajność, aż drżą, żeby się znaleźć po przeciwnej stronie. Tacy mężczyźni są zazwyczaj samotni, niekochani, niezdolni do przyjaźni, gdyż wymaga ona zaakceptowania czyjegoś punktu widzenia. Może jednak samotność wcale nie jest takim przekleństwem - w końcu mądrość rzadko można znaleźć w tłumie. A poza tym - dodała, otaczając go miękko - bywają chwile, kiedy tacy mężczyźni wcale nie są tak zupełnie sami.

Madame Jokasta uniosła klapkę zakrywającą otwór obserwacyjny. Kamala Sutra pokazywała Virgilowi ćwiczenie tantra-jogi. Siedział po turecku na łóżku, całkiem nagi. Ona siedziała mu na biodrach z nogami zaplecionymi wokół jego tułowia. Mieli złączone organy płciowe, oczy zamknięte. Jokasta pokiwała z zadowoleniem głową.

Virgil Jones leżał spokojnie w łóżku Florence Nightingale. Na stoliczku u wezłowania stał lśniący, miedziany dzban z winem. Jokasta, Media, Kamala i Lee otaczały półkolem leżącą na łóżku parę.

- Witaj w domu, Virgil - odezwała się Madame Jokasta.

- Proponuję toast - rzekł Virgil Jones. - Na cześć Domu Wzwołanego Końca i zamieszkujących go aniołów miłosierdzia.

- A my wypijemy za twój odzyskany optymizm - powiedziała Jokasta.

Virgil opróżnił kieliszek, a Florence niezwłocznie go napełniła.

- Może coś zagram? - spytała.

- Tak, proszę - rzekł Virgil. - Graj i śpiewaj.

Florence wzięła lutnię i zaczęła śpiewać. Spoglądając na nią, Virgil przypomniał sobie fragment innego wiersza:

Pannę grającą na cymbałach
We śnie moim raz ujrzałem

Zapatrzył się na ciemnoskórą Nightingale i zasłuchany w jej śpiew,
zapomniał wszystkich innych piosenek i wierszy.

Owoż to abisyńskie dziewczę
Do pieśni sobie przygrywało,
Góry Abora sławiąc wdzięki.

I tak leżeli sobie w łóżku - grabarz o łacińskim imieniu i dziwka o greckiej twarzy.

- Początkowo - odezwał się Virgil - bolało mnie, że Trzepoczący Orzeł uciekł. Teraz jednak nic sobie z tego nie robię.

- Musisz zostać - powiedziała Jokasta. - Zostań tu i zaopiekuj się nami. Stanowczo zbyt długo już włóczysz się tam i z powrotem po tej przeklętej górze. Czas z tym skończyć. Nikt nie może dźwigać ciężaru win całej wyspy. Najwyższy czas, żebyś wypoczął. Niech ten twój Trzepoczący Orzeł sam rusza w drogę, jeśli musi; zabrałeś go tak daleko, jak tylko mogłeś.

- Lub tak daleko, jak chciałem pójść - rzekł Virgil. - Chwilowo jego myśli krążą wokół jednego: żeby się osiedlić. Osiedlić! Ale kto wie, może nic więcej nie trzeba, nic więcej, może to dla niego najważniejsze. Myślałem sobie tylko... - Zamilkł.

- Myślałeś, że właśnie on może zrobić to, czego ty nie potrafiłeś - dopowiedziała Jokasta.

Virgil nie odezwał się ani słowem.

- Chęć zemsty to niezbyt szlachetne uczucie - powiedziała miękko Jokasta. - Zdajesz sobie sprawę, tak samo zresztą jak ja, że nikt teraz nie zdoła nawet tknąć Grimusa.

Virgil wzruszył ramionami.

- Być może - powiedział. - A może nie.

- Co ta Liv ma w sobie, że potrafi posiać w ludziach ziarno zła? - spytała Jokasta z goryczą. - Nigdy nie znienawidziłbyś Grimusa, gdyby nie jej zabiegi.

- Pewno nie - przyznał Virgil.
- Liv! - syknęła Jokasta. - Musisz o niej zapomnieć, Virgil. O niej, o Grimusie i o Trzepoczącym Orle. Nie mogę iść do łóżka z twoimi upiorami.

Virgil roześmiał się.

- Jesteś tolerancyjną kobietą, Jokasto - powiedział. - Daj mi trochę wina; w nim rozgrzeszenie. Bardzo chciałbym tu zostać.

- Jokasta? Poruszyła się we śnie.

- Jokasta, słuchaj.

Virgil siedział wyprostowany w łóżku. Mimo ciemności widział swe niewyraźne odbicie w wiszącym na ścianie lustrze.

Jokasta uniosła się na łokciu.

- O czym to znowu myślisz? - spytała. Zachowywał się tak już którąś noc z kolei: miał sny, które natychmiast wyrwały go ze snu. „Wypędzanie demonów nieświadomości zabiera wiele czasu”, wyjaśnił kiedyś przepraszająco.

- Coś mi się przypomniało - odrzekł. - Tej nocy, kiedy się tu zjawiłem... Przypominasz sobie... że coś się wydarzyło? Coś

- O Boże - powiedziała. - Prawie zapomniałam. Ten wstrząs.

- Co to było, do cholery?

- Pierwszy raz coś takiego się zdarzyło - powiedziała.

Virgil spojrział przez okno na wznoszący się nad nimi mroczny ogrom Góry Cielęcej, której wierzchołek spowijały kłęby chmur.

- Co, u diabła, ten głupek teraz knuje? - zapytał ze złością.

- Może nie potrafi nad tym zapanować - powiedziała spokojnie Jokasta.

- To przypominało... - zaczął Virgil i urwał.

- Błysk śmierci - dokończyła Jokasta.

Żadne z nich już nie zasnęło tej nocy.

- Czy wiesz, że wracając tutaj, odzyskałem dar? - powiedział Virgil. - A potem znów go straciłem. I tylko raz odbyłem podróż.

- Ty nie powinieneś być nawet próbować - rzekła Jokasta. - My mamy szczęście; chodzi mi o to, że jesteśmy uodpornieni.

- Jak ten król, który regularnie brał truciznę, by mieć pewność, że go nie zabije - powiedział ironicznie Virgil.

- Tak - odparła z całą powagą Jokasta. - Właśnie tak.

Virgil opadł na poduszkę.

- Jednego tylko nigdy nie zrozumiesz - rzekł. - Podróżowania nie da się porównać z niczym innym. Z niczym, co kiedykolwiek wynaleziono.

- Zapomnij o tym, Virgil - powiedziała Madame Jokasta. - I chodź tutaj.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Irina Czerkasowa spłynęła na Elfridę i ugarniowała pocałunkami jej policzki.

- Ależ moja droga - wołała - jak to ci się udaje, że jesteś tak dobra, a zarazem tak urocza?! Monopolizowanie wszystkich cnót jest doprawdy nieuczciwe! W ten sposób zostawiasz nam same wady!

Elfrida pokryła się rumieńcem.

- Cóż za nonsens, Irino - zaoponowała. - Nie możesz aż tak mnie wychwalać. Przecież pan Orzeł niebawem przejrzy mnie na wylot i pomyśli, że jestem próżna.

- Panie Orle - powiedziała Irina Czerkasowa, wyciągając długą rękę - wiele o panu słyszeliśmy. Jakże musi być pan szczęśliwy, że Elfrida obdarzyła pana przyjaźnią. To święta.

- Sądząc po zjawisku, jakie mam przed oczami, tego wieczoru spotkało mnie podwójne szczęście - rzekł Trzepoczący Orzeł, pochylając się nad jej wyciągniętą kończyną.

Irina Czerkasowa zaniósła się wesołym śmiechem, lecz spojrzenie, którym obrzuciła Trzepoczącego Orła, było badawcze, tajemnicze i chłodne, kryło też chyba jakiś poblask obietnicy. Natomiast do Elfridy powiedziała:

- Dwie święte, moja droga. Dwie święte ręka w rękę: cóż może nam stanąć na przeszkodzie? - Jej wzrok w dalszym ciągu wprawiał w oszołomienie Trzepoczącego Orła. Te oczy znały swoją moc. Między brwiami Elfridy Gribb pojawiła się delikatna zmarszczka.

- Wchodźcie, wchodźcie! - wykrzyknęła Irina i objąwszy Elfridę, poprowadziła ich do salonu. Gdy ruszyli za nią, Ignatius Gribb mruknął do Trzepoczącego Orła:

- Dobra rada, panie Orle. Proszę być ostrożnym.

Przed nimi płynęły dwa blade, wytworne, porcelanowe manekiny-Irina i Elfrida. Trzepoczący Orzeł zadumał się nad nagłymi zmianami, do jakich dochodziło w jego życiu, odkąd pojawił się w Ch. Z kipiącego przemocą Elbaroomu trafił do równie kipiącego pięknem świata tych dwóch kobiet; zastanowił się, czy tak naprawdę między tymi dwoma światami jest jakakolwiek istotna różnica.

Hrabia Aleksandr Czerkasow pocił się stanowczo za mocno jak na przystojnego mężczyznę. Za każdym mankietem miał ukrytą chusteczkę; jedna z nich już prawie całkiem przesiąkła, drugiej zaś niewiele do tego brakowało. Często i gorączkowo ocierał czoło, wysoką kopułę nadającą mu wygląd zmysłowego geniusza; wrażenie to potęgowała podkreślona blond czupryna, jak również podkreślona górna warga. Było to jednak złudzenie. Aleksandr Czerkasow był osobnikiem słabym, otumanionym, jałowym i bezmózgim, a jego piękna małżonka była tego boleśnie świadoma. I nieustannie wykorzystywała to przeciwko niemu, drażniąc go i upokarzając. Nigdy nie znajdował riposty: po prostu nie miał żadnej w zanadrzu.

Gdy cały kwartet wszedł do środka, hrabia stał przy zimnym kominku, w nieśmiertelnej pozie leniwego arystokraty, wspierając się łokciem o ścianę. Obok niego niski stolik dźwigał na blacie karafkę z winem i srebrną papierośnicę. Papierosy bynajmniej nie zawierały tytoniu: na równinach pod Ch. rosło tyle konopi indyjskich, że tytoń był zupełnie niepotrzebny. Przez większą część życia w krwiobiegu Czerkasowa krążyła w nadmiarze marihuana, intensyfikując przyrodzoną tępotę jego spojrzenia. Ów specyfik nie otwierał żadnych nowych drzwi w jego leniwym umyśle, sprawiał natomiast, że hrabia coraz bardziej przywiązywał się do tych anachronicznych gestów, które składały się na jego życie. W istocie bowiem Aleksandr Czerkasow ani na chwilę nie opuścił swoich rosyjskich posiadłości.

W obowiązki wiążące się ze sprawowaną przezeń w miasteczku funkcją wkladał absolutne minimum wysiłku;

wszelkie wykroczenia były zresztą na tyle rzadkie, że nie miał wielu okazji do występowania jako sędzia, a ponadto od dłuższego czasu nie musiał apróbować niczyjego pry-marnego zainteresowania. Przez większość czasu spał albo palił, albo przechadzał się po ogrodzie, albo jadł. Życie ofiarowywało mu niewiele zabawnych sytuacji, niewiele też miał ambicji: był strusiem i wolał prezentować swoje upierzenie. Nie miał nic przeciwko naturalnej śmierci, jednak z uwagi na lęk Iriny przed starością i jej niezwykle silną potrzebę towarzystwa przystał na nieśmiertelność. Było to dość kuszące rozwiązanie, zwłaszcza że Wyspa Cieleca, a raczej znana im społeczność tkwiąca w zatrzymanym czasie, zaczęła się rozsypywać. A dziwki Madame Jokasty potrafiły zrekompensować ten głądki antagonizm i seksualną antypatię Iriny do jego słabości.

Elfridę powitał pocałunkiem, Gribba żartobliwym salutem, a Trzepoczącego Orła miękkim uściskiem kciuka.

- Cóż, Ignatiusie - wymamrotał - znalazłeś protegowanego, i to na dodatek tak... tak atrakcyjnego. Chyba będę musiał przypilnować moich laurów, co?

- Ten duch rywalizacji chyba nie całkiem do pana pasuje, hrabio - powiedział Gribb.

- Zapewne masz rację - odparł Czerkasow. - Tak. Zapewne ją masz.

- Jakkolwiek by było - ciągnął Gribb - to właśnie ja, jako jedyne brzydkie kaczątko w tym stadku łabędzi, powinienem się czuć nieswojo.

Czerkasow wybuchnął śmiechem i poklepał Gribba po głowie.

- Jesteś więcej wart niż my wszyscy razem wzięci, Ignatiusie - powiedział jak gdyby nigdy nic.

Trzepoczący Orzeł nie mógł zrozumieć natury tego związku, zwłaszcza że Irina i Elfrida natychmiast mruknęły potakująco, co przypominało odruch bezwarunkowy. Między pełnymi szacunku słowami Czerkasowa a jego protekcjonalnymi gestami ziała dziwna przepaść, zupełnie jakby Gribb był postacią, która powinna stać na piedestale, a jednocześnie należało ją trzymać na dystans. Jednakże

gdy do Trzepoczącego Orła zbliżyła się Irina, z oczyma rozświetlonymi bardziej niż zwykle, natychmiast o wszystkim zapomniała.

- Coś do picia, panie Orle? - zaproponowała; podała mu kieliszek wina, przez chwilę jednak trzymała go jeszcze w złożonych dłoniach.

- Proszę - powiedziała dziarsko. - Ogrzałam je panu.

- Czyż jest lepsze miejsce dla wina? - zapytał z uśmiechem Trzepoczący Orzeł, a między brwiami Elfridy znów wykwitła drobna zmarszczka.

- Okropnie zgłodniałem - oznajmił hrabia Czerkasow. - Może skończymy wino przy posiłku?

Tym razem to Irina okazała przelotną irytację; zaraz jednak uśmiechnęła się olśniewająco do męża i powiedziała:

- Ależ naturalnie, kochanie. Wybaczcie mi na chwilę, muszę dopilnować kilku spraw. - (Po czym dodała, zwracając się do Trzepoczącego Orła:) - Ostatnio muszę się obywać bez służby, co oczywiście nie sprzyja zachowaniu manier.

A potem wyszła.

Hrabia Aleksandr zdominował całą rozmowę. Jego zazwyczaj puste oczy były teraz raczej nieobecne. Mówiąc, zwracał się cały czas do żony; cała reszta równie dobrze mogła być zniknąć po przekroczeniu progu jadalni. Irina słuchała go z napięciem i z zaciśniętymi ustami, lecz nie próbowała mu ani przerwać, ani włączyć swoich gości do tego - jak miał wrażenie Trzepoczący Orzeł - prywatnego rytuału.

- To były dobre czasy - mówił Czerkasow. - Rankiem, po balu, szarże kawaleryjskie. Polowania na kozaków na rozległych równinach. Salony Petersburga, dowcip mężczyzn, uroda kobiet, rzeka wina i stosunków - niekoniecznie społecznych, hmm? - Zaniósł się wysokim, denerwującym śmiechem.

- Aleksandrze - przerwała mu wreszcie Irina; jednak przez tę w zamierzeniu wymówkę przebijała troska.

Zignorował ją.

- Stosunków - powtórzył. - Tylko to nam wtedy zostało. Tuszczka rośla w siłę, wrzeszczała coraz głośniejsze, dysponowała coraz groźniejszą bronią. Czym przecież wówczas byliśmy, jeśli nie psami, których czas już przeminął? Przed nami wszystkimi rysowała się jedna perspektywa: noc, a potem kat. - W jego głosie pojawił się niepokojący, dudniący rytm. - Wieszali nas, pakowali kule w łeb, wypruwali wnętrzności; pozwalali tylko na ostatni łyk, ostatniego papierosa, ostatni śmiech. Tylko jednego nie mogli nam zabronić - przyjaźni. Ona zostaje na zawsze. Ten pokój zachował wspomnienie o tym. Wypijmy więc za nie.

Duży, okrągły stół nakryty dla ośmiu osób. Trzepoczący Orzeł usiadł po prawej ręce Iriny; krzesło po jego prawej stało puste. Potem pojawił się Ignatius Gribb: wyspa pomiędzy dwoma wolnymi miejscami. Był to, zapewne, kolejny znak wskazujący jego miejsce w towarzyskiej hierarchii Czerkasowów, gdyż tylko on nie miał obok siebie nikogo, z kim mógłby prowadzić rozmowę. Dalej siedział Czerkasow, następnie Elfrida, a później było już tylko puste miejsce.

Wysłuchawszy elegii Czerkasowa, Trzepoczący Orzeł zastanawiał się, kogóż to hrabia widział w tym pokoju, kto zasiadał na pustych krzesłach, jakie duchy zajmowały jego miejsce. Nagle jednak Czerkasow znów się odezwał, a wyraz jego oczu wyraźnie się zmienił - mimo że wciąż mało inteligentne, były jednak nieco bardziej przytomne. Obdzielił zebranych cokolwiek głupawym uśmiechem, sprawiając, że Irina wyraźnie się rozluźniła.

- Toast - powiedział. - Wypijmy za ten wieczór i za naszą przyjaźń, której żadne fale historii nie zdołają zmyć.

Cała piątka wstała i wychyliła kieliszki.

Trzepoczący Orzeł, usiadłszy ponownie, przypomniał sobie, jak Virgil Jones określił Ch. Walhalla. Nagle poczuł, że coś naciska na jego udo. Zerknąwszy w dół, dostrzegł skrawek papieru. Nie podnosząc go nad stół, odczytał wiadomość od hrabiny:

Irina i Elfrida heroicznie próbowały zainicjować jakąś bezsensowną paplaninę, lecz ich nadzieje gwałtownie legły w gruzach na skutek potwornego huku, jaki rozległ się za ścianą jadalni. Zupełnie jakby cała armia puszek, garnków oraz innych pustych przedmiotów rzuciła się jednocześnie na podłogę. Po tym przerażającym hałasie rozległo się jakieś wysokie, śpiewne zawołanie, a może nawet pieśń, któremu towarzyszył rytmiczny akompaniament gongu. Ktoś wołał: *SWA-BO-DA! SWA-BO-DA!*

- To Moonshy - wyjaśniła z rezygnacją Irina Czerkasowa.

- Niezmiernie pani współczuję - powiedziała automatycznie Elfrida.

Trzepoczący Orzeł znów odniósł wrażenie, że obserwuje jakiś niezrozumiały rytuał, który odbywa się tak samo jak przed wiekami i będzie tak się odbywał po wsze czasy. Zapewne wrażenie to wywołał brak jakiegokolwiek zaskoczenia zebranych; hrabina rychło to potwierdziła, tłumacząc:

- Musi pan wiedzieć, panie Orle, że pan Moonshy mieszka z nami. Jako że nie zadowalała go godność miejskiego kwatermistrza, która pozwalała mu wprowadzać w życie jego idiotycznie egalitarne poglądy, odczuwa potrzebę psucia naszych wieczorów takimi właśnie hałasami. Sądzę, że w głównej mierze chce nam dać do zrozumienia, iż należy my do klasy ciemniejszych. Tolerujemy jednak te wybuchy: są nieszkodliwe, choć nieco *ennuyeux*.

Hrabia Czerkasow wstał z krzesła.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. - Udam się ku drzwiom. Proszę sobie nie przerywać posiłku.

- Teraz nastąpi nieunikniona część dalsza - rzekła Irina. - Podejdzie do drzwi i wygłosi tyradę. Czasami mam wrażenie, że robi najazdy na swoje piwnice z winem. Nie sądzicie, że w tym wszystkim jest sporo poetyckiej ironii? Demagog, który dodaje sobie odwagi alkoholem, łamiąc wyznawane zasady. - Zaśmiała się lekko.

- Ale co takiego on krzyczy? - spytał Trzepoczący Orzeł.
- *Swoboda* - odparła Irina Czerkasowa - Po rosyjsku „wolność”.
Biorąc pod uwagę okoliczności, jest to cokolwiek osobliwe żądanie.
Wysoki i przenikliwy głos pana Moonshy'ego zwracał powszechną uwagę.
- Wolność! - krzyczał. - Wolność jest w kajdanach!
- Dobry wieczór - odezwał się Aleksandr Czerkasow.
- Oto wigilia wyzwolenia - powiedział Moonshy. - Oto zmierzch bossów. Choćby z tego powodu jest to dobry wieczór.
- Może ma pan ochotę na kieliszek wina? - spytał hrabia.
- Dziękuję - powiedział normalnie Moonshy, a następnie wybuchnął: - Zbyt wielu męczenników oddało zbyt wiele krwi! Wszystkich grzeszników spotka straszliwa zemsta! Powiadam wam, dziś wigilia. Wigilia zniszczenia!
Irina szepnęła do Trzepoczącego Orła:
- To tak trwa od kilku wieków. - Potem zaś dodała, trochę głośniej:
- Przeczytałam niegdyś fascynującą historię. Czy ktoś chciałby posłuchać?
Elfrida odparła:
- Och, tak, proszę.
Irina ściągnęła usta i w skupieniu złączyła dłonie czubkami palców.
- To raczej poważna historia - ostrzegła. - O Aniele Śmierci. Bóg wysyła go, by zbierał dusze zmarłych, lecz aniołowi przytrafia się coś straszliwego: każda połknięta przez niego dusza staje się jego częścią. W wyniku tego śmierć się zmienia, a każdy zmarły tę zmianę powiększa. Dla biednego anioła stanowi to coraz większy wysiłek, a na dodatek zaczyna wątpić, czy z tymi wszystkimi ludźmi, którzy stali się jego częścią, w ogóle może istnieć jako niezależny byt. Wraca zatem do Boga i prosi, aby go zwolnił z pełnionej funkcji. A co się okazuje? Że Bóg, podobnie jak on, jest zmęczony swoją pracą i chce umrzeć. Bóg prosi zatem anioła, aby go połknął, a ten - rzecz jasna - nie potrafi odmówić. Spełnia zatem prośbę i Bóg umiera; lecz

wysięk związany z jego połknięciem jest tak wielki, że aniołowi pęka serce. I zakończenie jest bardzo smutne, ponieważ uświadamia sobie, że Śmierć nigdy nie umrze, gdyż nie ma kto jej połknąć. Nie uważacie, że to śliczna, zgrabna historyjka? Po chwili milczenia odezwał się Ignatius Gribb.

- Moja droga Irino - powiedział - nie wiem, skąd w umyśle tak optymistycznej osoby biorą się tak mroczne historie.

Elfrida siedziała zamyślona. Trzepoczący Orzeł, uważnie przyglądający się tym dwóm dziwnym, bladym kobietom, zapomniał o tyradzie dobiegającej z sąsiedniego pokoju.

- Wcale mi się nie podobała. - Elfrida pokręciła głową. - Jest po prostu zbyt śliczna i zbyt zgrabna. Nie przepadam za historiami o tak precyzyjnej konstrukcji. Opowieść powinna być bardziej zbliżona do życia, poszarpana po brzegach, pełna luźnych nitek oraz ludzkich istnień, których spotkanie jest kwestią przypadku, a nie jakiegoś dalekosiężnego zamiaru. Większość zdarzeń w naszym życiu jest całkiem bezsensowna, zatem opowieści, w których najdrobniejszy element coś znaczy, po prostu zniekształcają rzeczywistość. A zniekształcanie rzeczywistości w opowieściach pachnie zbrodnią, gdyż można w ten sposób wypaczyć czyjś pogląd na życie. Jakie to przerażające, gdy musimy doszukiwać się sensu we wszystkim, co nas otacza, we wszystkich naszych uczynkach i wszystkim, co się nam przytrafia! - Przerwała, patrząc dokoła z lekkim zażenowaniem, gdyż wypowiedziane przez nią poglądy były jawnie sprzeczne z jej całkowicie uporządkowanym życiem.

Irina odparła ze złośliwym uśmiechem:

- Kochanie, nazbyt się przejmujesz moją opowieścią. Przecież to tylko historyjka, która - jak wszystkie one - zupełnie nie ma znaczenia. Dlaczego więc jej zgrabne kształty nie miałyby nam sprawić niewinnej przyjemności? Niechaj kształtność przyozdobi prostackie oblicze życia. Co pan o tym sądzi, panie Orle?

- Nie jestem pewien - odparł Trzepoczący Orzeł. - Zależy to od tego, czy wierzymy, że wszystkie drobne trybiki tego świata się jakoś zazębiają, czy też nie.

- Nie, nie, nie, nie - wtrącił się pan Gribb z wymówką w głosie.
- Myli pan pojęcia. Chodzi o to, że słowo „ważność” dotyczy czegoś, co ma wagę. A co za tym idzie, ma znaczenie. Tymczasem Elfrida, która uważa, że opowieści powinny być ważne, twierdzi, iż wolałaby, aby zawierały mniej znaczenia, a zatem - aby były mniej ważne. Tymczasem hrabina, dla której te same opowieści są absolutnie nieważne, preferuje opowieści dobrze skonstruowane, to znaczy stanowiące znaczący wybór z prostackiego oblicza życia, co znaczy wybór ważki albo po prostu ważny. Tak oto obie damy sobie zaprzeczają. Tymczasem to wyłącznie problem natury semantycznej. Jeśli opowieści są ważne, muszą być dobrze skonstruowane. Jeśli jeden warunek nie jest spełniony, to drugi też nie będzie. I vice versa.

Zamilkł. Trzepoczący Orzeł zagubił się w jego wywodzie już na samym początku; podejrzewał, że to samo przydarzyło się Elfridzie i Irinie. Podniósłszy wzrok, ujrzał w progu Czerkasowa i Moonshy'ego. Wygląd tego ostatniego sprawił mu sporą niespodziankę - był krępy, brodatym mężczyzną w średnim wieku, którego postać zupełnie nie pasowała do głosu.

- Pan Moonshy przyszedł nam złożyć wyrazy uszanowania - oznajmił Czerkasow. - Właśnie wychodzi.

Na to Moonshy:

- Przyszedłem powiedzieć, że wychodzę, lecz nie po to, by składać wyrazy uszanowania. A już na pewno nie jemu - powiedział, wskazując głową Ignatiusa Gribba - temu nadętemu hipokrycie. To właśnie pańskie idee, panie Gribb, są w głównej mierze odpowiedzialne za naszą niewolę. A teraz wychodzę - rzucił ostro, odwrócił się na pięcie i wymaszerował zdecydowanym krokiem.

- No cóż - powiedziała Elfrida.

- O co mu chodziło? - spytała Irina. - Chyba nie o to, że odrzucenie przez Ignatiusa mitów Wyspy Cielęcej było czymś złym?

- Zawsze myślałem - odezwał się Ignatius - że to właśnie przesady miały stanowić opium mas.

Trzepoczący Orzeł przyglądał się Irinie i Elfridzie. Obie były spięte. Czerkasowa ocierała czoło bardziej gorączkowo niż - Nie zwracajcie na niego uwagi - powiedział pośpiesznie Czerkasow. - Ten człowiek nie wie, co mówi.

Trzepoczący Orzeł pomyślał: Chyba że te przesady mają oparcie w faktach. W takim razie odrzucenie ich rzeczywiście stanowiłoby formę zniewolenia.

Za ścianą znów wzmogły się hałasy.

Irina Czerkasowa wstała z krzesła.

- Jeśli skończyliśmy - powiedziała - to na pewno wygodniej nam będzie w sąsiednim pokoju. Elfrido?

Obie kobiety wyszły. Ignatius, hrabia Czerkasow i Trzepoczący Orzeł przeszli do trzeciego pokoju, pełniącego podwójną funkcję biblioteki Czerkasowa i jego sypialni. Tymczasem opuszczoną przez nich jadalnię wypełniła przenikająca przez ściany kakofonia.

Trzepoczący Orzeł dokładnie przemyślał kwestię jak najlepszego przedstawienia wyboru swojego prymarnego zainteresowania, dzięki czemu, oraz wsparciu Gribba, dyskusja stała się niemal czystą formalnością. Wynikało to również z tego, że - jak przypuszczał Trzepoczący Orzeł - Aleksandr Czerkasow nie zamierzał być nikim innym, jak tylko figurantem.

- Jest to dla mnie - zaczął Trzepoczący Orzeł - metoda badania historii Wyspy Cielęcej. Musicie państwo zrozumieć, że od bardzo dawna nigdzie nie zapaściłem korzeni i jeśli mam je zapaścić właśnie tutaj, to powinienem dowiedzieć się jak najwięcej o tym miasteczku, tej wyspie i tej górze.

- Jak najbardziej - przyznał Czerkasow.

- Oprócz tego - ciągnął Trzepoczący Orzeł - mam wiele umiejętności: potrafię naprawiać różne rzeczy, budować i tak dalej. Człowiek, podróżując, niejednego się uczy. Dlatego z przyjemnością zaoferuję moje usługi każdemu mieszkańcowi miasteczka Ch., który chciałby coś naprawić albo zbudować. Przede wszystkim pomogłoby mi to poznać ludzi.

- Świetnie, świetnie - odezwał się Czerkasow, po czym w kącie pokoju wymienił kilka słów z Ignatusem Gribbem, z którym liczone się w tych sprawach, mimo że z zasady rosyjscy arystokraci traktowali go dość lekceważąco.

- Panie Orle - powiedział Czerkasow - zgadzam się. Jeśli Ignatius uważa, że coś takiego nie przyniesie szkody, to nie mam nic przeciwko temu. Jesteśmy mu winni wdzięczność. Widzi pan, dzięki swej przenikliwej, demistyfikującej inteligencji pomógł nam stworzyć... znośną... społeczność.

- Dziękuję panom - rzekł Trzepoczący Orzeł.

- Witamy w Ch. - powiedział Aleksandr Czerkasow, wyciągając kciuk.

Trzepoczący Orzeł pomyślał sobie: Oto jestem na miejscu.

Przyłączyli się do pań. Elfrida podeszła do męża i powiedziała:

- Ignatusie, właśnie opowiadałam Irinie o tym dziwnym zdarzeniu z poprzedniej nocy. Spałeś wtedy? Poczujesz to?

- O co ci chodzi, moja droga? - spytał Ignatius, cierpliwie i wyrozumiale.

- No jak to... o ten błysk. Jakbyśmy na chwilę przestali być.

- Nonsens - skwitował Gribb.

- Nie - wtrącił Trzepoczący Orzeł. - Pani Gribb ma absolutną rację. To przypominało rozziew... jakby przerwę w czasie.

- Zaraz, zaraz, zaraz - powiedział niecierpliwie Gribb. - Coś takiego jest logiczną niemożliwością. Jeśli mówicie, że była chwila, w której wszystko przestało być, sami sobie zaprzeczacie. Jeżeli wszystko przestaje być, to samo dotyczy czasu. Dlatego właśnie niemożliwy jest moment nieistnienia albo okres niebytu.

- A jednak tak było - powtórzyła z uporem Elfrida.

- Moja droga - odezwał się z irytacją Gribb - jak możesz utrzymywać, że na chwilę wszystko przestało być, a zarazem twierdzić, że coś było? Określenie „bycie” odnosi się do istnienia; niebyt nie może istnieć, a zatem takiego momentu być nie mogło.

Przepełniało go zadowolenie z logiki tego wyводу. Trzepoczący Orzeł postanowił nie drażyć kwestii: dyskusja z Gribbem była niemożliwa. Również Elfrida zdawała się akceptować to rozumowanie, choć prawdopodobnie była nieco zmartwiona.

Irina zwróciła szare oczy na Trzepoczącego Orła.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała - idę na chwilę do ogrodu. Zostawiłam tam coś po południu i nie chcę, by zwiłgotniało od mgły i rosy.

Wyszła. Po jakimś czasie Trzepoczący Orzeł zapytał o drogę do toalety. Hrabia Czerkasow zaprowadził go i wrócił do pozostałych. Trzepoczący Orzeł stwierdził z zadowoleniem, że przez okno w pomieszczeniu może wyjść do ogrodu i dołączyć do Iriny, nie zwracając przy tym niczyjej uwagi. Zamknął drzwi na zasuwkę.

Rzucił okiem na ścienne lustro i powiedział głośno do swego odbicia:

- Teraz, gdy już tu jesteś, lepiej idź się pogodzić z Virgi-lem Jonesem. Chyba zapominasz o starych przyjaciółach.

Wtedy stało się coś niemożliwego. Za jego odbiciem coś się poruszyło. Gdy skończył mówić, zauważył, że w lustrze otwierają się drzwi. Przecież są zamknięte, pomyślał gorączkowo i obrócił się gwałtownie.

Drzwi wciąż były zamknięte i zaryglowane. Nic nie pojmując, znów spojrział w lustro. A tam, w odbiciu, drzwi wciąż powoli się otwierały. Ktoś wchodził do środka.

Naraz usłyszał głos, gorzki i znajomy:

- Cześć, braciszku.

Do lustrzanego pomieszczenia zajrzała Ptako-Pies. Trzepoczący Orzeł poczuł, że oblewa go zimny pot.

Widmo Ptako-Psa weszło do „toalety” po drugiej stronie lustra i powtórzyło:

- Cześć, braciszku.

Potem cofnęło się przez lustrzane drzwi i znów wszystko wróciło do normy. Trzepoczący Orzeł musiał się oprzeć o półkę, żeby nie upaść.

Irina Czerkasowa stała przy szopie na końcu ogrodu. Szopa nie miała okien, a drzwi były zamknięte na kłódkę. Hrabina patrzyła beznamiętnie szarymi oczami, jak Trzepoczący Orzeł zbliża się do niej, cały roztrzęsiony.

- Panie Orle - odezwała się - myślałam, że pan zapomniał.

- Coś mnie zatrzymało - odparł. - Bardzo mi przykro, hrabino.

, - Irino - poprawiła go cicho.

- Irino - poprawił się.

- Chciałam coś wyjaśnić - powiedziała. - Mój mąż zanadto żyje przeszłością, zresztą chyba jak każde z nas. Proszę go jednak nie uważać za szaleńca. Jest zupełnie normalny. Podobnie jak Elfrida, mimo swojej obsesji na punkcie czystości, porządku oraz Gribba. I jak Gribb, pomimo... - Tu urwały się gorączkowe słowa.

Trzepoczący Orzeł był zbyt poruszony, żeby o cokolwiek pytać.

- Słyszałam, że przybył pan do Ch. wraz z Virgilem Jonesem - dodała szybko. - O, to jest szaleniec. On i jego ekszona, madame Liv. Dzielimy się z nią żywnością, współczując jej z powodu choroby. Ale my nie jesteśmy szaleńcami, panie Orle! - W jej głosie pojawiła się dzika nuta.

- Nigdy tak nie uważałem - zapewnił ją Trzepoczący Orzeł. - Taka drastyczna odmiana losu musi być straszna.

- Nie myliłam się więc - powiedziała z podnieceniem. - Wiedziałam, że można panu zaufać. Będzie pan moim przyjacielem, panie Orle.

- Trzepoczący Orle - poprawił ją.

- No proszę - powiedziała. - Irina i Trzepoczący Orzeł. Jesteśmy zatem przyjaciółmi i teraz pokażę ci przeszłość, którą dźwigam, byś się przekonał, jak wielki to ciężar. - Otworzyła kłódkę i weszła do

W mroku dostrzegł dwóch ludzi, dorosłych, grających figurami szachowymi w warcaby. Jednym z nich był pan Page, który raptownie się poderwał, zasłaniając sobą drugiego gracza, lecz uspokoił się, gdy rozpoznał Irinę.

- Wszystko w porządku, panie Page - powiedziała. - To jest pan Page, Trzepoczący Orle. Pomaga nam w naszym kłopotcie.

Chyba odpowiednim terminem medycznym jest alopattia: leczenie choroby poprzez wywoływanie stanu odwrotnego. Widzisz, pan Page uwielbia gry; przychodzi tutaj, by grać z Aleksiejem, mając nadzieję, że uda się w nim coś rozbudzić. Obawiam się jednak, że to płonne nadzieje. Mój syn mieszka w tej szopie: woli ją od domu. A więc trzymamy go tutaj, by uniknąć przykrych scen. Tak chyba jest

Aleksiej Czerkasow, długi, wyrosnięty szesnastolatek, wyszczerzył do nich zęby w głupkowskim uśmiechu. Miętkość jego ruchów i słabość mięśni twarzy zdradzały, że nie wszystko jest z nim w porządku.

- Kretyn - rzuciła Irina z nienawiścią. - Ma mózg czterolatka. Dziwisz się, że wytykam mężowi głupotę? Spłodził mi syna idiotę.

- Ma-ma - powiedział radośnie Aleksiej Czerkasow i zaczął ssać kciuk.

Trzepoczący Orzeł wyszedł z szopy za Iriną. Zamknęła drzwi na kłódkę, raz jeszcze głęboko chowając swego trupa do szafy.

- Pan Page ma klucz do drzwi po drugiej stronie - wyjaśniła. - Przychodzi, gdy może.

Oparła się o ścianę szopy, jakby zabrakło jej sił. W końcu wyprostowała się gwałtownie, zaciskając zęby.

- Teraz powiem ci coś innego, Trzepoczący Orle, mój nowy przyjacielu - rzekła, świdrując go wzrokiem. - Dotknij mojego brzucha - zakomenderowała, a gdy się zawahał, chwyciła go bezceremonialnie za rękę i położyła sobie na brzuchu. - Czujesz coś? - Nie - odparł. - Brzuch jak brzuch.

- No dobrze - powiedziała ze złością. - Dotknij więc moich piersi.

Potrząsnął głową, niczego nie pojmując. Upiła się? A może próbuje go uwieść?

- Dotknij moich piersi - powtórzyła, ciągnąc jego dłoń do góry. - No i co? - spytała.

Znów jednak potrząsnął głową.

- Skąd niby miałbyś wiedzieć - westchnęła z rezygnacją. - Tylko ja zawsze myślałam, że to takie oczywiste. Teraz ci wyjaśnię, o co mi chodzi, Trzepoczący Orle: gdy tylko wypiałam eliksir życia, stwierdziłam, że jestem w trzecim miesiącu ciąży. Natomiast eliksir, jak ci zapewne wiadomo, powstrzymuje wszelki wzrost i rozwój fizyczny. A zatem, choć minęło już wiele setek lat, nadal jestem w ciąży. Nadal. Czy możesz sobie wyobrazić, Trzepoczący Orle, co teraz czuję? Jak się czuję, nosząc w łonie zastygłe życie, drugie życie, może geniusza, może kolejnego idiotę, może potwora, zniechęconego we mnie jak kochankowie na greckiej wazie? Czy wiesz, co się dzieje z kobietą, która przez tyle stuleci nosi w sobie dziecko, chodzi z nabrzniętymi piersiami, przepełniona sokami macierzyństwa? Czy możesz to zrozumieć?

- Tak - odparł Trzepoczący Orzeł. - Mogę. Ale przecież są sposoby...

- Nic nie rozumiesz! - krzyknęła. - To jest życie. Żywa istota. Niewinna. Święta. Wypiałam ten eliksir tylko dlatego, że wierzyłam w świętość życia. Nie można odbierać życia. - Umilkła. - Może jednak wcale nie jesteś tym, za kogo cię brałam - powiedziała po chwili, łapiąc oddech. - On by miał... - Znów urwała. - Musimy wracać - rzuciła i znikła.

Trzepoczący Orzeł stał tam chwilę, po czym wrócił do okna łazienki.

Martwiły go nie dokończone zdania Iriny. Tak samo zresztą jak łatwość, z jaką go zaakceptowano. Po wrogości, której doświadczył w Elbaroomie, nie spodziewał się czegoś takiego. Odnosił wrażenie, że Czerkasowowi i Ignatiusowi wręcz zależy na tym, by przyjąć go do swego towarzystwa. Wzruszył w duchu ramionami: może wystarczy to, że go zaakceptowano. Niewątpliwie resztę trzeba będzie wyjaśnić w odpowiednim czasie. Nawet Ptako-Pies...

Jednak w towarzystwie obu dam jego troski się zdematerializowały. Siedział zawieszony między snem a jawą, popijając wino wyprodukowane w miasteczku Ch. i słuchając jednym uchem

leniwej i chaotycznej rozmowy Czerkasowa i Gribba, którzy krążyli po pokoju niczym dwaj zahipnotyzowani perypatetycy. Blade wiedźmy, rzucające czar, oplatające go jedwabnymi sznurami. To dzięki nim Ch. było dla niego czymś realnym, mimo teoretyzowania Gribba, mimo Moonshy'ego i nawet mimo Virgila. To prawda, Czerkasow go zaakceptował, lecz do Ch. przyciągnęły go właśnie te kobiety, które krążyły, krążyły jak ćmy wokół świecy. Szare i zielone spojrzenia, zamglone, wciąż wędrowały w jego stronę. Czysta Elfrida, zbrukana Irina, zmęczony Orzeł. Oplatał ich czar, którego żadne nie rozumiało, który mieli zrozumieć zbyt późno, a blade wiedźmy krążyły z uśmiechem.

- Chyba trochę mi słabo - powiedziała Elfrida Gribb. - Obawiam się, że będziemy musieli już iść. - Spojrzenie, jakie rzuciła Irinie, nie było wcale czułe, lecz Irina z zachowaniem wszystkich form odprowadziła całe trio do drzwi.

Elfrida uświadomiła sobie, że nie podoba się jej, iż hrabina tak długo pozwoliła sobie trzymać dłoń w dłoni Trzepoczącego Orła. Ponadto nie podobało się jej to, co wyczytała w jej oczach (wdzięczność? wyrzuty sumienia?), lecz niezwłocznie przywołała się

To wszystko jest nieważne. Kocha swojego męża. I on ją kocha. Natomiast wszyscy dobrze wiedzą, że małżeństwo Czerkasowów to absolutna fikcja, którą podtrzymują, gdyż jedno i drugie nienawidzi wszelkich skandali. Jakie ma znaczenie, co Irina Czerkasowa myśli sobie o Trzepoczącym Orle albo on o niej?

Wracając do domu, czuła, że jest w wyjątkowo złym nastroju.

Trzepoczący Orzeł był ogłupiony tą drugą nocą w Ch. tak samo jak pierwszą.

Niewielkie owady, stworzenia nocne, z trzepotem skrzydełek uderzały w ich twarze. Scena była gotowa.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Osiół Gribbów, chyba najposłuszniejszy i najmniej uparty osioł, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi, kłusował z powagą po brukowanej kocimi łbami drodze, dźwigając na grzbiecie rozdartego wewnątrz Trzepoczącego Orła. Axona przez większość dnia poznawał swój nowy dom, a w jego umyśle toczyła się walka między pragnieniem dotarcia do sedna wszystkich odkrytych sprzeczności i anomalii a pragnieniem pozostania w nowym kręgu przyjaciół. Najwyraźniej jednak oba te pragnienia się wykluczały. Akceptacja niedawnych doświadczeń i wyjaśnień Virgila Jonesa była równoznaczna z wyborem miejsca poza nawiasem etosu Ch., zaprzeczającego istnieniu Grimusa i jego Efektu. Natomiast przyjmując autoryzowaną Ewangelię według Gribba, musiałby zaprzeczyć świadectwu własnych zmysłów albo uznać, że Virgil Jones to wariat i nikczemnik. Trzepoczącego Orła nie było na to stać; nie potrafił też zrozumieć, jak - jeśli w ogóle - mógłby wytłumaczyć swą wewnętrzną wyprawę. Może to jakiś narkotyk? A jeśli tak, to w jaki sposób wytłumaczyć tę wizję Ptako-Psu? Czyżby Czerkasow zaprawił czymś wino? W jego piersi toczyła się walka; czuł, że niewiedzą i głupotą dorównuje swemu stoicko spokojnemu osłu, i żałował, że nie ma równie wąskich horyzontów.

- Jak pan obala mit Grimusa? - spytał Gribba.

- Phi - padła odpowiedź. - Brak mi czasu na mity o stworzeniu. Chciałbym wpoić panu przekonanie, że poświęcanie uwagi tym upraszczającym opowieściom o początku wszechrzeczy, gdyż tym właśnie są wszystkie mity o stworzeniu, jest wielce nieproduktywne.

- Może mógłby mi pan powiedzieć - zaczął Trzepoczący Orzeł najuprzejmiej, jak potrafił – w jaki sposób pan i pani Gribb, a w zasadzie też reszta mieszkańców Ch., przybyliście na Wyspę Cielecą.

Gribb odrzekł:

- Chwilami, panie Orle, zdradza pan wyraźną perwersję... jak już mówiłem, pochodzenie, początki to sprawy bez wartości. Bez wartości. Proszę jak najbardziej badać to, jak żyjemy dzisiaj. Lecz na miłość boską, niech pan daruje sobie tę obsesję łona, to śledztwo w sprawie narodzin. Chyba się pan zgodzi, że dojrzałość jest znacznie ciekawsza od narodzin. A teraz proszę mi wybaczyć: jeszcze przed lunchem muszę powiększyć moją listę o kilka nowych komunałów.

Osiółek kłusował po kocich łbach.

W pękającej głowie Trzepoczącego Orła pojawiło się jeszcze więcej zagadek.

Na Płaskowyżu Axonów nie było pieniędzy, lecz ludzie ci mieli we krwi zasady życia we wspólnocie. Tymczasem trudno było uwierzyć, że tak wielobarwna zbieranina jak mieszkańcy Ch., ludzie pędzący zupełnie osobne żywoty, potrafiliby bez większego trudu zaakceptować podobną formę wspólnoty. Czy to możliwe, że taki Flann O'Toole, człowiek agresywny i przepelniony chęcią rywalizacji, pogodzi się z tym, że jego życie nie jest ani więcej, ani mniej warte niż życie każdego innego członka tej społeczności? A dajmy na to Czerkasowowie - mimo że uplasowali się na pozycji nieco wyższej od reszty, to prawda była taka, że im również to pojęcie było zupełnie obce. Rozstać się z nagrodami, rozdzielić plony żyznych ziem Ch. wedle potrzeby, a nie rangi, statusu lub bogactwa... z pewnością nie przy-szłoby im to łatwo. Porozmawiawszy a to z jakimś rolnikiem, a to rzeźnikiem (i często zaskoczony, jak ci ludzie i ich zawód do siebie nie pasują), Trzepoczący Orzeł dowiedział się, że dziwki Jokasty nie otrzymują zapłaty, podobnie zresztą jak Peckenpaw, eks- traper, pełniący obecnie obowiązki miejscowego kowala. W zamian za swoją

pracę mogli korzystać z usług wszystkich pozostałych mieszkańców, jak również pobierać żywność od Kwatermistrza Moonshy'ego. Miasteczko świadczyło usługi, farmy dostarczały żywność, co umożliwiało swobodną ich wymianę. W pewnym sensie była to utopia, a jednak, do cholery, wszystko jakoś funkcjonowało. Czerkasowowie nie przestali być arystokratami, a Gribb wciąż był Gribbem. I jedynie w kwestiach organizacji społecznej widać było w Ch. tę niezwykłą wspólnotę; poza tym dzieliła się ona na małe grupki, nawet na jednostki, i niewiele było tam uroczystości i wspólnych imprez, tak typowych dla społeczności połączonych prawdziwymi więzami. Ponadto zaś nie popełniano tam żadnych przestępstw. Trzepoczący Orzeł nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że system taki może funkcjonować wyłącznie dzięki jakiejś niewyobrażalnie potężnej wrogiej mocy, czemuś, przed czym wszyscy odczuwają tak przemożny lęk, że zapominają o tym, co ich dzieli, koncentrując się na przetrwaniu. Co oczywiście prowadziło do wyjaśnień Virgila Jonesa - no i Grimusa. Zawsze, gdy o nim myślał, z zakamarków jego czaszki wypełzał ten jęk. Próbował się przekonać, że nieobecność Gorączki Wymiarowej w Ch. ostatecznie dowodzi, że teorie Virgila są błędne, jednakże druga możliwość była jeszcze bardziej prawdopodobna. Pielęgnowane tutaj obsesje, „umysłowa jednostronność”, procesy, w których efekcie wielowymiarowi ludzie przekształcali się w spetryfikowanych Uproszczonych Mieszkańców Ch., służyły obronie przed Efektem. Virgil powiedział: Skupcie się na powierzchni spraw, codziennych problemach, oddawajcie się swym prymarnym zainteresowaniom, a wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne wszechświaty nie będą miały do was dostępu. Elementy układanki doskonale do siebie pasowały: to dlatego Gribb i cała reszta zdecydowanie odmawiali dyskusji na tematy dotyczące początków - coś takiego byłoby równoznaczne z przyznaniem się, że wróg, którego przepędzili ze świadomości, istnieje. Dlatego właśnie Czerkasow traktował Gribba z szacunkiem, a zarazem pogardą.

Gribb, jako *spiritus movens* filozoficznej szkoły antygrimusowej, na ten szacunek sobie zasłużył, szacunek ten jednak nie wychodził poza sferę gestów, ponieważ w Ch. wszystko było wygodnym udawaniem. Najprawdopodobniej pogardzano nim za napuszczość. Trzepoczący Orzeł zastanawiał się, co o tym wszystkim myśli Elfrida. Najprawdopodobniej po prostu podziwiała jego mądrość.

Elfrida, Irina - były to dwa najmocniejsze argumenty przemawiające za Ch. Niełatwo było zrezygnować z miasteczka, w którym one mieszkały. A dwa dni to zapewne zbyt mało, by zdecydować o złamaniu ślubów, które się sobie złożyło. Tak, chyba

Gdy jednak starał się uspokoić, powróciła natrętna twarz Ptako-Psa i za nic nie chciała zniknąć. Niełatwo było być strusiem, nawet jeśli w miasteczku wręcz się od nich roiło.

Osiólek zatrzymał się, z przyzwyczajenia, przed Magazynami Moonshy'ego. Po pierwszym spotkaniu Trzepoczący Orzeł uznał, że Moonshy jest człowiekiem, z którym warto by porozmawiać, choćby dlatego, że kwestionował wyższość idei Gribba. Gdy jednak usiedli na iście spartańskim zapleczu Magazynów, pustelni Moonshy'ego, poczuł, że wcale nie jest tego aż tak pewien. Ściany oblepione były pożółkłymi plakatami, które krzykliwie urągały dawno już nie istniejącym tyranom. Zaciśnięte solidarnie pięści wprost biły w oczy. Jedynym, co odróżniało Moonshy'ego od pozostałych mieszkańców Ch., był rodzaj obsesji. Reprezentował klasyczny typ Człowieka Opozycji. To właśnie dawało mu siłę, by kwestionować wątplę podstawy, na których opierała się normalność Ch. Choć kwestionował, był zarazem częścią tego wszystkiego i gdy Trzepoczący Orzeł nawiązał do jakże ważkiego zagadnienia początków - i Grimusa - w odpowiedzi napotkał kamienne spojrzenie

- Aaa tam - powiedział Moonshy. - One się nie liczą. Plwam na nie. Najważniejsze są przywileje Czerkasowa i bezsensowna bazgranina Gribba, na które zmuszeni są pracować gnębieni robotnicy, synekura, jaką otrzymała ta

kobieta, Liv, w związku ze swoim stanem umysłowym. Nie jest ona jednak wcale ani chora, ani utalentowana. To tylko przechodzień. To właśnie jest istotne.

- Pan jednak wciąż działa w ramach tego systemu, prawda?

- Jeszcze nie nadszedł czas - zadeklamował Moonshy. - Nadejdzie, gdy robotnicy się upolitycznią.

Ton głosu zadał jednak kłam jego słowom. Moonshy czuł się bezpieczny, gdyż nie zamierzał doprowadzić swoich poglądów tam, gdzie prowadziła je logika. Trzepoczący Orzeł pożegnał się pośpiesznie i wyszedł rozczarowany.

Zbliżał się wieczór, gdy Trzepoczący Orzeł ponownie ujrzał Ptako-Psa. Tym razem nie była to halucynacja ani nic, co można by wyjaśnić jakimś omamem wzrokowym. To była ona, jego siostra i zastępcza matka, Ptako-Pies we własnej, brzydkiej osobie.

W Ch. nic się nie zmieniło: pan Kamień zajmował się liczeniem, chmura wisiała nad wierzchołkiem góry, mgła leżała nad równiną. Trzepoczący Orzeł zsiadł z osiołka przed Domem Wzwołanego Końca. Chciał się zobaczyć z Virgilem. Uwiązawszy osiołka na skraju wyłożonej kocimi łbami ulicy, podszedł do drzwi frontowych. Opierała się o nie jakaś kobieta z twarzą ukrytą w cieniu. Zawołał do niej:

- Jest tam Virgil Jones?!

Kobieta wynurzyła się z mroku.

- Chodź tu, braciszku, chodź i złap mnie – powiedziała i puściła się pędem, równie prędko jak zawsze, za róg burdelu, oddalając się od zaparkowanego osiołka. W pierwszym, bezcennym ułamku sekundy Trzepoczący Orzeł stał jak wmurowany, zaraz jednak ruszył w pościg. Lecz ona wpadała szybciej za każdy róg, prowadząc bez większego wysiłku i wołając: „Następnym razem, braciszku! Może następnym razem!”

Okrażył cały budynek i dobiegł do uwiązanego osiołka, który teraz głośno ryczał. Lecz po Ptako-Psie wszelki ślad zaginął.

Osiółek ryczał, ponieważ Anthony St Clair Peyrefitte Hunter alias Dwururka raczył się właśnie zagłębiać weń

w akcie sodomii, a trzeba wiedzieć, że nawet posłuszne osiołki mają granice wytrzymałości.

Hamując złość i obrzydzenie, Trzepoczący Orzeł zapytał:

- Widział pan ją?

- Kogo? - spytał swobodnie Hunter. Osiołek zaryczał jeszcze donośniej.

Z okna Domu wychyliła się jakaś kobieta.

- Wynoście się stąd! - krzyknęła. - Chuliganeria!

- Zmiłuj się i przestań! - wrzasnął Trzepoczący Orzeł, odciągając Huntera od uwiązanego osiołka.

- No dobrze - odparł łagodnie Hunter. - To zresztą obrzydliwie nieprzyjemne.

- Dlaczego więc...

- Wszystkiego próbuję dwa razy - wyrecytował Hunter i otrzepał się zdeglustowany. - Ostatnio to bydlę potraktowało mnie tęgim kopniakiem. Omal nie złamało mi nogi. Przynajmniej nie będę już musiał tego robić.

Trzepoczący Orzeł całą siłą woli spróbował się skupić na czymś innym. Ptako-Pies znowu znikła, lecz - co chyba istotniejsze - przedtem znowu się pojawiła. Skąd jednak przybyła? Czy to jakieś urągowisko? Wyglądało na to, że ona - albo ktoś inny - nie chce pozwolić, by się osiedlił w Ch. Poczuł, że narasta w nim przekora. Jeśli się nie myli, to właśnie powinien tu osiąść.

Hunter gdzieś poszedł, najprawdopodobniej ruszył przez mgłę do Elbaroomu. Trzepoczący Orzeł poklepał biednego, zażenowanego osiołka.

- Biedny osiołek - powiedział i dosiadł zwierzaka. Na ten wieczór miał dość: brakowało mu już sił, by się spotkać z Virgilem Jonesem, jak zamierzał. Czuł, że w pewnym sensie bieg wydarzeń potraktował go równie brutalnie jak Hunter jego nieszczęsnego wierzchowca.

W Elbaroomie Hunter powiedział do Peckenpawa:

- Cóż za ciemne miasteczko. Jeśli chcesz zrobić coś nowego,

możesz jedynie gwałcić osły. I tak to chęć przetrwania czyni nas tchórzami*.

- Że co? - spytał Peckenpaw.
- Nie powinno było do tego dojść - odparł Hunter.
- Że co? - powtórzył Peckenpaw.
- Monotematyczny, dlaczego przybyłeś na tę wyspę? - spytał

Hunter.

Peckenpaw zastanowił się nad odpowiedzią.

- Przywykłem do tego, że żyję.

• Aluzja do stów Hamleta: „Tak to świadomość czyni nas tchórzami” (akt III, sc. 1, w przekładzie Stanisława Barańczaka - przyp. tłum.).

CZTERDZIEŚCI

Huśtawka, na niej Elfrida, Trzepoczący Orzeł z tyłu, Irina oparta o wielki jesion, na którym wisi huśtawka. Parasolka Elfridy leży obok parasolki Iriny, złożona i niepotrzebna w kojącym cieniu drzewa. Elfrida rozjaśniona niewinną, dziecięcą radością, Trzepoczący Orzeł patrzy na nią z uwodzicielskim półuśmiechem, Irina bez uśmiechu, kryje szare oczy za powiekami, na pograniczu snu i jawy. Huśtawka buja się swobodnie, majestatyczna jak drzewo. Nawet w ogrodzie Czerkasowów nie było drzewa, które mogłoby się równać z tym jesionem, ani huśtawki choćby w połowie podobnej do tej. Tego dnia mgielka była delikatna, słońce przygrzewało, a w powietrzu niesło się brzęczenie zajętych swoją pracą pszczół. Proszę: oto motyl, z lśniącymi skrzydełkami, trzepoczący w cieniutkich pasemkach światła jakby przesączającego się przez okiennice. Dzień iście elegijny, wdzięczny jak kołysząca się huśtawka, świeży i czysty jak świeżo upieczony chleb, delikatny jak koronka lub blada, kobieca skóra, dzień dorównujący urodą kobietom przy huśtawce. Trzepoczący Orzeł zbudził się o świcie, od razu przytomny i wypoczęty. Spał świetnie i nie pamiętał, co śnił. Świt, podobnie jak nadchodzący dzień, nastroił go optymistycznie i pozwolił zapomnieć o zmartwieniach. W ciągu dnia, pod drzewem, na huśtawce, w towarzystwie takich kobiet nastrój mógł być tylko pogodny. I w takim właśnie nastroju był Trzepoczący Orzeł.

Elfrida na huśtawce.

- Wyżej! - zakomenderowała.

Trzepoczący Orzeł pchnął mocniej, a huśtawka poszybowała w niebo. Powieki Iriny, zamknięte jak jej parasolka, wymazywały tę scenę niczym cenzor. Nie widziała niczego interesującego w tej ostentacyjnej niewinności. Elfrida Gribb

była jej wierną towarzyszką i sąsiadką, a mimo to, jak pomyślała, niewiele miały wspólnego poza urodą. Irina już od dawna tak nie pomyślała; od dawna nie zirykowało jej dziewczęce zachowanie Elfridy. Dziś jednak tak się stało. Nikt nie jest równie czysty jak ja, nikt równie dobrze nie strzeże swej niewinności, niczyje postępowanie nie jest równie spontaniczne jak moje, zdawała się twierdzić Elfrida. Za jej podstępami kryły się kolejne podstępny, pomyślała Irina, a to już był irytujący fortel. Elfrida robiła wszystko jak dziecko - śmiała się, jadła, spała, dziwiła - a Irina Czerkasowa nie kochała dzieci. Zamknęła zatem oczy, pozwalając się bawić tym dwojgu. Na Trzepoczącym Orle mknąca w powietrzu Elfrida wywierała zupełnie inne wrażenie. Ona też zbudziła się wczesnym rankiem, więc przed niespodziewaną wizytą hrabiny w porze śniadania mieli okazję długo porozmawiać. Trzepoczący Orzeł przekonał się, że patrząc w te zielone oczy, zgadza się z wyzierającymi z nich myślami; podobnie hipnotyzowały go szare oczy Iriny Czerkasowej. Rozmawiając z Elfridą, czuł, że chce rozproszyc wszelkie obawy z poprzedniej nocy, wszystkie swe wątpliwości i odzyskać pewność, że Ch. to dla niego idealne miejsce. Można sobie było wyobrazić gorsze scenariusze niż wieczność w towarzystwie tych oczu. Poza tym, gdy słuchał Elfridy, obudziło się w nim coś jakby współczucie dla Ignatiusa Gribba. W jej oczach był to człowiek troskliwy, kochający, czego te oczy były niezachwiane pewne. Lecz na mgnienie zakrył je cień, jakby ta pewność się zachwiała... a potem cień znikł i wróciły do nich radosne iskierki. Trzepoczący Orzeł nie miał nawet nic przeciwko jej niechęci do Jokasty i jej przybytku; z jego burdelowej przeszłości pozostały mu dość obrzydliwe wspomnienia i podzielał niechęć Elfridy z gorliwością konwertyty. Stwierdził nagle, że zastanawiając się, czy tu osiąść, coraz mniej myśli o Virgilu Jonesie. Rzecz jasna uspokajało to jego sumienie. Wzrok Elfridy Gribb obudził jego kameleonią zdolność adaptacji i symbiotyczną maestrię, które od razu wzięły gó - Irino - odezwała się Elfrida - chodź, teraz twoja kolej.

- Nie, nie - odparła Irina Czerkasowa. - Daruję to sobie.

- Nonsens - powiedział Trzepoczący Orzeł. - Przecież nie ma tu żadnych widzów.

I Irina uległa. Zajęła miejsce Elfridy, która usiadła na trawie i zaczęła nucić.

Trzepoczący Orzeł uświadomił sobie nagle, że już zbyt długo obchodzi się bez kobiety. I zaraz pomyślał o Irinie Czerkasowej, jej słabym małżonku, synu idiocie i spetryfikowanej ciąży. Elfrida Gribb była pociągająca, mimo jej aury niewinności (a może właśnie dlatego?), podczas gdy Irina Czerkasowa otwarcie demonstrowała swe wdzięki. Ta druga możliwość była więc bardziej obiecująca. Jak się nie ma, co się lubi.... pomyślał i nagle sobie uświadomił, że wolałby Elfridę. Bardzo go to zdziwiło. Do zdumienia doszedł niepokój, gdy pomyślał o konsekwencjach - był w końcu gościem w domu jej męża. Nie zdając sobie sprawy, co robi, pchnął huśtawkę zbyt mocno.

- Panie Orle, proszę trochę uważać - upomniała go Irina. -Panie Orle: chodzi o zachowanie konwenansów czy odrzucenie naszej intymności z ubiegłej nocy?

- Przepraszam - powiedział.

Również Elfrida z trudem dziś znosiła sąsiadkę. Było to doprawdy coś niezwykłego i podobnie jak Irina, miała trudności ze sprecyzowaniem, o co właściwie chodzi. A może nie chciała tego zrobić, jak poprzedniej nocy, gdy odpędziła zazdrość, myśląc o swym drogim Ignacjuszu. Teraz też z wysiłkiem wyobraziła sobie, jak ślęczy nad książkami, odczytuje swoje maleńkie literki, kamieniejąc na całe godziny jak posąg, aż nagle rzuca jakąś myśl na kartkę starego notatnika, który zapisywał z wielką starannością, nie marnując ani milimetra papieru, gdyż zdawał sobie sprawę, że jego zapasy nie są niewyczerpane. Ten obrazek sprawił, że się uśmiechnęła; potem się jednak rozplątał, a na jego miejscu znów pojawiła się wysoka, silna postać Trzepoczącego Orła, wypełniając całą przestrzeń. On jest bezsprzecznie piękny, pomyślała.

Irina zeszła z huśtawki.

- A teraz, panie Orle - powiedziała zdecydowanie - ponieważ tak bardzo nie lubi pan widzów, dopilnujemy z Elfridą, żeby przyszła kolej na pana.

- O, tak! - wykrzyknęła Elfrida, podskakując w miejscu. - Bardzo proszę, panie Orle.

Po chwili był już w ich rękach. Fruwał tam i z powrotem, przecinał ze świstem niemal krystalicznie czyste powietrze, zdany na łaskę dwóch bladych manekinów. Zdany na ich łaskę, ponieważ on również czuł, że popada w obsesję, a przedmiotem tej obsesji są one.

Nie było rady. Dzisiaj musi zobaczyć Virgila. Już zbyt długo to odkłada, a przecież nie jest tak, że co się odwlecze, to nie uciecze. Co prawda stopniowo poznając zwyczaje miasteczka Ch., musiał ograniczyć kontakty ze swym niegdysiejszym przewodnikiem, jednak w żadnej mierze nie tłumaczyło to jego niewdzięczności. A ponadto niewykluczone, że Ch. wcale nie jest miejscem... wciąż jeszcze było tyle pytań bez odpowiedzi, nie można wciąż chować głowy w piasek.

- Muszę jechać do miasteczka - oznajmił.

- Odprowadzę cię do brukowanej drogi - powiedziała Irina. - Też myślałam o małej przechadzce.

Zostawili Elfridę, znowu w złym humorze i złą na siebie.

Gdy już się oddalili od domu Gribbów i zasłoniły ich drzewa, Irina Czerkasowa zapytała:

- Wciąż jesteście przyjaciółmi, Trzepoczący Orle?

- Tak - odparł. - Jeśli tego chcesz.

Objęła go za szyję i pocałowała.

- W takim razie to scementuje naszą przyjaźń - powiedziała i odeszła, nawet na niego nie patrząc.

Wszystko się w nim kotłowało - uczucia wobec Virgila i uczucia wobec nowego życia, w które wprowadziła go Elfrida; do tego doszło uczuciowe rozdarcie między Elfridą i Iriną, spowodowane tym pocałunkiem. Muszę nieodwołalnie rozstrzygnąć pewne sprawy, powiedział sobie i ruszył zdecydowanie ku Domowi Wzwołanego Końca.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Przy drodze ukazała się lśniąca fasada Domu Wzwodzonego Końca. Przed wejściem, na bruku, tkwił nieruchomy osiołek, a na nim jakaś postać. Trzepoczący Orzeł podszedł bliżej, spostrzegł, że osobę tę okrywa od stóp do głów czarna, fałdzista szata, z czymś jakby kratą z przeplatających się pasemek na wysokości oczu. Trudno mu było określić, czy to mężczyzna, czy kobieta, i czując, że przechodzą go ciarki, powiedział sobie w duchu: Niech to będzie cokolwiek, byle nie trzecie wcielenie Ptako-Psa. Po chwili jednak osoba ta odezwała się do niego i Trzepoczący Orzeł odetchnął z ulgą. Był to głos kobiecy, niski i bezbarwny, który z pewnością nie należał do jego siostry.

- Kim jesteś? - usłyszał.

Przedstawił się, gdyż nie widział powodu, by tego nie robić. Jednakże zamaskowana kobieta nie odwzajemniła mu się tym samym. W związku z tym w jego głosie pojawił się szorstki ton:

- Pani z tego domu?

- Tak, w pewnym sensie - odparła, teraz najwyraźniej rozbawiona.

- Więc proszę mi powiedzieć, czy jest tam Virgil Jones.

Postać skinęła wolno głową, nie odrywając wzroku od burdelu.

- A gdzie miałyby być? - spytała bezbarwnie.

- Świetnie - powiedział krótko Trzepoczący Orzeł i podszedł do drzwi.

- Trzepoczący Orzeł - odezwała się kobieta.

- Słucham? - Zatrzymał się przy drzwiach i obrócił ku niej; stała nieporuszona.

- Nic - odparła. - Po prostu przyzwyczajam się do pańskiego imienia.

Skoro jednak będzie się pan widział z Virgilem, może mu pan powiedzieć, że zamierzam się z nim spotkać.

- A jakie nazwisko mam podać? - spytał Trzepoczący Orzeł, w którym rozpalila się ciekawość.

Postać myślała przez chwilę, po czym wyciągnęła prawą rękę.

- Tam mieszkam - powiedziała. Nad miasteczkiem, pod ścianą chmur, na skalnym występie stał czarny dom, czarny jak szaty okrywające jego właścicielkę. - Zapewne wkrótce się zobaczymy - dodała, dźgnęła piętami osiołka i odjechała.

- Jak się pani nazywa? - spytał Trzepoczący Orzeł.

Osiółek oddalał się niespiesznie.

- Pani Virgilowa Jones - powiedziała Liv, a w jej bezbarwnym głosie zabrzmiało pogardliwe rozbawienie.

CZTERDZIEŚCI DWA

Pan Virgil Jones już nie potrzebował paska do spodni. Po prostu nie miał ich na sobie.

Siedział przepasany ręcznikiem, ze sznurem koralu na szyi i melonikiem na głowie. W prawej ręce trzymał dzban z winem. W lewej mieściła się spora część pośladków Kamali Sutry. Na jego kolanach spoczywała miska z owocami. Z jego języka do świeżo wygolonego rowka na podbródku sączył się cienki czerwony strumyczek. Virgil siedział na niskim łóżku, przy jego boku leżała Kamala Sutra, a na jego kolanie spoczywała głowa Madame Jokasty.

Trzepoczący Orzeł stał oniemiały w drzwiach. Virgil Jones zdjął lewą rękę z Kamali, uchylił kapelusza, po czym opuścił rękę na poprzednie miejsce.

- Ach! - zawołał. - Mój stary przyjaciel, mój stary koleś, tak ohotny, tak pełen entuzjazmu! Trzepoczący Orzeł, jak przypuszczam*. Witam, ściskam, pozdrawiam i rozbawiam. Napij się. Rozbierz. Odpręż. Wyglądam bosko, prawda? Buzia i nosek rumiane. Jestem różowym dzinnem. Taki żarcik.

Trzepoczący Orzeł podszedł o krok i znów się zatrzymał. Kamala Sutra wyskoczyła z łóżka. Oparła lewą stopę na jego prawej, prawą nogą opłótła go w pasie. Potem położyła prawą rękę na jego lewym ramieniu, a lewą objęła go za

* Aluzja do słów sir Henry'ego Mortona Stanleya, który poszukiwał w Afryce zaginionego szkockiego podróżnika Davida Livingstone'a. Znalazłszy go w otoczeniu tubylców, z angielską flegmą powiedział: „Doktor Livingstone, jak przypuszczam?” (za książką H. M. Stanley *Hou I found Livingstone*, 1872 - przyp. tłum.).

szyję. Następnie zbliżyła twarz do jego twarzy i zaczęła gruchać.

Virgil Jones parsknął radośnie, waląc się po udzie lewą ręką, która akurat była wolna, a fałdy jego brzucha baraszkowały beztrąsko.

- Spójrz no tylko! - zawołał. - Pozycja wspinaczki na górę! Wyjątkowo stosowna lub stosownie wyjątkowa. Widzisz, widzisz, Trzepoczący Orle? Ty jesteś górą, a ona wspina się na górę, błagając o pocałunek. Gruchanie i te sprawy. Autentyczna, doręczna technika z *Kamasutry*.

- Gruchu-gruchu-gruchu - zagruchała Kamala Sutra.

Madame Jokasta odeła usta.

- Mam wrażenie, że nie spodobała mu się ta propozycja - stwierdziła. - Może zawołać Gillesa?

Kamala Sutra odłączyła się od Axony i wróciła na łóżko.

- O, tak - powiedział Virgil Jones, pokładając się ze śmiechu, popijając wino z dzbana i krztusząc się. Drobną strużką wina pociekła na prześcieradło. I na Madame Jokastę.

Jokasta wstała, minęła Trzepoczącego Orła i podeszła do drzwi, gdzie pociągnęła za szarfę dzwonka. Wracając do Virgila, rzuciła sucho do Axony:

- Jakże miło pana wreszcie zobaczyć.

Trzepoczący Orzeł powiedział:

- Przyszedłem... przeprosić... Madame

Jokasta przerwała mu:

-Virgila? No cóż, jakże to słodko z pańskiej strony. - Obdarzyła go oszałamiającym uśmiechem, po czym z całej siły trzasnęła go w twarz. - Niespecjalnie się pan pośpieszył - dodała, a jej uśmiech nawet nie zdrzął, gdy drugą ręką uderzyła go w drugi policzek. - No, teraz już lepiej - stwierdziła.

Drzwi za nimi otworzyły się z impetem i stanął w nich najpiękniejszy mężczyzna, jakiego Trzepoczący Orzeł kiedykolwiek widział. Gilles Priape wkroczył do pokoju, masując ospale nadzwyczaj dorodne narzędzie pracy, które zeszywniało od niechcenia pod odpowiednim kątem, gdy spenetrował wzrokiem Trzepoczącego Orła.

- To ten? - spytał Madame Jokastę, wskazując palcem.

- Ten - odparła Madame Jokasta, wracając na kolano Virgila.
- Tutaj? - spytał Gilles Priape, robiąc do Trzepoczącego Orła perfekcyjnie profesjonalny ryjek.
- Tutaj - poinstruowała go Madame Jokasta.
- Chcesz, żebym cię rozebrał? - spytał Gilles Priape Trzepoczącego Orła. Zmęczenie w jego głosie świadczyło, że najwyraźniej spodziewa się zaprzeczenia.
- Przystań się tak, do cholery, objąć - warknęła Jokasta. - Do dzieła. - Natomiast Trzepoczącemu Ortu wyjaśniła przepraszająco: - Z początku jest powolny, ale potem się rozkręca.
Trzepoczący Orzeł strząsnął z siebie bezwładne, zrezygnowane dłonie Gillesa i przemówił do Virgila Jonesa, usiłując nie zwracać uwagi na to, co się działo wokół nich.
- Virgil - powiedział; głos lekko mu się załamał, zdradzając jego niepewność - bardzo mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło w Elbaroomie. Nie powinienem był im pozwolić, by cię tak potraktowali. Mogę pomówić z tobą na osobności?
- Ojoj - zachnęła się Jokasta. - Czy aby nie jesteśmy zbyt sztywni? Czy aby nie jesteśmy zbyt nadęci? Jakim prawem żąda pan czegokolwiek od pana Jonesa?
Virgil czknął, a potem zachichotał. Trzepoczący Orzeł pomyślał, że wygląda po prostu żałośnie. Gniew pomieszany ze wstydem i obrzydzeniem sprawił, że nie zdołał się opanować.
- Doskonale - powiedział. - Doprawdy nie wiem, dlaczego w ogóle tutaj przyszedłem. Może z uwagi na naszą przyjaźń albo z poczucia obowiązku i - nie będę zaprzeczał - z poczucia winy. Sądziłem też, że mógłbyś mi pomóc... Chciałem cię zapytać o wiele spraw, poprosić o radę... Teraz rozumiem, że to wszystko nie miało najmniejszego sensu. Czy to nie smutne, Virgil, że ze wszystkich ludzi właśnie ty upadłeś tak nisko? Ty, który opowiadałeś mi, jak bardzo sobie cenisz godność. „Człowiek swoim życiem i działaniami usiłuje nadać jakiś sens bezmyślnemu wszechświatowi”... czy to właśnie miałeś na myśli?... ten... ten śmietnik lubieżnej impotencji?

To dno, na które się stoczyłeś, rozczulając się nad sobą? Czyżby przekabacili cię do tego stopnia, że zapomniałeś, dlaczego opuściłeś Dolores? Wiele razy chciałem cię o to zapytać, ale czekałem, aż będziesz gotowy. Wydaje mi się jednak, że przegapiłem tę szansę. Ja znalazłem swoje miejsce, a ty doprowadziłeś się do upadku. Gorzej - ty nawet nie upadłeś... ciebie tutaj zabalsamowują. W burdelu pełniącym funkcję piramidy. W...

- Stul pysk - warknęła Madame Jokasta.

Trzepoczący Orzeł, który dał wreszcie upust frustracji i złości, urwał gwałtownie, nieruchomiejąc w głupawej pozie pośrodku tego pachnącego piżmem pokoju. Virgil Jones zanosił się chichotem, Gilles Priape wyglądał na nieporuszonego, Kamala Sutra okrywała pocałunkami stopy Virgila, a Madame Jokasta wręcz kipiała z wściekłości, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo ta wściekłość pogłębia przepaść między oboma podróżnikami.

- Jest pan absolutnym egoistą - mówiła z miazdzącą pogardą. - Wiedział pan, że pan Jones jest dobrym, szczodrym człowiekiem. Wyrwał pan z niego tę przysługę jak ząb. Nie wspominając już o bólu, jaki mu to sprawiło; nie wspominając o tym, co musiał zostawić; nie wspominając o tym, do czego powrócił. I wciąż chce pan pomocy, porady, przewodnictwa. A ponieważ chce pan tego wszystkiego, uwiera pana świadomość, że on nareszcie znalazł pocieszenie. Cóż on jest panu winien, panie Orle? To pan winien jest mu wszystko. Ktoś, kto odpłaca zdradą za miłość, nie jest człowiekiem honoru. Virgil znalazł tutaj schronienie; niech tu pozostanie.

- Winien jest mi wyjaśnienie - powiedział tępo Trzepoczący Orzeł.

- Wyjaśnienie, dlaczego mnie tu ściągnął.

- Ależ mój drogi! - wykrzyknął Virgil Jones. - Przecież to ty mnie tu przyprowadziłeś!

- Ale dlaczego?! - zawołał bezradnie Trzepoczący Orzeł. - Dlaczego?!

- Gilles, pan Orzeł nas opuszcza - powiedziała Madame Jokasta. - Zechcesz wskazać mu drogę?

Gilles Priape, wykazując nieoczekiwaną szybkość reakcji, chwycił Trzepoczącego Orła za ramię i wykręcił mu je za plecami.

- Nie - odezwał się Virgil Jones dawnym, trzeźwym głosem. - Powiem mu.

- Grimus i ja wygnaliśmy Nicholasa Deggle'a z Wyspy Cielęcej - mówił Virgil Jones - ponieważ wierzył, że trzeba zniszczyć moc znajdującą się w rękach Grimusa. Wówczas zgadzałem się z Grimusem, że ta nowa wiedza jest bezcenna i że należy walczyć z reakcyjnymi siłami, których przedstawicielem był Deggle. Teraz jestem odmiennego zdania. Efekt się nasila... Nie jestem pewien, czy Grimus potrafi nad nim jeszcze zapanować. Byłem za zniszczeniem

- A więc mnie wykorzystywałeś - powiedział Trzepoczący Orzeł. - To taka jest ta szlachetność, o której mówiła Madame.

- Skoro tak to chcesz nazywać, to cię wykorzystywałem - odparł Virgil Jones. - Już nie potrafię się zbliżyć do Grimusa. Ty natomiast tak, bo udało ci się pokonać Wymiary Wewnętrzne. Ponadto wierzyłem w twoją siłę woli i motywację, jako że bardzo chciałeś odnaleźć siostrę.

- A więc ona jest z nim? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Oczywiście, że tak - odparł Virgil ze zmęczeniem w głosie. - A gdzie miałyby być?

- Widziałem ją - oznajmił Trzepoczący Orzeł. - Tutaj, w Ch.

- No cóż - powiedział Virgil, a jego oczy błysły, zaraz jednak zgasły - teraz już wiesz, co biedna Dolores miała na myśli, mówiąc o Duchu Kamiennej Róży.

- Co to za kamienna róża? - spytał Trzepoczący Orzeł. - I gdzie można znaleźć Grimusa? Pewnie gdzieś wyżej, bliżej szczytu góry?

- Teraz to nie ma znaczenia - powiedział Virgil Jones. - Ty podjąłeś swoją decyzję, a ja swoją. Takim sposobem doszliśmy do końca drogi. Ty i ja. Żegnaj, Trzepoczący Orle.

Odkąd tu wszedł, Trzepoczący Orzeł doświadczył tak wielu emocji, że teraz zareagował gniewem.

- Cieszę się - powiedział szorstko - że nie skończyłem tutaj, oszalały i otoczony przez dziwki.

- Nie skończyłeś? - spytał Virgil Jones.

- Nie! - krzyknął Trzepoczący Orzeł. - Niech to jasna cholera! Może nie jestem pewien wielu rzeczy, ale tego akurat tak. Poszło mi znacznie lepiej niż tobie.

- Nie pochwalam pewników - powiedział Virgil Jones - zawężają horyzonty. Wątpliwości zaś pozwalają je poszerzyć.

Trzepoczący Orzeł wyszedł z pokoju, nie korzystając z pomocy Gillesa Priape'a - groteskowej karykatury jego własnej przeszłości.... a był to pierwszy czyn całkowicie w duchu Ch. Zdecydował się wyrzucić ze swej pamięci przeszłość, wyrzucić poczucie winy i upokorzenia, wyrzucić wszelkie prawdy - wszystko, czego doświadczył, gdy poczuł na sobie dzikie, nienawistne spojrzenie Madame Jo-kasty. Virgil miał rację: klamka zapadła.

Jednocześnie doszedł do wniosku, że nie lubi Virgila Jonesa. A dzięki temu wszystkiemu łatwiej mu było znieść konsekwencje wyboru.

Wychodząc, spotkał dwie osoby. Najpierw piękną, ciemnowłosą i nagą kobietę - Media nie znosiła ubrań w godzinach pracy. Na jego widok stanęła jak wryta. Trzepoczący Orzeł chyba nawet jej nie dostrzegł i zszedł po schodach zapatrzony gdzieś w dal. Media weszła na górę, do pokoju, w którym Kamala i Jokasta siedziały z poważnymi minami, choć Virgil Jones zaśmiewał się do rozpuku. Gillesa Priape'a już nie było - wyszedł, by poszukać odosobnienia.

- Panie Jones, czy to był ten pański przyjaciel? - spytała.

- Nie - odparła szorstko Madame Jokasta.

- Tak - skorygował Virgil Jones. - To on.

- Musi mi pan o nim opowiedzieć.

Madame Jokasta czuła, że uchodzi z niej cała wściekłość, a rośnie bezradność. Teraz Trzepoczący Orzeł znajdzie się między nią a jej faworytą. Życie czasem jest nie fair.

Potem spotkał Flanna O'Toole'a, który wracał do Elbaroomu po sesji z Bum-Bum de Sade. Wpadł na niego w drzwiach.

- Ho ho! - zahuczał O'Toole. - Proszę, proszę. Wielki sukces na salonach Czerkasowów i Gribbów. Trzeba by chyba zakropić coś takiego, prawda? Powrót zbłąkanej owieczki.

- Prowadź - rzekł Trzepoczący Orzeł.

Więc ruszyli w drogę. Dopiero gdy przybyli do Elbaroomu, Axona przypomniał sobie, że miał przekazać Virgilowi Jonesowi wiadomość od Liv.

CZTERDZIEŚCI TRZY

Czy słyszałeś kiedyś o geniuszu wolnym od jakiejkolwiek obsesji? - spytał Ignatius Gribb. - Obsesja jest drogą prowadzącą do samorealizacji. Jediną drogą, panie Orle, jedyną drogą.

-Virgil Jones twierdzi, że to dowód lęku, jaki budzi w nas praca umysłu - odparł Trzepoczący Orzeł. Był na tyle pijany, że zupełnie nie przejmował się tym, co mówi, a Gribbowie na tyle uprzejmi, że udawali, iż wcale pijany nie jest.

Tymczasem Elfrida siedziała zdenerwowana przy stoliku i nie odzywała się ani słowem.

- Virgil Jones to ludzki wrak - ciągnął Ignatius Gribb. - Żywe świadectwo kretynizmu, który eufemistycznie nazywa zbiorem swoich idei. Cieszę się, że odłączył się pan od niego, panie Orle, naprawdę ogromnie się cieszę. Teraz jeszcze musi pan zapomnieć o jego wymysłach.

- Virgil Jones twierdzi, że powątpiewanie jest lepsze od pewności - wybełkotał Trzepoczący Orzeł.

Ignatius Gribb nabrał powietrza w płuca.

- Choroba Hamleta - powiedział. - Te wątpliwości. To go zabiło. I ta stara historia o niewiernym Tomaszu. Tam, gdzie są pewniki, wątpliwości są śmiechu warte. Zgodzi się pan ze mną?

- Eee... - wymruczał Trzepoczący Orzeł, zamroczony alkoholem, lecz Ignatiusowi Gribbowi i tak nie sposób było zaprzeczyć.

- Przede wszystkim należy dokonać rozróżnienia między obsesją i opętaniem - powiedział. - Opętany nie panuje nad sobą: to rodzaj choroby umysłowej. Opętanie prowadzi do tyranii i okrutnych zbrodni. Natomiast obsesja ma odwrotne skutki. Ludzie, których opanowała, komponują symfonie i tworzą malowidła

. Piszą powieści i góry przenoszą. To największy dar rodzaju ludzkiego. Zaprzeczanie temu jest równoznaczne z zaprzeczaniem człowieczeństwu. Cóż człowiekowi po nieśmiertelności, jeśli nie wykorzysta jej na zgłębianie tego, co najbardziej go zajmuje? Czemu służy Wyspa Cieleca?

- Virgil Jones mówi, że role się odwróciły – powiedział Trzepoczący Orzeł. - On twierdzi, że to wyspa wytwarza potrzebę... mówi, że Efekt Grimusa mogą przeżyć jedynie umysły ogarnięte - I to ten mit powinieneś zniszczyć z pomocą swego pry-marnego zainteresowania. Elfrida Gribb odezwała się po raz pierwszy:

- Trzepoczący Orle... Chyba nie masz mi za złe, że tak się do ciebie zwracam, skoro wszyscy jesteśmy już przyjaciółmi?... Mam wrażenie, że zbyt łatwo ulegasz wpływom innych. Ten pan Jones nie powinien być tak żerować na twoim umyśle. Zapomnij o nim i jego szaleństwach... teraz już go nie potrzebujesz. - W jej głosie zabrzmiała nuta desperacji.

- Zapomnij o nim - powtórzył Trzepoczący Orzeł i padł twarzą w ziemię.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Elfrido, znałaś moją siostrę, Ptako-Psa? - spytał Trzepoczący Orzeł.
Elfrida otworzyła szeroko oczy.

- Znam... znam to imię... - wyjąkała w końcu. - To twoja siostra?
Trzepoczący Orzeł skinął głową i ujrzał, że Elfrida odzyskuje
opanowanie.
- Niestety mam dla ciebie złe wieści - powiedziała. - Ptako-Pies nie
żyje.

Trzepoczący Orzeł zapytał cicho:

- Skąd wiesz?
- Ignatius - odparła. - Ignatius powiedział, że... ona zniknęła...
zapewne nie żyje. Tak mi przykro.

Uciekła przed jego zmartwioną twarzą, gubiąc robótkę.

- Proszę przyjść dziś po południu, zagramy w krokieta -
powiedziała Irina Czerkasowa.

- Nie potrafię w to grać - odparł Trzepoczący Orzeł.

- A zatem będzie to bardzo pouczające - odrzekła z uśmiechem. -
Gdy gramy w nieznaną grę, dużo się dowiadujemy o sobie. I o swoich
ograniczeniach.

- Jestem pewna, że Trzepoczący Orzeł zna swoje ograniczenia. -
(Elfrida, ostro.)

Irina uniosła brew.

- To tylko żart - powiedziała wesoło.

- Zagram z rozkoszą - rzekł Trzepoczący Orzeł.

Elfrida nie odezwała się ani słowem.

Przez kilka następnych dni życie Trzepoczącego Orła obracało się głównie wokół Elfridy i Iriny. W związku z badaniami Gribba i lenistwem Czerkasowa obie kobiety od dawna musiały polegać na sobie; teraz zaś, w towarzystwie Axony, wyglądały na wyraźnie zadowolone i odmłodzone. W pewnym sensie zapewniały mu takie samo schronienie przed różnymi myślami i lękami jak Dom Wzwyżonego Końca Virgilowi. Przebywając z nimi, stwierdził, że rola strusia staje się łatwa i przyjemna.

Jego myśli, rzecz jasna, zostały zdominowane przez podniety cielesne. Trzepoczący Orzeł zdawał sobie sprawę, że nie jest nieatrakcyjny. Wiedział też jednak, że jego uroku nie można uznać za nieodparty. Skoro więc znalazł się w tej godnej pozazdrosczenia pozycji na szczycie trójkąta, którego pozostałe wierzchołki zajmowały te kobiety, musiały być inne powody. Niewątpliwie duże znaczenie miało to, że był dla nich ciekawostką. Był obcy, nieznany, był nowym, nie zbadanym jeszcze życiem.

Dość łatwo było wytłumaczyć nieskrywane pożądanie Iriny. Po prostu pogardzała mężem, a dzięki Trzepoczącemu Ortu mogłaby się wydostać z pułapki, w którą wpadła. Dałaby odczuć Czerkasowowi, że nim pogardza, i uciekłaby od męczącej monogamii swego małżeństwa. Prosty, klasyczny wręcz przykład znudzonej, nieszczęśliwej żony, która otrzymuje nieoczekiwane nową podniętę.

Trzepoczący Orzeł uznał, że ta kobieta wręcz lubuje się w swoim nieszczęściu, a podwójny ból jej macierzyństwa oraz pustka małżeństwa stały się dla niej emocjonalnymi protezami pozwalającymi wzbudzać współczucie, a zarazem podziw. Gdyby miał się z nią związać, musiałby dźwigać ciężar jej zgryzot. Ponadto była syreną, syreny zaś pożerają mężczyzn. Mimo to była piękną, podniecającą kobietą i - jak dała mu do zrozumienia - gorąco go

Jej ochoczość stanowiła tu pewien szkopał. Znacznie bardziej pociągało go nieosiągalne, a Elfrida, wciąż zapewniająca, że jest przywiązana do swego elokwentnego gнома, zdawała się spełniać większość wymogów nieosiągalności. Nawet nie był pewien, czy ona cokolwiek do niego

czuje. Nie padły żadne słowa: jego nadzieje opierały się jedynie na kilku spojrzeniach, kilkakrotnym muśnięciu skóry o skórę, zawahaniu, gdy mówiła o miłości do Ignatiusa, ostrych tonach, gdy Irina otwarcie z nim flirtowała. A może wszystko to było jedynie wytworem jego wyobraźni?

Jeśli jednak miał rację, to pojawiały się kolejne problemy. Być może wcale aż tak bardzo nie kochała Gribba, tylko sobie to wmawiała. Dlaczego zatem tak gorąco była mu oddana? Czyżby jej pozornie naturalna, wszechogarniająca miłość była kolejnym objawem przesady, niezbędnej, by iść Drogą Ch.? A jeśli ona również go pożąda, to dlaczego? Może to rodzaj buntu przeciwko Ignatiusowi, odpowiednik stosunku Iriny do Czerkasowa? Potrząsnął głową. Chyba jednak nie powinien być aż tak nieufny.

Rzecz jasna Trzepoczący Orzeł nie wiedział, czemu jego przybycie tak poruszyło dwie blade piękności; dlatego też pomyślał ledwie o części prawdy.

W tych dniach tajemnice Wyspy Cielęcej zakłóciły im spokój tylko raz, dzięki czemu wyszło na jaw, że Elfridę rzeczywiście coś ciągnie do Trzepoczącego Orła. Przez cały ten czas nie pojawiła się Ptako-Pies, a ów jęk, rozlegający się uprzednio w uszach Trzepoczącego Orła, wyraźnie przycichł. Wyglądało na to, że wyspie się nie śpieszy. Myśląc później o tym, co się wtedy wydarzyło, Trzepoczący Orzeł miał wrażenie, że otrzymał sznur dostatecznie długi, by oprócz niego mogło się na nim powiesić kilkoro jeszcze osób.

A oto, jak do tego doszło.

Ignatius Gribb odbywał właśnie popołudniową drzemkę, przez co kolejny raz miał przespać wydarzenie dużej wagi. Elfrida i Trzepoczący Orzeł byli na huśtawce. Ścisłej mówiąc, siedzieli na trawniku pod jesionem, z którego ta huśtawka zwisała. Sennych po jedzeniu i winie otrzeźwił kolejny błysk.

Targnął nimi jak wstrząs elektryczny. Żadnej żywej istocie nie można odebrać życia, a następnie go przywrócić, tak by tego nie poczuła.

Błysk minął, Elfrida spojrzała na Trzepoczącego Orła jak przełknięte, bezbronne dziecko. Otoczył ją ramionami i przyłgnęli do siebie mocno, udowadniając sobie, że wszystko z nimi w porządku, że wciąż tu są, z krwi i kości, żywi.

W takich okolicznościach pocałunek wydawał się czymś najzupełniej naturalnym.

Tymczasem, w swym gabinecie, Ignatius Gribb chrapał w najlepsze.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Wcześniej, w Domu Wzwodzonego Końca.

- Madame Jokasto - mówiła Media - może była pani zbyt surowa dla Trzepoczącego Orła? Ludziom czasem się wszystko miesza. W trudnych chwilach dobrzy ludzie potrafią robić złe rzeczy.

Madame Jokasta powiedziała:

- Nawet nie znasz tego człowieka.

Media potrząsnęła głową.

- Po prostu daję mu kredyt zaufania. Virgil zawsze mówił, że ludziom trzeba ufać.

Jokasta powiedziała:

- Trzepoczący Orzeł nie jest tu mile widziany. I pamiętaj, Medio: przy twojej specjalności jego obecność w twoim łóżku jest wykluczona.

- Tak, Madame - odrzekła Media. I po chwili dodała: - Gustuję w kobietach.

- Nie bądź smutny - odezwała się Media.

- Nie jestem, moja droga - odparł z roztargnieniem Virgil.

- Tak mi przykro, że o niego spytałam - powiedziała skruszona.

Nie o to chodzi. Chupor go ostrzegał: jest nieistotny, zbędny, nie odegra żadnej roli w historii Góry Cielecej. Chupor go ostrzegał; a skoro Trzepoczący Orzeł wybrał Drogę Ch., wyglądało na to, że miał rację.

- Ludzie odsunięci na boczny tor nierzadko popadają w depresję - powiedział do Medii.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Żadnego przewodnika: żadnej siostry gotowej udać się na zwiad; żadnego szamana, który próbowałby go wypędzić; żadnej komenderującej livii; żadnego deggle'a, który by nim pokierował, żadnego virgila sypiącego instrukcjami. Sam musiał wybrać - ale kogo? Kogokolwiek? Zaryzykować? I wiedzieć, czego się chce.

Błede wiedźmy, rzucające czar, oplatające go jedwabnymi sznurami.

Może wybór, jakikolwiek, nawet błędny, byłby lepszy niż te dręczące samoanalizy i rozterki.

Trzepoczący Orzeł nieświadomie wpadał w rytm myślenia miasteczka, w którym osiadł.

Białe czarodziejki krążące z uśmiechem.

- Wiem, jestem gościem w jego domu - powiedział. - Ale to również twój dom. Wiem, Ignatius był dla mnie dobry i hojny. Ale to ty mnie tu sprowadziłaś. Nie oczekuję, że mnie pokochasz; sam nie jestem pewien, czy cię kocham. Ale cię pragnę. Wiem, byłoby prościej i wygodniej, gdyby tak się nie stało. Ale tak jest.

Stało się.

- Kocham mojego męża - powiedziała Elfrida Gribb głosem podszytym paniką.

Noc. Irina Czerkasowa leżała w swoim łóżku, myśląc o błysku. Nad jej głową, po prostym baldachimie nad niegustownym łóżem o czterech kolumnach, szedł niezauważenie pająk. Z okapów nad zamkniętymi oknami zwieszały się nietoperze.

Był to jej pierwszy błysk, a ten pierwszy raz jest najgorszy.

Zagryzła wargę i posmakowała słonawej krwi. Tej nocy potrzebowała towarzystwa, nawet gdyby miał to być Aleksandr. Lecz jak ma iść do niego, dumna Irina, jak wczołgać się do jego sypialni po stuleciu osobnych nocy, jak prosić go o ciepło i ochronę po tak długim okazywaniu lodowatej wyższości? Nie: nie może. Nie. Tak. Tak. Może. Wyszła z łóżka i owinęła się peniuarem.

Nie odpowiedział, gdy zapukała do drzwi. Na pewno śpi; prawdopodobnie nawet nie pamięta, co się stało, tuman ostatni. Otworzyła drzwi.

W tym samym czasie w Domu Wzwołzonego Końca Lee Kok Fook lizała małżowinę uszną hrabiego Aleksandra Czerkasowa.

Domyślała się, oczywiście, że się domyślała. Nawet była pewna, że spędza noce w burdelu. Byłoby naiwnością oczekiwać czegoś innego po tym, jak zabroniła mu wstępu do swego łóżka. Poza tym lepszy zaspokojony głupek niż sfrustrowany mąż, domagający się swoich praw. Dziś jednak trudno było jej to znieść ze spokojem. Właśnie dzisiaj, gdy czując nieodpartą potrzebę, chciała do niego przyjść, upokorzyć się. Wrażliwi najbardziej cierpią odrzuceni przez brutalni. Irina Czerkasowa wróciła do swego łóża, teraz już zimnego, i głaszcząc tę na wpół uformowaną istotę w swym łonie, pomyślała o masturbacji. Jednak w jej umyśle pojawiła się twarz Trzepoczącego Orła i odrzuciła myśl o rękodziele. O wiele przyjemniej, gdy tego dzieła dokonuje ktoś inny, i nadszedł czas, by tak się stało. Powziąwszy tę decyzję, zapadła w krzepiący sen.

Po tym jedynym pocałunku Elfrida opierała się Trzepoczącemu Ortu z taką gwałtownością, że znowu wzbudziła w nim nadzieję. Długo mu tłumaczyła, dlaczego to niemożliwe, dlaczego już nigdy nie mogą powtórzyć tego, co zrobili, a już na pewno posunąć się dalej niż wówczas; nigdy jednak nie powiedziała, że ten pocałunek był jej niemiły.

- Chodzi o Ignatiusa - powiedziała i dodała pośpiesznie, że z powodu miłości do męża musi odrzucić propozycję. Przez ułamek sekundy, którego potrzebowała na wypowiedzenie tych słów, Trzepoczący Orzeł miał jednak nieodparte wrażenie, że małżonek trochę jej zawadza.

Zaczął więc ją zapraszać na długie spacerunki po polach otaczających Ch. i choć po każdym spacerunku zarzekała się, że nie skorzysta z następnego zaproszenia, zawsze korzystała.

Pierwszego dnia zatrzymali się przy studni. Wokół niej, zaprzężony do długiej belki, krążył wół. Urządzenie, które wprawiał w ruch za pośrednictwem układu zbloczy, bez przerwy, wiadro za wiadrem, czerpało ze studni wodę potrzebną do irygacji, wodę płynącą na pola. Elfrida, przyglądając się zwierzęciu, powiedziała:

- Zwierzęta są szczęśliwsze od nas.

Trzepoczący Orzeł czekał. Elfrida poklepała mijające ich zwierzę i dodała:

- Umierają.

- Jesteś tu nieszczęśliwa - powiedział Trzepoczący Orzeł, pewien, że to prawda.

- Bzdury - odparła szybko Elfrida. - Jestem absolutnie szczęśliwa. - Po raz pierwszy pomyślała wówczas, że słowa te brzmią pusto i fałszywie. Odwróciła się raptownie na pięcie i odeszła od studni. Idę do domu - oznajmiła, jakby w nadziei, że powrót do znajomych miejsc spowoduje powrót znajomych uczuć.

Błede więdźmy, rzucające czar, oplatające go jedwabnymi sznurami, krążyły, krążyły jak ćmy wokół świecy.

Trawnik, na którym grali w krowiaka, trudno było nazwać równym, a kule trudno było nazwać okrągłymi, lecz Irina grała ze skupieniem zawodowca. Trzepoczącemu Ortu trudno się było zdobyć na takie skupienie, lecz nie chciał się okryć wstydem.

- Pojętny z ciebie uczeń - powiedziała. - Wychodzi z ciebie sadysta.

- Ale daleko mi jeszcze do ciebie - odparł.
- Praktyka czyni mistrza. - Machnęła na próbę młotkiem, przymierzając się do niezwykle śmiałego, długiego uderzenia.
- Nigdy nie trafisz - powiedział Trzepoczący Orzeł. - Trawnik jest zbyt wyboisty.

Uderzyła.

- Wszystko polega na tym, by wziąć pod uwagę każdą nierówność - odrzekła. - Mam nad tobą nieczystą przewagę: znam każdą piędź tego terenu.

Uderzyła w jego kulę, która poturlała się gdzieś w krzaki.

- Ojej - powiedziała z jawną hipokryzją. - Co ja zrobiłam. Teraz trzeba będzie poszukać.

Trzepoczący Orzeł poszedł jej szukać i gdy grzebał wśród gęstych krzaków porastających dolną część ogrodu Czerkasowów, usłyszał za sobą jakiś szelest. Obrócił się i ujrzał, jak Irina ściąga suknię.

- Jeszcze zahaczę o coś i się podrze - wyjaśniła. - Bez niej będzie mi lepiej.

- Jesteś pewna, że wiesz, co robisz? - spytał.

- Pomagam ci szukać twojej kuli - odparła. - Widzę, że masz z tym pewne kłopoty.

Mimo wcześniejszych obaw Trzepoczącego Orła, miłość, której się oddali, sprawiła im ulgę.

Norbertowi Page'owi, siedzącemu w szopie na końcu ogrodu, zdawało się, że słyszy jakiś krzyk. Wyszedł na zewnątrz, lecz niczego nie dostrzegł.

Na kolejnym spacerze Elfrida dała mu się trzymać za rękę. Na kolejnym - pozwoliła, by złożył na niej pocałunek. A na kolejnym, wśród donośnego brzęczenia pszczół, zgodziła się na drugi pocałunek. Nie chciała się posunąć dalej, lecz w końcu dała mu się pieścić, przez ubranie, a gdy wsunął ręce pod sukienkę, podnieciło ją to niemal do szaleństwa.

Nagle go jednak powstrzymała. Zdumiał się.

- Dlaczego przerywasz właśnie teraz?! - wykrzyknął. -

Już tak daleko posunęłaś się w niewierności... żal marnować okazję.

- Waśnie dlatego - odparła ze smutkiem. - Już zbyt daleko posunęłam się w niewierności.

Wcale się z nim nie drażniła: była równie zawiedziona jak on. Nie potrafiła jednak postawić ostatniego kroku, posunąć się końca. Uniemożliwiało jej to coś, co było silniejsze od niej. Trzepoczący Orzeł nie mógł uwierzyć, że to moralność.

- Kocham jego, jego, jego - powtarzała bez końca przez zęby.

- Wcale go nie kochasz - powiedział Trzepoczący Orzeł. - Po prostu było ci z nim wygodnie. Nigdy ci się nie podobał. Nie kochasz go.

- Kocham! - krzyknęła. - Wiem, że go kocham!

Patrzył, jak wraca jej opanowanie, a łzy zasychają na swoich ścieżkach.

Huśtawka, na niej Elfrida, Irina obserwująca to wszystko. Są takie chwile, pomyślał Trzepoczący Orzeł, kiedy się wydaje, że mogłyby być bliźniaczkami. Tak podobne, a zarazem tak niepodobne.

Irina Czerkasowa, której pogarda przychodziła z łatwością, stwierdziła, że pogardza Elfridą. Głupawa, rozchichotana kobieta. Natomiast Elfrida Gribb czuła, że budzi się w niej uczucie znacznie silniejsze: zazdrość.

Uśmiechnęły się do siebie zza swoich masek.

Tamtego wieczoru w jej rodzinnym domu wyprawiano wielki bal, lecz Irina nie pozwalała sobie na płacz. Na dole dźwięki muzyki i wygalonowani strojnisi, na górze ona - płonąca od gorączki i bez jednej łzy w oku. Zachorować akurat w ten wieczór tego roku, kiedy z dziecinnego pąka rozwinęła się w piękny kwiat i kiedy wystawała godzinami przed lustrem, nago, z książką na głowie, wciągając brzuch i wypychając pierś. Tego roku nie miało być żadnego poklepywania

po głowie, tych pełnych zrozumienia, niby to poważnych przekomarzań z dorosłymi i tolerancyjnego rozbawienia, gdy na polecenie matki, tuż przed północą, wściekła wypadła z sali balowej i wracała do swego pokoju. Tego roku miała tańczyć do białego świtu, a nawet jeszcze dłużej, śniadać pod wierzbami na brzegu rzeki z jakimś rozanielonym adonisem... pomyślała o grubej, pryszczatej Maszy, która teraz, na dole, z triumfem na twarzy, czuła się królową balu, wirując po posadzce ze znudzonymi młodzieńcami, którzy zachodzili w głowę, co też się stało z Iriną, a gniew wywołany tą myślą odpędził wszystkie jej lzy.

- Czy mogę wejść?

Pataszyn. Grigorij Pataszyn, *eminence grise* salonu jej matki. Ten ogromny mężczyzna, dźwigający niedbale na barkach ciężar przynajmniej siedemdziesięciu lat, miał tak rozrośnięte ramiona, że trudno było dopatrzeć się na nich szyi. Pataszyn z brodawką na czubku nosa i głosem, który przypominał chrzęst żwiru. Pataszyn, którego zła sława rosła z wiekiem.

- Proszę wejść.

- Irino - zaczął, podciągając w drzwiach źle leżące spodnie - twoja nieobecność całkowicie zepsuła dzisiejszy wieczór.

- Usiądź, Grigoriju - powiedziała, poklepując ręką łóżko i rozmyślnie opuszczając formę „wujku”, której używała przez wszystkie lata. - Usiądź i opowiedz mi o wszystkim. Czy Masza

- A czy Masza kiedykolwiek mogłaby wyglądać pięknie? - odparł Pataszyn, błyskając oczami.

- Ty stary niedźwiedziu - Irina uśmiechnęła się - jesteś mistrzem taktu.

- A ty, Irino - powiedział, delikatnie ujmując jej podbródek - jesteś zbyt mądra i opanowana, by mogło ci to wyjść na dobre. Spoglądam w twoje oczy i widzę wiedzę. Spoglądam na twoje ciało i widzę wyczekiwanie. Musisz nauczyć się udawać i mieć mniej doświadczenia w oczach, a więcej w ciele.

- I umrzeć starą panną - zaśmiała się Irina. - Moje zachowanie wynika z tego, jaka jestem.

- Tak. - Pataszyn zamyślił się. Dłoń wciąż trzymał pod jej podbródkiem. Teraz przesunął ją na policzek. Oparta się o nią. Była - Chyba nie będzie im cię brakowało - wyszeptała. - Jeszcze przez chwilę.

Pataszyn zaśmiał się głośno.

- Nie ma szans, by cię uwieść, Irino - powiedział. - Jeśli zechcesz jakiegoś mężczyzny, to będziesz go miała. A jeśli nie... - Skrzywił się.

- Przekręć klucz w zamku - nakazała.

Widok nagiego wielkiego człowieka jest przygnębiający; geniusz Pataszyna spoczął na oparciu krzesła wraz ze sztywnym kołnierzykiem i kamizelką, a on sam z siwymi włosami na piersi stał teraz przed Iriną, wpatrując się w nią lubieżnie. Zamknęła oczy, modląc się żarliwie, by nigdy się nie zestarzeć.

- Mam nadzieję, że cię nie bolało - powiedział później.

- Nie - odparła obojętnie. - To jedna z korzyści wyniesionych z jazdy konnej.

- Muszę już iść - rzucił nerwowo.

Patrzyła, jak w miarę nakładania kolejnych warstw odzieży odzyskuje godny wygląd. Gdy poprawił włosy i uczesał brodę, powiedziała:

- Zniewolona przez geniusza. Cóż za debiut! Wychodząc,

Grigorij Pataszyn odparł:

- Które z nas zostało tutaj zniewolone?

Tamten wieczór z Pataszynem sprawił, że Irina nie tylko zmienawdziła starość; pchnął on ją prosto w ramiona młodego, pięknego i głupiego Aleksandra Czerkasowa. Tak więc odpowiedzialność za nieszczęścia jej dzieci ponosił Pataszyn. Poślubiła człowieka, który był jego przeciwieństwem, i to była jego wina. Być może w jej obecnym stosunku do Elfridy był ślad jakichś uczuć do Maszy, choć zjedną, zasadniczą różnicą: Elfrida Gribb była

I jeszcze jedna sprawa związana z Grigorijem Pataszynem. Pozostawił jej pociąg do tego, co zakazane, gdyż to,

co zakazane, przypominało jej tamten wieczór, a co za tym idzie - jej młodość... Trzepoczący Orzeł bezsprzecznie był czymś zakazanym.

Elfrida Edge, tak się wtedy nazywała. Mała córeczka pani Edge. Droga Elfrida, cóż to za dobre dziecko. Jej ojciec skoczył z dachu, wiecie, a ona widziała, jak spada, minął okno jej sypialni, a ona myślała, że to nasada kominowa. Była tak zrównowazona, że nie zostawiło to na niej większego śladu. No i na szczęście miała pieniądze, całe mnóstwo po przodkach ranczerach z antypodów, i sławną kolekcję znaczków pocztowych. Choć była biała jak kreda, mówili na nią „mała czarna jednopensówka”; zwariowana, lecz pieniądze to przecież pociecha, prawda? Sztywna i opanowana, mała śniegowa księżniczka, prawdziwa świętoszka, która nie chciała uchodzić za nieprzyjazną, tylko że dziewięcioletnie dziewczynki powinny więcej płakać. Nie, pani Edge już tu nie mieszka, jest gdzieś daleko, w obcych krajach, zabawia się z tubylcami, a czemu niby nie, w końcu ciągle z niej niczego sobie kobieta, tutaj w sąsiedztwie nie usłyszycie złego słowa o wesołych wdówkach. A już na pewno nie od czasu, kiedy Elfrida dorosła, prawdziwy skarb, pomaga staruszkom, niańczy ryczące bachory młodych małżeństw, dużo czyta, dużo gotuje, ale osiemnastoletnie dziewczynki powinny się więcej szwendać.

Elfrida Edge, smukła jak lama,
Pod płotem cichcem zabawia się sama
Albo swe wrota rozwiera jak brama

- Och, Elfrido, chodź ze mną tą alejką.
- Nie, naprawdę dziękuję.
- Jak pójdziesz, to ci pokażę małego.
- Nie jestem ani trochę zainteresowana twoim małym.
- Idę o zakład, że nigdy żadnego nie widziałas.
- Oczywiście, że widziałam.
- Nie widziałas;

- A właśnie że widziałam.
- Twoja mama to na pewno widziała. Widziała czarne i brązowe, i żółte, i niebieskie tych wszystkich bambusów, co się malują.
- Odwal się od mojej mamy.
- Jak ona może, to ty też.
- Reggie Smith, masz najbrzydliwszy jęzor w całej szkole.
- A ty masz najczystsze majtki.

...wielki sprośny facet z fiutem długim na stopę a na dodatek artysta żył sobie z jakąś cyganerią na brzegu morza więc prawdopodobnie bardzo był w Tym dobry w łóżku z nią stękał więc ona powiedziała Dlaczego nigdy nie wiesz co tracisz póki nie spróbujesz więc on powiedział W porządku laleczko i odkręcił a w dziurze gdzie kiedyś miał fiuta była taka nitka i on wkręcił się w jej gdzie też miała nitkę i obudziła się rozczarowana a prześcieradła były aż mokre od potu...

Tylko dlatego
 Że robi to Matka
 To wcale nie znaczy, że ja muszę.
 Tylko dlatego
 Że robi! to Ojciec
 To wcale nie znaczy, że ja chcę.

(E. E., lat 16)

Gdy Ignatius Gribb przysłał jej odpowiedź odmowną, wiedziała, że to koniec. Skoro nie mogła się dostać do tego college'u, to nie mogła i już. Pilna, porządna Elfrida zakończyła edukację. W jego liście znalazły się słowa: „...jeżeli ta decyzja wydaje się pani nazbyt surowa, pozwolę sobie złagodzić to wrażenie, zapewniając, że pani urocza postać niezmiernie mnie zachwyciła i że gdyby nie udało się pani dostać na Uniwersytet, z niekłamaną przyjemnością zaoferuję pani posadę sekretarki w moim Instytucie. Proszę rozważyć tę propozycję”.

Byli zagubioną parą, dwojgiem niespełnionych tego świata. Niechybnie musieli się pobrać. Z żoną, której uroda olśniewała cały kampus, przestałby być aż takim pośmiewiskiem. Z takim mężem mogła uwierzyć, że jest inteligentna - pod warunkiem że zdoła uwierzyć w niego. Znali swoje ograniczenia i hołubili się nawzajem, broniąc się przed ciosami i drwinami całego świata. Dlatego też Wyspa Cieleca okazała się dla nich błogosławieństwem: on mógł tutaj odnaleźć godność, a ona rozbudzić w sobie miłość. Ignatius, któremu nadano imię mrocznego świętego, centrum jej świata i jej miłość. Kochać - to właśnie było to, być zakochaną. To właśnie to.

Piaski Czasu
Są zanurzone w nowych
Początkach.

Elfrida i Irina, zranione w młodości, a jednak próbujące ją zachować: jedna - przez nurzanie się w jej niewinnej atmosferze, druga - przez oddawanie się niegodziwym myślom, a czasem i czynom. Podobne, a zarazem całkiem odmienne. Tak podobne i tak niepodobne jak Axona i Ch.

Żył dla tej chwili od kilku dobrych dni, pozwalając, by wydarzenia toczyły się własnym torem i ulegając nieopanowanym porywom emocji, dzięki czemu zapomniał zupełnie o Grimusie, Ptako-Psie i Virgilu Jonesie. Wszystko jednak się kończy...

„Żył dla tej chwili” - zadziwiająco trafne określenie. Nieco później miał sobie przypomnieć słowa Virgila: „W życiu zawsze jest punkt kulminacyjny. Rozumiesz, taka chwila, która nadaje twemu wszystkiemu wartość”.

Dla Trzepoczącego Orła taka chwila nadeszła, gdy po raz siódmy kochał się z Iriną Czerkasową.

Pierwszy raz znaleźli się wówczas w jej łóżku: Czerkasow był znowu w Domu Wzwodzonego Końca, a Irina skorzystała ze sposobności, by zrobić to w komfortowych warunkach.

Pokój rozjaśniała jedynie świeca. Irina była zgłodniała, despotyczna jak monarcha absolutny, Trzepoczący Orzeł zaś był w odpowiednim nastroju, aby poddańczo spełniać jej zachcianki. Tej nocy robili to gwałtownie i w zapamiętaniu, zwierzę o dwóch grzbietach, a w połowie ich zmagania Trzepoczący Orzeł miał wizję.

Jej twarz w świetle świecy, twarz Elfridy, subtelna i blada; jej wijące się ciało, ciało Elfridy, jej jęki, jęki Elfridy. Zupełnie jakby na mgnienie oka te dwie kobiety zwały się w jedno, połączone jego miłością. Później ta wizja zbladła, lecz prawda, którą z sobą niosła, pozostała; a gdy skończyli się kochać, Trzepoczący Orzeł leżał w żółtym świetle zdumiony tym całym cudem.

Bo to właśnie był cud: w niczym nie skrupowanej żądzy Iriny usiłował odnaleźć elegancję - tak, tę sztywną elegancję Elfridy, tę świątobliwość, dzięki której była piękniejsza od hrabiny; a zarazem pragnął, aby zmysłowa swoboda Iriny odmieniła cierpięcizną moralność Elfridy. Były swymi przeciwieństwami, a zarazem tym samym. Elfrida ze swoją niewinnością, której tak brakowało Irinie; Irina ze swoją wolnością, której Elfrida nigdy nie posmakowała. Były swymi przeciwieństwami, gdy szło o stosunek do małżonków. Trzepoczący Orzeł był natomiast czynnikiem jednoczącym. Elfrida go kochała, lecz nie chciała skosztować tej miłości, a Irina go pożądała i wcale się nie broniła przed tym pożądaniem. Z osobna każda z nich była niepełna; dzięki niemu się dopełniały. W jego oczach ich twarze, ciała, a nawet dusze nakładały się na siebie. Miłość fizyczna z Iriną rozwiewała zahamowania Elfridy; pocałunek złożony na policzku Elfridy uwalniał żądzę Iriny. Elfrina. Irida. Elfrida. Irina.

I na odwrót - one dopełniały jego. Leżał w łóżku Iriny, zawieszony między umiłowaniem niewinności a żądzą doświadczenia, między powściągliwością a spełnieniem, stojąc na wierzchołku, skąd wiodła tylko jedna droga: w dół. Elfrina Orzeł. Trzy punkty zwały się w jedno, w trójkąt.

Jednak wrażenie to bezpowrotnie minęło, gdy Trzepoczący Orzeł, zamysłony, wymówił imię.

- Elfrina - szepnął.

Leżąca obok niego Irina Czerkasowa zeszywniała. Usłyszała bowiem: Elfrida.

- Wynoś się - powiedziała.

Gdy Trzepoczący Orzeł ocknął się z zamyślenia i wrócił do rozjaśnionej płomykiem świecy rzeczywistości, stwierdził, że doskonałość, którą właśnie odkrył, legła w gruzach.

- Wynoś się - powtórzyła Irina Czerkasowa.

Tak oto chwila doskonałości dokonała samozniszczenia.

Gdy Trzepoczący Orzeł dowlóknął się do domu Gribbów, było już po północy, lecz Elfrida Gribb siedziała sztywna i blada w salonie, przy świecy przywodzącej na myśl sypialnię, którą właśnie opuścił.

- Dobry wieczór, Trzepoczący Orze - powiedziała.

Z braku słów potrząsnął głową i usiadł na krześle naprzeciwko niej.

- Irina? - spytała, znając odpowiedź.

- A czego można się było spodziewać? - odparł i stwierdził, że jego słowa zacierają pamięć o tym, co się wydarzyło.

- Nikt na świecie nie śpi tak twardo jak Ignatius - powiedziała gorzko. - Więc równie dobrze możesz kochać się ze mną, tu i teraz.

- Chyba nie wiesz, co mówisz - odparł.

- Kochaj się ze mną. I niech cię diabli.

Lecz znów tak się stało: gdy znalazła się w jego rękach, pełna pożądania, zrobiła się sztywna i zimna.

- Przepraszam - powiedziała. - Wygląda na to, że ciało jest słabe.

- Albo silne - odrzekł cicho Trzepoczący Orzeł.

Hrabia Aleksandr Czerkasow, hrabina Irina Czerkasowa, Aleksiej Czerkasow i Norbert Page jedli podwieczorek w salonie. Irina wachlowała się od czasu do czasu, choć wcale nie było tak gorąco.

- Ma-ma - odezwał się radośnie Aleksiej.

- Mama jest tutaj, Aleksieju - powiedziała Irina. - Mama jest zawsze tutaj.

- Irino - rzekł Czerkasow - jesteś bardzo silną kobietą.

- Tak - odparła. - Tak. Potrafię sobie odmówić. I wiem kiedy.

Pan Page nie wyłapał żadnych podtekstów; uważał, że oboje są po prostu wspaniali.

- To doprawdy niezwykły dar - odezwał się nerwowo, czując, że powinien podtrzymać rozmowę. - Niezwykły dar. Wiedzieć, kiedy przestać.

Wystarczyło jedno słowo, by wszystko zmarnować. Mógł przecież przywrócić Elfridzie spokój, zadowolając się jej duszą. Mógł dać Irinie towarzystwo, którego tak bardzo pragnęła, nie troszcząc się zupełnie o charakter jej uczuć. Zaistniałoby zjawisko o nazwie Elfrina Orzeł, które trwałoby w nieskończoność. Tymczasem traf chciał, że znów stali się trzema odrębnymi punktami nie układającymi się w trójkąt. Tak oto jedno słowo odmienia bieg wydarzeń.

Farma stała na skraju drogi. Była długa, niska i biała. Trzepoczący Orzeł poczuł dreszcz świadczący, że natknął się na coś znajomego: to tu, gdy przybył do Ch., przeskoczył przez furtkę i ujrzał w oknie tę granitową twarz; to tu przypomniano mu, że jest pariasem. Dzisiaj był kimś innym -częścią miejsca, do którego należała również ta farma, a zatem i on był częścią tej farmy. Przynajmniej dzisiaj.

Była z nim Elfrida Gribb; nigdy przedtem nie zapuścili się tak daleko, lecz głęboko zamyśleni, nawet tego nie spostrzegli. Trzepoczący Orzeł opowiedział jej o granitowym farmerze z pobrużdżoną twarzą i bazyliżkowymi oczami.

- Jakby znał mnóstwo tajemnic, lecz nie zamierzał wyjawić ani jednej - powiedział.

Elfrida uśmiechnęła się blado. Myślami była daleko.

- Chyba tak jest z każdym, kogo spotkałem w Ch. - ciągnął Trzepoczący Orzeł. - Choć nie powiedziałbym, że

ukrywają jakieś tajemnice: po prostu zachowują się tak, jakby w ogóle ich nie mieli. Zbyt wiele spraw tu się przemilcza. Zbyt wiele.

Elfrida odrzekła, nie patrząc na niego:

-Tak. Chyba tak jest.

- Cieszę się, że mamy cię na pokładzie, Trzepoczący Orle - powiedział tego wieczoru Ignatius Gribb. - Robisz dla Elfridy wiele dobrego. Niestety, za dnia staję się pustelnikiem, w związku z czym jest jej chyba trudno zapełnić sobie czas, prawda, kochanie?

Elfrida uśmiechnęła się z wysiłkiem. Ignatius Gribb nachylił się poufale do Trzepoczącego Orła.

- Zanim się pojawiłeś, stary, nawet nie wiedziała, co robić beze mnie.

- Naprawdę, Ignatiusie... - zaczęła Elfrida, lecz Gribb wesoło zamachał ręką.

- Bo tak przecież powinno być - kontynuował. - Ja też nie wiedziałem, co robić bez niej.

- Szczęśliwe małżeństwo to doprawdy coś cudownego - powiedział Trzepoczący Orzeł, czując się jak gargantuiczny sukinsyn.

Elfrida Gribb wyszła z pokoju.

- Wystarczyło raz spojrzeć i już wszystko wiedziałam - mówiła Irina. - On ma zły wpływ na tę biedną, niewinną Elfridę. Przypatrz się tylko.

- Pozory mylą - odparował Aleksandr Czerkasow.

- Jestem pewna, że między nimi coś jest - powiedziała Irina. - Uważam, że w tej sytuacji powinieneś porozmawiać z Ignatiusiem.

- A to dlaczego?

- No jak to? Żeby go ostrzec. Ostrzec przed jego gościem.

- Nie sądzę, że powinniśmy...

- Jeśli ty tego nie zrobisz, zrobię to ja - warknęła Irina.

- Wiesz co? - odezwał się ze smutkiem Czerkasow. - Porozmawiam z Trzepoczącym Orłem. Wyprostuję go. No wiesz.

- Ty głupku. Ty skończony głupku - rzuciła wściekle Irina. Jednak wydarzenia potoczyły się znacznie szybciej, niż ona wpadła w gniew.

- Mimo tego wszystkiego, co się skończyło - powiedział Trzepoczący Orzeł do lustra - mimo wszystkich tragedii, do których doszło, i bez względu na to, jakie potworności jeszcze się wydarzą, to była chwila spełnienia, chwila jasności, chwila oświecenia.

- Nie - powiedziała Elfrida Gribb. - Dziś nie mam ochoty na spacer. Idź sam. Muszę tu jeszcze zrobić to i owo. Gdy ją zostawiał, leżała na szezlongu, słuchając muzyki.

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

Śmierć przyszła na Wyspę Cielęcą nie zapowiedziana, bez ostrzeżenia, w miękkich pantoflach. W zasadzie była bardziej początkiem niż końcem. Przyszła rzeczowo, jakby była tu od dawna i tylko postanowiła się ujawnić, jednakże to, jak się pojawiła, nie zmniejszyło przerażenia, które wywołała.

Wracając ze spaceru, Trzepoczący Orzeł ujrzał grupkę ludzi stojącą przed domem Gribbów. Był tam Norbert Page i Kwatermistrz Moonshy. Irina Czerkasowa stała nieruchomo w drzwiach, jak z mumifikowana. Odsunęła się mechanicznie, by wpuścić go do domu. Nikt nie chciał odpowiadać na jego pytania.

Na szezlongu, zlany potem, siedział hrabia Aleksandr Czerkasow; w rękach trzymał tamborek Elfridy i bawił się nim z roztargnieniem.

- Co się stało? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Usłyszeliśmy krzyk - odparł hrabia. - Długi krzyk.

Trzepoczący Orzeł rozejrzał się po cichym, pustym pokoju.

- CO SIĘ STAŁO?! - krzyknął. - Gdzie jest Elfrida?!

Czerkasow wskazał głową gabinet.

- Długi krzyk - powtórzył.

Trzepoczący Orzeł rzucił się do drzwi i wpadł do gabinetu. Było tak cicho, że zdawało mu się, iż w zakamarkach mózgu rozlega się jęk.

Okiennice były zamknięte, więc jedyny promyk światła wpadł do środka razem z Trzepoczącym Orłem. Axona zobaczył, że biurko Ignatiusa Gribba pokrywają starty papierów i teczek,

pióra i buteleczki atramentu własnego wyrobu. Gabinet zarzucony był książkami, porozkładanymi na biurku, krzesłach, podłodze, wysypującymi się z półek i wszelkich zakamarków. Już sam panujący tu nieporządek był skandalem dla oka.

Tuż obok okna stało łóżko. Leżała na nim jakaś postać, nieruchoma, martwa, ciemna, pogrążona w mroku. Przy łóżku stała druga postać, nieruchoma, żywa i również pogrążona w mroku. Na stoliku u wezłowia stała nie zapalona świeczka.

Postać leżąca na łóżku miała krótki, zgięty korpus Ignatiusa Quasimoda Gribba, niegdysiejszego profesora filozofii, bigota i

Postacią stojącą przy łóżku była świeżo owdowiała Elfrida Gribb, która była kiedyś Elfrida Edge, która kiedyś myślała, że jej spadający ojciec jest nasadą kominową.

- Zabiłam go - powiedziała. - To ja.

Elfrida Gribb
Elfrida Gribb
Zabiła kochasia
Zabiła w mig.

Trzepoczący Orzeł zamknął za sobą drzwi. W gabinecie zrobiło się jeszcze ciemniej; podszedł do łóżka. Na zamkniętych powiekach Ignatiusa Gribba leżały stare monety.

- Miał otwarte oczy - wyjaśniła Elfrida. - Musiałam je zamknąć.

Położył jej ręce na ramionach.

- Spójrz na mnie - poprosił. Wciąż stała ze zwieszoną głową. - Elfrido! - powtórzył ostro, a ona powoli podniosła wzrok.

- Jeden sekret mniej - powiedziała. - Kocham cię.

Patrzyła na ciało Ignatiusa Gribba, nienagannie odziane w jedwabną koszulę z fularem, bonżurkę oraz raczej niezbyt pasujące do całości znoszone, sztruksowe spodnie i bambosze. Usta miał pomarszczone i lekko rozwarte, jak u ryby.

- Hańbiąca śmierć - powiedziała Elfrida. - Stracił coś więcej niż tylko życie.
- Nie widzę żadnych ran na jego ciele - odezwał się Trzepoczący Orzeł. - Żadnych śladów.
- Z jego ciałem nic się nie stało - odparła tępo. - Zabiłam go tam, w głowie. Musiałam mu zamknąć oczy. Lecz najpierw je otworzyłam. - Nagle się załamała: pękło lodowe opanowanie, potoczyły się lzy. Przywarła do Trzepoczącego Orła. - Kocham cię - wyrzuciła z siebie. - Kocham cię, kocham cię, kocham cię.
- Powiedziałaś mi, prawda? - spyta! Trzepoczący Orzeł, naraz pojmując.
- Tak - odrzekła cichutko. - Zabiłam go.

Rekonstrukcja wydarzeń nie nastroczała większych trudności. Dręczona zazdrością Elfrida zdecydowała się na stanowczy krok, nad którym z bólem serca od dawna już przemyślała. Ponieważ jednak Elfrida była Elfrida, decyzja ta okazała się tak niewzruszona, jak jej poprzednie oddanie dla Ignatiusa. Dlatego właśnie nie wybrała się na spacer z Trzepoczącym Orłem i gdy znalazł się dostatecznie daleko od domu, poszła do gabinetu, by oznajmić mężowi, że go już nie kocha. W terminologii Virgila przeniosła swoje obsesje z Ignatiusa na Trzepoczącego Orła. Który pomyślał: Zgadnij tylko, czyja to wina.

Jej słowa spadły na Ignatiusa jak grom z jasnego nieba. Załamałby się, nawet gdyby znajdowali się daleko od Wyspy Cielęcej. Ich życie opierało się na wzajemnej zależności, którą ta para leżąca w małżeńskim łożu plecami do siebie, dla bezpieczeństwa, osłaniała się przed ciosami i oszczerstwami tego świata. Nie ulega zatem wątpliwości, że to jej miłość była fundamentem, na którym wznosił swą bliską arogancji pewność siebie. Mężczyźnie, który zatrzymał się w rozwoju, miłość pięknej kobiety ogromnie to ułatwia. Z niej Ignatius czerpał siłę i odwagę pozwalające mu nie tylko formułować i głosić swe teorie oraz opinie, lecz także zachować w całości swoją osobowość. Ona była jego spokojem ducha,

jego podporą, jego doskonałym dopełnieniem, a teraz go opuszczała. Mężczyźni kończyli z sobą ze znacznie bliższych powodów.

Jednak to była Góra Cielęca, a w strefie oddziaływania Efektu Grimusa samobójstwo było zbędne. Trzepoczącemu Orłu zdawało się wręcz, że w tej głowie z monetami na powiekach widzi spustoszony mózg. Słowa Elfridy nie tylko bowiem wstrząsnęły Ignatusem - miały znacznie poważniejsze konsekwencje: zniszczyły nieświadomy, wrodzony mechanizm obronny, rodzaj umysłowej bariery, którą wznosił między sobą a wszystkimi członkami społeczności Ch. Zdrada Elfridy usunęła kamień węgielny tego „ja”, które wznosił z takim trudem, a gdy wszystko to, co było dlań absolutnie pewne i niezmiennie, raptem okazało się niestałe jak dym, pokonała go gorączka Wymiarów Wewnętrznych.

Jak on się czuł, gdy zaatakowała go ta wewnętrzna mnogość, zastanawiał się Trzepoczący Orzeł, osłabłego i niezdolnego do obrazy, ukrytego za popękana tarczą? Jak się czuł, zawładnięty i unicestwiony przez tę potężną siłę, którą przez całe życie negował, zdobywając sobie wdzięczność miasteczka? Hańbiąca śmierć.

A co z samym Ch., Ch., które opierało się na teoriach Gribba, jego technice rozwoju prymarnego zainteresowania oraz skupiania całej uwagi na tu i teraz? Śmierć Ignatiusa dowiodła, że istnieje Coś, działająca na nich niewidzialna siła, która zniszczyła swego arcywroga z przerażającą szybkością. Czy ta śmierć ich poruszy? Trzepoczący Orzeł był pewien, że znajdzie się kilku, którzy będą

Nagle, jak miękka i ciemna lawina, opadło go poczucie winy, niweczając ów błady czar, który rzuciły nań Irina i Elfrida. Zaczął się biczować z okrucieństwem, na jakie nigdy nie byłoby stać O'Toole'a. Wzgardził człowiekiem, który kiedyś odłonił przed nim prawdziwą naturę tej wyspy i pomógł mu przetrwać. Czy społeczna akceptacja i miłość dwóch pięknych kobiet mogły zrównoważyć zniszczenia, których dokonał? Najwyraźniej nie; zresztą nawet i to utracił.

Odrzucony przez Irinę, stojący twarzą w twarz z odmienioną Elfridą, czuł, że jego życiu grozi niebezpieczeństwo. Wzruszył ramionami. Trudno mu było znaleźć w sobie coś takiego, co kazałoby mu jakoś szczególnie cenić swe życie, zwłaszcza teraz, gdy jego zdolność ściągania nieszczęść na otaczające go osoby sięgnęła apogeum. Samolub, powiedziała Jokasta. Był to gigantyczny eufemizm.

- Zaopiekuję się tobą - mówiła Elfrida. - Obiecuję. Zaopiekuję się tobą na wieki. Jeśli ty zaopiekujesz się mną.

- Elfrido... - zaczął bezradnie, lecz jego głos zginął w ciszy. Nic nie przychodziło mu do głowy.

- Kocham cię, wiesz? - ciągnęła. - Nikt inny nie jest ci potrzebny. Nikt, rozumiesz?

Do pokoju wpadła smuga światła. W progu stanął hrabia Aleksandr Czerkasow. Usta wykrzywił mu grymas wstrętu, maskujący wyczernienie z oczu przerażenie.

- To nie jest morderstwo - powiedział Trzepoczący Orzeł. - Ona go nie zamordowała. Nie doszło do przemocy.

- Nie doszło - powtórzył Czerkasow i opuścił budynek.

Elfrida Gribb przywarła do Trzepoczącego Orła, jakby od niego zależało jej życie. Co zresztą w pewnym sensie było prawdą.

Objął ją i stali tak długo, przy zwłokach twórcy Drogi Ch.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

Na skraju lasu cztery groby, nad którymi nikt nie stoi, świeże dziury w Walhalli, wykopane tam, skąd Trzepoczący Orzeł i Virgil Jones ogarnęli wzrokiem równinę emocjonalne wieki temu. Poranek był spokojny, nad ziemią unosiły się lekkie mgły, nieprzeniknione góry wznosiły się za dyskretną zasłoną chmur. Virgil, spocony ze zmęczenia, z obolałymi stopami, oblizując gorączkowo spierzchnięte wargi, wyteżając wzrok, obserwował zbliżający się kondukt. Jego kończyny powoli gromadziły siły; niebawem będą zmuszone wykonać pracę odwrotną. Kopczyki ziemi, ciemnej i nieco wilgotnej, trzymały wartość przy grobach.

Femme fatale. Pasuje jak ulał. Padają wokół mnie jeden po drugim; wokół mnie martwi mężczyźni, a we mnie nie narodzone życie. Biedny, głupi hrabia, tak słaby na umyśle. Patrzyłam, jak umiera, wyrusza do domu śmierci, tak milczący, tak daleki, odchodząc bez słowa, do ogrodu, ja z tyłu, on przodem, spoglądając przed siebie. Chichot Alek-sieja, idioty, potomstwo wyszydające oszołomionego rodziciela, figura szachowa spadająca na ziemię, i z powrotem, z powrotem do domu, by siedzieć i wpatrywać się uporczywie w jeden punkt. Był jednym wielkim ograniczonym anachronizmem, znajdującym pociechę w ramionach dziwek, nie znajdującym jej w moich, a teraz, teraz, gdy tego pragnęłam, już jest za późno. Stałam, wpatrywałam się i paliłam, jakby śmierć mogła się rozwiąć z dymem. Kiedyś, dawno temu, podszczypywał tyłeczek małej Zofii Lermontow, błyszczał na balach i w boju, lecz teraz przeszłość bezpowrotnie się cofała, a gdy siedział, paląc, wpatrzony

w jeden punkt, terazniejszy lęk przestaniał wspomnienia dawnych przyjemności. Jakie to banalne umrzeć z powodu śmierci jakiegoś tam Gribba, pozwolić, by śmierć jakiegoś tam Gribba tak bardzo nim wstrząsnęła. Patrzyłam, jak umiera, zwracając oczy ku jakiemuś innemu światu, patrzyłam na jego ręce i usta, poruszające się jakimś niesłyszczanym, niewidzianym życiem, patrzyłam na to wszystko: jak stanął na nogach, stanął sztywno, wyprostowany i przystojny, mój adonis idiota, padający przed swymi widmowymi katami, nie, nie, nie, nie zawiążujcie mi oczu, proszę jeszcze o cygare, nim zaczniecie. Widmowi kaci - dla mnie niewidzialni i niesłyszalni, duchy jego zabójców, ale wiem, że to oni. Dlatego właśnie jego śmierć wcale mnie nie zdziwiła.

Ale Page, mały, wpatrzony w nas Norbert, ostatni niewolnik, pragnący służyć tylko nam, był bardzo dobry dla Aleksieja; ten mały człowieczek, dobry, niewinny Page, nie umierałby z powodu jakiegoś Gribba, jednak śmierć Czerkasowa całkiem go załamała. Dopóki Czerkasow bez drgnienia strzegł Drogi Ch., nawet śmierć wszystkich Gribbów na kuli ziemskiej nie wywarłaby na nim wrażenia. Lecz jeśli pień drzewa się wali, źle to wróży gałęziom. Zmarł, gdy się dowiedział, gdy się dowiedział, że Czerkasow padł zaatakowany przez Grimusa, no właśnie, zmarł, jak mówiłam, gdy Aleksiej śmiał się i bawił.

Femme fatale. Taki mój los. I godzę się z nim. I z tym żalem. I z tym bólem. Niech więc padają wokół mnie. Ja nie upadnę, będę dźwigać to brzemie. Lecz nie dam się obarczyć winą. Niech winni czują się ci, którzy powinni, żywi mieszkańcy domu śmierci, ona - milkliwiec i grób pobielany - oraz on - morderczy orzeł. Hrabina Irina nie zrzuca winy na innych.

Gdy nadeszły wieści o śmierci Gribba, Anthony St Clair Peyrefitte Hunter siedział w Elbaroomie. Jego pierwszą reakcją była dzika radość.

- Teraz zobaczymy - powiedział. - Może teraz przestaniemy kłamać.

Monotematyczny Peckenpaw zerknął na niego obojętnie. A zatem Gribb nie żyje. No i co z tego? Peckenpaw mógł sobie poradzić bez Gribba. Żeby przeżyć, człowiek robi, co musi. Jeden Gribb nie zdoła niczego zmienić.

Jednak jego obojętność przerodziła się w przerażenie, gdy dostrzegł, że Dwururka złapał się nagle za głowę i runął na kontuar. Na jego twarzy rysowało się krańcowe niedowierzanie.

Samooszukiwanie przebiega na różnych poziomach, a Hunter bez wątplenia nie zdawał sobie sprawy, jak ogromnie uzależnił się od wizerunku, który dla siebie stworzył. Stał się jak Dwururka, a częścią tej roli było na poły eleganckie, na poły cyniczne rozczarowanie okazywane miasteczku Ch. Jednak za tą fasadą krył się lęk, a Peckenpaw z równą mocą jak Gribb i Aleksandr Czerkasow bronił się przed uznaniem, że Grimus i jego Efekt istnieją. Wymiary zaatakowały go więc znienacka, wywołując gorączkę tylko dlatego, że w jego wypadku samooszukiwanie sięgało najgłębszych pokładów osobowości. Już dawno przekonał siebie, że czegoś takiego nie ma i że jego umysł nie jest zamknięty na implikacje Grimusa. Burza Wymiarów Wewnętrznych, która się w nim rozpętała, rozogniając jego ośrodki nerwowe, wypalając synapsy w mózgu nie potrafiącym się uporać z naporem rzeczywistości, udowodniła mu, że jest inaczej.

Peckenpaw zobaczył, że Hunter pada, a jego głowa uderza o podłogę; i żadne wrzeszczenie i potrząsanie niczego nie mogło zmienić. Koniec Huntera był najgwałtowniejszy.

Monotematyczny Peckenpaw, targany emocjami, stracił panowanie nad sobą. Nie można pozwolić, żeby Hunter nie żył. Nie można.

- No ruszże się, gnojku jeden - przymilał się do niego. - No już, rusz się, dwururko jedna, już dobrze, dobrze, dobrze. - Potrząsnął jego ciałem niczym szmatą.

- To wszystko nie ma sensu - odezwał się niezwykle łagodnie Flann O'Toole. - Daj mu spokój, Monotematyczny, to nie ma sensu. - Położył dłoń na ramieniu wielkiego niedźwiedzia.

Peckenpaw wstał, trzymając na rękach ciało Huntera.

- To czyjaś sprawka - obwieścił wszem i wobec. - I ktoś wkrótce za to beknie. Wkrótce.- Ruszył z ciałem do drzwi, gdzie się zatrzymał i oznajmił: - Zabieram go teraz do domu. Dwururkę. Umarł w butach.

Trumien nie było. Ciało Ignatiusa Gribba, Norberta Page'a i Dwururki owinięto w szorstkie, wełniane koce ze sklepu. Zwłoki hrabiego Czerkasowa starannie otulono prześcieradłem, na którym wyszyty był jego herb. Ciało niesiono na zwyczajnych hamakach, podwieszonych pod tyczki podtrzymywane z obu końców przez żałobników. Za Głównymi Żałobnikami, do których należała Elfrida, idąca w towarzystwie Trzepoczącego Orła, Irina Czerkasowa i Monotematyczny Peckenpaw, lejąc krokodyle łzy, podążała większość mieszkańców Ch.

Hrabia Aleksandr Czerkasow został tytułarnym przywódcą Ch. Z braku konkurentów nawet Flann Napoleon O'Toole wolał ograniczać swoje imperium do alkoholowych okolic Elbaroomu. A że nikt nie kwestionował tytułarnego zwierzchnictwa Czerkasowa, to po jego śmierci godność ta naturalnie i bezdyskusyjnie przeszła na jego syna.

Na czele konduktu, szczęśliwy jak dziecko uczące się zasad nowej gry, kroczył hrabia Aleksiej Aleksandrowicz Czerkasow.

Uroczystości pogrzebowe były krótkie i proste, wyzbyte jakichkolwiek pozorów religijności. Główni żałobnicy powiedzieli kilka słów, rzucono ziemię i koniec. Aleksiej Czerkasow, głupiec wiodący ślepców, stał, uśmiechając się, bez słowa, wśród lekkiej mgły, jak wcielone epitafium.

- Małżonek mój - powiedziała Elfrida Gribb - był człowiekiem, który nikogo nie krzywdził, a sam był krzywdzony. Był solą ziemi, kwiatem swojego pokolenia, opoką, na której wszystko zbudowaliśmy. Był dobrym człowiekiem i kochającym mężem.

Upamiętnienie autora *Cytatów filozoficznych na każdą okazję* takimi komunałami było jak najwłaściwsze.

Elfrida odsunęła się od grobu, łapiąc za ramiona Trzepoczącego Orła. Irina Czerkasowa spojrzała na nią wściekle.

Gargantuiczna postać Monotematycznego Peckenpawa rzucała ogromny cień na grób Dwururki Huntera - tragiczny goliat oplakujący śmierć dawida. Nie potrafił znaleźć słów, by wyrazić swe uczucia, lecz zrozumiał, że pośród drwin i obelg, których sobie nie szczędzili, istniało coś, co ich łączyło: potrzeba starcia się ze swym przeciwieństwem.

Powiedział:

- Dwururka był jednym z najlepszych.

Irina Czerkasowa musiała wygłosić dwie przemowy. Stała nieruchomo, z podbródkiem uniesionym za woalką, istny archetyp osieroconej dumy. Powiedziała kilka krótkich słów o lojalności i oddaniu Norberta Page'a, a Aleksiej Czerkasow klasnął, gdy usłyszał jego imię. Następnie, stając przed grobem swego męża, powiedziała:

- Jeśliby śmierć mego małżonka miała zniszczyć to, co udało się nam zbudować, byłoby to plamą na jego honorze. Droga Ch. jest dobrą Droga. Nic się nie zmieni.

Trzepoczący Orzeł, przysłuchując się tym buńczucznym stwierdzeniom, wyczuł w nich echo słów Dolores O'Toole; oprócz tego dosłyszał pewną wskazówkę, coś, czemu większość mieszkańców miasteczka Ch. zawdzięczała przetrwanie, tego miasteczka, które - jak się obawiał - mogło zostać opanowane przez Wymiary aż do ostatniego mieszkańca. Dla tych, którzy przeżyli ten wstrząs (na przykład dla Iriny) Droga Ch. stała się nie tyle środkiem obrony, ile celem samym w sobie, sposobem życia pozwalającym trwać w kokonie przeszłości i pośród szczegółików teraźniejszości. Właśnie tego pragnęli. Tak więc Irina po prostu dodała poniesione straty do tragicznego obrazu samej siebie, Peckenpaw natomiast uczynił z Huntera element własnych, często opowiadanych legend. Ci ludzie potrafili się oprzeć Efektowi Grimusa. Z konieczności stworzyli sobie życie zastępcze, które stało się niezależnym bytem. Nie musieli się lękać Efektu: zbyt głęboko zanurzyli się w swoim

- Zasypcie groby, grabarzu - powiedział Flann O'Toole i ceremonia dobiegła końca.

Nim żałobnicy się rozeszli, doszło do trzech wydarzeń, które świadczyły, że wbrew mowie pogrzebowej Iriny, w Ch. zajdą pewne zmiany. Najpierw Elfrida podeszła do Iriny i powiedziała:

- Wyraży współczucia.

Irina spojrzała na nią z ćwiczoną od pokoleń pogardą i odparła:

- Nie rozmawiam z dziwkami.

Elfrida, już wtedy blada, jeszcze bardziej zbladła na twarzy, a hrabina odeszła.

Drugie wydarzenie stanowiło przeciwwagę dla zerwania starej przyjaźni. Pojednanie. Z wahaniem, nie patrząc jej w oczy i szarpiąc nerwowo guzik płaszcza, podeszedł do Iriny E. S. Moonshy.

- Hrabino - zaczął - gdyby hrabiemu Aleksiejowi brakowało partnera do szachów, ja... ja chętnie... jeśli czasu wystarczy...

- Dziękuję panu, panie Moonshy - odparła Irina.

Miasteczko Ch. instynktownie zwierzało szeregi, potwierdzając swą jedność w obliczu nieprzyjaciela.

A oto trzecie wydarzenie:

Monotematyczny Peckenpaw i Flann O'Toole od dłuższego czasu coś sobie pomrukiwali. Teraz podeszli do Trzepoczącego Orła i Elfridy Gribb.

Peckenpaw zaczął:

- Mam wam coś do powiedzenia.

Trzepoczący Orzeł i Elfrida zatrzymali się.

- Po mojemu - powiedział Peckenpaw - wszystko się zaczęło, jakżeś zjawił się w mieście. Ludzie jeszcze gadają, żeście się różnili. W tym mieście nie lubimy czegoś takiego.

- Do czego pan zmierza, panie Peckenpaw? - spytała chłodno Elfrida. - Proszę konkretniej.

- Chodzi mi o to, pani Gribb - odparł Peckenpaw, wymawiając jej nazwisko z pogardliwym naciskiem - że może czas, by niektórzy poszli sobie stąd w diabły.

- To chyba rozumiecie - dodał Flann O'Toole.

- Kocham cię - powiedziała Elfrida Gribb - ponieważ przestałam być dzieckiem. Teraz już nie potrzebuję ochrony. Potrzebuję ciebie. Dzięki tobie dostrzegłam, dlaczego tak naprawdę przyłgnęłam do Ignatiusa: bardziej szukałam w nim ojca niż kochanka. Wiem o tym. Będziemy się kochać i troszczyć o siebie. Cieszę się, że mnie zmusiłeś, bym dojrzała. Dłużej już nie chcę być dobra.

- Cieszysz się? - spytał Trzepoczący Orzeł. - Cieszysz się, gdy to coś zabiło człowieka, który cię kochał?

- Ty mnie kochasz - odparła, szarpiąc jego ubranie. - Okaż to.

- Wykluczone - odparł Trzepoczący Orzeł. - Właśnie go pochowaliśmy.

- Kocham cię, teraz - powiedziała Elfrida. - W tej minucie. W tej sekundzie.

- Nie teraz - odrzekł Trzepoczący Orzeł.

Odsunęła się od niego; jej miłość powiększyła jego wyrzuty sumienia.

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Następnego dnia Trzepoczący Orzeł poszedł do Ch., by kupić w sklepach Moonshy'ego coś do jedzenia i kilka innych rzeczy. Gdy tylko jednak wszedł do miasteczka, przekonał się, że Peckenpaw nie rzucał słów na wiatr. Ludzie, których mijał, zatrzymywali się wstrząśnięci jego zuchwałością. Rzeczywistość nabrała posmaku starych filmów z Phoenix: Ch. stało się ziemią Peckenpawa, małym miasteczkiem ze starego Dzikiego Zachodu, a Trzepoczący Orzeł, jak w rzeczywistości, był czerwonoskórym. Spodziewał się, że zza wahadłowych drzwi wyłoni się nagle szeryf i nafaszeruje go ołowiem.

P. S. Moonshy stał za kontuarem; kładł coś na wagę. W sklepie był tylko jeden klient, kobieta, lecz Moonshy całkowicie zignorował Trzepoczącego Orła. Gdy ta kobieta wyszła, Trzepoczący Orzeł odezwał się:

- Wydaje mi się, że teraz moja kolej.
- To niech ci się dalej wydaje - odparł P. S. Moonshy.
- Posłuchaj, kupię tylko jedzenie i sobie pójdę - powiedział Trzepoczący Orzeł i wymienił, czego potrzebuje.
- Nie dostaniesz nic do jedzenia - odparł R. S. Moonshy.

Gdy Trzepoczący Orzeł, niczego nie wskórawszy, wyszedł ze sklepu, natknął się na ulicy na Monotematycznego Peckenpawa.

- Niech mnie kule biją, jeśli to nie ten Indianin - powiedział Monotematyczny. Po czym stanął między Trzepoczącym Orłem a jego osłem.

Trzepoczący Orzeł obrał taktykę uprzejmego zdecydowania.

- Jeśli pozwolisz - powiedział - chciałbym wrócić do pani Gribb, by jej powiedzieć, że chcę nas głodem wypędzić z miasta.

- Jasne - rzekł Peckenpaw. - Nawet nie ośmieliłbym się stanąć ci na drodze. - Jednak nawet nie drgnął. Trzepoczący Orzeł próbował go obejść, by dotrzeć do swojego osła, lecz Peckenpaw wyciągnął potężne łapsko i chwycił Axonę za kark. Opór nie miał najmniejszego sensu, zatem Trzepoczący Orzeł zwił bezwładnie. Peckenpaw obrzucił go groźnym spojrzeniem. - Nie chcę, żebyś to źle zrozumiał - powiedział. - Nie mam żadnych uprzedzeń. Ale jeśli jutro wciąż jeszcze będziesz się tu kręcił, to zajmę się tą sprawą.

Drugą ręką wymierzył mu potworny cios w kark, po którym Trzepoczący Orzeł zwymiotował na kocie łby. Peckenpaw cisnął go w to wszystko i odszedł.

Trzepoczący Orzeł wpełzł na osła i ruszył do domu.

- Musimy stąd wyjechać - powiedział do Elfridy.

- Dlaczego? - spytała. - Przecież to teraz mój dom. Nasz dom.

- Posłuchaj, jeśli zostaniemy, przestaną nam sprzedawać jedzenie, a zapewne spróbują nawet się nas stąd pozbyć siłą. Trudno walczyć z całym miasteczkiem.

- Jeśli odejdziesz, kochany, pójdę z tobą - odparła. Twarz miała spokojną, mówiła z opanowaniem, a zarazem uległością.

- Więc wyjedziemy - postanowił.

- Dokąd mnie zabierzesz? - spytała.

Dokąd? No właśnie. Dzięki sile swej obsesji przetrwałaby zejście zboczem góry - przecież skoro mogła znieść wpływ Efektu w Ch., bez trudu zniosłaby go tam, gdzie był znacznie słabszy. Lecz Elfrida Gribb nie była stworzona do ciężkich podróży, a Dolores O'Toole z pewnością się nie ucieszy, widząc w swoim domu „widmo Grimusa”. Ponadto pachniałoby to ucieczką z miejsca zbrodni. Jego zbrodni. Więc powrót był wykluczony. Dla niego nie było powrotu. A co by zrobił, gdyby musiał iść tam, wysoko w górę,

w chmury kryjące nieznanne? Nawet gorzej - co ona by tam robiła? Potrząsnął głową. Potrzebował rady.

Rady. Spocony Virgil Jones stojący przy grobach. Trzepoczącemu Ortu wydawało się, że Virgil mrugnął do niego podczas ceremonii. Czyżby więc nie żywił do niego urazy? Virgil, którego się wyparł i nawet mu oko nie drgnęło.

- Muszę pójść do Madame Jokasty - pomyślał na głos. - Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Obawiam się, że na m ó j widok nie wpadnie w zachwyt - zauważyła Elfrida.

- Oboje będziemy musieli, eee, trochę się upokorzyć - stwierdził Trzepoczący Orzeł. - Zresztą ja też chyba niezbyt przypadłem jej do gustu.

- Zapewne nie spodobała jej się twoja twarz - powiedziała enigmatycznie Elfrida.

- Nie ma innego wyjścia - uznał Trzepoczący Orzeł. - Muszę znów pomówić z Virgilem. Zdaje mi się, że tam nie będą nas dręczyć.

- Burdel - mruknęła Elfrida. - Czemu nie, czemu nie.

Włożył swoje stare, zniszczone ubranie, w którym kiedyś wędrował. Ignatius Gribb, do czasu swego niedawnego wybuchu wściekłości porządny jak Elfrida, przechował nawet jego przepaskę na włosy i pióro. Uśmiechając się krzywo, włożył również je. Jeśli ma zagrać w kiepskim westernie, to przynajmniej wystąpi w pełnym

Musiał pójść do Iriny Czerkasowej, by oddać ubrania jej zmarłego męża. Odebrała je w progę, nawet najdrobniejszym gestem nie zapraszając go do środka.

- Niech ci się nie zdaje, że cię nie przejrzałam - powiedziała. - Nawet w tym stroju.

- O czym ty mówisz? - spytał Trzepoczący Orzeł. - Przecież znałaś mnie za przyjaciela.

- Powiedziałam hrabiemu - ciągnęła. - Ujrzałam to w twojej twarzy. Całe zło.

Zatrzasnęła drzwi. Nigdy już jej nie zobaczył.

Zastukali sześć razy. Po siódmym uderzeniu drzwi się otwały. Madame Jokasta spojrziała na nich ze zdumieniem. Elfrida odpowiedziała jej spokojnym wzrokiem, kręcąc parasolem. Od stóp do głów ubrana była w białą koronkę.

- Chcieliście czegoś? - spytała zniechęcająco Jokasta.

- Tak - odparł Trzepoczący Orzeł. Nie czas było unosić się dumą. - Szukamy schronienia.

Jokasta odpowiedziała ponurym uśmiechem.

- Nic z tego - odrzekła i zaczęła zamykać drzwi.

- Więc co mam powiedzieć?! - krzyknął Trzepoczący

Orzeł. - Że zszedłem na złą drogę?! Zszedłem. Że byłem nieludzko egoistycznym sukinsynem? Byłem. Że podle potraktowałem Virgila, choć istniały wszelkie powody, by postąpić inaczej? To prawda. Zgadza się, całkowicie. Nie wysłuchasz szczerego wyznania winy? Wyobrażasz sobie, jakie to uczucie być odpowiedzialnym, choćby tylko pośrednio, za śmierć czterech osób?

- Przypuszczam, że mordercze - odparła bezlitośnie Jokasta.

- Jeśli nas nie wpuścisz - powiedział Trzepoczący Orzeł - będziesz odpowiedzialna za śmierć kolejnej dwójki. Nie chcą nam sprzedać jedzenia.

- Och, witajcie - rozległ się czyjś głos. Zza pleców Jokasty z niekłamana przyjemnością patrzyła na nich Media.

- Medio, przyprowadź Virgila - poleciła Jokasta. - Decyzja należy do niego.

Gdy Virgil Jones zszedł do nich, na twarzy malował mu się zachwyt.

- Mój drogi Trzepoczący Orle - powiedział. - Moja droga pani Gribb. Jakże mi miło.

- Virgil - odezwał się Trzepoczący Orzeł - pewnie pomyślisz, że to mówię, gdyż znalazłem się w tarapatach, bo to, co wybrałem, zupełnie nie wyszło, lecz tak nie jest. Ogromnie się myliłem. Mojego postępowania wobec ciebie nie można usprawiedliwić: było niemoralne. Powiem tylko, że wiem o tym i jest mi bardzo przykro.

Virgil słuchał z powagą, której jednak brakowało w jego oczach.

- Bzdury! - wykrzyknął radośnie, gdy Trzepoczący Orzeł skończył.
- Przecież wszyscy czasem popełniamy błędy. Witamy odnalezioną owieczkę.
- Chcesz go tu wpuścić? - spytała z niedowierzaniem Jo-kasta.
- Oczywiście - odrzekł. - To przecież mój przyjaciel.
- A co z nią? - spytała Jokasta. - Świętą Elfridą, która dzień po pogrzebie męża ubrała się na biało? Z jej ust nie padło ani jedno słowo skruchy.
Elfrida powiedziała:
- Nie jestem ani lepsza, ani gorsza od ciebie.
- Proszę cię, Virgil - odezwał się Trzepoczący Orzeł. - Ona dziś nie wie, co mówi.
- To już lepiej - mruknęła Madame Jokasta, ustępując. - No dobrze, wchodźcie, paro nieszczęśników, nie stójcie tak w progu.
Zachęcający uśmiech Medii rekompensował z nawiązką niechęć okazywaną im przez Jokastę.

Okna pokoju wychodziły na urwisty masyw góry, której ochmurzony szczyt lśnił przez jedyne okno. Pokój ten wcale nie był piękny i gdyby nie rzeźby, zapewne byłyby też całkiem nijaki.

A rzeźby były potworne.

Nie chodzi o to, że były groteskowe, gdyż ręce mistrza potrafią sprawić, by groteska stała się piękna. I nie chodzi o to, że były potworne, gdyż nawet brzydkie twarze, odpowiednio potraktowane, mogą być poruszające. Były po prostu i bez dwóch zdań nieopisanie brzydkie, jakby wyrzeźbione bez jakiegokolwiek zamysłu i wycucia estetycznego. Sprawiały jedynie, że świat stawał się podlejszy i bardziej nienawistny niż w rzeczywistości. Lecz nawet to zakrawało by na pochwałę. Zdolności tego rzeźbiarza były niewątpliwie mniejsze od zdolności Trzepoczącego Orła, który nie miał ich wcale.

Wyrzeźbione twarze patrzyły ze wszystkich ścian, sprawiając, że pokój zdawał się jeszcze mroczniejszy, niż był.

- To pokój Liv - powiedział Virgil Jones. - Nikt z niego nie korzystał, odkąd, no wiesz... wyjechała... eee... ze mną. Rzeźby są jej roboty, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko nim, ściągnąłem je, gdy... eee... zatrzymałem się tu jakiś czas temu. Wiesz, zanim wyjechałem z Ch. Zresztą nieważne. Oto łóżko.

Elfrida Gribb natychmiast się na nim położyła i po chwili już smacznie spała. Nie ulegało wątpliwości, że jej nerwy, od śmierci Ignacjusza napięte do granic, wreszcie się zbuntowały, żądając odpoczynku. Trzepoczący Orzeł poczuł wielką ulgę.

Virgil powiedział do niego:

- Teraz zbieraj siły, to najważniejsze - po czym zostawił ich samych.

Trzepoczący Orzeł podszedł do okna, starając się omijać wzrokiem potworne przedmioty na ścianach, i popatrzył na górę. Na policzku usiadła mu mucha. Spłoszył ją. Usiadła więc na drugim. Znow ją odegnął. Gdy usiadła po raz trzeci, pacnął ręką, rozgniatając ją sobie na twarzy. Strącił truchło.

Mimo brzydoty tych wszystkich rzeźb, mimo obecności Elfridy Gribb, mimo braku jakiegokolwiek celu, Trzepoczący Orzeł czuł się tu bezpieczny. W atmosferze tego burdelu unosiła się woń ukojenia. Jednak nie mógł tu znaleźć schronienia, a przynajmniej nie na długo. Skoro nie udało mu się go znaleźć dzięki inercji - to znaczy nie udało mu się dzięki Drodze Ch. - znow będzie musiał się uciec do dynamiki. W takim razie musiał jednak wiedzieć, co zrobić, i to nie tylko z sobą, lecz również z Elfridą.

Trzepoczący Orzeł utkwiał spojrzenie w górze.

- Wygrywasz - powiedział. Po czym odwrócił się i rzucił na łóżko obok śpiącej Elfridy. Chwilę leżał, patrząc w sufit. Wkrótce jednak i on, zmęczony, zapadł w sen.

Do pokoju weszła Media, by popatrzeć na śpiącego. Gdy spoglądała na jego twarz, twarz, która odmieniła jej życie, twarz o mocno zarysowanej szczęce, miękkich cieniach

zarostu, twarz z zamkniętymi oczami o długich rzęsach, w jej głowie rodziły się herezje. Może wiązało się to z tym, że była w pokoju Liv; tej Liv, która opuściła burdel, to bezpieczne schronienie, dla jakiegoś mężczyzny (choć trudno było uwierzyć, że tym mężczyzną mógł być Virgil Jones); tej Liv, która uznała, że ona i jej żądze są ważniejsze niż wyznaczone jej obowiązki, i skorzystała ze sposobności. Media, przypatrując się twarzy Orła, pomyślała:

Gdzie on pójdzie, pójdę i ja.

Powiedziała miękko do śpiącego:

- Potrzebujesz kobiety, która da ci radę.

Madame Jokasta znów przemierzała korytarze swojego królestwa; tym razem jednak nie sprawiało jej to przyjemności, tym razem nie wsłuchiwała się w dźwięki dochodzące zza drzwi, gdyż na prośbę Virgila zamknęła Dom. Wszędzie cisza. W jej pokoju humorzasty, zadumany Virgil; w pokoju jej poprzedniczki dwie osoby, które, jak się obawiała, mogły przewrócić do góry nogami jej mały świat. Virgil zdążył już zatonać w myślach, a Media zachorowała na Trzepoczącego Orła, nie zważając na wyznaczoną jej specjalność.

Stała cicho przed drzwiami Liv. Były lekko uchylone i usłyszała, co Media mówi do Orła. Madame wycofała się z jeszcze większym lękiem w sercu.

Jednak udzieliłam im azylu, pomyślała, i teraz nie mogę złamać słowa.

Na czele tłumu stali Flann O'Toole i Monotematyczny Peckenpaw. Było tam ich w sumie około tuzina; sami bywalcy Elbaroomu. Z kijami, kamieniami i długim sznurem.

- Dom jest zamknięty - oznajmiła Jokasta, stanąwszy w drzwiach.

- Nie przyszliśmy tutaj do twoich kobiet - powiedział O'Toole ochryplym głosem, zionąc whisky. - Chodzi nam o tego sukinsyna Orła.

- Planujemy taki nieszkodliwy, malutki linczyk - dodał Peckenpaw.
- Rozumiem - odrzekła Jokasta. - Szukacie kozła ofiarnego.
- Broń Panie Boże. - O'Toole wyszczerzył zęby. - Wystarczy chwila, by sobie uprzytomnić, że wszystkie nasze kłopoty zaczęły się, gdy przybył do naszego miasteczka. Zatem logicznie byłoby przyspieszyć jego odejście, nieprawdaż?
- Flannie O'Toole - odezwała się Jokasta - dobrze wiesz, przed czym stoisz. Ktokolwiek przekracza próg tego Domu, zostawia za sobą cały świat. To miejsce ucieczki: tutaj nie przedostaje się żadne zło. Trzepoczący Orzeł znalazł tu azyl. Jeżeli weźmiecie go stąd siłą, ten Dom nie będzie już tym, czym był dla was wszystkich. Wieszając go, powiesicie część swego miasteczka. Naprawdę tego chcecie?
Tłum stał w posępnym wahaniu. Z twarzy Flanna O'Toole'a spęłzył uśmiech.
- Posłuchaj mnie, Jokasto - powiedział, chwiejąc się na nogach. - Czemu, na Boga, go chronisz? Przecież wiesz, że nie zdobyliśmy się na to, aby pogwałcić świętość tego Domu i tak dalej, ale ten Orzeł to ani twój przyjaciel, ani tego twojego Jonesa.
- Wynoś się, O'Toole - warknęła Jokasta.
- W porządku - odparł Peckenpaw. - W porządku, Jokasto. Wygrałaś. Ale nie spuścimy oka z tych drzwi. I jeśli tylko wystawi stąd swoją śliczną twarzyczkę, Virgil Jones znów będzie miał
Obrzuciwszy go pogardliwym spojrzeniem, Jokasta zatrzasnęła drzwi. Na Monotematycznym Peckenpawie nie zrobiło to jednak najmniejszego wrażenia.

PIĘĆDZIESIĄT

Trzepoczący Orzeł siedział u stóp Virgila Jonesa, a ściślej, siedział obok niego na niskim łóżku w pokoju Jokasty i słuchał, co mówi. Na twarzy Virgila malowało się zadowolenie, a w jego głosie pobrzmiwała ekscytacja, lecz były to emocje dość niezdrowe: zadowolenie i ekscytacja człowieka, który czuje, że wydarzenia raz jeszcze potoczą się tak, jak przewidział, lecz nie jest do końca pewien, czy zdoła nad nimi zapanować. Po suficie krążył pająk, snując sieć. - Coraz więcej przypadków gorączki - powiedział Virgil Jones. - I będzie ich jeszcze więcej. Niestety, Ch. jest teraz bezbronny. Pięta achillesowa. Lekcja pogładowa obrazująca daremność najlepszej obrony. A nie ulega wątpliwości, że Droga Ch. stanowiła doskonałą linię obronną. Tak długo ćwiczyli chowanie głowy w piasek, że stało się to ich drugą naturą. Stąd właśnie owa iluzja normalności, której uległeś, oraz ta zachwycająca eteryczność wszystkiego. To prawda, oni tu żyli, lecz żyli całkowicie pochłonięci swoimi zajęciami, dzięki czemu robili wrażenie oderwanych, upojonych, spełnionych. Wraz z nasilaniem się Efektu wzrastała ich biegłość w sztuce oporu i nic nie stało na przeszkodzie, by taki stan rzeczy trwał w nieskończoność. Śmierć Gribba stanowiła jednak punkt zwrotny. Teraz wielu osobom trudno jest żyć, nie myśląc o Grimusie. A przecież muszą próbować, podczas gdy przedtem, przed śmiercią całej czwórki, potrafili nawet stroić sobie z niego żarty. To właśnie przyczyna determinacji żądnego krwi tłumu. Ta przyczyna nastawienia pani Gribb. Widzisz, nie byłbym pewien, czy ona naprawdę tak bardzo cię kocha. Ważne jest to, że ona odczuwa potrzebę obdarzania kogoś miłością. To będzie przybierać na sile; teraz bowiem, gdy pozwolą sobie na odpoczynek,

staną się bezbronni wobec Wymiarów. Część z nich umrze, co sprawi, że pozostali popadną w obłąd. Chyba zgodzisz się ze mną, że perspektywy są dość przygnębiające.

- Nie wygląda na to, by Jokasta i jej dziewczęta cierpiały - zauważył Trzepoczący Orzeł.

- Ach, oto właśnie masz wyborny przykład niezwykłego charakteru tego Domu - odparł Virgil. - Schronienie zarówno przed Efektem, jak i tłuszcza. Jak wcześniej dla ciebie, ten dom stał się teraz dla Jokasty i dziewcząt celem samym w sobie. Jedyłą rzeczą, która ma dla nich jakieś znaczenie. Obawiam się jednak, że możesz wytrącić z równowagi naszą drogą Medię. Masz na kobiety niemal taki sam wpływ jak Grimus, cha, cha.

- Przepraszam - odezwał się głupio Trzepoczący Orzeł.

- To proste - powiedział Virgil Jones. - Otóż Grimus zrozumiał pewną oszałamiającą istotną sprawę: że żyjemy w jednym z nieskończonych Wymiarów. Przyjęcie teorii Wymiarów wymaga zmiany poglądów, całkowitej zmiany wyobrażeń na temat tego, jacy jesteśmy i jaki jest nasz świat. Absolutnego przewartościowania wszystkich zasad moralności. Musisz więc zadać sobie następujące pytanie: czy jest coś takiego jak nadmiar wiedzy? Jeśli ktoś dokonał niebywałego odkrycia, nad którego skutkami nie jest w stanie zapanować, to czy powinien zniszczyć to, co odkrył? Albo czy dobro nauki jest istotniejsze od dobra społeczeństwa, a nawet od przetrwania? Czy naprawdę lepiej jest się dowiedzieć i umrzeć, czy nigdy się nie dowiedzieć? Całkiem sporo pytań, prawda?

- A ty uznałeś, że nauka musi ustąpić - stwierdził Trzepoczący Orzeł.

- Tu i teraz ta wiedza jest niezwykle niebezpieczna - powiedział ze smutkiem Virgil Jones.

Virgil Jones porusza! palcami u nóg, przyglądając się swoim odciskom. Trzepoczący Orzeł siedział w milczeniu, obserwując pająka. Wreszcie Virgil przemówił.

- Traktują mnie tutaj jak idiotę - powiedział. - A to dlatego, że przez jakiś czas zachowywałem się jak klasyczny idiota. Działo się to tuż po moim... moim sporze... z Wymiarami Wewnętrznymi. I Liv. Biegałem po miasteczku z wywieszonymi narządami płciowymi. Pofarbowałem sobie nos na niebiesko. Opuszczałem spodnie i pierdziałem kobietom w twarz. Byłem biednym, dwunożnym zwierzęciem*. Jestem. Wtedy musiałem im coś udowodnić. Że są dla mnie niczym. Że cała wyspa jest dla mnie niczym. Że wszystko jest dla mnie niczym. Sęk w tym, że ani przez chwilę w to nie wierzyłem i dlatego właśnie wszystkie moje poczynania były mało przekonujące. W końcu zszedłem na dół i odkryłem tam godność. Odzienie dla niemocy. Do czasu, aż przybyłeś.

Trzepoczący Orzeł wybuchnął:

- Co ja mam zrobić, Virgil?! Co w ogóle można zrobić?!

- Ach, do tego zmierzam - odparł Virgil, nerwowo obliczając usta. - Masz do wyboru wycofanie się, beczynność i działanie. Nic z tego nie przyniesie ci wstydu.

- Nie rozumiem - odparł Trzepoczący Orzeł.

- Wycofanie się polega na tym, że wychodzisz stąd i dajesz się zlinczować. Niezbyt przyjemne. Albo na tym, że wymykasz się stąd chyłkiem i przechodzisz przez górę, pozwalając, by wydarzenia toczyły się własnym torem. Błyski, gorączki i tak dalej. A więc generalnie - zostawiasz wszystko za sobą. Beczynność polega na tym, że zostajesz tu, gdzie jesteś, i czekasz, kiedy Jokasta rzuci cię na pożarcie lwom. Natomiast działanie polega na tym, że robisz to, co ci

-Ty wybrałeś beczynność - powiedział Trzepoczący Orzeł. - Od dawna chyba nic specjalnego nie robisz.

- Oczywiście - odparł Virgil. - Bo nic nie mogę zrobić. Za to ty możesz.

* „Człowiek nie zepsuty to takie właśnie jak ty biedne, gołe, dwunożne zwierzę” - *Król Lear*, akt 3, sc. W, w przekładzie Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.).

- Nie chodzi o to, że Wymiary Wewnętrzne przepaliły mi mózg - powiedział Virgil. - Ani o to, że nie mogłem właściwie odtańczyć Tańca Siły. Można to określić jako coś w rodzaju paraliżu. Zablokowana skrzynia biegów. W skrajnej potrzebie, wtedy w lesie, wszystko działało. Lecz po mojej małej emocjonalnej szamotaninie z Chuporem wszystko się zmieniło. A teraz, ponieważ wiem, że byłoby to dla ciebie znacznie prostsze, nie potrafię odnaleźć w sobie tej potrzeby. Nie jestem nawet pewien, czy tego chcę.

- Ale powiedziałeś, że podjąłeś decyzję.

- Decyzje - powiedział Virgil Jones. - Najłatwiej podejmuje się decyzje.

- Pole zjawiska, w którym się znajdujemy, a które określam jako Chaos Wymiarów - mówił z powagą Virgil - pochodzi z przedmiotu zwanego Kamienną Różą. Czego zapewne się domyślałeś. Właśnie ją należy zniszczyć.

Rzecz jasna wiąże się to ze znacznym ryzykiem - ciągnął. - Nie można bowiem wykluczyć, że ten wymiar nie może istnieć bez Róży. Lecz jedno jest pewne: jeśli Róża nie zostanie zniszczona, nikt tutaj nie przeżyje, z wyjątkiem pająków, much i innych zwierząt. To ryzyko zatem jest nieuniknione.

- Albo triumf, albo zgon - powiedział Trzepoczący Orzeł.

- Właśnie - przytaknął Virgil. - Cóż za trafne stwierdzenie.

- Wiesz, Deggle przypadkowo zrobił jedną jedyną rzecz, która mogła sprawić, bym zwrócił się przeciwko Róży - powiedział Virgil. - Odłamał mianowicie kawałek Łodygi. Wszystkie te błyski, a nawet sam Efekt Grimusa, to bez wątplenia skutki złego funkcjonowania okaleczonej Róży. Nikt tego nie zauważył, ponieważ ten kawałek był niewielki. Jednakże doszło do uszkodzenia wymiaru.

- Jeśli odłamanie małego kawałka spowodowało tak wielkie nieszczęścia, to czy zniszczenie całej Róży nie doprowadziłoby do katastrofy? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Niekoniecznie- odparł Virgil. - Czasem lepsze nic niż rydz.

Ciężar winy i dręcząca go beznadzieja sprawiły, że Trzepoczący Orzeł zgodził się wykonać zadanie. Od śmierci Ignatiusa Gribba wciąż podupadał na duchu. Teraz, gdy Virgil przedstawił mu te przygnębiające perspektywy, jego przygnębienie sięgnęło dna. Coś jednak nie pozwalało mu się z tym pogodzić - cząsteczka, jak się zdaje, tego względnie niewinnego „ja”, z którym przybył na Wyspę Cielecą; gdy pomyślał o tym „ja”, zamigotał mu promyczek nadziei.

- Chciałbym cię zapytać o dwie sprawy - powiedział do Virgila. - Po pierwsze, chodzi mi o to, czy Grimus może mi odebrać nieśmiertelność? Na Górze Cielecej nie ma dla mnie nic atrakcyjnego, a w moim własnym świecie wieczność powoli staje się nużąca.

- A więc wracasz do starego tematu - rzekł Virgil.

- Poza tym - ciągnął Trzepoczący Orzeł - muszę wiedzieć, czy mogę wrócić: wrócić do miejsca, świata, wymiaru, czegokolwiek, skąd pochodzę.

- Więc jeśli ocalejemy, chciałbyś powrócić. - Tak.

- A jeśli dam ci słowo, pójdziesz do Grimusa.

- Jeśli dam radę.

Virgil Jones uśmiechnął się ze smutkiem.

- O ile mi wiadomo - powiedział - nie ma pewnych sposobów ani środków osiągnięcia żadnego z tych dwóch celów.

Brzmiało to jak wyrok śmierci, ostateczny i nieodwołalny. Koniec. Cel, do którego dążył od stuleci, powrót do normalnego życia, był nieosiągalny. Legły też w gruzach jego niedawne plany spokojnego życia w Ch. Trzepoczący Orzeł był pustym człowiekiem, Skorupą bez Zawartości.

- Do diabła - powiedział. - I tak to zrobię. Czemu nie?

Virgil Jones ponownie uśmiechnął się ze smutkiem. W uśmiechu tym tlił się jednak ogieniek triumfu.

Gdy czas działać, nie ma miejsca na długie rozważania. Virgil Jones, rezerwuar wątpliwości, tym razem nie miał na nie czasu. Planował wspinaczkę, która czekała Trzepoczącego Orła przed spotkaniem z Grimusem.

- Brama prowadząca do Grimusa przypomina tę, przez którą przedostałeś się do Morza Cielęcego. Choć prawdopodobnie nie jest aż tak prymitywna. Ktoś, kto nie zna jej położenia, nie natrafi na nią. Tak się składa, że ja je znam. Tam właśnie pomocne ci będzie doświadczenie z walki przeciw Wymiarom Wewnętrznym, które teraz nie mogą ci wyrządzić najmniejszej krzywdy. Skupisz się zatem na przemieszczaniu się przez Wymiary Zewnętrzne, co - nawiasem mówiąc - nie należy do przyjemności. Grimus z pewnością będzie wiedział, że nadchodzisz; może nawet zamknąć Bramę. W takim razie będziesz musiał dostać się do środka siłą. Ponadto sprzeciwi się wszelkim próbom zbliżenia się do Róży. Wówczas nie pozostanie ci nic innego, jak zdać się na swój spryt, wyczuć właściwy moment i uderzyć. Pamiętaj o jednym: to tylko człowiek.

- Wygląda jednak na to, że szanse mam niewielkie - zauważył Trzepoczący Orzeł.

- Mniej więcej jak sto do jednego - odparł Virgil. - A nawet jeśli uda ci się tam przedrzeć... Grimus jest niezwykle przekonujący.

- Gdzie jest ta brama? - spytał mechanicznie Trzepoczący Orzeł.

- A właśnie, Brama. Z tym jednak wiąże się ucieczka przed tłuszcza. I wspinaczka. Mniej więcej do domu Liv. No wiesz, do tego czarnego. - Jego głos zanikł.

- Wiem - powiedział Trzepoczący Orzeł. - Spotkałem ją. Kazała cię pozdrowić.

Virgil otrząsnął się nagle z zamyślenia, w które stopniowo popadał.

- To była ona? - spytał. - Jesteś pewien?

- Nie - odparł Trzepoczący Orzeł. - Miała na sobie czarną szatę. Kryła ją od stóp do głów.

- To ona - powiedział Virgil. - To Liv.

Trzepoczący Orzeł rozejrzał się po pokoju. Rośliny pnące się

po ścianach. Pająk pnący się po ścianie. To prawdopodobnie ostatni pokój, jaki widzi. Uświadomiwszy to sobie, stwierdził, że nie ma nic przeciwko temu. Czuł się pusty, był tylko narzędziem w rękach Virgila. Zanim przybył na Wyspę Cielęcą, desperacja pchała go do samobójstwa. Dziś po tej desperacji nie zostało śladu: po prostu życie przestało mieć dla niego jakąkolwiek wartość.

- No cóż - rzekł Virgil Jones - miło będzie znowu spotkać Liv.

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

Jak najbardziej - mówiła Jokasta. - Idź i już.

Virgil stał przed nią niczym speszony uczeń, cały czas wyłamując palce, otwierając i zamykając usta, jakby chciał się przekonująco wytłumaczyć ze swoich przewin.

- Idź - powtórzyła Jokasta. - Jeśli tak niewiele sobie cenisz wszystko, co dla ciebie zrobiliśmy i co ja sama dla ciebie zrobiłam, to bardzo proszę, idź, nawet zaraz. Wracaj sobie do niej. Rozszarpie cię na kawałeczki i tym razem nie będzie nawet czego zbierać. Siedzi tam i przedzie tę swoją pajęczynę, a ty pakujesz się w sam jej środek. Idź, idź, proszę bardzo. Jeśli masz jakieś masochistyczne ciągoty, to przecież nie będę cię zatrzymywała. Może jesteś głupcem. A może szaleńcem. Bo przecież powrót tam to czyste szaleństwo, zwłaszcza po tej hańbie, którą na ciebie ściągnęła. Ale, oczywiście, idź. Nie zamierzam ci stawać na drodze.

- Muszę, Jokasto - powiedział Virgil z nieszczęśliwą miną. - Muszę pokazać Bramę Trzepoczącemu Orłu.

- Trzepoczącemu Orłu! - krzyknęła. - Który za twoją dobroć odpłacił ci zdradą! Który za moją dobroć odpłacił mi się tym, że zawrócił w głowie Medii! Który ściąga kłopoty na wszystkich, którym coś zawdzięcza! Dla niego zrobiłbyś wszystko!

Virgil Jones odpowiedział bardzo cicho:

- Tym razem to Trzepoczący Orzeł robi coś dla mnie.

- Wy wszyscy możecie sobie iść! - wybuchnęła Jokasta. - Wszyscy! Zostawcie mnie znowu samą w moim Domu!

Elfrida Gribb w białych koronkach, z twarzą zasłoniętą woalką, za którą bez przeszkód przedostaje się mucha, stoi

przy oknie, po jej prawej stronie rzeźby, za nią góra, Trzepoczący Orzeł po lewej, a przed nią widmo katastrofy.

- Nie pójdziesz tam - powiedziała. - Nie możesz, po tym wszystkim, co zrobiłam. Kocham cię, Trzepoczący Orle. Moje miejsce jest przy twoim boku.

Zamknął oczy i starał się, by jego głos brzmiał możliwie jak najtwardziej:

- Kochałem cię - powiedział.

Jej oczy zmieniły się w ślepe, marmurowe kulki.

- Kochałeś. - To nie było pytanie, lecz ponure stwierdzenie.

- Wszystko się zmieniło - rzekł żałośnie. - Muszę już iść.

- Dziwka - odezwała się. - Uważasz, że jestem dziwką. „Nie rozmawiam z dziwkami”. Ty i ona. Zaplanowaliście to, by rozkochać mnie w tobie, by wzbudzić we mnie zazdrość, by mnie doprowadzić do upadku.

- Nie - odparł.

- Dziwka. Dziwka Elfrida. Tak, czemu nie? Tak, czemu nie? Jeśli mój ukochany uważa mnie za dziwkę, to muszę sobie na to zasłużyć. Tak, czemu nie? Zostanę dziwką i będę się z tego utrzymywała. Tak, czemu nie?

„Czemu nie?” to teraz najmodniejszy zwrot, pomyślał Trzepoczący Orzeł. Media, która podsłuchiwała tę rozmowę, była zachwycona.

W kuchni Domu Wzwodzonego Końca, wśród opuszczonych patelni i garnków, pożywiał się człowiek zwany Kamieniem, jedyny nocny gość, jedyny, którego nigdy nie wyrzucano. Dostrzegł go Virgil Jones i plan ucieczki był gotowy.

Trzepoczący Orzeł, rozsypujący się tak samo jak jego ubranie, poplamiony jak otaczające go domy, pokryty pyłem jak ulice, opuścił Dom bocznymi drzwiami, wyczołgał się na brukowaną ulicę i zaczął liczyć kocie łby. Witał ich jak starych przyjaciół. Powoli, w poszarpanym kapeluszu okrywającym pochyloną twarz, pełził z wiadrem w jednej, a szmatą w drugiej ręce, na kolanach, mruczając coś i czyszcząc bruk.

Madame Jokasta leżała w swoim łóżku. Zamknęła się w pokoju, nie chcąc wiedzieć, co się dzieje w jej Domu. Media na ochotnika zajęła się czyszczeniem kamieni, mimo że było to wbrew przepisom tego przybytku, i gdy Jokasta odwróciła się do ściany, Media wykorzystwała wszystkie znane jej dotąd metody, by Kamienia, swojego pierwszego mężczyznę od niepamiętnych czasów, usidlić dostatecznie długo, żeby Trzepoczący Orzeł mógł wprowadzić w życie złożony plan swej powolnej ucieczki.

Tuż przed świtem Virgil Jones opuścił burdel, nucąc coś niewinnie pod nosem. Na głowie miał melonik, a przy pasie zwisała mu dewizka bez zegarka. Tłum zdążył się już powlec do łóżek, lecz na progu tkwiła niedźwiedziowata postać nieubłaganego Peckenpawa. Monotematyczny obrzucił Virgila złym spojrzeniem, lecz pozwolił mu przejść. Virgil, nadal coś nucąc, ruszył w górę ulicy, stwierdzając z zainteresowaniem, że nie ma na niej żadnej pełzającej postaci. Wynikało z tego, że albo Trzepoczącemu Ortu się udało, albo został

Na dalekim krańcu brukowanej ulicy, w miejscu, gdzie miasteczko Ch. ustępowało przebudzonym zboczom Góry Cielęcej, odzyskiwał władzę las. Gęstą roślinność przecinała, nadająca się bardziej dla osłów niż ludzi, wąska ścieżka prowadząca do ostatniego zamieszkanego miejsca, skały, na której stał dom Liv, spoglądający z góry na Ch. Właśnie tutaj, w leśnym gąszczu, Virgil Jones i Trzepoczący Orzeł umówili się na spotkanie.

- Całkiem jak za dawnych czasów - zauważył Virgil Jones.

Media odeszła. Nieobecność Trzepoczącego Orła przyniosła Jokaście ulgę. Do nieobecności Virgila już od dawna była przygotowana. Trudno jednak jej było zachować spokój, kiedy znalazła w łóżku Medii mężczyznę, i to takiego nędznika. A na dodatek Media też zniknęła. Media, biedna, zadurzona Media. Media, akurat ona.

Zniknęła, lecz gdzie jest? Zapewne ruszyła za Virgilem i Orłem, lecz jak daleko dotarła? Czy prosili ją, żeby się do nich przyłączyła, czy chcieli, żeby z nimi szła, czy wróci do niej, przyczołga się skulona, błagając o przebaczenie? Jokasta bardzo chciała w to wierzyć, ale wciąż pamiętała, co się stało z Liv; i wiedziała, że Media nie wróci, a ona nic na to nie poradzi, nic nie...

Jokasta wyszła na korytarz, pusty i cichy, i tam, opuszczoną po raz trzeci, uderzył błysk.

Gdy minął, wzięła głęboki oddech i oparła się o ścianę. Z pokoju wyszła Elfrida Gribb, opanowana, ze ściągniętą twarzą.

I objęła ją ramieniem.

- Madame - odezwała się - chciałabym zostać. Zostać... i pracować.

Jokasta spojrzała na nią pustym wzrokiem. Teraz wszystko było możliwe.

- Ponieważ nieoczekiwanie zwolniło się jedno miejsce - odparła - przyjmuję cię do pracy.

Dwie opuszczone kobiety trwały przez chwilę w uścisku. Potem Jokasta, z zaczerwienionymi oczami, podeszła do drzwi frontowych. Gdy je otworzyła, ukazał się za nimi Peckenpaw.

- Dom Wzwodzonego Końca jest otwarty dla klientów - oznajmiła Madame Jokasta.

Był ranek.

PIĘĆDZIESIĄT DWA

Nicholas Deggle siedział na bujanym fotelu pośród kręcących się kurcząt, do czego już zdążył się przyzwyczaić. Jego myśli krążyły wokół błysków.

Najwyraźniej pani O'Toole nie zdawała sobie z nich sprawy. Być może jej nieobliczalny umysł nie przyjmował ich do wiadomości, tak jak nie przyjmował do wiadomości namacalnych dowodów, każąc jej widzieć w nim Virgila Jonesa. Nic się nie zmienia.

Możliwe jednak, że jest inne wytłumaczenie, pomyślał Deggle z lekką obawą. Grimus. Grimus zdobył tę nową, niszczącą moc i próbuje się go pozbyć. Być może tylko Deggle znajduje się pod wpływem tej siły.

Nicholas Deggle bujał się między niemocą a paranoją, tam i z powrotem. Dolores O'Toole wyszła z chatki z nożem w ręce. Czas uśmiercić kolejnego kurczaka.

Usiadła na ziemi. Trzymając nóż w prawej ręce, ruchem świadczącym o absolutnej koncentracji przecięła sobie żyłę na lewym nadgarstku. Następnie przełożyła nóż do lewej ręki i zaczęła metodycznie ciąć prawy nadgarstek. Dopiero wtedy Deggle otrząsnął się z osłupienia i przyskoczył do niej, by wyrwać nóż. Wywinęła się jednak i przystawiła sobie ostrze do gardła.

- Co ty, na litość boską, wyprawiasz?! - krzyknął.
 - Odkąd się kochaliśmy, każdej nocy mi odmawiasz - powiedziała.
 - Odmawiasz mi. Wszystko jest jasne, Virgil, pogardzasz moim ciałem. Nie mogę żyć ze świadomością, że mnie nienawidzisz.
- Krew tryskała z ran, pstrząc ziemię plamkami czerwonego błota.

Co zrobić, żeby powstrzymać krwawienie? Deggle rozejrzał się bezradnie dookoła.

- Bandaże - powiedział głośno.
- Zostaw mnie samą - zażądała i zaśpiewała słabym głosem:

Białobroda jest ma miłość
i białobrode jest me pożądanie.

Nicholas Deggle zaczął ściągać koszulę przez głowę. Gdy ją zdjął, zobaczył, że Dolores leży wyprostowana na ziemi. Pod jej podbródkiem widniały drugie, czerwone usta, rozciągnięte w krwawym uśmiechu od ucha do ucha. Skończyła to, co zaplanowała.

Deggle, pónagi, z koszulą w ręce, stał i patrzył. Po chwili krew przestała płynąć. Przez głowę przebiegła mu myśl: To ja zostanę sam.

Bujany fotel bujał się w podmuchach porannego wiatru.

PIĘCDZIESIĄT TRZY

Nasz Chupor, zdecydowany dopilnować, żeby Wyspa Cielęca doczekała końca, aby nie narażać się na celne zarzuty Virgila Jonesa, ograniczył swe działania do tego uniwersalnie podniecającego sportu, jakim jest obserwacja życia ludzi.

Choć ciała Chuporów poruszają się z wielkim trudem, mogą się one przemieszczać błyskawicznie z miejsca na miejsce dzięki fizycznej dezintegracji, a następnie reintegracji, nad którymi to procesami czuwa ich bezcielesna jaźń. Tak oto Chupor podsłuchiwał wraz z Elfridą w Elbaroomie i tkwił w jej ogrodzie, przypatrując się, jak ona, Irina i Trzepoczący Orzeł zamieniają się miejscami na huśtawce. Zaglądał przez okna Domu Wzwodzonego Końca, patrząc, jak wędrowcy zbierają się do drogi. Z zainteresowaniem śledził błyski i beznamiętnie obserwował samobójstwo Dolores O'Toole.

Teraz, oczekując na Ostateczne Uporządkowanie, kontemplował podstawowy anagram, który tak bardzo zaważył na charakterze Wyspy Cielęcej - kontemplował Ponowne Uporządkowanie imienia Grimus.

Anagram ów brzmiał S i m u r g.

Chupor z niecierpliwością wyczekiwał nieuniknionego starcia pomiędzy Orłem, władcą ptaków ziemskich, a Simurgiem, rajskim ptakiem dzierżącym Kamienną Różę. Podobało mu się, że w tych imionach kryją się tak pierwotne symbole. Niewątpliwie nadawało to wszystkiemu szczególny posmak.

CZEŚĆ TRZECIA

GRIMUS

PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

W niewielkim, pomalowanym na czarno domku panowała chłodna, mroczna cisza. Zewsząd wynurzały się cienie, bezcieleśni strażnicy strzegący królestwa niewidocznej brzydoty. Na zewnątrz chmury okalające szczyt Góry Cielęcej wisiały nad domem niczym drugie, brzemienne burzą sklepienie, osłaniając go przed bladym, słabym słońcem, które oblewało położoną niżej równinę. Dom Liv, ślepy i bez fundamentów, stał tępo na smętnym występie skalnym, ze starannie zaryglowanymi drzwiami. Jedynym żywym stworzeniem był tu samotny osiołek przywiązany do ostatniego drzewa wspinającego się w górę lasu, niespiesznie żujący długie źdźbła trawy. Krzyknął jakiś ptak. Niewidoczna brzydota. Za zamkniętymi okiennicami kłębił się kosmiczny chaos, szczątki życia zmagające się ze sobą i próbujące wywalczyć na podłodze choćby odrobinę przestrzeni. Na porozrzucanych książkach i talerzach zalegała gruba warstwa kurzu. Na pękniętym lusterku leżał kawałek chleba, ledwie widoczny spod grubego kożucha pleśni, a całość oplatała pajęcza sieć. Brud pokrył swymi mackami wszystko: tkaniny, papiery i okruchy. A nad podłogą, okrytą grubą warstwą śmiecia, połyskiwały rzeźby. W porównaniu z nimi ich poprzedniczki z Domu Wzwodzonego Końca wyglądały na ucieleśnienie piękna i radości. Ohydne, poskręcane kształty, twarze, ciała, poodcinane kończyny, krajobrazy rodem z sennych koszmarów świadczyły o pogłębiającym się szaleństwie ich twórcy, o coraz głębszym bagnie jego nienawiści. Jeśli to prawda, że rzeźbiarz jedynie wyzwała z tworzywa to, co już w nim tkwi, owo drewno musiało być chyba tworem demonów - takie kryło potworności.

W tym niewielkim, czarnym domku był tylko jeden pokój. Na półkach stały klatki z żałośnie wyglądającymi kurami. Było tam jeszcze krzesło i łóżko. I niespodzianka: te dwa meble były tak zadbane, jak reszta domu zapuszczona. Czyszczono je i odkurzano, a prześcieradła były regularnie prane. Te meble należały do innego śvNa krzesle siedział nieruchomy cień.

Powrót na zalesione zbocza był równoznaczny z odrzuceniem wszelkich iluzji normalności, odrzuceniem atmosfery miasteczka, niezdrowo przyziemnej i przyziemnie niezdrowej. Zielone światło drzew oczyszczało ich obu. Tutaj Trzepoczący Orzeł znów poczuł namacalną tajemnicę tej góry i opadły zeń pajęczyny samozakłamania. Ta góra nie pozwalała się zignorować. Również Virgil, który bez słowa skargi, chwytając się grud ziemi i pęków trawy, wciągał swe korpulentne ciało wraz z nagniotkami na stromą górę, był dobrej myśli. Powietrze rozbrzmiewało brzęczeniem owadów i ezoterycznymi sygnałami, które słały przelatujące ptaki.

- *Magister pene monstrat* - zacytował Virgil Jones, zupełnie bez związku.

Akurat odpoczywali. Trzepoczący Orzeł zmuszony był poprosić o wyjaśnienie.

- W szkole - powiedział Virgil Jones, nieco zażenowany - pewien irytujący młody kretyn wypisał to przed lekcją na tablicy. Miał to być żart. Magister, który nas uczył, nawet nie drgnął na ten widok. Po prostu zapytał, dlaczego słowo *penis* zostało użyte w narzędniku, a nie w bierniku. Wówczas to ów młody kretyn, okazując duży tupet, wstał i powiedział: „Albowiem jest to narzędnik wskazujący na zbliżanie się do celu”.

Znów podjęli wspinaczkę. Opanowało ich podniecenie wywołane przecuciem, że zbliżają się do celu, bez względu na to, czym on jest. Trzepoczący Orzeł powiedział sobie, że jeśli Góra Cieleca ma wygrać, to przynajmniej będzie musiała stoczyć z nim walkę. Ponieważ nie posiadał się

z podniecenia na myśl o tym, co miało się wydarzyć, nie pomyślał nawet przez chwilę, że wie bardzo niewiele o regułach tej walki, a jego wiedza na temat zamysłów przeciwnika jest co najmniej ograniczona. Teraz brał w tym udział; nic innego się nie liczyło.

Swędzała go blizna na piersi.

Zauważył, że gdy Virgil Jones nie chwyta za kępki trawy, trzyma zaciśnięte kciuki.

Niedaleko, w bezpiecznej odległości, skradała się za nimi Media. Nie słyszeli jej, ponieważ nie spodziewali się nawet, że ktokolwiek może ich śledzić. Mentalny jęk Efektu, odbierany raczej jako uczucie niż dźwięk, zaczął przybierać na sile, jednakże każde z nich było nań swoiście uodpornione: Media - dzięki swej nowej obsesji, Virgil - dzięki staremu paraliżowi, a Trzepoczący Orzeł - dzięki niedawnemu zwycięstwu nad gorączką.

Cień siedział nieruchomo na krześle i słyszał wszelkie odgłosy poruszeń dochodzące z zewnątrz. W końcu kiedyś się poruszy. W końcu nadejdzie czas, by zajrzeć do książki leżącej pod poduszką. W końcu nadejdzie czas, by ukręcić szyję kurczakowi, a potem go zjeść. W końcu trzeba będzie sprawdzić, co jest przyczyną tych odgłosów. Ale jeszcze nie teraz. Na razie wystarczyło tak siedzieć w Liv siedziała tak długo, nieruchoma, kamienna, posągowa.

Na występie skalnym było chłodno i wilgotno. Dzień przeszedł w późne popołudnie. Trzepoczący Orzeł stał obok osiołka Liv, poklepując go leniwie i przypatrując się Virgilowi Jonesowi, który zachowywał się jak uczeń szukający skarbu.

(„Nie, powiedział wtedy, spotkanie z nią nie ma sensu. Lepiej zrobmy, co do nas należy”.)

Szesnaście kroków od skraju polany. Skręcił w prawo. Szesnaście kroków w prawo. Zatrzymał się. Za nim tkwił czarny dom, niewzruszony.

- Tutaj - powiedział Virgil Jones. - To musi być tutaj.

Trzepoczący Orzeł zamknął oczy i opanował dziki zamęt w myślach. Już czas. Podeszedł do Virgila, ślepego przewodnika, którego język migał w bolesnym napięciu. Sparaliżowany przez Różę, nie potrafił stwierdzić, czy zbliżyli się do właściwego miejsca. Dlatego Trzepoczący Orzeł musiał być królikiem doświadczalnym.

- Jeśli staniesz tu gdzie ja - powiedział Virgil - i skupisz się na Bramie, powinieneś ją znaleźć. - Zrobił trzy kroki w lewo i zaplótł nerwowo palce.

Trzepoczący Orzeł rzucił się do przodu i stanął w odpowiednim miejscu.

Znowu zamknął oczy.

Brama, myślał zapamiętałe. Przechodzę przez Bramę. To jest Brama. Przechodzę. To jest Brama...

Powtarzał to w kółko, gromadząc w sobie moc zgodnie z zaleceniami Virgila, czekając na moment, gdy Wymiary Zewnętrzne porwą go i zanoszą do Grimusa.

Czyżby jakaś zmiana klimatu? Czyżby nagle wtargnął tutaj jakiś powiew wiatru? Czyżby to ziemia pod jego stopami wydawała się tak dziwna? Wyrzucił z siebie te myśli, one cię rozpraszają. Skup się, skup. Brama i przechodzę.

Nic się jednak nie stało.

Natarczywy głos Virgila:

- Myśl o Róży. Idziesz do Róży.

Kamienna róża. Przychodzi do mnie, mogę wziąć ją do ręki. Będę trzymał różę, trzymał różę, trzymał różę...

Nic.

Otworzył oczy. Virgil patrzył nań z udręką.

- Co się dzieje?! - krzyknął. - Czy to Grimus?! Walczy z tobą?! Nie możesz przejść?! Musisz chcieć, chcieć! O to chodzi! Chcieć to móc!

- Virgil - powiedział cicho Trzepoczący Orzeł - tam nie ma Bramy.

- Oczywiście, że jest - zaprzeczył Virgil. - Oczywiście. Zawsze była. Przecież bym nie zapomniał.

- Tam nic nie ma - powiedział głucho Trzepoczący Orzeł.

- Nie czuleś, nie czuleś mocy? - spytał Virgil.

Trzepoczący Orzeł potrząsnął głową.

- Nie miałeś wrażenia, że zaraz zostaniesz... przeniesiony? - pytał dalej Virgil.

I znów Trzepoczący Orzeł potrząsnął głową. Czuł się pusty: po tym niepowodzeniu uszło z niego całe powietrze.

Virgil Jones osunął się na ziemię i ukrył twarz w dłoniach.

- A więc gdzieś ją przeniósł.

Słowa te dobiegły niczym echo z pustej jaskini. Trzepoczący Orzeł wiedział, że to już koniec. Ponieśli klęskę, zanim jeszcze doszło do starcia. Nagle zalała go fala gorczy.

- Nie wiedziałeś o tym? - spytał. - Nie przyszło ci na myśl, że może przenieść Bramę?

Virgil podniósł wzrok, słysząc w jego głosie cień pogardy.

- Tak, w teorii tak - odparł. - Tak, w teorii. Lecz w praktyce... Jego biegłość niewątpliwie wzrosła. Zbudowanie Bramy kosztowało go wiele trudu. Wiele trudu. Wiesz, to wcale nie jest takie proste. Nie było. Nawet nie przyszło mi na myśl, że może zrobić coś takiego.

- Nie przyszło ci na myśl - powtórzył Trzepoczący Orzeł, czując, że na usta cisną mu się obraźliwe słowa.

Virgil spojrzał na niego oczami zbitego psa.

- Znajdziemy ją - powiedział blado. - Nie może być daleko. Nie wierzę, by posiadał tak wielkie umiejętności. Trochę tu tylko powęszymy. Musi tu być. Znajdziemy ją.

- Tak - odparł Trzepoczący Orzeł, odwracając się w stronę czarnego domu.

W progu stała jakaś postać, od stóp do głów w czarnej szacie, z niewielkim otworem na oczy.

- Wiedziałam, że przyjdziecie - odezwała się bezbarwnym głosem.

Virgil Jones szedł chwiejnym krokiem przez niewielką równinę, mamrocząc coś pod nosem. Co pewien czas przystawał, zamykał powieki, by wycisnąć z oczu całą wilgoć, i tak trwał w myślowym paraliżu. Potem otwierał oczy, potrząsał głową i ruszał dalej chwiejnym krokiem. Brama wciąż nie dawała się znaleźć.

Liv powiedziała:

- Czy jemu się zdaje, że nigdy nie szukałam Bramy? Czy on sobie wyobraża, że zmarnowałam cały ten czas? Tak jak on mam powody, by nienawidzić Grimusa. Czy jemu się zdaje, że Grimus jest równie głupi jak Virgil Jones?

Jej głos nie był już bezbarwny - pojawiła się w nim przerażająco gwałtowna pasja. Jad, który się z niej sączył, przeraziłby nawet węża.

- Spójrz, Trzepoczący Orle - powiedziała. - Spójrz na Virgila Jonesa, twojego przewodnika i mojego męża, równie beznadziejnego w obydwu rolach. Gdy na niego patrzę, widzę człowieka tak samo opętanego jak każdy inny mieszkaniec Ch. A ty co widzisz? Ja widzę człowieka ścigającego cienie. A ty co widzisz? Chodź do środka, Virgil! - zawołała. - Może schowałam twoją Bramę w domu! Chodź i sprawdź!

Virgil Jones wciąż zaciskał powieki, snując się chwiejnym krokiem z miejsca na miejsce. Prawdopodobnie nawet jej nie słyszał.

- Najwyższy czas - powiedziała, zwracając się do Trzepoczącego Orła. - Najwyższy czas, byś się dowiedział prawdy o Virgilu Jonesie. Najwyższy czas, żebyś zrozumiał, jak wielką głupotą było mu zaufać.

Stali tam przez jakiś czas - kąśliwa, przepiętna nienawiścią Liv i poraniony, bezbarwny Orzeł - a wokół nich kręcił się Virgil Jones, powłócząc nogami i mamrocząc coś pod nosem, udreżony odległością dzielącą próbę od urzeczywistnienia. Między tym trojgiem ziały przepaście, a Trzepoczącemu Orłu zdawało się, że je widzi. A jednak to właśnie te przestrzenie w końcu ich złączyły i tak oto trwały, mimowolnie połączone: słabość, ignorancja i nienawiść.

Liv obróciła się na pięcie i weszła do domu. Trzepoczący Orzeł, po krótkim wahaniu, poszedł za nią. Zostawili Virgila Jonesa,

powłóczącego nogami, kruchego i zranionego, krocącego swą mamrotliwą drogą. Robiło się ciemno.

Media, kryjąca się na skraju zalesionych zboczy, ronila łzy współczucia nad ich porażką.

- Czy on ci opowiadał o Gorączce Wymiarowej? - spytała Liv. - Oczywiście, że nie. Przypuszczam, że chciał, żebyś przez to przeszedł, gdyż tylko pokonawszy ją, mogłeś się stać takim człowiekiem, jakiego on potrzebował. Czy ostrzegł cię przed niebezpieczeństwem, które ci groziło w Ch. z uwagi na twoją twarz?

- A cóż takiego jest z moją twarzą? - spytał ze zdumieniem Trzepoczący Orzeł.

- Nawet tego ci nie powiedział - odezwała się Liv. Potrząsnęła zakapturzoną głową, a w jej głosie zabrzmiało obrzydzenie. - Już dwukrotnie cię zmusił, żebyś narażał życie. A teraz znowu chciał to zrobić. I nawet tego ci nie powiedział.

- Dwukrotnie ocalił mi życie - zaoponował Trzepoczący Orzeł. - A na to, co zamierzał teraz zrobić, wyraziłem zgodę. Ale co z moją twarzą?

- Biedny, młody idioto - powiedziała Liv, kładąc się na łóżku. Trzepoczący Orzeł siedział sztywno na krześle, wśród nagromadzonego brudu. - Biedny, młody idioto - powtórzyła. - Twoja twarz przypomina twarz Grimusa, jak odbicie w lustrze. Jest trochę młodsza, bledsza, lecz bardzo podobna. Nie wiedziałeś, że to dlatego tak się tobą zainteresował? Wcale mu nie chodziło o Ptako-Psa, lecz o ciebie. Urodzony z Umarłej.

Dużo o nim wiedziała...

- Sispy - powiedział. - Czy Sispy i Grimus to ta sama osoba?

Leżąca, zakutana postać skinęła głową.

- Jeżeli moja twarz jest tak podobna do jego twarzy, to dlaczego Ptako-Pies nic mi nie powiedział? - spytał Trzepoczący Orzeł. - Przecież powinna... byliśmy wtedy sobie tak bliscy.

- Grimus po mistrzowsku potrafi się zmieniać - powiedziała Liv. - To pewne, biedny, głupi sobowtórze. Zafascynowała go właśnie twoja twarz. Ale dostał Ptako-Psa.

Okrutny śmiech. Myśli wirowały mu w głowie. Zapragnął zobaczyć tę twarz skrytą pod kapturem.

- I jeszcze jedno - dodała Liv. - Grimus jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. Czy ta informacja rzuca światło na cokolwiek?

Deggle nazywający go pięknišem.

Irina mówiąca: „Nie jesteś tym, za kogo cię brałam...”

Gribb stojący przy łóżku i mrużący: „Nadzwyczajne, doprawdy nadzwyczajne”.

Spojrzenia, którymi powitano go w Elbaroomie, jakby go poznano, i Peckenpaw mówiący tym swoim ciężkim głosem: „Jones i jakiś obcy”.

Widmo Kamiennej Róży.

Widmo Grimusa...

To dlatego Irina Czerkasowa czuła do niego tak gwałtowny pociąg. Stąd również brało się zainteresowanie Elfridy. Z tej przyczyny mała Media wpatrywała się weń tak uporczywie. I dlatego Jokasta czuła do niego instynktowną niechęć. Żył dzięki podobieństwu do innego człowieka, czerpiąc korzyści z jego zalet i cierpiąc za jego wybujałą osobowość. Więc to dlatego.

- Widzę, że jednak rzuca - stwierdziła sucho Liv. Przeciągnęła się leniwie na łóżku. - Cóż za fascynujące widowisko: a więc to tak prawda działa na ludzi.

- Prawda - wymamrotał Trzepoczący Orzeł.

- A teraz - powiedziała - dowiesz się prawdy o mnie. Opowiem ci wszystko, ponieważ jesteś godny prawdy. Prawda o Liv jest taka: nienawidzi Grimusa. Nienawidzi Virgila. Nienawidzi tej piekielnej góry.

- Ale żyje - stwierdził Trzepoczący Orzeł.

- Od nienawiści tylko krok do władzy - odparła Liv. - A władzy niełatwo się wyrzec.

Trzepoczący Orzeł chciał coś powiedzieć, lecz go uciszyła.

- Czas zajrzeć do książki - powiedziała, sięgając pod poduszkę.

W tym nędznym pokoiku, świadom, że nadzieje na jego odkupienie legły w gruzach z winy mamroczonego nieudacznika kręcącego się teraz na zewnątrz, i zredukowany do roli pionka w cudzej grze (słowami prawdy, której dowiedział się z ust tej zakapturzonej wieszczki), Trzepoczący Orzeł poznał historię Wyspy Cielęcej; poznał ją w chwili, gdy był pewien, że nic już nie zdoła zrobić. Jak zwykle

Rzeźby wbij ały w niego wzrok ze wszystkich ścian, a Liv wyjęła spod poduszki stary, bardzo stary notes owinięty w kawałek surowego, czarnego materiału.

- W owym czasie Virgil prowadził dziennik - powiedziała. - Nawet się nieźle czyta.

Z półki niestosownie zaskrzeczała kura.

- Poczytam ci z niego - oznajmiła. I zaczęła recytować. Recytować, ponieważ w domu było ciemno i z każdą sekundą dojrzewającego wieczoru robiło się coraz ciemniej. Wkrótce zapadł zmrok. Liv знаła ten tekst na pamięć.

środa, 19 czerwca

Moje dzienniki były mi zawsze przyjaciółmi. Słowo pisane przewyższa stałością istoty ludzkie. I uczciwością. Podsuwa nam zwierciadło, które ukazuje nasze niedociągnięcia, a zarazem brak mu złośliwości. Można to chyba nazwać przyjaźnią.

Chodzi o to, drogi przyjacielu, że dzisiaj - może bardziej niż kiedykolwiek - musisz mi okazać wyrozumiałość. To, o czym ci opowiem, jest szczerą prawdą, lecz trudno ci będzie w to uwierzyć. Nie wolno ci jednak nie dowierzać.

„W zabiegach ludzkich jest przypływ i odpływ: pora przypływu stosownie schwytna wiedzie do szczęścia”*. Drogi Brutus. Może jednak miał rację. Bez wątplenia w moim życiu zaczął się przypływ. Choć jednak związek

* William Szekspir, *Juliusz Cezar*, akt 4, sc. III, w przekładzie Józefa Paszkowskiego (przytłum.).

między przyływem a szczęściem jest cokolwiek słaby. Ale zbyt długo krązę po peryferiach tematu. Może po prostu nie chce mi się zacząć. A zatem zacznę.

Wszystkie poniesione przeze mnie klęski są ci doskonale znane: moje archeologiczne zamiary spaliły na panewce w rezultacie najczystszej wody lenistwa i chwiejności umysłu. Największą ironią jest to, że lenistwo doprowadziło mnie prostą drogą do pracy fizycznej. Jednakże długi trzeba słucać i nauczyłem się kopać. Nawet jeśli teraz grzebię nieboszczyków tam, gdzie niegdyś ich ekshumowałem. Najchętniej nazwałbym się człowiekiem układającym warstwy znalezisk dla przyszłych archeologów. To konieczność, gdyż jedynie takie przeświadczenie może nadać godność memu obecnemu zajęciu.

Ponadto, jak wiesz, pracę tę otrzymałem dzięki staraniom Nicholasa Deggle'a. Wczoraj złożył mi wizytę. (Przepraszam, że wtedy nie napisałem. Bieg wydarzeń złapał mnie za kark.) Przypuszczam, że zjawił się po to, by ze mnie szydzić. Uważam, że jest to najbardziej niefortunna cecha jego charakteru. Wybaczalna, być może, w wypadku wierzyciela. Zrozumiała, być może, gdy weźmie się pod uwagę moje obecne zajęcie.

Albowiem, mój przyjacielu, prawda jest taka, że jestem nie tylko grabarzem - jestem grabarzem zwierząt! Zakopuję całe tuziny ukochanych spanielków i oplakiwanych kundelków. Podobno każdy od czegoś zaczyna. Trudno o bardziej pokorny początek.

Część cmentarza przeznaczona dla zwierząt znajduje się na samym jego skraju, tuż obok połaci porośniętej gęstym lasem. Oddawszy ziemi trzeciego pieska salonowego, poszedłem tam na małą przekąskę: dwa ciastka i kawałek sera. Właśnie tam znalazłem tę Rzec.

Początkowo zdawało mi się, że to jakiś nagrobek, który się zapodział. Przyjrzawszy się jednak uważniej, stwierdziłem, że jest to coś znacznie bardziej nieokreślonego. To coś miało wysokość przeciętnego człowieka i było doskonale wyrzeźbione w kamieniu.

Przypominało różę o idealnie regularnych kształtach i tak właśnie teraz to nazywamy: Kamienną Różą.

Wyrastała z samego środka jakiegoś krzaka. Nie przypuszczam, by ktoś celowo ją tam ukrył. Po prostu tam była. Przedarłem się do niej, drapiąc sobie ręce i nadrywając rękaw płaszcza.

Obawiam się, że teraz musisz mi uwierzyć na słowo, przyjacielu. Otóż dotknąłem tego czegoś i stało się coś absolutnie przerażającego. W głowie mi zawirowało, a przed oczyma pojawiły się jakieś dziwne obrazy. Niewątpliwie straciłem przytomność. Gdy odzyskałem zmysły, leżałem na ziemi, tuż obok Róży, pokryty kurzem i kilkoma nowymi zadrapaniami. Ze wstydem muszę wyznać, że w pierwszym odruchu chciałem uciec. Powróciłem jednak do moich obowiązków i poszedłem zakopać kolejnych kilka zwierząt. Wtedy pojawił się Deggle. Pogarda, z jaką mnie potraktował, sprawiła, że zaprowadziłem go do Róży. Po prostu chciałem się przekonać, czy na niego podziła podobnie. Jeśli tak, skończyłyby się jego szydercze

I efekt był podobny. Byłem zmuszony polać Deggle'a wodą, by go ocucić. Napisałem „byłem zmuszony”, wyznam jednak, że użyłem więcej wody, niż musiałem.

Gdy wyszliśmy z lasu, wstrząśnięci i przerażeni, stwierdziliśmy, że przygląda się nam bacznie jakiś dość wysoki mężczyzna o jasnych włosach, który nie wiadomo dlaczego robił wrażenie znacznie starszego, niż był w rzeczywistości. Przypuszczam, że ma około pięćdziesięciu pięciu lat i jest doskonale zakonserwowany, lecz wygląda na starszego. Jeśli, rzecz jasna, stwierdzenie to nie brzmi nazbyt oksymoronicznie. Przyniósł pochować ptaka, wielobarwnego rajskiego ptaka. Przedstawił się jako Grimus; jego akcent świadczy, że pochodzi z Europy Środkowej i niewątpliwie jest uchodźcą.

Na naszych twarzach musiało się malować przerażenie, skoro od razu zapytał nas, co się wydarzyło. Po krótkiej rozmowie, podczas której jego ciekawość wyraźnie wzrosła, poprowadziliśmy go do lasu, gdzie dotknął Róży.

Odszedł od niej chwiejnym krokiem, chwytając się za głowę. Lecz nie zemdłał. Oczywiście natychmiast uznaliśmy go za istotę wyższego rzędu. Być może dlatego właśnie zgodziliśmy się utrzymać istnienie Róży w tajemnicy - do czasu, aż uda nam się lepiej zrozumieć jej fenomen.

Zaprosił nas tego wieczoru do siebie, na dłuższą pogawędkę. Już wówczas nie potrafiliśmy się oprzeć wrażeniu, że tworzymy coś na kształt konspiracji. Po raz kolejny zjawił się na cmentarzu, gdy kończyłem pracę i stałem nad pustą trumną. Używając drągów i sznurów, wydobyliśmy Różę z ziemi, po czym - starając się jej nie dotknąć - umieściliśmy w trumnie. Wcześniej Grimus podjechał pod las swoim kombi i wykradliśmy nasz skarb niczym trójka hien cmentarnych. Czuliśmy się jak przestępcy, choć żadnego przestępstwa nie mieliśmy na sumieniu.

Grimus mieszka w jednym z obskurnych szeregowców na południowo- zachodnim skraju miasta. W środku jego dom jest równie obskurny jak na zewnątrz i zaśmiecony zdumiewająco pokazną liczbą książek i innych, różnej maści przedmiotów. Jest tam dużo wypchanych ptaków oraz pamiątek świadczących o licznych podróżach. Wszędzie wiszą jakieś obrazy, zapewne orientalne, przedstawiające w przeważającej mierze tematy ornitologiczne. Grimus interesuje się mitycznymi ptakami i gdy o nich opowiada, wydaje się osobliwie ptasi: trzepocze rękoma i mówi świergotliwym głosem. (Sam podzielał jego pasję, aczkolwiek na sposób amatorski.) Ponadto ma on szczególny dar - potrafi rozbudzić nasze zainteresowanie tym, czym się zajmuje, dzięki czemu nie mamy okazji się nudzić.

„Grimus” nie jest jego prawdziwym nazwiskiem. Wyznał to nam bez wahania. Przyjął je jakieś trzydzieści lat temu, gdy przybył do tego kraju, poprzednie bowiem było niewymawialne. I w tym również pozostał sobą -gdyż owo przybrane nazwisko jest anagramem nazwy mitycznego ptaka: Simurga.

- Simurg - wyjaśnił nam ochoczo - to Wielki Ptak. Ogromny, wszechmocny i jedyny w swoim rodzaju. Jest sumą wszystkich ptaków. W pewnym sufickim poemacie opisano, jak to trzydzieści ptaków wyrusza, by znaleźć Simurga na szczycie góry, który zamieszkuje. Gdy docierają wreszcie do celu, przekonują się, że same są, lub raczej stały się, Simurgiem. Otóż imię to znaczy właśnie „trzydzieści ptaków”. *Si* to „trzydzieści”, a *murg* - „ptaki”. Fascynujące, fascynujące. Mít Góry Cielęcej.

I zapewne znów zacząłby się nad tym rozwodzić w nieskończoność, gdyby Deggle mu nie przerwał, przypominając o Róży.

- Ach tak, prawda - powiedział. - Róża. Róża ma Moc.

- Jesteś okultystą? - zapytałem z przygnębieniem.

Okultyzm mnie przygnębia. Jest taki ponury.

- Niezupełnie - zaczął. - Mam po prostu szerokie horyzonty. I to jest to. Skoro Róża ma Moc, musimy się dowiedzieć jaką. Otwórz trumnę - zakomenderował, zwracając się do mnie. Burzyłem się przeciwko temu poleceniu, lecz zrobiłem, jak powiedział. Grimus zbliżył się szybko do Róży i zanim się zorientowaliśmy, co robi, chwycił ją mocno. Krzyknął z bólu, lecz nie zwolnił uścisku. Dostrzegłem, że oczy mu się rozszerzają i stają się coraz większe.

Potem zniknął. Róża została na swoim miejscu, lecz przysięgam, że jego nie było. Zniknął. Cicho i łagodnie.

Powrócił po kilku minutach, uśmiechając się promiennie i potrząsając głową.

- Wspaniale - oznajmił. - Naprawdę wspaniale.

Deggle i ja spojrzeliśmy po sobie.

- Wy też musicie spróbować - powiedział Grimus. - Musicie.

I w końcu daliśmy się namówić, lecz dopiero pod wpływem znacznej ilości wybornej brandy, którą poczęstował nas Grimus. Obaj byliśmy przerażeni, ale jestem pewien, że Deggle bał się bardziej niż ja. Bo przecież miał znacznie więcej do stracenia: przeświadczenie o swej przytłaczającej wyższości. Deggle'owi brakuje pokory.

Nie mam wręcz słów, by opisać ci planetę Aimeiz. Muszę ochłonać i wszystko dokładnie przemyśleć. Chwilowo powiem jedynie, że podróżowaliśmy przez... co? Nie wiem. Natknęliśmy się na formy życia niebywale nas przerastające. Nagle okazało się, że świat pełen jest cudownych możliwości.

I właśnie ja to odkryłem!

- Opuszczę następną część - powiedziała sztywno Liv. -Jest tam opis innych podróży, które odbył.

W pokoju panował teraz mrok. Orzeł słuchał oniemiały tego monotonnego recytatywu.

poniedziałek, 1 lipca

Dzisiaj Grimus dokonał największego odkrycia oraz przedstawił swój wielki plan. Przyznać muszę, że jestem oczarowany. Deggle jest ponury i zamknięty w sobie, mam wrażenie, że wcale mu się to nie podoba, Róża jednak trzyma go równie mocno jak każdego z nas. Pomimo że po tej pierwszej wizycie na planecie Aimeiz nie chciała z niej więcej korzystać.

- I bez tych sztuczek człowiek ma dosyć kłopotów - powiedział dzisiaj. A jednak wciąż przychodzi: przychodzi każdego wieczoru, gdy siadamy wokół trumny w salonie Grimusa, aby wyruszać w Konceptualne Podróże, których mechanizm wyjaśnił nam Abaż. Przychodzi, siada i patrzy gniewnie, jak Grimus i ja na zmianę wyruszamy w drogę.

Jakże niewiele czasu było mi trzeba, by zaakceptować to, że istnieje nowy wszechświat, by bez zdziwienia, siedząc w podmiejskim salonie, obserwować człowieka, który znika i wkrótce zjawia się ponownie, a potem robić to samemu! Najwidoczniej, podobnie jak Grimus, również mam (to jego określenie) szerokie horyzonty. Szczęśliwiec. Dziś jednak owe szerokie horyzonty zostały wystawione na przykrą próbę. Grimus przywiózł coś z Podróży.

Nigdy przedtem do naszego wszechświata nie zawędrował żaden przedmiot z zewnątrz. Przywiózł ze sobą dwie buteleczki. Jedną z nich wypełnia żółty płyn. Drugą-niebieski.

- Żółta na życie wieczne. Niebieska na wieczną śmierć - powiedział. Oto jego wielki plan. Tak go opisał, a przynajmniej tak to pamiętam: - Mamy obecnie możliwość udzielania daru życia - rzekł tym swoim miękkim, słowiańskim głosem. - Proponuję więc, byśmy wzięli na swoje barki tę odpowiedzialność. Pierwszym nieodzownym krokiem jest przyjęcie tego daru przez nas samych. Drugi nieodzowny krok polega na ustaleniu, kto jeszcze go otrzyma. Proponuję pewne kryteria wyboru: muszą to być ludzie czerpiący przyjemność z życia. Ludzie wykonujący pracę, która przez całe wieki będzie przynosić korzyści i satysfakcję. Krótko mówiąc: ci, którzy skorzystają z dłuższego życia i którzy bardzo go pragną. Trzeci nieodzowny krok polega na znalezieniu jakiegoś schronienia. Miejsca, do którego będą mogli przybyć ludzie zmęczeni światem, lecz nie zmęczeni życiem.

- Chwileczkę - przerwał Nicholas Deggle. - A jak niby mielibyśmy wybierać tych ludzi?

Wtedy Grimus sięgnął do kieszeni popielatego płaszcza, który zawsze wkładał na czas Podróży, i wyciągnął Kryształ Wodny.

- Z jego pomocą - powiedział - oraz dzięki odpowiednio ustawionej Róży możemy widzieć życie tych, których, zgodnie z techniką Abaży, poddajemy Konceptualizacji. Najnormalniej w świecie skupiamy myśli na odpowiadających kryteriom Adresatach, a oni pojawiają się tutaj zupełnie jak na ekranie telewizyjnym. Potem zaś, ponownie ustawiając Różę, udajemy się do nich.

- Zabawa w Boga - zauważył Deggle. - Trochę niebezpieczne, co?

- A może wolałbyś przekazać tę wiedzę jakimś władzom? - warknął Grimus. Gorycz i nienawiść do władzy sączącej się z jego głosu miały niewątpliwie źródło w jakichś strasznych przeżyciach z czasów, nim został Grimusem Ptasznikiem.

(Nigdy się nie dowiedzieliśmy, jak się naprawdę nazywał.) - A może wolałbyś, żeby zamknęli cię w zakładzie dla umysłowo chorych? Albo chciałbyś patrzeć, jak różne rządy wykorzystują nasz dar do produkcji broni i prowadzenia wojny? Zrobimy to sami albo wcale. Powiem tylko jedno: dopuścić do zmarnowania wiedzy tak niezwyklej to więcej niż zbrodnia. To grzech.

Liv przerzuciła kilka stron. Szukanie odpowiedniego miejsca było jednym wielkim cyrkiem, bo ani razu nie zerknęła do pamiętnika.

Zatem budujemy świat. Nie potrafimy powiedzieć, czy znaleźliśmy tę wyspę, czy też ją stworzyliśmy. Ja skłaniam się ku tej drugiej hipotezie, Grimus natomiast ku pierwszej. Utrzymuje on, że Technologia Konceptualna jedynie ujawnia byty stanowiące lustrzane odbicia naszych pojęć. Nie jestem tego aż tak pewien. Jednak stworzyliśmy wyspę przypominającą raj: żyzną, bujną i zieloną. Grimus nadał jej nazwę: Wyspa Cielęca. Góra na niej to Góra Cielęca. Cielę. Cielec. O jakiego cielca tu chodzi? Złotego? Czas pokaże.

Przejdźmy do sprawy ludności: Grimus spędza teraz cały czas przy Kryształach Wodnym. Odkrył coś: otóż każde życie, jakie dostrzeżę w kryształach, pochodzi z minimalnie tylko różniących się od siebie wymiarów, istnieje tylko w nieco różniących się od siebie potencjalnych teraźniejszościach... to jego określenie. Czy asymilacja imigrantów z tych jakże różnych planet i stworzenie z nich jednego społeczeństwa okaże się problemem? Grimus podchodzi do tego z radosnym optymizmem. Wszelkie różnice są zbyt drobne, by miały jakiegokolwiek znaczenie. Ufam, że ma słuszość.

Liv znowu przerzuciła kilka kartek.

*Wyspa Cieleca, dzień pierwszy
poniedziałek, 1 stycznia*

Ta data jest arbitralna. Człowiek jednak chyba powinien zaczynać od jakiegoś początku. Teraz wszyscy znajdujemy się na Wyspie Cielecej, w miasteczku zwanym po prostu Ch. Grimus bardzo sprytnie ustalił ten początek: w rezultacie przemysłowego wykorzystania Róży ktokolwiek, kiedykolwiek i skądkolwiek chce przybyć na Wyspę Cielecą (a gruntownie sprawdzał wszystkich Adresatów), zrobi to tego samego dnia.

- Jest to proces wyrównania czasowego - mówi Grimus, a ja mu wierzę. Twierdzi tylko, że w jednej kwestii jego ocena była błędna. Źle wyliczono podróż filozofa Ignatiusa Gribba i jego małżonki, Elfridy; dlatego będziemy jeszcze musieli na nich poczekać.

W Ch. radosna atmosfera; mieszkańcy spotykają się ze sobą, wrażenie raju. Jesteśmy nieśmiertelni, a to jest nasz Olimp. Szczęśliwy dzień, w którym zacząłem pracę na cmentarzu dla zwierząt.

Kolejna przerwa. Tym razem w głosie Liv pojawiło się napięcie, którego dotąd tam jeszcze nie było.

piątek, 26 stycznia

Dziś opowieść o dwóch kobietach. Z mojego punktu widzenia jest to opowieść radosna.

Liv Sylwan jest dziwką. Niezwykłą dziwką. (Nawiasem mówiąc, to dziwne, że tyle dziwek wybrało Wyspę Cielecą. Ta praca musi przynosić olbrzymią satysfakcję.) Liv cieszy się swoją urodą i lubi pracować swoim ciałem. Zupełnie nie ma wstydu. Objawia ponadto niezwykle talenty przywódcze. Od razu zapanowała nad całym burdelem. Jokasta - zajmująca drugie miejsce - była w zasadzie jedyną konkurentką. Lubię Jokastę. Ale Liv jest... no cóż, Liv jest.

Tu czuję się w obowiązku wyznać, że dopóki nie znalazłem Róży, nigdy nie zasłużyłem na miano seksualnego giganta. Mimo moich gabarytów bardziej pasowało do mnie miano pigmeja. I bynajmniej nie winię tutaj dam, tych słodkich, rozkosznych, dupiatych i cycatych stworzeń. Któraż by chciała poczuć na sobie mój miazdzący ciężar? Dzięki Róży zyskałem pewność siebie. Podróżowałem do krain, gdzie grubi mężczyźni byli takim samym obiektem pożądania jak rubensowskie kobiety. Postrach wszystkich cycuszków - to ja. Virgil Jones symbolem seksu! Niezwykłe.

Trudno mi uwierzyć, że Liv Sylwan mnie pragnie. Jednak powiedziała, że tak, a ja nie mogę zarzucić jej kłamstwa. Więc mnie pragnie. Lecz dlaczego? Na litość boską, dlaczego? Mówi, że zrezygnuje z pracy, by prowadzić dom dla Deggle'a, Grimusa i dla mnie - doprawdy tego nie pojmuję. Darowanemu koniowi jednak nie zagłada się w zęby. Szczęśliwy dzień, w którym piękne kobiety zapragną brzydkich mężczyzn po prostu dlatego, że się im spodobają.

Zamierzamy się pobrać. Najwyraźniej Grimus był niegdyś mnichem, więc udzieli nam ślubu według przykazań swojego Kościoła, choć nie jestem człowiekiem pobożnym. Ceremonie to

Co się tyczy Grimusa... to dziwny z niego stwór. Nie znam się na męskiej urodzie, lecz powiedziałbym, że najbardziej atrakcyjny z całej naszej trójki jest Nicholas Deggle. Najwyraźniej jednak tak nie jest. Wszystkie one pożądają Grimusa, który jest ulubieńcem zarówno dziwek (z wyjątkiem, rzecz jasna, mojej Liv), żony rolnika, jak i rosyjskiej hrabiny. Problem polega na tym, że on ani trochę się nimi nie interesuje. To przez tę jego zakonną przeszłość. Wycwiczony w celibacie. Może tu właśnie tkwi sekret. To, co niedostępne, smakuje najbardziej.

Najuporczywsza jest Indianka Axona, Ptako-Pies. Brzydszą trudno sobie wyobrazić, chodzi za nim krok w krok niczym pies, co chyba jest dość naturalne, zważywszy jej imię. Choć się do niego przymila, on nie ma

dla niej czasu. Najprawdopodobniej Indianka traktuje go jak szamana i uwielbia go, biedne, proste dziecko. Niebawem się tym zmęczy.

Ciekawa sprawa wiąże się z bytnością Ptako-Psa. Grimusa opętała kiedyś myśl o znalezieniu swego sobowtóra.

- Logicznie rzecz biorąc - powiedział pewnego razu - w nieskończonym wszechświecie musi gdzieś istnieć duplikat mojej osoby. Ale nie to mnie interesuje. Poszukuję jedynie pewnego podobieństwa. Podobieństwa, w którym istnieje jednak pewien

Dlatego ogromnie się ucieszył, kiedy w Kryształ Wodnym zamajaczył Płaskowyż Axonów. Jednak nie wszystko ułożyło się po jego myśli. Brat Ptako-Psa jeszcze nie wybrał Wyspy Cielęcej. Może tak zrobi, a może nie.

Może zaś Grimus wcale nie żywi takiej nadziei. Z nim nigdy nic nie wiadomo.

Liv przewróciła gwałtownie kilka stron.

czwartak, 5 kwietnia

Nic nie idzie jak trzeba. Czuję to. Znikła gdzieś atmosfera radości. A gdy ona znika, wszystko traci sens. Grimus jest jednak odmiennego zdania.

-To jest Wielki Eksperyment - mówi. - I nie może się nam nie udać. - Wątpię, czy siła jego pewności będzie w stanie utrzymać nas razem. Wieczność trwa bardzo długo.

Poza tym nasza trójka nigdy nie przechodziła żadnych testów, które by potwierdziły, że się do tego nadajemy. Uznaliśmy za oczywiste, że zasługujemy na nieśmiertelność, tak jak bez wahania uznaliśmy, że Wyspa Cielęca jest miejscem stworzonym dla nas. Tymczasem mogliśmy się po prostu mylić.

To wszystko przez te samobójstwa. O tak. Dlatego właśnie Grimus wpadł we wściekłość. Nie powinni się byli tu pojawiać, mówi. Powinni byli w spokoju opróżnić swoje niebieskie buteleczki

całkiem gdzie indziej. A nie zabijać się tutaj. Deggle mówi, że przybycie na Wyspę Cielecą to tak jak ślub. W końcu dojdzie do tego, że dużo ludzi zapragnie rozwodu, bez względu na to, jak bardzo byli kiedyś zakochani.

Po tych samobójstwach ludzie zwracają się przeciwko nam, a Deggle jest po ich stronie. Czyżby miał rację? Nie, na pewno się myli. Wszyscy dokonali wyboru z własnej, nieprzymuszonej woli. To nie nasz błąd.

Jak ślub... byłem ślepy, to jasne. Liv wcale mnie nie kocha. Dobrze o tym wiem. Wtedy też to wiedziałem. Ale sądziłem, że mnie lubi.

Liv uwielbia władzę. Uwielbia być w samym jej centrum. Uwielbia być blisko Grimusa. I jest, dzięki mnie. To już jednak koniec. Koniec raj. Nie uprawiamy miłości. Natomiast ona toczy bezustanne dysputy z Grimusem.

Podśledzałem coś takiego:

- Twoje imię - powiedział Grimus - to LIV. Rzymianie zapisywali tak liczbę pięćdziesiąt cztery. Gdy wypilem eliksir, miałem pięćdziesiąt cztery lata. Liczby łączą nas na zawsze.

Wiedziałem, że Grimus interesuje się numerologią. Lecz czy jest to tylko i wyłącznie mnisia, mistyczna więź? Zaczynam być zazdrosny. Liv twierdzi, że nie mam powodów. I ma rację. Między nami nie ma nic.

Wszystko się psuje.

wtorek, 1 maja

SOS, na pomoc. Wielki plan legł w gruzach i my z nim. Postaram się, mój przyjacielu, przedstawić ci wszystko beznamiętnie, choć może mi się to nie udać.

Wszystko zaczęło się przez Deggle'a. Przemoc.

A zakończyła to Liv.

Zacznijmy jednak od początku. Zacznij od początku i kontynuuj, aż dotrzesz do końca, a wtedy się zatrzymaj. Rozsądne instrukcje. A zatem początek.

Dwie noce temu. Obudził mnie przeraźliwy trzask w Pokoju Róży. Udałem się tam tak szybko, jak tylko pozwala mi na to moja waga. Na miejscu był już Grimus, w swojej idiotycznej koszuli nocnej i szlafmicy, jak wielki, rozzłoszczony kobold, wpatrzony w katastrofę.

Róża leżała na ziemi, a spod przewróconej trumny wystawał kawałek łodygi! Nad nią zaś pochylał się Deggle, z twarzą wykrzywioną z wściekłości.

Już od pewnego czasu mam wrażenie, że nie wszystko jest z nim w porządku, zastanawiam się też, do jakiego stopnia rosnąca wrogość miasteczka wobec Grimusa i mnie stanowi rezultat jego tajemnych knowań. Ch. przechodzi niezwykle trudny okres. Nie mówiąc już o samobójstwach (które, dzięki Bogu, najwyraźniej mamy za sobą), wiele osób zdezerterowało z Ch. Ludzie ci postanowili żyć poza jego granicami, w dole, na zalesionych stokach góry. Ch. zostało ośmieszzone, mieszkańcy są niezadowoleni. Nic więc chyba dziwnego, że - niech nas Bóg broni - wyładują gniew na osobach odpowiedzialnych za stworzenie Wyspy Cielecej. Lecz ta przemoc... i pogłoski o zamiarach zniszczenia piekielnej maszyny Grimusa... Zdawało mi się, że przemoc już dawno zostawiliśmy za sobą. A sama Róża... już nic o niej nie wiem.

Opanować się, opanować.

Deggle zbyt dużo czasu spędza w Elbaroomie. Może mu się zdaje, że jest kimś w rodzaju zbawiciela. Mesjasza dla ludu. Wyzwoliciele. Między nami nigdy nie było cieplejszych uczuć. Prawdopodobnie ta nienawiść zakorzeniona jest znacznie głębiej.

W każdym razie przyłapaliśmy go, gdy usiłował roztrzaskać Różę! Grimus szybko otrząsnął się z osłupienia i - demonstrując niespodziewaną siłę - wyrzucił go z pokoju.

- Trzeba ją sprawdzić - powiedział i resztę nocy spędził zamknięty z Różą, dopasowując, zmieniając, sprawdzając. Dopiero przed świtem oznajmił z zadowoleniem, że nic nie zostało uszkodzone.

Żadnych uszkodzeń!

- Nigdy więcej nie można dopuścić do czegoś takiego - powiedział wtedy, a w jego głosie zabrzmiały te same twarde tony, jakie zapamiętałem jedynie z jego krótkiej diatryby przeciwko władzy. - Ta Róża to najważniejsza rzecz na całej wyspie - dodał. - I dlatego musi być bezpieczna. Pomożesz mi?

Stałem oczarowany ogniem płonącym w tych jasnych oczach z ciężkimi powiekami.

- Jak? - zapytałem.

- Nie jestem pewien, czy dam radę w pojedynkę - odparł. - Trzeba będzie połączyć nasze siły woli. Musimy wyrzucić z wyspy tego wandalę. Dziś w nocy widziałem się z Abażem: nauczył mnie pewnej techniki. Problem polega na tym, że jest bardzo trudna.

Nie będę streszczał całej rozmowy. Powiem tylko, że do pokoju Róży poszliśmy w zgodzie. Od razu jednak poczułem się nieswojo.

Jak to wyjaśnić? W pokoju wyczuwałem coś, co przypominało łagodny, ledwie słyszalny jęk. Nie, to nie było w pokoju. W mojej głowie. Ten jęk był najgłośniejszy blisko Róży. Zapytałem o to Grimusa, nieco zaniepokojony. Rozwiązał jednak moje obawy: całe to wydarzenie nie wpłynęło ujemnie na działanie Róży.

-To tylko zwykły jęk - powiedział.- Chupor Abaż wcale się tym nie martwi.

Ustawił Różę, po czym skoncentrowaliśmy się na naszych zamiarach, powtarzając następujące słowa: IXSE SIXITES SIXE IXSETES EXIS EKISTIS. Przypuszczam, że jest to wariant formuły SISPI stosowanej do Podróży między potencjalnymi terazniejszościami.

Od tamtej pory Deggle nie pojawił się więcej na Wyspie Cielęcej. Chyba więc został skutecznie wydalony. Nie wiem, dokąd go wysłaliśmy, lecz zniknął na dobre. Rzecz jasna nasz Kryształ Wodny znajdzie go, jeśli będziemy tego chcieli. Ja wcale tego nie chcę. Nie teraz.

W moim odczuciu wszystko to, co robiliśmy z Różą, stanowiło rytuał. Ze względu na swą niemechaniczność. No cóż. Stało się to po zakończeniu rytuału. Poczułem, że kręci mi się w głowie. I na pewno czułem się niedobrze. Grimus powiedział:

- Pozbycie się Deggle'a nie wystarczy. Musimy przenieść Różę w bezpieczniejsze miejsce. Mam pewien plan.

Ledwo słyszałem jego głos... słabł i słabł.

(No dobrze, Virgil, opanuj się, opowiedz to spokojnie.)

Ten jęk. To na pewno był ten jęk, na pewno. Przez to, że tak długo trzymałem Różę, tak blisko. Dlaczego jednak nie podziałał tak samo na Grimusa...?

Od tego jęku w mojej głowie zaroilo się od różnych kształtów, obrazów, potworów i strachów. Strachów. Strachów. Próbowałem uciec, lecz nie mogłem. One były we mnie.

Halucynacje? Nie, nie, to wszystko było aż nazbyt rzeczywiste, nawet powodowało ból. Nie, pióro wręcz wzdraga się przed opisywaniem tego piekła, które czułem i widziałem, oraz otchłani, w jakie się zapuszczałem. Zdawało mi się, że ktoś wypuścił z zakamarków mojej wyobraźni armię wszystkich możliwych strachów, moich najgłębszych lęków, które stały się ciałem. Przeróżające, naprawdę przerażające. Nie, więcej już nie chcę o tym mówić... Gorączka Wymiarowa - tak to nazwał Grimus.

Gdy wróciłem do przytomności, Grimus siedział tuż obok, zatroskany, na podłodze w Pokoju Róży. Ocalił mnie, nastawiając Różę na moje współrzędne i wyciągając mnie z otchłani mego jestestwa. Róża więc może nie tylko uzdrawiać, ale i ranić. Jeszcze nigdy się jej tak nie bałem.

Największym jednak lękiem napawa mnie to, że nie mogę jej już używać.

Grimus chciał, bym jeszcze raz spróbował, jak narciarz po zjeździe zakończonym upadkiem. Nastawił Różę na planetę Aimeiz i chwyciliśmy ją mocno.

Nie udało mi się! Mimo usilnych starań nie mogę używać Róży.

To jak paraliż umysłu. Wprawdzie dzięki temu nie dręczy mnie już ten zdradziecki jęk, lecz nie mogę zbadać tych wszystkich niezliczonych wszechświatów, których dotąd nie było mi dane odwiedzić. Zostało mi tylko jedno - Wyspa Cielęca. I cała jej ponura scheda.

A teraz będę zwięzły, bo popadnę w sentymentalizm.

Po raz pierwszy stosując Różę do Podróży wewnętrznej, Grimus przeniósł się - wraz z nią - na szczyt góry. Kosztem ogromnego wysiłku udało mu się stworzyć podwójną ochronę przed wpływami wyspy: widzialną barierę chmur, sprawiającą, że w ogóle go nie widzimy, oraz coś na kształt pola siłowego, którego nie możemy pokonać. Jest tylko jedna Brama. Pokazał mi ją na wypadek, gdyby sytuacja się jakoś poprawiła. Ale się nie poprawiła.

Jego odejście spowodowało koniec mojego - nie, nie mogę tego nazwać małżeństwem - mojego konkubinatu z Liv. Zostałem zmuszony do odgrywania roli widza w tym poniżającym przedstawieniu, w którym moja żona płaszczyła się przed Grimusem, błagając, by zabrał ją ze sobą. Rzecz jasna, ten mizogin odmówił. Stwierdziłem wtedy, że opanowuje mnie gniew, gniew na niego za to, co zrobił, za to, że obraził moją żonę! Wyobraź sobie coś takiego, mój przyjacielu. Jakże nisko upadłem.

Przedstaw sobie teraz wściekłość Liv, gdy wyszło na jaw, że zamiast niej bierze ze sobą Ptako-Psa, tę Indiankę. Wybór jak najbardziej logiczny. Nie potrzebuje przecież kochanki, lecz służącej. Przypuszczam, że ta nadskakująca Axonka będzie doskonałą służką; przecież uważa go niemal za półboga.

Ponieważ nie było pod ręką Grimusa, całą swą furię Liv wyładowała na mnie. Z jej ust padły słowa tak okrutne, że nawet nie chcę ich zapisywać na tych stronicach. Gardzi mną dlatego, że nie mogę mu dorównać, chociaż nigdy w życiu nie twierdziłem, że tak jest. Gardzi mną również z powodu mego paraliżu, przez który nie może mu towarzyszyć. Nie chce mieć ze mną nic wspólnego. W jej oczach jestem tylko grubym, słabym człowiekiem.

Przypuszczam, że nie jest daleka od prawdy. Tak. Chyba jednak nie jest.

Dom, w którym mieszkaliśmy, świeci teraz pustkami. Liv udała się na górę, niewątpliwie po to, żeby być jak najbliżej Grimusa. Jednak nie wie, gdzie znajduje się Brama ani jaka dzieli ją od niej odległość. Zresztą nawet gdyby wiedziała, Grimus i tak nie pozwoliłby jej przez nią przejść. On obserwuje wyspę przez Kryształ Wodny, chroniąc zarówno Różę, jak i swoją prywatność. Teraz Róża jest dla niego najważniejsza.

Jokasta opiekuje się mną. Zresztą zawsze była mi przyjaciółką. Podejrzewam silną animozję między nią a Liv. Przyjęła mnie, ponieważ Liv mną pogardza. Dociekanie motywów ludzkich działań mam już za sobą - gdy ktoś proponuje mi swoje towarzystwo, zgadzam się bez zastrzeżeń.

Naprawdę SOS.

sabat, 29 września

Wyjeżdżam z Ch. Miasteczka, które oszalało przez maszynę. Miasteczka żołnierzy, policjantów, aktorów, myśliwych, dziwek, pijaków, nicponi, filozofów, służących, kretynów, rzemieślników, farmerów, sprzedawców butów, artystów zjednoczonych niemożnością poradzenia sobie ze światem, który został im narzucony. Zwłaszcza że - jak mówią - wino robi się coraz podlejsze. Nie mogę tego słuchać. Doprowadziło to niektórych do białej gorączki, a innych do czegoś, co określają mianem Drogi Ch. Drogi Gribba. Gribba i pani Gribb, przybyłych tu niedawno. Nie ulega wątpliwości, że Grimus maczał palce w ich przyjeździe, lecz teraz oni zaprzeczają istnieniu Efektu, jak i samego Grimusa. Ich obroną jest obsesja. Trudno mi znieść to, co się dzieje w Ch., miejscu niegdyśszej radości. Choć umysł mam sparaliżowany, ciało na szczęście

Wina. To na pewno czyjaś wina. Nasza. To przecież my przeprowadziliśmy ten eksperyment. Lecz Róża... Róża

to cudowna rzecz. Jakim więc sposobem przyniosła tak wiele cierpienia? To straszne, gdy taki cud powoduje takie zniszczenia. Muszę stąd wyjechać. Nie chcę patrzeć na to wszystko. Dolores O'Toole wynosi się stąd. Pójdę razem z nią.

Jeśli chodzi o ciebie, mój przyjacielu, to także musimy się rozstać. Nie chcę już mieć żadnych przyjaciół. Poświęcę cię dla Iiv, jako ofiarę przebłagalną. Zabiorę cię do niej. Prawdopodobnie będzie ci odrywać kończynę po kończynie albo ciśnie cię gdzieś w kącie, jak zrobiła ze mną. Taki będzie twój los. Może dzięki temu uda mi się zapomnieć o mojej przeszłości. Może zapomnę o Ch. i tych wszystkich okropnościach, które odcisnęły się w moim umyśle. Dzięki tobie dokonam samopoświęcenia. Nie ma większej miłości, niż gdy ktoś oddaje życie za przyjaciół.

Powiem ci jeszcze jedno o tej, która cię zniszczy. Była taka chwila, kiedyś, w przeszłości, której niebawem pozbędę się z pamięci, chwila, w której myślałem, że ona mnie pragnie. Świadomość tego, że się myliłem, nie umniejsza bynajmniej cudowności tej chwili. Jestem jej za to wdzięczny. Początki są zawsze lepsze od końców. Wówczas wszystko było możliwe. Teraz - nic.

Mrok. Książka zamknięta, owinięta i odłożona na miejsce. Cicha kobieta w czarnej szacie podnosi się z krzesła, staje przed nim sztywno. Krótkie gładnięcie kury. Na zewnątrz szaleńcze człapanie autora tego dziennika, szukającego przejścia, którego nie może ani znaleźć, ani nim przejść. I jeszcze dziwka, ukryta, przykucnięta za osłem, za drzewem, pilnie wszystko obserwująca.

A jednak nie oberwała kończyny po kończynie, pomyślał Trzepoczący Orzeł.

- Pięćdziesiąt cztery - odezwała się Liv beznamiętnie. - Powiedział, że to jest właśnie łącząca nas więź. Jego niezmienny wiek i moje imię. I on tę więź zerwał. Wiedziałam, co myśli, wiedziałam, co czuje, znałam go. To była nierozwalna więź, a jednak on ją zerwał.

Mówiąc te słowa, pochyliła się nad ustawionymi na podłodze świecami i powoli je zapaliła, używając krzemienia. Potem znów stanęła wyprostowana, oblana bijącym od podłogi żółtym światłem, rzucając na ścianę ogromny cień. Trzepoczącemu Ortu natychmiast się przypomniało: tak właśnie wyglądała bogini Axonów. Wtedy. Dawno. Przedtem. Wspomnienie splątało się z poznaną niedawno historią tej wyspy, ginąc w jej pomroce.

Nie odzywała się ani słowem, przez co raz jeszcze miał wrażenie, że uczestniczy w jakimś rytuale: księga przeczytana, świece zapalone, litania odmówiona. Przeżyła życie właśnie tak, zabalsamowana w gorzkiej formalinie dawnych zrad i nienawiści. Przez chwilę Trzepoczący Orzeł czuł coś w rodzaju litości, zaraz jednak zauważył czujne spojrzenie jej oczu widocznych w rozcięciu zasłony.

- Aaaach. - Z jej płuc wyrwał się z łkaniem potężny wydech. - Oczywiście, oczywiście. A więc wróciłeś. Widmo Grimusa pragnie odnowić więzy Grimusa. Oczywiście. Tak to jest.

To już nie ta sama kobieta co przedtem, pomyślał Trzepoczący Orzeł. Zmieniła ją zarówno recytacja, jak i cały ten rytuał. Teraz mówiła powoli, obojętnie, zupełnie jak w transie. Przeszłość całkowicie nią zawładnęła. A on, Trzepoczący Orzeł, stał się częścią tej przeszłości.

- Chodź - powiedziała, cofając się w stronę łóżka i przyzywając go ruchem dłoni. - Chodź i uświęć swoje więzy.

Trzepoczący Orzeł siedział bez ruchu na krześle, nie wiedząc, jak powinien postąpić.

- Spójrz na moje ciało, Widmo - powiedziała Liv. - Czyż nie jest to odpowiedni ołtarz? - Uniosła ręce do karku, rozpięła zatrząsk. Czarna szata spłynęła na podłogę. Stanęła przed nim naga, choć jej twarz w dalszym ciągu zakrywała czarna zasłona. Nie spuszczała zeń oczu, przeszywających na przestrzał, może nawet nieco szyderczych, a płomyki świec malowały wszystko od dołu żółtym światłem.

- Spójrz na moje ciało - powtórzyła Liv.

Trzepoczący Orzeł spojrział.

Liv, lodowata doskonałość. Virgil wcale nie przesadził.

Jego nie dowierający mózg otrzymał dokładny opis od bystrych oczu. Najpierw stopy, może odrobinę za duże, pokryte skomplikowaną siatką tatuażu jak u hinduskiej panny młodej; długie, smukłe nogi: na prawej Liv oparła cały ciężar ciała, a lewą lekko rozluźniła, wyraźnie, sinusoidalnie i świadomie podkreślając zarys bioder; gęsty splot włosów na podbrzuszu, nie golone, krnąbrne, blade, pozwijane skręty; głęboki, bardzo głęboki pępek, mroczne zagłębienie w jasnym bezmiarze jej skóry; piersi nieduże, prawa nieco większa od lewej, a lewy sutek sterczący wyżej niż prawy, lecz wciąż dziecięco różowy i miękki; wąskie ramiona wyprostowane niemal po wojskowemu, wyzywające i pewne siebie; ręce zwieszane prosto i swobodnie, dłonie wnętrzem skierowane do przodu, środkowy palec każdej z nich podwinięty pod kciuk, oraz bujne włosy wyrastające spod pach. Spojrzenie ostrych, pytających oczu sugerowało jedynie całą resztę - szyję, twarz i głowę - ukryte pod zasłoną. Potem objął spojrzeniem całość: ją samą, czarną szatę spoczywającą u jej stóp, odrzucone okrycie. Świece na podłodze, których pełgające płomyki rzucały głębokie cienie, flirtujące z jej obnażonym ciałem, chaos i nieopisany brud, które w obliczu tej wizji straciły jakiegokolwiek znaczenie. Świetnie wiedziała, jak ukazać swoje ciało, by wypadło to naturalnie. Bezgłowa Wenus w zrujnowanym muzeum.

- Czyż nie jest to odpowiedni ołtarz? - powtórzyła.

Skinął głową, nie mogąc wymówić słowa. Tymczasem Liv szybkim ruchem zrzuciła zasłonę, która opadła z trzepotem na ziemię, łącząc się ze swą towarzyszką.

Już dawno wiedział, że jest piękna, jednak nie spodziewał się, że jej uroda jest aż tak zniewalająca. Patrząc na jej twarz, Trzepoczący Orzeł czynił nadludzki wręcz wysiłek, by nie spuścić wzroku. Było to piękno słońca odbijającego się w lodzie, zbyt jaskrawe, by na nie patrzeć. Oślepiająca, władcza doskonałość. Mocna, długa, wąska żuchwa, lekko zadarta, i bardzo szerokie usta bez cienia uśmiechu;

nos krótki, prosty, ujęty z obu stron w kości policzkowe przywodzące na myśl ostrza lub białe skały. Pociągła twarz, w której doskonałą przeciwwagę dla kości stanowiła bezbrzeżna, świetlista głębina oczu o barwie ciemnej akwamaryny, oczu, które nie broniły się przed spojrzzeniami, oczu, które przenikały wszystko bez wysiłku. Głowę tej królowej śniegu oblewała obfitość falistego złota, które wyrastało na kilka cali w górę po obu stronach dzielącej je pośrodku linii i opadało lśniącym bezmiarem, niagarą włosów, wokół jaśniejącej, wyraźnie zarysowanej twarzy o oczach miękkich jak morskie fale.

To wszystko przez tę twarz.

Liv leżała na łóżku.

- Chodź - odezwała się. - Chodź uswięcić tę więź.

Gdy Virgil Jones krążył na zewnątrz, potykając się w ciemnościach nocy, Trzepoczący Orzeł zbliżał się do ciała jego żony, ku czystemu łóżku, mijając płonące świece, pająki i pleśń.

Irina nigdy nie potrafiła rozbudzić w nim takiej żądzy. Przywykł do tego, że nieodmiennie panuje nad sytuacją, zachowuje dystans, wybiera następny krok, patrzy, jak ona szczytuje, czerpiąc największą rozkosz z dawania rozkoszy. Teraz to on, pod wpływem ruchów jej ciała, tracił panowanie nad sobą. Długo, bardzo długo odkrywała to, co lubi, szepcząc mu do ucha: „Lubisz to? Czy tak jest dobrze? Mam to robić mocniej czy słabiej? Mam cię lizać, kąsać, łechtać czy drapać? Tu mam trzymać? Mam być taka, taka czy taka?” Nieoczekiwana łagodność jej głosu nadawała temu przesłuchaniu intymny charakter, a Trzepoczący Orzeł dopiero później uświadomił sobie, że ani razu nie zapytał, czy to, co wybrał, jej również sprawiło

Gdy więc zrobiła to, co zawsze było jej zamiarem, opadł przy niej bezbronny i bezradny.

Ułożył się na plecach. Płomyki świec tliły się już ostatnim wysiłkiem. Skończyła się faza badania, pocałunków,

pieszczot i ściskania. Liv uklękała nad nim, ze złotego rogu obfitości sypnęła się bujna strzecha włosów, które zakryły jej twarz, znikły pod nią akwamarynowe oczy. Długimi palcami miętoszyła i ugniałała swoje niewielkie, sterczące piersi, a jej uda, gdy wolno opadała, nieznacznie drżały. Po chwili był już w niej. Jeszcze powoli, by trwało to jak najdłużej, uderzenia ciała o ciało, powoli, powoli zbierając siły, coraz bardziej, powoli, zbierając.

Teraz zaczęła jęczeć („Ja jęcę” - powiedziała), a ich ciała uderzały o siebie, mocno, już blisko, coraz bliżej, rosło w nim drzenie i moment był blis...

Brutalnie i bez żadnego ostrzeżenia oderwała się od niego i stanęła na łóżku. Spoglądała nań z góry, zimna i w pełni opanowana, a w jej akwamarynowych oczach gorzał płomień triumfu.

- Teraz Liv zrywa więź - powiedziała.

Odwet Liv na Grimusie, zemsta, która dojrzewała przez stulecia w czeluściach mrocznych rozpamiętywań. Dziś, wpadłszy w rodzaj transu i zapamiętania, zemściła się na jego Widmie. Już bardziej nie mogła go upokorzyć - cios w jego cielesną dumę niszczył ostatnią rzecz, jaka do niego należała. Podniósł wzrok na górującą nad nim Walkirię, a w jej oczach dostrzegł dziką, wielowiekową nienawiść. Jego ciało, pobudzone do granic możliwości, bezradnie i żałośnie wytrysnęło w pościel bezpłodnym nasieniem.

Virgil Jones zasnął, przykucnąwszy na skale. Trzepoczący Orzeł spał w pozycji płodowej, przytulony do ściany czarnego domu. Rozbudzeni, poczuli przenikliwą wilgoć. Zadrżeli.

Obudził ich jakiś krzyk. Dochodził od strony lasu i brzmiało w nim przerażenie wymieszane z uniesieniem. Trzepoczący Orzeł zbudził się natychmiast i pobiegł w tamtym kierunku. Virgil, wolniejszy i znacznie cięższy, ruszył za nim, gwałtownie mrugając.

Na skraju lasu stała Media; ścisnęła coś w drżących ramionach.

Tym czymś była ponura i obszarpana Ptako-Pies.
Brat i siostra znieruchomieli na chwilę, oceniając sytuację.
- Braciszku, powiedz tej idiotce, że ma mnie puścić. - Jej głos daleki był od serdeczności.
- Zobaczyłam, że się pojawia, Trzepoczący Orle - powiedziała Media z drżeniem. - Zupełnie jak upiór. Zobaczyłam, że się pojawia, więc ją złapałam. Pomyślałam, że... że pewnie będziesz chciał ją zobaczyć.
Naprawdę bardzo odważny postępek.
Ptako-Pies powiedziała:
- Jeśli widziałas, jak się pojawia, to nie sądzisz, że mogę też tak zniknąć? I nagle zorientujesz się, że trzymasz powietrze?
Media spojrzała na nią z powątpiewaniem, lecz nie rozluźniła uchwytu.
- Ona ma rację, Medio - powiedział Trzepoczący Orzeł. - Skoro tu jest, to znaczy, że chce tu być. Puść ją, a wtedy może dowiemy się dlaczego.
- Wcale nie chcę tu być - odparła szorstko Ptako-Pies. - Wcale by mnie tu nie było, gdyby nie to, że on mnie tu przysłał.
- Więc to Grimus cię przysłał? - To był głos Virgila, bezbarwny, niedowierzający.
- Nie po ciebie - odparła. - Po niego. Po małego Joego-Sue. Nie ja tego chciałam, braciszku. Pamiętaj.
Grimus chce się ze mną zobaczyć, pomyślał Trzepoczący Orzeł. A zatem nie dojdzie do walki.
- Dlaczego? - I znów Virgil Jones wypowiedział głośno myśli Trzepoczącego Orła.
- Nie pytaj dlaczego - odparła Ptako-Pies, wrywając się z uścisku Medii, w którym się już dusiła. - Mam przekazać wiadomość, a potem zabieram go ze sobą.
Media otwarła usta, lecz w końcu nie odezwała się ani słowem. Na jej twarzy malowało się zatroskanie.
- No cóż - powiedział Trzepoczący Orzeł - zaczynaj.
Gdy Ptako-Pies zaczęła recytować śpiewnym głosem, z czarnego domu wynurzyła się postać w czarnych szatach i stanęła, aby posłuchać.

- Grimus mówi: Dziękuję wam za wszystkie trudy - zaczęła Axonka. - Z niezmierną przyjemnością obserwowałem wasze poczynania. Virgilowi zaś winien jestem przeprosiny. Niestety, zabrałem się z nim w chowanego. Było to być może okrutne, choć ko-

Najbardziej wdzięczny jestem Liv Sylwan Jones - ciągnęła Ptako-Pies. - To ona ukoronowała moje wysiłki, przygotowując wreszcie pana Orła do spotkania ze mną. Sądzę, że teraz wie on bardzo dużo na mój temat. Co więcej, stracił samoświadomość na rzecz czegoś, co skromnie nazwę Grimusoświadomością. Trudno chyba sobie wyobrazić idealniejszy stan do spotkania ze mną, dlatego też raz jeszcze muszę wam wszystkim podziękować. Nicholasowi Deggle'owi za umożliwienie tego spotkania, tobie, Virgilu Jonesie, że z taką zręcznością doprowadziłeś do tej konfrontacji, oraz tobie, Liv, za zniszczenie ostatniej bariery uniemożliwiającej nasze spotkanie: jego męskości. Można powiedzieć, że to ty byłeś Bramą, Liv. Ponieważ przeszedł przez ciebie, teraz może przyjść do mnie. Ta myśl przyprawia mnie o drżenie: może jednak, mimo wszystko, jest to mój WPtako-Pies urwała i zwiesiła głowę.

- Idziemy? - Trzepoczący Orzeł był wstrząśnięty i zdenerwowany, widząc, że Ptako-Pies stała się niewolnicą, która mimo niezadowolenia i narzekań potulnie spełnia wszystkie rozkazy. To nie była ta sama dziewczyna, która kiedyś zdobywała dla niego żywność, wychowywała go i chroniła. Była teraz cieniem dawnej Ptako-Psa. Co też Grimus z nią zrobił?

Liv uniosła nieznacznie zasłonę i splunęła jadowicie na ziemię. Virgil Jones nerwowo napominał Trzepoczącego Orła:

- Nie zapomnij. Czekaj na odpowiedni moment.

Lecz dla Trzepoczącego Orła nic już nie było całkiem oczywiste. Jego zdecydowanie słabło, obezwładnione przez ciekawość oraz upokorzenie z poprzedniej nocy.

Podeszła do niego Media.

- Weź mnie ze sobą - poprosiła.

Trzepoczący Orzeł niczemu już się nie dziwił.
- Dlaczego, Medio? - spytał.
Wzruszyła ramionami.
Axona odparł ku swemu zdumieniu:
- Dobrze. Zgoda. Chodź ze mną. - Może dlatego, że w czasie tej wyprawy w nieznane potrzebował jakiejś znajomej twarzy. A może była to po prostu reakcja na tę noc, którą spędził z Liv, potrzeba dodania sobie otuchy. Na dobrą sprawę nie chciało mu się nawet zagłębiać w swoje odczucia, lecz cieszył się, że ona z nim pójdzie. Natomiast twarz Medii na te słowa zajaśniała radością.
Ptako-Pies powiedziała jednak:
- Ty nie. Tylko on.
Trzepoczący Orzeł znalazł w sobie resztkę odwagi.
- Starsza siostró - rzekł - podobno masz mnie doprowadzić do Grimusa. Posłuchaj zatem: jeśli ona nie pójdzie, ja się stąd nie ruszam. Musisz więc zabrać nas oboje.
Ptako-Pies uległa, jednak z wyraźną niechęcią.
- Chodźcie za mną - rzuciła.
Trzepoczący Orzeł złapał Medię mocno za rękę. Odwzajemniła uścisk z niespodziewaną siłą.
- Będę myślała o tobie, tylko o tobie - powiedziała. - Jeśli będę to robić, nie spotka mnie żadna krzywda.
Uświadomił sobie, że ma absolutną rację.
Ptako-Pies, która szła przed nimi, zatrzymała się za pierwszymi drzewami. Zamknęła oczy i zaczęła szeptać: „Sispi, Sispi”, po czym zrobiła się przezroczysta. Znikła niemal całkowicie, lecz słabiutki zarys jej postaci przesunął się nieco na prawo i tam czekał. Oczy Medii otworzyły się szeroko; po chwili jednak je zamknęła i zacisnęła us Trzepoczący Orzeł poprowadził ją do Bramy.
Virgil Jones i Liv przyglądali się, jak trzy ledwo widoczne postacie wspinają się na zbocze góry, w jakiś cudowny sposób idąc tam, gdzie nie ma żadnej ścieżki, aż zupełnie znikły z oczu. Nie zajęło im to wiele czasu, może dlatego, że były tak ulotne.
Liv obróciła się na pięcie, weszła do czarnego domu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

A Virgil? Virgil zdawał sobie sprawę, że już nic więcej nie może zrobić i że mimo wszystko sprawdziła się przepowiednia Chupora. Trzepoczący Orzeł dotarł do Grimusa bez jego pomocy i kto wie, do czego to doprowadzi. W tej sytuacji nie mógł nic zrobić.

Ruszył więc w dół, ku plaży, z powrotem do Dolores O'Toole i krzyżówek, fotela na biegunach i strzępków swej nikomu niepotrzebnej godności.

PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

Trzepoczący Orzeł i Media (gdy otwarła oczy) stwierdzili, że znajdują się na dziwnie zmienionej Górze Cielęcej, Górze Cielęcej, na której Virgil, Liv, dom Liv, a nawet osioł Liv zmieniły się w upiorne cienie, gdzie występ skalny i las pozostały na pozór takie same, a jednak nieco inne. Jednak najbardziej nimi wstrząsnęło coś, co ujrzeli nad swoimi głowami i z czym trudniej się było pogodzić niż z tym, że z Virgila i Liv pozostały tylko cienie. Chmury okrywające szczyt znikły bez śladu. Trzepoczący Orzeł stwierdził ze zdumieniem, że góra jest znacznie niższa, niż to sobie wyobrażał; najwyraźniej otulający ją uprzednio kokon chmur sprawiał, że wydawała się większa. Od szczytu dzieliło ich kilkaset stóp.

- Dom Grimusa - powiedziała Ptako-Pies, nie odwracając nawet głowy.

Z góry spoglądał na nich długi, niski, zwieńczony blankami dom. Była to miniaturowa forteca wzniesiona z kamienia. Gdzieś w tym domu, pomyślał Trzepoczący Orzeł, znajduje się Kamienna Róża.

Domostwo miało szaleńczo nieregularne kształty - krzywe ściany, trudno było uświadczyc kąt prosty - lecz wyglądało to na ekscentryczność zamierzoną, rozmyślne szaleństwo. Te zygzaki kreślone przez budowlę na całym szczycie górskim stanowiły odbicie umysłu ich twórcy.

Odbicia: cały dom był źródłem ogromnej liczby odbić, ponieważ każde z okien tkwiących w jego obłądnych ścianach było lustrzane. Z trudem udawało się skupić spojrzenie na tej kombinacji płynnie wyginającego się kamienia i ślepych, połyskliwych okien, jak gdyby oko nie chciało zaakceptować takiego zjawiska, jak gdyby to wszystko było li tylko złudzeniem, które nie chce zakrzepnąć w rzecz.

Być może problem polegał na rozmiarach. Domostwo było co prawda wielkie, lecz dziwnym zbiegiem okoliczności kryło się w ogromnym cieniu niewyobrażalnie gigantycznego drzewa, jesionu, przy którym jego czcigodny pobratymiec w ogrodzie Gribbów wydawał się wręcz karzełkiem, małym drzewkiem dźwigającym huśtawkę. Nawet określenie „gigantyczne” nie oddawało jego ogromu - to drzewo budziło niemal religijną trwożę. Trzepoczącemu Ortu przypomniła się opowieść Virgila Jonesa o jesionie Yggdrasillu - drzewie-matce, utrzymującym niebiosa na swoim miejscu. Spróbował sobie wyobrazić, jakie to potwory kryją się w jego korzeniach.

Kolejny wstrząs. Trzepoczący Orzeł dobrze pamiętał, jak wyglądały górne partie Góry Cielęcej. Były strome i szło się nimi ze znacznie większym wysiłkiem niż z Ch. do skalnego występu, a na dodatek porośnięte gęstym lasem. Bardzo wątpił, czy można się wspiąć na szczyt bez odpowiedniego sprzętu. Dlatego też z osłupieniem ujrzał przed sobą starannie oczyszczone podejście, długi ciąg wąskich, kamiennych schodów pnących się łagodnie aż do samych drzwi domu Grimusa. A jednak to była prawda. Wzrok go nie mylił. Trzepoczący Orzeł potrząsnął głową, pełen podziwu.

Weszli na schody. Ptako-Pies ruszyła pierwsza, Media na końcu, a wokół nich fruwały z trzepotem skrzydeł niezliczone stada ptaków. Nigdy w życiu Trzepoczący Orzeł nie widział naraz takiego mnóstwa ptaków, ptaków ze wszystkich stref klimatycznych i o niewyobrażalnie różnobarwnym upierzeniu, ptaków pospolitych, jak kruki, i takich, których istnienia nawet nie podejrzewał, o bezsensownie poskręcanych dziobach i nieprawdopodobnych kształtach. Wszystkie one całymi stadami zmierzały w kierunku szczytu góry. Niejednokrotnie musiał osłaniać twarz przed bijącymi wokół skrzydłami. Zerknął na Medię: uśmiechnęła się z wysiłkiem,

I mimo że dokoła wciąż rozlegał się ów głośny i przenikliwy jęk, otaczające ich cuda znacznie bardziej przyciągały uwagę. Wreszcie doszli w pobliże szczytu. Ptako-Pies,

która przez całą wspinaczkę zachowywała wrogie milczenie, naraz odwróciła się na pięcie i spojrzała z góry na brata.

- Zostaw nas w spokoju! - krzyknęła. - Po co w ogóle tu przychodziłeś? - Potem zaś, równie nieoczekiwanie, obróciła się do nich plecami i podjęła wspinaczkę; z jej ruchów przebijała rezygnacja.

Jak na mężczyznę, który osiągnął cel długiej wędrówki, Trzepoczący Orzeł nie czuł się wcale jak bohater.

Napis w kamieniu, wyryty nad wejściem do domu Grimusa:

PEŁNIA OZNACZA ŚMIERĆ.

Trzepoczący Orzeł i Media ruszyli za ponurą Ptako-Psem, a stada ptaków rozsiadły się w gałęziach gigantycznego jesionu.

Domostwo Grimusa przypominało z grubsza labirynt na planie trójkąta, a ktoś, kto wchodził po schodach, natrafiał na poszarpaną podstawę tej figury geometrycznej. Główne wejście znajdowało się bliżej lewego kąta podstawy. Pozostałe ściany były nawet bardziej poszarpane niż ściana przednia: jeden ostry subtrójkąt sterczał po lewej stronie, drugi, nieco ostrzejszy, lecz większy, zniekształcał

W środku Trzepoczący Orzeł i Media zobaczyli oszałamiający ciąg połączonych ze sobą pokoi. Otwierał go kamienny hall, w którym znaleźli się zaraz po przekroczeniu drzwi frontowych - ponure, spartańsko oszczędne pomieszczenie oświetlone tylko przez lampki oliwne. Dopiero gdy Ptako-Pies otworzyła lustrzane okno, zobaczyli, że w środku, zamiast mebli, znajdują się przeróżne kawałki skał, głazy i dwie niezwykle starannie wykonane rzeźby o tematyce erotycznej, ustawione wzdłuż ścian. Trzepoczący Orzeł miał wrażenie, że temu pokojowi czegoś brakuje.

Z grubsza przypominał kwadrat, choć zwężał się w głębi, gdzie osadzono drzwi. Ptako-Pies podeszła do nich

i otwarta je na oścież. Gdy ruszyli za nią, Trzepoczący Orzeł po raz pierwszy usłyszał to skrzypienie.

Regularne, rytmiczne skrzypienie. Ściany aż od niego huczały, lecz że wzniesiono je z kamienia, nie mogły być jego źródłem. Wytężywszy słuch, stwierdził, że dźwięk przybiera na sile. Odwrócił się do Medii; ona też słuchała. Skrzyp... skrzyp... skrzyp... skrzyp. Popędzili do następnego pokoju.

I nagle, widząc tysiące ptaków, zapomnieli o skrzypieniu.

- Ptaszarnia - szorstko i niepotrzebnie powiedziała Ptako-Pies.

To był właśnie ten pokój, który sterczał z lewej strony budynku. Przez otwarte okno wlewał się i wylewał ogromny strumień ptaków. W wielu miejscach ustawione były specjalne karmniki, a pośrodku pokoju basenik do ptasich kąpeli. Dookoła przechadzały się dumne pawie.

Jednak nie wszystkie ptaki były żywe. W szklanych witrynkach tkwiły również wypchane okazy, unieruchomione na wieki w charakterystycznych dla siebie pozach: ptaki jedzące, ptaki w trakcie zalotów, ptaki w trakcie godów i wysiadywania jaj, ptaki w locie, ptaki umierające, ptaki atakujące inne ptaki... jednym słowem, oszałamiający ciąg uwiecznionych żywych obrazów.

Ściany też ozdobiono, tyle że portretami ptaków, niewyobrażalną wręcz mnogością pierzastych głów, zarówno prawdziwych, jak i całkiem wymyślonych, które zwartymi szeregami otaczały obraz zajmujący niemal całą ścianę po prawej ręce Trzepoczącego Orła. Wystarczył jeden rzut oka na to wspaniałe, pstrokate stworzenie, by się domyślić, że jest to Rok z baśni o Sindbadzie, mityczny Feniks: Simurg we własnej, ptasiej osobie.

Do uszu zachwyconego Trzepoczącego Orła dotarło nagle słyszane przedtem skrzypienie. Ptako-Pies przechodziła pośpiesznie przez kolejne drzwi, mieszczące się w odległym krańcu pokoju. Idąc za nią, minęli porywająco piękną jadalnię o ścianach obwieszonych pięknymi starymi

tapiseriami i podłodze pokrytej równie starymi i pięknymi dywanami. Wszędzie połyskiwało srebro kandelabrow i zastawy stołowej. W tym to pokoju mieścił się wierzchołek trójkąta. Ptako-Pies nie zatrzymała się ani na chwilę. Teraz idziemy w dół po prawej stronie, pomyślał sobie Trzepoczący Orzeł, usiłując zapamiętać układ domu. Czwarty pokój był nie oświetlony, a w mroku majaczyły jakieś białe kształty. Gdy jego wzrok przywykł do ciemności, dostrzegł, że stoją tu jakieś cokoły, a na nich jakieś - no właśnie, jakie? - rzeczy okryte białymi prześcieradłami. Te milczące duchy - zbyt małe, by którykolwiek mógł być Różą - były jednak trochę niepokojące. Tu też, podobnie jak w poprzednich pokojach, słychać było skrzypienie...

Tym razem drzwi nie były gdzieś na końcu pokoju, lecz zaraz po prawej. Idąc za Ptako-Psem, weszli do niewielkiego, zupełnie pustego pomieszczenia, pierwszego, które nie miało ściany zewnętrznej. Oświetlały je tylko płomyki lamp naftowych. Trzepoczący Orzeł nie pojmował, do czego może służyć ten pokój, jeśli nie jest przedpokojem, ponieważ ich wędrówka miała się już ku końcowi. Ptako-Pies przeszła przez drzwi w ścianie po lewej, a gdy poszli za nią, znaleźli się w dużym, jasnym, ładnie umeblowanym pokoju - ich pokoju. Na dużym łóżu leżała świeża pościel, a wszystko niewątpliwie czekało właśnie na nich. Podłogę okrywał miękki dywan, a przy łóżku stał ozdobny, niski stolik o blacie inkrustowanym kwadratami z kości słoniowej.

Zmysł orientacji podpowiedział mu, że z obu stron pokoju znajdują się jeszcze nie zbadane obszary. Po chwili wszystko stało się jasne: drzwi po lewej stronie od wejścia prowadziły do łazienki i ubikacji, po przeciwnej natomiast - do obskurnej kłitki Ptako-Psa. Jego siostra miała osobne drzwi wyjściowe, jak przystało służce. Właśnie kryła się w swojej dziupli.

Trzepoczący Orzeł zawołał do niej:

- Gdzie jest Grimus?!

- Cierpliwości - odparła, zatrzasnąjąc drzwi. Potem usłyszał szcęk zasuw.

Dźwięki: jakieś nieznanne, niepokojące dźwięki. Ten jęk, ptasi harmider i to skrzypienie.

- Dobrze się czujesz? - spytał Media, która położyła się na łóżku, zatykając rękoma uszy, usiłując się odciąć od tego nowego, przerażającego świata.

Twarda z niej kobieta, pomyślał Trzepoczący Orzeł, lecz wygląda na to, że znalazła się na granicy wytrzymałości.

Wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Uznał bowiem, że Grimus na pewno mieszka w tej dziwnej, przedniej części domu, na południe od jego pokoju, lecz nie znalazł żadnych prowadzących tam drzwi. Wyszedł na zewnątrz, okrążył dom, jednak nie natrafił na żadne wejście poza drzwiami frontowymi oraz, od tyłu, drzwiami do dziupli Ptako-Psa. Okna pokoju Grimusa były zamknięte i zwierciadlane. Nie wiedząc, co o tym wszystkim sądzić, powrócił do kamiennego hallu.

Tam ujrzał drzwi, których przedtem nie było - stojącą otworem kamienną płytę. Z wnętrza dochodziło skrzypienie, to wszechobecne skrzypienie. Trzepoczący Orzeł powoli ruszył w jego kierunku. Zza drzwi dochodziło burożółte światło lamp naftowych.

- Niezwykła akustyka, nieprawdaż? - Szybkie, ostre spółgłoski i krótkie, płaskie samogłoski. Głos Grimusa. - Mam nadzieję, że jest wam obojgu wygodnie.

Siedział w fotelu na biegunach przodem do okna, a tyłem do Trzepoczącego Orła. Axona widział jego głowę: z czupryną siwych włosów opadających na oparcie.

Skrzyp... skrzyp... skrzyp - fotel na biegunach bujał się tam i z powrotem, a zza tego skrzypienia wyłaniał się jeszcze jeden, nieco delikatniejszy dźwięk, miękki stukot, którego Trzepoczący Orzeł nie umiał początkowo z niczym skojarzyć. Wreszcie podszedł do fotela i stanął obok człowieka, którego tak bardzo chciał zobaczyć.

Grimus robił na drutach.

Podobny, a jednak niepodobny. Tak, ich twarze były rzeczywiście podobne - te same orle nosy, głęboko osadzone oczy, mocne, kwadratowe szczęki, lecz karnacja Grimusa przypominała raczej oliwkową cerę Ptako-Psa niż grobową pobielłość twarzy Trzepoczącego Orła. Podobny, a jednak niepodobny.

Grimus odezwał się, jakby czytał w jego myślach:

- A więc to ty, mój blady, młody cieniu.

Trzepoczący Orzeł z najwyższym wysiłkiem przepchnął przez usta konieczne słowa: w towarzystwie tego rozluźnionego, lekko rozbawionego człowieka trudno było mu się zdobyć na jakikolwiek opór i zdecydowanie.

- Wiesz, dlaczego tutaj przybyłem - powiedział. - Gdzie jest Kamienna Róża?

- Wiem, dlaczego Virgil chciał, żebyś do mnie dotarł - odparł Grimus. - Smutne, doprawdy. Smutne, że Virgil musi się sprzymierzać z Nicholasami Deggle'ami tego świata. Lecz to nieistotne, nieistotne. Mam nadzieję, że sam podejmiesz decyzję, Trzepoczący Orle. Nie jesteś przecież bezwolnym narzędziem w ni W jego oczach pojawił się uśmiech.

- No dobrze - powiedział Trzepoczący Orzeł. - Dlaczego w takim razie wysłałeś po mnie Ptako-Psa? I powiedz mi jeszcze, co takiego zrobiłeś, że stała się... taka, jaka jest.

Białe brwi uniosły się nieznacznie.

- Jakież tempo - rzekł Grimus. - Jakież pośpiech. Nie, mój przyjacielu, teraz ci nie powiem. A w każdym razie nie przed kolacją.

Z uwagi na kulinarne przekonania Grimusa kolacja była wegetariańska. Jednak Ptako-Pies przygotowała ją z takim mistrzostwem, że Trzepoczący Orzeł, zagorzały mięsożerca, nawet nie zwrócił na to uwagi.

- U zarania dziejów - mówił Grimus - człowiek był myśliwym. W związku z tym polowanie, poszukiwanie i wędrówka należą do najstarszych i najszacowniejszych zajęć. Niewątpliwie przybycie tutaj sprawiło ci ogromną satysfakcję.

Trzepoczący Orzeł spojrział na siostrę: słamszoną, usługną, skuloną potulnie w kącie, ignorowaną przez swego pana.

- Być może lepiej jest podróżować z nadzieją* - powiedział.

Ptako-Pies, usługująca Grimusowi już całą wieczność, całą wieczność ignorowana. Trzepoczący Orzeł sądził, iż wytrzymała to tylko dlatego, że - jedyny akolita czczony przez siebie człowieka - czuła się wyjątkowa. Przynajmniej coś w tej sytuacji znaczyła. Nic więc dziwnego, że wcale nie była zachwycona jego przyjazdem: nie chciała się z nikim dzielić swoim Grimusem.

Tymczasem przez cały posiłek Grimus traktował ją jak podczłowieka, stworzenie, które nie zasługuje nawet na pogardę, a Trzepoczący Orzeł czuł, że narasta w nim niechęć do tego dziwnego i tajemniczego mężczyzny.

Teraz Grimus zwracał się do Medii.

- Muszę ci pogratulować twojej siły - mówił. - A jednak lękam się o ciebie. Czy ty nie lękasz się o nią, Trzepoczący Orzeł? To miejsce nie jest najbezpieczniejsze. Chodzi mi o efekty uboczne.

- Dotychczas doskonale dawała sobie z nimi radę - odparł Trzepoczący Orzeł.

- Lecz ludzkie siły słabną - powiedział Grimus. - Moja droga, pozwolisz się nieco zahipnotyzować? Byłabyś po tym znacznie bezpieczniejsza.

Media spojrzała na Trzepoczącego Orła chorym, pełnym przerażenia wzrokiem. On zaś pomyślał: Grimus ma rację, tutaj Efekt jest najsilniejszy. W każdej chwili może mu ulec. Więc choć z wyjątkową niechęcią myślał o dopuszczeniu do niej Grimusa, p- Może masz słuszość.

- A zatem po kolacji - oświadczył Grimus. - Oczywiście cały czas będziesz przy tym obecny.

* Nawiązanie do słów Roberta Louisa Stevensona z książki *Virginibus Puerisque*: „Lepiej podróżować z nadzieją, niż przybywać do celu” (przyp. tłum.).

- Podoba ci się mój dom? - spytał z ciekawością Grimus.
- Bardzo ładny - odrzekła Media.
- Zbudowałem go, by stworzyć miejsce dla moich ulubionych przedmiotów - powiedział Grimus. - Ulubionych idei. Jesionu rosnącego przed domem. Portretów ptaków. To wszystko sprawia samotnemu człowiekowi wielką przyjemność.
- Jest ogromny - dodała Media.
- Gdy mieszkałem w Ch. - powiedział Grimus - byłem gotów żyć w równie skromnych warunkach jak cała reszta. Lecz ponieważ zmusili mnie do odejścia, postanowiłem bezwstydnie folgować swoim zachciankom.

- Wzmianka o jesionie Yggdrasillu dowodzi twojej bystrości - powiedział Grimus przy kawie. - Pozwól, że opowiem ci coś na zbliżony temat. O tak zwanym Zmierchu Bogów. Widzisz, określenie to jest nad wyraz błędne. Otóż słowo *ragnarok*, czyli „zmierzch”, pojawia się tylko raz w całej *Eddzie poetyckiej* i ponad wszelką wątpliwość jest błędną wersją słowa *ragnarak*, używanego we wszystkich pieśniach. A różnica między nimi jest zasadnicza. Otóż, *ragnarak* znaczy „upadek”. Całkowite zniszczenie. Jest to zatem coś bardziej ostatecznego niż zmierzch. Widzisz teraz, jak jedna litera może zniekształcić całą mitologię?

- Skąd się tu bierze kawa? - spytała Media.
Grimus zmarszczył brwi, usłyszawszy tak nieistotne pytanie.
- Myślę, więc jest - odparł.
Trzepoczącemu Orłu wydawało się, że Grimusowi sprawia przyjemność jej zakłopotanie.

Gdy wychodzili z jadalni, Grimus wpadł na Ptako-Psa, która upuściła trzymaną w rękach tacę. Grimus z wyraźnym wstrętem otrzepał część ciała, którą się zetknął z Axonką, po czym powiedział:
- Ptako-Psie, jesteś niezdatną idiotką.

- Tak, Grimusie - odrzekła.
Trzepoczący Orzeł pohamował rosnący gniew, pamiętając radę Virgila: Czekaj, opanuj się.
Seans hipnotyczny Medii zakończył się pełnym sukcesem: w rezultacie sugestii pohipnotycznej jej uszy przestały odbierać dręczący ją przedtem jęk. Trzepoczący Orzeł ucieszył się z tego, lecz po chwili pomyślał: Ciekawe, ile razy hipnotyzował Ptako-Psa?

Media spała. Ptako-Pies nie wychodziła ze swoich pomieszczeń. Grimus i Trzepoczący Orzeł siedzieli w ptaszar-ni, pośród malowideł oraz wypchanych i śpiących ptaków.

- Stworzenia na pozór spokojne - mówił Grimus. - A mimo to można je, na przykład koguty, wyćwiczyć do walki. Stworzenia na pozór proste, a jednak podobno majna, szpak azjatycki, potrafi przepowiadać przyszłość. Stworzenia na pozór amoralne, a jednak u niektórych moralność stoi na wysokim poziomie. Na przykład taki albatros po tańcu godowym jest monogamiczny do końca życia. Nie wielu ludzi może poszczycić się czymś takim.

- Grimusie... - zaczął Trzepoczący Orzeł.
- Jedzą, rozmnażają się i umierają - powiedział Grimus. - My możemy tylko jeść. I kto tutaj stoi wyżej?
- Chyba już czas - wtrącił Trzepoczący Orzeł.
- Na przykład ty, Trzepoczący Orle, jesteś dziwną istotą. Niegdyś byłeś zagniazdownikiem i uciekłeś z gniazda, w którym się wychowałeś. Nie zrobiłeś tego jednak z własnej woli, dlatego w pewnym momencie stałeś się gniazdownikiem. Szukasz nowego gniazda, co? Zachwycające. Naprawdę zachwycające.

Wtedy Trzepoczący Orzeł wybuchnął:
- Grimusie, o co tu właściwie chodzi?!

Grimus spojrzał nań z lekkim zdziwieniem.
- O co chodzi, panie Orle? Oczywiście, że chodzi tutaj o śmierć. O śmierć, panie Orle - o to właśnie chodzi w życiu.
Trzepoczący Orzeł poczuł nagle, że jest mu bardzo zimno.
- O czyją śmierć? - spytał z lękiem.

- Mój drogi Trzepoczący Orle - Grimus uśmiechnął się -
oczywiście, że o moją. A myślałeś, że czyją? Wiesz, kim jesteś?
Moim aniołem śmierci.

- Włóż to - polecił Grimus.

- Dlaczego?

- Ponieważ wszystko musi się odbyć tak, jak trzeba - odparł Grimus,
a jego ręce trzepotały niczym ptasie skrzydła.

A zatem w ptaszarni Trzepoczący Orzeł przywdział pełne,
ceremonialne nakrycie głowy axońskiego szamana, pomalował twarz
określonymi kolorami, przez ramię przewiesił łuk i kołczan ze
strzałami, a w prawą rękę wziął szamańską laskę. Tymczasem Grimus
włożył inny pióropusz, niemal identyczny z upierzeniem głowy
wielkiego ptaka zajmującego największą część ściany.

- A teraz może zatańczymy? - spytał.

Trzepoczący Orzeł usiadł zasłuchany w fotelu bujanym Grimusa.
Niewiele w gruncie rzeczy mógł tu zrobić, a nie miał pojęcia, gdzie
znajduje się Kamienna Róża. Ponadto zżerała go ciekawość. Jego
nakrycie głowy spływało dumnie na oparcie fotela, a szamańska laska
spoczywała na kolanach. Grimus krążył wokół niego, zgięty w pasie,
poruszając się dziwnym, sztywnym krokiem i co chwila wyciągając
szyję. Ręce trzymał na wysokości ramion, nieustannie poruszał
palcami. Przebiegało to w jakimś dziwnym rytmie, który powodował,
że patrzącemu kręciło się w głowie.

-To Taniec Mądrości i Śmierci - wyjaśnił Grimus. - Śmierć,
nieruchoma, obserwuje i nadstawia ucha, nie śpieszy się. I dobrze.
Mądrość krąży, gestykuluje, odstawia się przed swoim Kresem. I
dobrze. Takie życie wybrałem. Wolność człowieka polega właśnie na
tym, że wybiera sposób życia. Ja wybrałem sobie piękną Śmierć,
tworząc ją na własne podobieństwo. - Z jego głosu zniknęły wysokie
tony i odtąd mówił zupełnie normalnie. - Zwykli ludzie, przez co
rozumiem śmiertelników, starzejąc się, a potem umierając, stają się
niekompletni.

Wprawdzie z upływem lat mądrzej, jednak słabnięcie władz umysłowych odbiera temu sens. Gdy zatem pojawia się Śmierć, nie mają wiele do powiedzenia. Ja wybrałem inną drogę. Długowieczność pozwala mi nabierać mądrości, podtrzymując władze, które tę mądrość wspomagają. Mądrość i moc razem stają się kompletne, dopełniają się. A pełnia oznacza śmierć. W związku z tym pragnę umrzeć. Nie chcę, by życie w banalny sposób ze mnie wyciekło - chodzi mi o drobiazgowo zaplanowaną i satysfakcjonującą śmierć. O estetyczne zejście.

Eliksir Śmierci, błękitny płyn, nie działa na Wyspie Cielęcej. Dlatego tak właśnie ją sobie wyobraziłem - człowiek, który tworzy życie, musi być świadom jego końca. Kto zabiera się do pisania opowiadania, nie wiedząc, jak ono się skończy? We wszystkich początkach tkwi koniec. W tajemnicy przed Virgilem Jonesem, w tajemnicy przed Nicholasem Deggle'em wzniosłem Górę Cielęcą wokół swej śmierci. Wokół ciebie. Wypicie Eliksiru Śmierci byłoby zbyt łatwe, zbyt niekompletne, niepełne. Trudno powierzać swe tajemnice napojowi. Do tego dochodzi jeszcze impuls Feniksa, lecz o tym pomówimy później.

Krótko mówiąc, Góra Cielęca to miejsce, gdzie śmierć nie jest ani naturalna, ani łatwa. Należy ją wybrać, co umożliwia gwałt na własnym ciele. Zresztą, prawdę mówiąc, tym przecież zawsze jest

Jednak Góra jest czymś więcej. To wielki eksperyment, wielki plan, choć nie w takim sensie, w jakim pojmował to Virgil Jones; uznałem, że wtajemniczenie go w moje prawdziwe zamiary nie jest konieczne. Natomiast mam powody, by wszystko wyjawić tobie, Śmierci Feniksa. Oto istota Góry Cielęcej: jest to próba zrozumienia ludzkiej natury dzięki uwolnieniu jej od najbardziej podstawowego popędu - konieczności zachowania gatunku poprzez rozmnażanie. Widzisz, Eliksir Życia to broń cudownie obosieczna, ponieważ za jednym zamachem uniemożliwia reprodukcję, gdyż sterylizuje przyjmujące go osoby, a zarazem likwiduje konieczność reprodukcji, gdyż zapewnia nieśmiertelność.

Muszę tutaj dodać, że wyspa jest żyzna, znajdziesz tu wszystko, co potrzebne do życia. Niedostatek również został zlikwidowany. Wszystko to powoduje ogromną zmianę ludzkich zachowań, co miało umożliwić - jak wierzyłem - ujawnienie jeszcze głębszych pokładów naszej prawdziwej natury. Cóż za cudowna kombinacja: bezpłodni nieśmiertelni i żyzna ziemia. Doprawdy idealne pole do obserwacji.

Analitycy mitycznej Góry Cielecej uznali ją za model struktury działania ludzkiego umysłu. Zatem jak najbardziej uprawnione jest stwierdzenie, że to struktura stworzona, by zbadać zainteresowania jednego ludzkiego umysłu (oraz umożliwić mu śmierć).

W pewnym więc sensie wcale nie zmierzam do tego, by uśmiercić mój umysł. Pragnę jedynie wyjawić moje tajemnice wybranemu narzędziu mojej śmierci. To jest właśnie ów impuls Feniksa.

Stając się Grimusem, przyjąłem to imię przez szacunek dla myśli, która jest podstawą mitu o Simurgu, mitu o Wielkim Ptaku, będącym wszystkimi innymi ptakami, a zarazem znajdującym się w każdym z nich. Podobieństwo do mitu o Feniksie jest chyba oczywiste. Dzięki śmierci, samounicestwieniu, Feniks przekazuje następcy swe, ja". To właśnie zamierzam zrobić z tobą, Trzepoczący Orle. Któryś otrzymał imię od króla ziemskich ptaków. To właśnie ty będziesz następną fazą w tym cyklu, to ty przejmiesz pałeczkę. Herakles zastępujący Atlasa. Pośrodku śmierci płonie w nas życie.

- A jeśli odmówię? - wyrwało się z przerażonych ust Trzepoczącego Orła. Megalomania doświadczana z bliska jest czymś przerażającym.

- Jesteś następnym życiem Feniksa - powtórzył Grimus. - Śmiercią Feniksa.

- Jak mógłbyś odmówić? - spytał po chwili Grimus. - Zastanów się tylko nad swoim życiem, a przekonasz się, że ukształtowałem cię właśnie w tym celu. W pewnym sensie, Trzepoczący Orle, stworzyłem cię takiego, jaki jesteś.

Tak samo stworzyłem tę wyspę i jej mieszkańców, nie ograniczając swej artystycznej swobody.

- Przecież istnieliśmy, zanim nas znalazłeś - zauważył Trzepoczący Orzeł.

- Oczywiście - odparł łaskawie Grimus. - Jednak kształtując cię zgodnie z moim ogromnym planem, zmieniłem cię tak dalece, jakbym lepił cię z bezkształtnej gliny.

- Nie wierzę - powiedział Trzepoczący Orzeł, a Grimus wybuchnął śmiechem.

- Sceptyczna Śmierć - powiedział. - Dobrze, dobrze. -Jego głos znów wszedł w wysokie rejestry, a palce zatrzepotały jeszcze silniej niż przedtem. - Zaprzeczasz zatem, że wybierając cię na Adresata, ukształtowałem twoje życie? Zaprzeczasz, że zabierając twoją siostrę od Axonów, nie doprowadziłem do twojego wygnania? Zaprzeczasz, że posyłając do ciebie Nicholasa Deggle'a, pokierowałem cię w stronę Góry Cielęcej? Zaprzeczasz, że dzięki temu, iż pozwoliłem ci się błąkać po świecie przez długie stulecia, zamiast od razu ściągnąć cię tutaj, uczyniłem cię właśnie tym, kim jesteś - kameleonem, człowiekiem łatwo się przystosowującym i zupełnie zdezorientowanym? Zaprzeczasz, że wybierając człowieka podobnego do mnie z wyglądu, dobrze wiedziałem, jak na twoje pojawienie się zareaguje Virgil Jones oraz Ch.? Zaprzeczasz, że ściągnąłem cię tutaj, posługując się widmem Ptako-Psa? Zaprzeczasz, że posuwałem się idealnym kursem między nieskończonością potencjalnych teraźniejszości i przyszłości? - (A potem, zniżając głos:) - Czy odrzuciłbyś którekolwiek z błogosławieństw twojego Pana?

Trzepoczący Orzeł był wstrząśnięty, lecz niezupełnie przekonany. Potrząsnął głową.

- Skoro nie potrafisz sobie wyobrazić współrzędnych swojego Wymiaru, nie możesz opuścić wyspy - powiedział Grimus. - Zarazem, z moją twarzą, nie możesz pozostać wśród mieszkańców Wyspy Cielęcej. Jedynym wyjściem jest dla ciebie samobójstwo, lecz gdy ci pokażę wszystkie moje cuda, całkiem ci się tego odechce.

- Więc mi je pokaż - rzekł Trzepoczący Orzeł.

Stojąc w pokoju, który przedtem mijał, w pokoju z po-okrywanyimi przedmiotami na cokołach, Trzepoczący Orzeł zachodził w głowę, co tak bardzo przeraża go w Grimusie, i doszedł do wniosku, że tym czymś jest chyba dziecinność jego wielkiego projektu, realizacja każdego, nawet najbardziej mglistego kaprysu i te dziecinne rytuały, którymi chciał go rozbawić, jak ten taniec. Grimus: niemowlę uzbrojone w bombę. A raczej w cały arsenał bomb. Na cokołach.

- Druga część tego tańca - zaćwierkał - to Taniec Zasłon. W Którym Odkryta Zostaje Większość Cudów.

Stanął przy pierwszym cokole jak pouczająca, wielobarwna sowa.

- Każda osobowość kryje w sobie esencję - zaczął. - Metafizycy z planety Oxyput VII udoskonalili narzędzie do wykrywania esencji, które nabyłem podczas moich podróży. Opiera się ono na niezwykle prostym założeniu: że esencje dzielą się na dwie grupy: atomiczne, pełne i statyczne z jednej strony, a z drugiej joniczne, niepełne i dynamiczne. Można powiedzieć, że są to Jony Duszy. Urządzenie, które zamierzam ci teraz pokazać, nazywa się Jonowym Okiem. Jego funkcja polega na badaniu i zapisie struktury jonowej w każdej Esencji Dynamicznej. Eksperymentującym przez długie stulecia Oxyputianom udało się odkryć znaczenie tychże Jonowych Wzorów. Posiadłem i tę wiedzę, która, nawiasem mówiąc, umożliwiła mi konceptualizację niejakiego Trzepoczącego Orła. - Zdjął zasłonę z Jonowego Oka. Było to zwykła czarna skrzynka. Jej przednią ściankę pokrywały niezliczone rzędy maleńkich, szklanych okienek. - Stań przed nią, proszę.

Trzepoczący Orzeł wykonał polecenie, a w maleńkich okienkach natychmiast rozbliły się światełka, skomplikowany układ światełek.

- Twój Wzór Jonowy jest najbardziej destrukcyjną siłą, jaką dotąd napotkałem - ciągnął Grimus. - Ktoś przesądny utrzymywałby zapewne, że właśnie to dostrzegła pani Cramm na twojej dłoni: coś, co sprawiało, że twoi ludzie nie darzyli cię zaufaniem, coś, co stanowi

zasadniczą przyczynę twoich nieszczęść na Wyspie Cielecej. Z mojego punktu widzenia jesteś zaś wręcz idealnym aniołem śmierci. Ty i twoja siostra, choć jej wzór jest znacznie mniej wyraźny niż twój.

Grimus podszedł do dwóch cokołów stojących blisko siebie w odległym kącie pokoju, po czym odsłonił jeden z nich. Trzepoczący Orzeł stał przed Kryształem Wodnym.

- Widzę, że poznajesz - powiedział Grimus. - Dziennik Virgila. Świetnie, świetnie. To właśnie dzięki temu kryształowi mogłem cię znaleźć oraz zbadać za pomocą Jonowego Oka i to właśnie dzięki niemu mogłem podążać za tobą krok w krok, zanim tutaj przybyłeś. Lecz jego towarzysz jest znacznie bardziej interesujący. Z dziennika Virgila nie dowiesz się nic na jego temat, ponieważ ukryłem go przed nim. Jest to Kryształ Potencjalności. Z jego pomocą mogę zbadać wiele potencjalnych teraźniejszości i przyszłości, wiele czasowych skrzyżowań prowadzących nas tą lub inną linią przepływu. Jeżeli oczywiście rozumiesz, co mam na myśli.

Trzepoczący Orzeł potrząsnął głową - n i e- wbijając wzrok w drugą, właśnie odsłoniętą, kryształową kulę. Ona również była czymś wypełniona, nie wodą jednak, lecz jakby dymem.

- Obawiam się, że zawsze widzisz wszystko jak przez lekką mgłę - powiedział Grimus. - Aha, ty przecież niczego nie rozumiesz. Pozwól zatem, że ci przypomnę wydarzenia, które doskonale pamiętasz. W niedawnej przeszłości dwukrotnie stawałeś na rozstaju dróg. Na przykład. Gdybym nie stworzył wokół ciebie ochronnej bariery, gdy płynąłeś do wyspy, niewątpliwie poszedłbyś na dno. Rzecz jasna dopuściłem, by do twojego organizmu dostało się trochę wody. Prawdopodobieństwo ma ogromną wagę. I druga chwila: gdy nieświadomie wymówiłeś w obecności La Czerkasowej imię „Elfrina”. Na pewno dostrzegłeś, jak bardzo ten krótki moment zmienił cały bieg twojego życia. Choć zarazem muszę przyznać, że gdybyś wówczas tak bardzo

nie ułatwił mi zadania, byłbym zmuszony znaleźć jakiś inny sposób, żeby cię odizolować... Nieważne. Dobrze wiesz, o co mi idzie. Rozstaje dróg. Już od dawna strzegę cię - jak również innych - w tej trudnej drodze. To właśnie mam na myśli, mówiąc, że cię stworzyłem. Staram się stworzyć Wymiar Idealny, w którym wszystko dzieje się zgodnie z ustalonym planem.

Powiesz: nieprawda. Nie przewidziałem zdrady Nicholasa Deggle'a. Moja odpowiedź na to brzmi: giętkość stanowi najistotniejszą cechę dobrze ukształtowanego Pojęcia. To, co niekorzystne, można zmienić na swoją korzyść. Tak oto wydalenie Deggle'a niezwykle prostą drogą przyciągnęło cię do następnego. Tak oto niechęć mieszkańców Ch. do mnie sprawiła, że odpowiednio cię potraktowali. (Chociaż i tak wywołałbym tę niechęć, uniemożliwiając im dostęp do Róży.)

- A więc uniemożliwiłeś im dostęp do Róży - powiedział Trzepoczący Orzeł.

- Oczywiście - odparł Grimus. - Przede wszystkim nie miała ona nic wspólnego z tym, dla czego tam przybyli. Nieśmiertelność była ich wyborem i nie zamierzali się nad nią zastanawiać. Róża była moja.

- I Virgila - wtrącił Trzepoczący Orzeł.

Grimus go zignorował.

- To jest Wymiar Idealny- powiedział. - W innym potencjalnym wymiarze nigdy nie przybyłeś na Wyspę Cielecą. W innym nigdy nie znalazłem Kamiennej Róży. A w jeszcze innym żyję sobie nadal, więzień własnych pomysłów. Lecz tutaj wszystko musi odbywać się tak, jak zamierzyłem. - Pod koniec dłonie drżały mu gorączkowo, głos stał się przeszywająco piskliwy.

- A co by się stało, gdybym wtedy zapadł na Gorączkę Wymiarową? - spytał Trzepoczący Orzeł.

- Nie istniała taka ewentualność - odparł Grimus. - Twoje jony były zbyt mocne. Zwróć uwagę, jakiego narzędzia użyłeś, by pokonać tego potwora: Chaos. Broń prawdziwego niszczyciela. Twoja podświadomość doskonale wiedziała, co robi.

- Jednak było pewne ryzyko - zauważył Trzepoczący Orzeł.
- Nonsens - zaproponował Grimus. - W sytuacji, gdy Virgil Jones, Chupor Pteszpod i ja sam czuwaliśmy nad twoimi krokami? Nonsens. Ale dobrze odegrałeś swoją rolę, nie zaprzeczam.

Gdy Trzepoczący Orzeł patrzył na tę twarz, tak podobną, a zarazem tak niepodobną, rozjaśnioną łagodnym uśmiechem, poczuł, że coś w nim pęka. Choć może określenie to nie grzeszy trafnością; po prostu wiele spraw nagle stało się jasnych. Coś poruszyło się w pamięci: wspomnienie człowieka poszukującego dla siebie głosu. Trzepoczący Orzeł, w towarzystwie dyrygenta swojego życia, wreszcie znalazł dla siebie ten głos.

- Dobrze odegrałem swoją rolę - potwierdził z przerażającym spokojem. - Nie sądzisz, że ta metafora trafia w samo sedno? Kamienna Róża zupełnie cię skrzywiła, Grimusie; zdobyta wtedy wiedza rozbudziła w tobie nienasyconą żądzę władzy, powodując zarazem ogromny chaos w życiu tych, których tutaj sprowadziłeś. To jest taka gra, a ty się świetnie bawisz, prawda? Nieskończoność kontynuów, możliwości teraźniejszych i przyszłych, swobodne i granicami czasem, ukształtowanym i zmienionym w zoo tylko po to, by ci zapewnić rozrywkę. Tak, przyznaję, ukształtowałeś mnie. Sprowadziłeś mnie tu w takim stanie, w jakim mnie tu chciałeś, by zrealizować swój opętńczy plan. Tak dalece oddaliłeś się od bólu i cierpienia tego świata, który opuściłeś, i tego, który stworzyłeś, że nawet śmierć stała się dla ciebie tylko akademickim ćwiczeniem. Potrafisz zaplanować swoją śmierć jak partię szachów. Lecz ostatecznie wszystko znalazło się w moich rękach, Grimusie, czego chyba do tej pory nie pojąłeś. Wszystko zależy od wyboru, jakiego dokonam, i wiedz, że nie zamierzam uczestniczyć w twojej grze. Virgil kazał mi zniszczyć Kamienną Różę. Teraz jestem pewien, że miał rację. Zbyt wiele ludzkich istnień obróciła w proch. Zbyt wiele możliwości osiągnięcia szczęścia. Powiedziałem to w gorączce bogini Axonów i teraz powtórzę tobie: Grimusie, jeśli zdołam, złamię cię.

Grimus skinął ponuro głową.
- Ach, Uduchowiona Śmierć - powiedział. - Dobrze, dobrze.
Trzepoczący Orzeł zebrał wszystkie siły, żeby... żeby co? - nie wiedział, nie miał żadnych planów. Stał bezradnie, ściskając swoją szamańską laskę, a Grimus patrzył nań z uśmiechem.
- Złamię cię - powtórzył Trzepoczący Orzeł. - Lecz nie tak, jak byś tego pragnął. Nie przejmę po tobie pałeczki.
Grimus odparł:
- Chyba już czas, żebym ci wyjawiał, jak zamierzam umrzeć. To plan, który ułożyłem dla ciebie. Przedtem jednak chciałbym rozwiać twoje obawy. Bardzo proszę, chodź za mną.
Wszedł do ciemnego pokoju, pustej przestrzeni oświetlonej tylko przez płomyki świec. Trzepoczący Orzeł ruszył za nim, bo dlaczego by nie. Wciąż potrzebował Grimusa, by odnaleźć Kamienną Różę.
- Powiedziałeś, że oddaliłem się od swojego stworzenia - zaczął. - Ten pokój będzie dowodem, że wcale tak nie jest. Jak myślisz, kto nieustannie czuwa nad Ch.? Nie sądzisz, że te stare domostwa już dawno powinny się były rozsypać? Nie sądzisz, że ta ziemia, uprawiana od niepamiętnych czasów, już dawno powinna się była stać jałowa? Zastanawiałeś się kiedyś, jakim cudem panu Gribbowi nigdy nie zabrakło papieru albo skąd się wzięły zawiasy tych drzwi? Musisz sobie uświadomić, Trzepoczący Orzeł, że jeśli Wymiar Konceptualny, jakim jest Wyspa Cieleca, ma istnieć, trzeba go nieustannie podtrzymywać i regularnie rekonceptualizować. Jeśli umrę, nie pozostawiwszy następcy, ta wyspa po prostu się rozpadnie. Musisz zająć moje miejsce.
- Ten pokój miał być dowodem - zauważył Trzepoczący Orzeł.
- Tak, tak - powiedział Grimus z odcieniem irytacji w głosie. - Doskonale. Pomyśl o jakimś miejscu na wyspie. Jakimkolwiek.
- Po prostu mam o nim pomyśleć? - spytał Trzepoczący Orzeł, zastanawiając się, co się święci.

- Tak. Skup się na tym.

Trzepoczący Orzeł stwierdził, że w jego umyśle powstaje obraz domku Dolores. Ciekawe, co się z nią teraz dzieje...

I nagle tam się znalazł. W domku. A domek był tutaj, w domu Grimusa. I układanka. I dzbanek z herbatką korzenną. I fotel na biegunach...

A w fotelu na biegunach siedział Nicholas Deggle.

- On nas nie widzi - powiedział Grimus.

- Jak ty to robisz? - spytał Trzepoczący Orzeł, a głos znów mu zadrzął.

- Kwestia odpowiedniego dostrojenia Róży. Dzięki niej mogę bez przeszkód obserwować wyspę, gdy mnie znuży Kryształ Wodny. I widzę więcej szczegółów. A, właśnie! Zapomniałem ci powiedzieć, że Dolores O'Toole nie żyje.

Wszystko znikło. Znów znaleźli się w pustym pokoju.

- Widzisz? - powiedział Grimus. - Wcale tak bardzo nie oddaliłem się od tego świata.

Nie, pomyślał Trzepoczący Orzeł. Zredukowałeś życie innych do tego samego poziomu nierzeczywistości, który cechuje twoje własne życie. Teraz każdy z nich jest fikcją, iluzją zaistniałą dzięki Konceptualizacji i oddziaływaniu Róży... W tej postaci nic ci nie mogą zrobić. Nie mają na ciebie wpływu.

- Nie zgadzam się - rzekł.

Grimus odwrócił się i wyszedł z pokoju tym swoim wy studiowanym, ptasim krokiem.

- Teraz zaczniesz się trzecia część tańca - powiedział w drzwiach. - I teraz wyjaśnię ci, jak umrę.

Trzepoczący Orzeł, usadowiony raz jeszcze w fotelu na biegunach. I Grimus, raz jeszcze krążący wokół niego.

- Grimusie - powiedział Trzepoczący Orzeł - mam kilka pytań.

- Pytań? Dobrze, dobrze.

- Dlaczego Efekt zupełnie na ciebie nie działa?

- Dobrze pytanie - odparł Grimus i zamilkł. Wyglądało na to, że się zastanawia nad odpowiedzią.

Wreszcie się odezwał:

- Kiedyś byłem jeńcem wojennym. Dzień w dzień żyłem w strachu, że zostanę zabity. Taka to była wojna. Kazano nam wchodzić na ciężarówkę, wożono nas na miejsce egzekucji i zawiązywano oczy. Potem słyszeliśmy kroki żołnierzy, rozkaz: „Cel!”... ale nikt nie strzelał. To była bardzo wymyślna tortura. A czasami, byśmy sobie nie pomyśleli, że to żarty, naprawdę zabijali kilka osób. Upodobali sobie tę torturę. Kilka osób zmarło na atak serca. Ale nie ja. Natomiast dowiedziałem się o sobie dwóch rzeczy: po pierwsze, że to, czy moje ciało będzie żyło czy nie, jest sprawą najwyższej awagi. Po drugie, że kiedyś będę chciał sam zorganizować sobie życie. Dokładnie tak, jak tego chciałem.

I tak zbudowałeś sobie więzienie, pomyślał Trzepoczący Orzeł.

- Najwyższej awagi? - spytał.

- Jeśli coś nie jest ani ważne, ani nieważne, gdy pojęcie wagi traci jakiegokolwiek znaczenie, mamy do czynienia z awagą - odrzekł Grimus. - Dlatego właśnie Wymiary Wewnętrzne nie mogą mi wyrządzić żadnej szkody. Jestem uległy, chcę we wszystko wierzyć, gotów jestem przyjąć każdą nową potworność, każdą najpodlejszą prawdę o sobie. Niczego przed sobą nie kryję. Dlatego mogę żyć w Wymiarach Wewnętrznych, które nieustannie współlistnieją z moim świadomym, ja”. Rozumiesz?

- Tak - odparł Trzepoczący Orzeł. - Rozumiem.

- I kolejna kwestia - powiedział Grimus. - Człowiek swojej Śmierci mówi wszystko.

- Tak. I jeszcze jedno - (Zostawię sobie błyski na lepszą chwilę. Jeszcze nadejdzie odpowiedniejszy moment, powtórzył sobie Trzepoczący Orzeł.) - Odnoszę wrażenie, że wszyscy mieszkańcy tej wyspy pochodzą mniej więcej z czasu, gdy wypilem Elik sir. Zresztą dotyczy to również ciebie.

- Cóż za trafne spostrzeżenie - rzekł Grimus. - Było kilka powodów. Po pierwsze, nie chciałem doprowadzić do ogromnych problemów, łącząc jaskiniowców z kosmonautami. Po drugie, uznałem, że moje czasy są znacznie bardziej interesujące niż przeszłość

czy przyszłość. Po trzecie natomiast, gdy skupiłem się na czasie stałym, przekonałem się, że najłatwiej przenieść ludzi z wymiarów równoległych. Znacznie prostsze dostrojenie i tak dalej. Jeszcze jakieś pytania?

- Tak - odparł Trzepoczący Orzeł: coś mu się przypomniało.

Grimus cmoknął z przyganą.

- Cóż za umysłowa niedoskonałość - powiedział.

- Czy biorąc pod uwagę, że Efekt tak bardzo zmienił przebieg twego eksperymentu, nie należy uznać, że poniosłeś kompletne fiasko? - Starął się mówić to wszystko tonem spokojnym i

- W żadnym razie - odparł Grimus. - Dobre pytanie. W żadnym razie. Ty naprawdę zadajesz dobre pytania. - (I znów niewyraźne uczucie, że coś mu działa na nerwy.) - Jedyne charakter eksperymentu wyraźnie się zmienił. Co dopomogło w procesie niezbędnej alienacji. Mieszkańcy Ch. powinni czuć do mnie antypatię. To bardzo ważne dla mojej Śmierci, wiesz? Dla mojej Śmierci.

- W porządku - powiedział Trzepoczący Orzeł, nie widząc wyjścia.

- Opowiedz mi o tym.

- To proste - powiedział Grimus. - Ptako-Pies przeszła serię seansów hipnotycznych. Gdy wydam jej rozkaz, uda się w Podróż do domu Liv. Rzecz jasna otworzę jej Bramę. Ma powiedzieć Liv, że mnie nienawidzi - by nadać temu wyznaniu pozory rzeczywistości, znęcałem się nad nią od wielu stuleci, więc chyba bez oporów podda się sugestii pohipnotycznej. Nienawidzi mnie i pragnie mojej śmierci. Oczywiście nienawidzi Liv do mnie (nie muszę chyba dodawać, że starannie przeze mnie podsycana) po niedawnej przygodzie z tobą ożyła. Teraz, gdy wyszła z transu, wie już na pewno, że jej plan - to znaczy seksualna zemsta - spalił na panewce.

A ponieważ jest z tego powodu rozgoryczona, bez wątpienia się zgodzi. Tak mówią linie przepływu. Wiem, gdyż je zbadałem. Widzisz, wolna wola to czyste złudzenie: ludzkie postępowanie wyznaczają linie przepływu ich potencjalnych przyszłości.

Tak czy inaczej. Budzę w nich taki strach, że nie będą mnie próbowały uśmiercić na własną rękę. Poszukają pomocy w miasteczku. I znowu muszę powiedzieć, że twoje niezbyt szczęśliwe przygody w Ch. miały głębszy sens. Niechęć do mnie jest tam silniejsza niż kiedykolwiek. I takim sposobem dochodzimy do moich morderców. Fascynujące trio. Jeden z nich to Flann O'Toole. Nie oprze się pokusie odegrania roli Napoleona, prowadzącego do boju zwycięską armię. Drugi to Peckenpaw. W jego wypadku głównym motywem będzie chęć pomszczenia śmierci przyjaciela, jak również okazja powrotu do atmosfery polowania, dreszczyku, jaki ono daje. Ten trzeci jest mniej prawdopodobny. To pan Moonshy. Przyłączy się do tej wesołej kompanii, wmówiwszy sobie zapewne, że jego zadaniem jest uwolnienie wyspy z jarzma tyranii. Być może i tak będzie. Być może jest on bardziej zainteresowany Iriną Czerkasową, niż byłby skłonny przyznać. Właśnie ci trzej przejdą przez Bramę, którą zostawię otwartą. Niewątpliwie zauważyłeś, że Flann O'Toole m:Ręce dusiciela, przypomniało się Trzepoczącemu Orłu.

- Główną postacią w tych wszystkich wydarzeniach jest Liv - powiedział Grimus spokojnie. - To jej namiętność popchnie ich do działania; namiętność Ptako-Psa nic tutaj nie znaczy: ona jest tylko Widmem Grimusa. Namiętność pozostałych - podszyta strachem - też jest niczym. To Liv będzie ich siłą napędową. Dzięki tobie. Aniołowi Śmierci. Przygotowałeś Górę Cielecą do tego, by zwróciła się przeciwko Simurgowi. A ty będziesz nowym panem, bo nauczyłem cię, jak to robić.

- Więc naprawdę chcesz ponieść właśnie taką śmierć? Z rąk tłuszczy? - zapytał Trzepoczący Orzeł.

- Oczywiście - odrzekł Grimus z bezpretensjonalnym szaleństwem.
- Planuję to od wielu lat. Ta wersja jest dla mnie satysfakcjonująca zarówno z psychologicznego, jak i symbolicznego punktu widzenia. W stabilizacji tkwi zarodek przyszłego upadku. Po kataklizmie następuje nowy, lecz podobny do starego porządek. To bardzo estetyczne. I słuszne.

Grimus przekicał przez pokój i szarpnął za sznur od dzwonka. Mimo późnej pory Ptako-Pies zjawiała się niemal natychmiast, dysząc i z trudem łapiąc oddech. Widząc upokorzenie siostry, Trzepoczący Orzeł poczuł, że wzbiera w nim bezsilna wściekłość. Uświadomił sobie nagle, iż niewykluczone, że i on wpadł w taką samą pułapkę jak Ptako-Pies. Bezskutecznie próbował opędzić się od tej myśli.

- Ptako-Psie - powiedział Grimus. - Tak.

- Oto mój ostateczny rozkaz dla ciebie - rzekł Grimus.

- Tak - odparła Ptako-Pies, przygotowując się do wykonania.

- Ten Rozkaz jest Ostateczny- powiedział z naciskiem Grimus.

Ptako-Pies odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Trzepoczący Orzeł pobiegł za nią. Chwyił ją za ramiona.

- Nie idź - powiedział. - Przełam uwarunkowania. Powiedz „nie”.

- Chcę iść - powiedziała spokojnie Ptako-Pies. - Chcę, żeby zginął.

Trzepoczący Orzeł puścił ją; z tyłu dobiegł go śmiech Grimusa. Siostra wyszła z pokoju, zamykając za sobą ukryte drzwi.

Trzepoczącym Orłem targała furia.

- Grimusie - powiedział - jeżeli zaraz nie pokażesz mi Kamiennej Róży, z rozkoszą cię uduszę za to, co zrobiłeś mojej siostrze. I zrobię to niezwłocznie, uprzedzając tę twoją, jak mówisz,

perfekcyjnie zaplanowaną śmierć. To będzie żałosna, bezsensowna śmierć, Grimusie.

- Ojej - odparł Grimus. - Aleś się zdenerwował. I tak chciałem ci właśnie pokazać Różę. Muszę ją dostroić, by otworzyć Bramę. - Przeszedł w kąt pokoju położony najbliżej środka domu.

Następnie otworzył jeszcze jedne ukryte drzwi. Wewnątrz, w samym centrum domu, znajdowała się Róża.

Więc to stąd pochodził ten wariacki kształt całego domostwa. Splątane na kształt labiryntu odnogi tak oszałamiały każdego gościa, że nie zdawał sobie sprawy z istnienia tego małego pokoiku. Nawet Trzepoczący Orzeł, który odkąd wszedł w te progi, skupiony był na jego przedziwnych liniach, nie potrafiłby go zlokalizować.

- Pójdź - powiedział Grimus. - Przed nami ostatnia część Tańca Mądrości i Śmierci.

W rzeczywistości Kamienna Róża wcale nie była różą. Trzepoczący Orzeł przyglądał się, jak Grimus ją dostraja, leżącą w trumnie w małym, tajnym pokoiku, i czuł, że zaczyna rozumieć.

Zwieńczenie trzonu, czy też łodygi, otoczone było przez kilka cieniutkich kamiennych płytek w kształcie gwiazdek. Trzepoczący Orzeł doliczył się ich siedmiu. Dwie najwyższe miały cztery ramiona, następne osiem, kolejne szesnaście i tak dalej. Każda z tych płytek okręgała niezależnie trzon. Dostrajanie Róży najwidoczniej polegało na ustawianiu owych płytek w różnych położeniach. To właśnie Grimus teraz robił. Mniej więcej w połowie długości Łodygi, w miejscu wygodnym do uchwycenia, znajdowało się coś na kształt

- W niektórych Wymiarach ten Przedmiot jest inny - wyjaśnił Grimus. - Różnice zależą od możliwości panującego gatunku. Można ustawić Różę na Podróże z prędkością nadświatlną, przenieść się do wymiarów równoległych i tak dalej.

- Nie zmieniłem zdania, Grimusie - powiedział Trzepoczący Orzeł. -

- Zamierzam ją zniszczyć. Przecież nie panujesz nad tą rzeczą - to ona nad tobą panuje. Do tego jeszcze dochodzą te błyski. Róża jest uszkodzona, Grimusie, i dlatego jest niebezpieczna. A przez to i ty jesteś niebezpieczny. Oczywiście Grimusa błysnęły, po chwili jednak

- Proszę cię - w jego głosie pojawiły się błagalne tony - chciałbym ci pokazać moje kolejne odkrycie. Jeśli ono cię nie przekona, jak wielką wartość ma Róża, jeśli nie zrozumiesz, jakie to ważne, żebyś zachował ją po mojej śmierci i dbał o nią, pozwolę ci zrobić, cokolwiek zechcesz. Jeszcze tylko jedno odkrycie.

Trzepoczący Orzeł nie oponował; w sumie było to przecież niewielkie ustępstwo. Grimus nie mógł go już powstrzymać, gdyż Kamienna Róża znajdowała się na wyciągnięcie ręki. Jakkolwiek by na to patrzeć, jestem przecież uzbrojony, powtarzał sobie. Nie w łuk i strzały, lecz w ogromne zobowiązanie. Wobec Virgila. Wobec własnej, destrukcyjnej przeszłości. Tym razem moje Jony można będzie dobrze wykorzystać w szlachetnym celu: jeśli jestem niszczycielem, to przynajmniej będę niszczył to, co niebezpieczne.

Grimus podszedł do ciemnego kąta pokoju i odsłonił jakiś przedmiot. To coś było przezroczyste, kuliste i miało uchwyty z obu stron. Gdy Grimus podniósł to coś za jeden z uchwytów, zaczęło się świecić.

- Przewidywałem, że będę miał poważne trudności z ukazaniem ci mego punktu widzenia - powiedział. - Dlatego właśnie dokonałem Konceptualizacji Generalizatora. Jeśli złapiesz za drugi uchwyt, będziemy się mogli porozumieć telepatycznie. Dzięki pośrednictwu tej kuli. Masz ochotę?

Trzepoczący Orzeł zawahał się na moment.

- Czyżbyś się bał? - spytał Grimus melodyjnym, dziecięcym głosem.

- Nie - odparł Trzepoczący Orzeł. Mógł przecież znieść wszystko, co mógł znieść Grimus, to wiekowe dziecko. Czy nie dowiódł aż nadto wyraźnie siły swej woli?

Położył szamańską laskę na skraju trumny Róży i podszedł do

Grimusa. Nabrał powietrza w płuca i złapał podany mu uchwyt -
czegoż to? - Generalizatora.

Ostatnim, co zapamiętał, jeszcze jako Trzepoczący Orzeł, był
wysoki, przenikliwy, radosny głos Grimusa:

- Moja stara matka zawsze mówiła: bez sztuczek nie przekonasz
ludzi do żadnych nowych pomysłów.

(Byłem Trzepoczącym Orłem.)

(Byłem Grimusem.)

Ja. Moje, ja”. Ja i on. Ja i jego Ja” w lśniącej misie. Tak, to było
właśnie tak. Ja i on wlewaliśmy się z siebie prosto do tej lśniącej
misy. To proste. Ty połykasz mnie, a ja ciebie. Mieszamy się,
mieszamy. No już, rośniemy. Ty we mnie i w ciebie. Jego myśli.

Tak, tak to właśnie było. Druk. Zupełnie jak druk. Pod prasą, jego
myśli odciskały się na moich, przez moje i do moich, jego myśli moje.
Moje jego. Jaskółka to wdzięczny ptak. Dwie jaskółki, a potem jeden
pół-orzeł- pół-on i drugi pół-on- pół-orzeł. Tak, tak to właśnie było.
Byliśmy jednym w tej lśniącej misie, dwaj w tym ciebie. Tak.

Mój syn. Umysł Grimusa pędzi ku mnie. Tyś jest moim synem, daję
ci moje życie. Stałem się tobą, stałem się tobą i mną. Umysł Grimusa
przechodzi przez mój. Mandaryn wtryskujący się we mnie
cerebralnym orgazmem. Ten mieszaniec, półsemicki jeniec wojenny i
jego sprzeczności, aważność jego , ja” współistniejąca z niezwykle
silną koniecznością narzucania tego „ja”, okrutną koniecznością,
nieuchronną, umysł Grimusa przenikający moją istotę. Jego „ja”
nadlatujące jako ten łopot skrzydeł. Mój synu, mój synu, jakież to
ojciec spłodził sobie takiego syna, jak ja w mej niepłodności?

Światło w lśniącej kuli przygasło: przemiana się dokonała.
Puściłem uchwyt - moje ciało znów było mi posłuszne. On również
rozluźnił uchwyt. Kula upadła.

I roztrzaskała się na kamiennej posadzce. - No dobrze - powiedział. - Teraz jesteśmy tym samym. Teraz już rozumiesz.

Szaleniec? Czym jest szaleństwo? Łatwo by go było nazwać szaleńcem, lecz jest w mojej głowie i rozumiem jego wątpliwości. A wątpliwości te niełatwo ubrać w słowa. Przygniatająca groza obozu jenieckiego, zdeptanie jego ludzkiej godności, wiary w rodzaj ludzki; późniejsze zagrzebanie w książkach, filozofiach i mitologiach, które powoli zajęły miejsce rzeczywistości, stając się jego przyjaciółmi i towarzyszami, podczas gdy świat był dlań jak przerażający koszmar. Ten człowiek o naturze anachorety odnalazł piękno w ptakach i opowieściach. Potem zjawiała się Róża i okazja, by świat, życie i śmierć przyjęły pożądane przezeń kształty, a ponieważ nie szanował przedstawicieli swojego gatunku, zupełnie go nie obchodziło, co się z nimi stanie. Wyrządzili mu zbyt dużo krzywd. Łagodność zarezerwował dla swoich ptaków. Zgromadził je wokół siebie i podtrzymywał swą ulubioną historię, swój ornitologiczny mit. Szaleniec? Czym jest szaleństwo?

Idee były dla niego wyłącznym usprawiedliwieniem jego istnienia, a ponieważ znalazł wiedzę i możliwości pozwalające się bawić tymi ideami, nic nie mogło go zatrzymać. Wiedza deprawuje; wiedza absolutna deprawuje absolutnie. Tak, był szaleńcem. Ale on znajduje się we mnie, a ja dobrze go znam.

Wciąż jeszcze istnieje „ja”. Takie „ja” we mnie, które nie jest „nim”.
Toczymy wojnę o Różę.

- Spójrz - powiedział Grimus. (Byłem w nim, a on we mnie. Generalizator działa w obydwie strony.)

Uniósł małe lusterko, przycisnął je do piersi i ustawił pod takim kątem, żebym mógł się w nim przejrzeć.

Moje włosy zbieleły. Teraz miałem jego twarz, całkowicie jego twarz, jego głowę na moich ramionach. Byłem Trzepoczącym Orłem.

Drugie ukryte drzwi, wiodące do pokoju, w którym spała Media. Tego małego pokoiku, w samym środku domu, przylegającego do większości pozostałych pokoi. Grimus (będący częściowo Trzepoczącym Orłem) wziął Medię za rękę i poprowadził ją tam, gdzie stałem, przy trumnie mieszczącej Różę.

- Zostańcie tutaj - polecił. - I pilnujcie się nawzajem. Niebawem przyjdą. Ale nawet Ptako-Pies nie wie, że ten pokój istnieje.

Na jego twarzy malował się strach. Poznałem go: to był mój strach. To moje, ja", które wchłonął, bało się śmierci.

- Teraz nie skrzywdzisz Róży - powiedział. – Jesteśmy tym samym. I wyszedł.

- On cię zmienił - wyszeptala.

Media wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami.

Trzymałem jej dłoń. Przynajmniej ona była taka sama. Jedyna stała rzecz w tym zmienionym wszechświecie.

Róża. Ten „on” we mnie miał własną wolę i to ona zmuszała mnie, bym się ugiął pod jego żądaniami. Moje „ja” we mnie osłabło, straciło siły w wyniku wstrząsu wywołanego Generalizacją. Przez długą, bardzo długą chwilę stałem, wpatrując się w Różę. Wybrzuszenie na jej łodydze fascynowało mnie coraz bardziej, przyciągało mój wzrok z magnetyczną siłą. Może sprawiał to właśnie „on” we mnie.

Nagle chwyciłem Różę. Za to wybrzuszenie. Leżało w mojej dłoni jak ulał. Potem wrzasnąłem, a po mnie wrzasnęła Media. Wrzasnąłem z bólu. Ona wrzasnęła, ponieważ zniknąłem z pokoju.

Odbyłem Podróż.

Pierwsze zetknięcie z Wymiarami Zewnętrznymi powoduje ból. Wszechświat niespodziewanie się rozplywa i przez ułamek sekundy człowiek staje się małą wiązką energii w bezbrzeżnym oceanie potężnych sił. To niszczące, niewyobrażalnie bolesne doświadczenie. Potem on - to znaczy wszechświat - znów stał się taki jak zwykle.

Tworząc Przedmioty łączące nieskończoność Wymiarów Wyobrażonych i Niewyobrażalnych, Chuporowie zawsze wyposażali je w jeden element, skierowany bezpośrednio na planetę Aimeiz. W Kamiennej Róży funkcję tę pełniło owo wyrzuszenie.

Znajdowałem się tam, na planecie Aimeiz, poniżej gwiazdy Skołon, na skraju galaktyki Agord Anczelm w Chuporskim Wiszewśatchu. W niewielkiej bańce powietrza umieszczonej na szerokiej, płaskiej skale. I byłem pod obserwacją.

Na zewnątrz żółte słońce odcinające się od czarnego nieba, a ja otoczony przez grupę monolitów.

Przypominają ropuchy, pomyślałem. Ogromne, kamienne ropuchy. (Pomyślało to ja- we-mnie, a nie ja-Grimus. Ja-Grimus oszczędzało siły na walkę o Różę.)

Czy to Grimus? - pojawiło się w moim umyśle pytanie, nie wypowiedziane, nie ubrane w słowa. Zaraz po nim zjawiała się druga, głębsza, mądrzejsza forma myślowa.

Tak... *nie... aha, rozumiem*. Miałem wrażenie, że ktoś rozbiera mnie do naga. Zawartość mojego umysłu została dokładnie przejrzana.

„Gdzie jesteś?”, krzyknąłem, a ja-Grimus we mnie poinformował mnie, że te monolity - gruzłowate, wielkie i spowite lekką mgiełką - to najinteligentniejsze formy życia, jakie można znaleźć we wszystkich galaktykach, jak również o tym, że ta druga forma myślowa to sam Abaż, wielki myśliciel.

Element niegrimusowy zdaje się zdobywać minimalną przewagę, powiedziała trzecia forma myślowa.

Dobrze. Znów Abaż. *Sluchaj*, pomyślał do mnie, odrobinę za głośno, zupełnie jak człowiek, który ma do czynienia

z przyglupim cudzoziemcem, *Jesteśmy Chuporami*. Potem nastąpiła cała seria form myślowych, które opowiedziały mi dzieje całej rasy tudzież historię Przedmiotów.

Mamy dwa poważne zmartwienia, pomyślał Abaż. Jednym z nich jest Chupor Pteszpod, który nie wiadomo dlaczego osiedlił się w waszych Endymionach. Gdybyś przypadkiem go spotkał, bądź łaskaw go poinformować, że w efekcie zaprowadzenia Złego Porządku ma wzbroniony wstęp na planetę Aimeiz. Nie jest tu mile widziany. Albo przetrwa w waszych Endymionach, albo tam zginie.

„Ach”, pomyślałem.

Stąd bierze się nasze drugie zmartwienie, myślał dalej Abaż. Niezmiernie nas niepokoi to, że Grimus nadużywa Róży, która przenigdy nie miała być ani narzędziem do odbywania podróży międzyendymionowych, ani magiczną skrzynką do produkcji żywności. Wykorzystanie Róży do Konceptualizacji paczki (tu pogrzebał w pamięci, by znaleźć odpowiednie słowo) kawy stanowi jawne wypaczenie Technologii Konceptualnej.

Najbardziej zaś martwimy się o subendymiony, które stworzył na szczycie góry. Subendymiony są konceptualnie niezdrowe. Określone miejsce albo jest częścią Endymionów, albo nią nie jest. W rezultacie Konceptualizacji miejsca, które stanowi część Endymionów, a zarazem jest od nich odrębne, może doprowadzić do dezintegracji Przedmiotu. Chcielibyśmy, aby to idiotyczne Pojęcie zostało niezwłocznie zlikwidowane. To wszystko. Możesz wracać.

Czułem, że ja-Grimus we mnie pulsuje gniewnie, słysząc zarzuty Abaża. Potem zdałem sobie sprawę, że mam kilka pytań, na które gdzie indziej nie uzyskam raczej odpowiedzi.

„Abaż”, pomyślałem.

Tak? Myśl była szorstka, produkt wielkiego umysłu wytrąconego z równowagi.

„Czy błyski w naszym Wymiarze są efektem okaleczenia Róży?”

Tego nie wiemy, padła odpowiedź. Jedynie wasz Przedmiot został zbezpieczony i jest to jedyny Endymion,

w którym pojawiły się błyski. Niewykluczone, że mamy tu do czynienia ze związkiem przyczynowo-skutkowym. Choć wcale nie musi tak być. Widzisz, my naprawdę nie wiemy wszystkiego.

„Jeszcze tylko jedno pytanie”, myślałem, czując, że powietrze w mojej bańce robi się ciężkie. Wkrótce trzeba będzie wracać.

Tak?

„Czy można dokonać Konceptualizacji Wymiarowej... Endymionów... które nie zawierają żadnych Przedmiotów?”

Długa przerwa, podczas której czułem, jak między zgromadzonymi Chuporami przeskakują złożone argumenty.

Nie mamy pewności, odparł Abaż. *Nasza odpowiedź brzmiałaby „nie”, gdyż dla nas istnienie Endymionów stanowi funkcję Przedmiotu. Lecz dla mieszkańca Endymionów...* Po tych słowach nastąpiło mentalne wzruszenie ramion.

Żegnajcie, pomyślał adiutant Abaż.

Przeszukałem ja-Grimusa w sobie i odnalazłem technikę umożliwiającą powrót do Róży. Po chwili znów stałem w tajemnym pcMedia przyjęła to z wielką ulgą!

Flann O'Toole, w swoim napoleońskim kapeluszu, z prawą ręką za połą palta i z twarzą poczerwieniałą od alkoholu, wspinający się po schodach. Przy jego boku Monotematyczny Peckenpaw, z czapką z szopa wciśniętą na głowę, w ubraniu ze skóry niedźwiedzia, z kłębem sznura zwisającym z ramienia i strzelbą w ręce. A za nimi P S. Moonshy, nie ogolony urzędnik z płomiennym spojrzeniem. Dziwacznie dobrana trójca bogini zemsty zbliżająca się do celu.

Grimus stał w cieniu wielkiego jesionu, tuż obok swego domostwa. Na głowie miał wielobarwny pióropusz trzepoczący na wietrze. Na ramionach siedziały mu ptaki, otaczały miejsce, w którym stał, obsiadły sąsiednie gałęzie czekały, co się stanie.

Drżały mu ręce, poza tym był kompletnie nieruchomy.

Wreszcie cała czwórka stanęła twarzami do siebie, wiedząc, co się niebawem wydarzy.

Grimus powiedział:

- Dowiedziałem się wszystkiego, czego chciałem się dowiedzieć.

Byłem wszystkim, czym chciałem być.

Jestem kompletny.

Zaplanowałem to wszystko. Już czas.

Jednakże jego wysoki, przenikliwy głos zdradzał niepewność kryjącego się w nim Trzepoczącego Orła, protest drugiego, ja". Ono wcale nie chciało umierać.

Flann O'Toole zapytał:

- Gdzie jest pańska maszyna, panie Grimus? Wiemy, że tę informację trzymał pan w tajemnicy przed swoją służką. Z nami to się nie uda.

Grimus milczał.

- Monotematyczny - odezwał się O'Toole - spróbuj nakłonić tego dżentelmena do konwersacji.

Niebawem, gdy nos Grimusa był złamany, oczy zamknięte, skóra posiniaczona, usta jednak wciąż zaciśnięte, O'Toole powiedział:

- Nie zabijaj faceta, stary.

Peckenpaw puścił Grimusa, który zachwiał się na nogach, zalany krwią, lecz wytrwał w postawie wyprostowanej. Ptaki na drzewie podniosły krzyk.

- Przeszukajcie dom - zakomenderował Flann O'Toole.

Monotematyczny Peckenpaw i R S. Moonshy weszli do domu Grimusa, ale nic nie znaleźli. Jednakże zniszczyli wszystko, co się dało, a gdy wrócili, okryta całunami kolekcja Grimusa leżała roztrzaskana wokół cokołów, pozostałości Podróży całego życia. Kryształ potłuczony. Oko Jonowe zdeptane i zmiażdżone.

Nagle, gdy wynurzyli się na mgliste światło świtu, jęk ucichł. Raptownie, bez żadnego ostrzeżenia. Po prostu urwał się i już.

Flann O'Toole patrzył na Grimusa i ujrzał, jak twarz mu obwisła,

ujrzał przerażenie w podbitych oczach, ujrzał ból i rezygnację. Ujrzał to wszystko i na jego usta wypłynął uśmiech.

- A więc znaleźliście to - powiedział do Peckenpawa.

- Znaleźliśmy całą masę różnych rzeczy- odparł Peckenpaw. - Więc żeśmy je wszystkie porozwalali. Ja tam nie wiem, co to było.

- Oo, znaleźliście to - powtórzył O'Toole. - Pan Grimus właśnie przed chwilą mi to powiedział.

Grimus milczał.

- I jeszcze jedno - powiedział Peckenpaw. - Chcę Trzepoczącego Orła. Gdzie on jest?

Grimus nie odpowiedział.

Flann O'Toole zacisnął ręce na szyi zmaltretowanego.

- No dalej, panie Grimus - powiedział. - Teraz nam pan powiesz, prawda?

Grimus odparł:

- Wyrzuciłem go z wyspy. Już go tu nie ma.

- Czyżby to była prawda? - spytał O'Toole.

- Pewnie tak - odrzekł Peckenpaw. - W domu pusto. Wokół domu tak samo. Ten Trzepoczący Orzeł to szczęściarz.

P S. Moonshy odezwał się po raz pierwszy:

- Na co my właściwie czekamy?

O'Toole, rozbawiony, zaszczycił go uśmiechem.

- Pan Moonshy trochę się śpieszy - wyjaśnił przepaszająco Grimusowi. - A teraz, skoro wykonaliśmy nasze zadanie, nie ma chyba co zwlekać, panie Grimus. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan stanąć tutaj. - Przesunął Grimusa pod najgrubszy konar jesionu.

Grimus powiedział:

- Nie mam po co żyć. To zostało zaplanowane.

O'Toole uśmiechnął się.

- Oo, świetnie - stwierdził. - Wspaniale, że się zgadzamy, panie Grimus.

Krople potu na twarzy Grimusa mieszały się z krzepnącą krwią.

- Oj, panie Grimus, coś mi się zdaje, że jest pan przerażony - powiedział O'Toole.

- Nie ja - odparł Grimus. - On.

- Czy gdzieś w środku pali się jakiś ogień? - spytał O'Toole.
- Chyba tak - odparł Peckenpaw. - W hallu.
- Świetnie - powiedział Flann O'Toole.

Trzej zabójcy ruszyli przed siebie po kamiennych stopniach. Za nimi stał w płomieniach olbrzymi jesion, a ciało mężczyzny, śmiesznie małe w porównaniu z pniem, do którego było przywiązane, czerniało i węgliło się w ogniu. Nagle upadło, gdy języki ognia przepaliły sznury, i legło na ziemi, a płomień buchnął jeszcze potężniej. Wokół niego i nad nim spadały z trzaskiem gałęzie, wzbijając kłęby dymu i deszcz iskier, tworząc płonący grobowiec. A wokół tej ogromnej kolumny dymu unosiła się ciemna chmura ptaków, kołujących i wrzeszczących, pikujących i kołujących, obwieszających jego koniec.

Nie było już Bramy. Wyspa Cieleca znowu stała się jednym miejscem. Do domu Liv, który teraz był trwały i widoczny, prowadziły stopnie. Koniec jęku był zarazem końcem Subwymiaru. Znikły wszystkie duchy.

Ptako-Pies opadła ciężko u podnóża schodów i zeszywniała, widząc, że cała trójka zbliża się do niej. Minęli ją bez słowa.

Z czarnego domu wyszła kobieta, cała w czarnych szatach. Ptako-Pies patrzyła, jak rozmawia z tym triem, a potem przenosi wzrok za palec O'Toole'a na słup dymu. Liv skinęła szybko głową i zniknęła w domu. Zabójcy szli dalej w dół góry ku Ch.

Po chwili Liv Sylwan Jones kolejny raz wyłoniła się z domu. W prawej ręce trzymała nóż, nóż, którym z drewna rosnących w pobliżu drzew wyrzeźbiła niezliczone odrażające przedmioty. Usiadła na ziemi.

Trzymając nóż w prawej ręce, ruchem świadczącym o absolutnej koncentracji przecięła sobie żyłę na lewym nadgarstku. Następnie przełożyła nóż do lewej ręki i zaczęła metodycznie ciąć prawy nadgarstek.

Ptako-Pies podeszła bliżej i stanęła przed nią; bez słowa przyglądała się temu, co robi. Liv Sylwan Jones odpowiedziała jej równie milczącym spojrzeniem.

- To już koniec - powiedziała, wskazując głową kolumnę dymu.

Liv, podobnie jak Grimus, wybrała chwilę swojej śmierci. Na Górze Cielecej śmierć musi pochodzić z wyboru. Gwałt z wyboru popełniony na ciele.

Z przesadną uwagą nacięła nożem cienką, czerwoną linię, czerwone, ciekące usta rozciągnięte w krwawym uśmiechu od ucha do ucha, biegnące poniżej podbródka.

Ptako-Pies patrzyła na kapiące krople.

Niewielki kopczyk poruszonej ziemi w lesie, świeżo rozgrzebanej, na tyłach pomalowanego czarną farbą domu. Na nim drewniana rzeźba, zniekształcona głowa śmierci, z szeroko otwartymi ustami.

Kobieta w czarnych szatach, z twarzą zasłoniętą czarną woalką, oddaliła się od niego, kierując się ku czarnemu domowi, odwracając wzrok od unoszących się kłębow dymu, i usiadła, w idealnym bezruchu, na jedynym krześle, wśród brudu i pleśni, po czym zanuciła dawną, na pół zapomnianą, na pół zapamiętaną pieśń śmierci Axonów.

- Mój Boże - powiedział Nicholas Deggle.

Virgil Jones obrócił się powoli ku niemu.

- Łodyga - powiedział Deggle. - Zniknęła. Całkiem.

Zaczął jej rozpaczliwie poszukiwać w małej, zaśmieconej szopie. Virgil podniósł się z fotela na biegunach i wyszedł na zewnątrz.

- Świetna robota - powiedział, patrząc na Górę Cielecą. - Świetna robota.

Deggle wyszedł do niego.

- Nigdzie go nie ma - powiedział.

- Róża jest zniszczona - poinformował go Virgil Jones.

- Co ty powiedziałaś?

- Powiedziałem, że Trzepoczący Orzeł wykonał swoje zadanie. Błyskotliwie.

Nicholas Deggle pognał w las.

Niebawem powrócił, a na jego twarzy malowało się nieopisane zdumienie.

- Nie ma jęku - oznajmił. - Możemy iść do Ch.

- Ja idę na plażę - odparł Virgil Jones.

Pan Virgil Jones, człowiek bez przyjaciół i o języku nazbyt dużym dla jego ust, uwielbiał schodzić ową skalną ścieżką we wtorkowe poranki, by rozkoszować się jedyłą, maleńką plażą na Wyspie Cielęcej. Poniżej, pod przemieszczającymi się szarosrebrnymi piaskami, spoczywało ciało pani Dolores O'Toole.

Pan Jones stał tyłem do morza, spoglądając na ogromne, zalesione zbocze Góry Cielęcej, zajmującej większą część wyspy z wyjątkiem niewielkiej polany, położonej bezpośrednio nad plażą, gdzie niegdyś mieszkał pan Jones i Dolores. Ciało pani O'Toole leżało między nim a zalesionym zboczem.

- Przygnębione - zamruczał pan Jones do siebie, siedząc tyłem do morza. - Przygnębione jest dziś morze.

No, no, pomyślał Chupor Pteszpod. Cóż za fascynujące, nowe status quo. Trzepoczący Orzeł i Media zastępują Gri-musa i Ptako-Psa. Ptako-Pies zastępuje Liv. Elfrida Gribb zastępuje Medię. Virgil Jones powraca na swoje miejsce na plaży. I jeszcze inne, wcześniejsze Porządkowania: Alek-siej Czerkasow zastępujący swojego ojca. I pan Moonshy zastępujący pana Page'a.

Jednak najciekawszy jest los Róży. Bez niej Trzepoczący Orzeł jest bezsilny. Jest zwykłym wygnańcem na szczycie góry. To, że znalazł się na szczycie, nie świadczy o wyższości.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała wtedy Media.

Na zewnątrz domu zabójcy stanęli przed upierzonym Grimusem.

W domu, w tajemnym pokoju, toczyłem (Ja-Orzeł) zaciętą walkę z ja-Grimusem we mnie.

„Musisz ocalić Różę”, powiedział ja-Grimus. „Jest ci potrzebna do ciągłej Rekonceptualizacji tej wyspy. Tak, jak ci to już wytłumaczyłem. Musisz ocalić Różę. Względność zachodzi również między Wymiarami. Istnieją one wyłącznie między sobą, są funkcjami samych siebie. Jeśli zniszczysz Różę, zniszczysz też nasze połączenie z ciągłymi wymiarowymi. Czegoś takiego po prostu nie

„Grimus nadużywał Róży”, przypomniał sobie Ja-Orzeł. „Błyski dowodzą, że Róża jest uszkodzona i wykorzystywana do maksimum. Nie możemy używać jej tak jak Grimus”.

„Chuporowie stworzyli Różę, by połączyć Wymiary!”, wykrzyknął ja-Grimus we mnie. „Jeśli ją zniszczysz, zniszczysz i nas! Abaż nie potrafił sobie wyobrazić Wymiaru bez Przedmiotu”.

„Powiedział jednak, że umie wyobrazić sobie mieszkańca Wymiaru tworzącego takie pojęcie”, odparł Ja-Orzeł.

Wtedy ja-Grimus zaprzestał racjonalnej dyskusji z ja- Orłem i zalał go rzeką form myślowych. *Róża umożliwia podróżowanie*, powiedziały formy i pokazały ja- Orłu tysiące pięknych światów, tysiące wszechświatów czekających na zbadanie. *Róża umożliwia ci naukę*, powiedziały formy myślowe, *objawiając setki nowych nauk oraz setki nowych form sztuki, samą śmietankę nieskończonych galaktyk. Masz tylko jedno życie. Dzięki Róży możesz się stać tysiącem tysięcy innych ludzi, przeżyć nieskończoną liczbę ludzkich żywotów, zyskać mądrość oraz możliwość kształtowania swego życia*. I formy myślowe pokazały ja- Orłu część osób, które Grimus obserwował i rozumiał, pokazały zastępcze radości i troski nieskończonej liczby żywotów. *A pewnego dnia, powiedziały formy myślowe, gdy dokonasz wszystkiego, czego chciałeś, gdy staniesz się wszystkim tym, czym chciałeś się stać, możesz przekazać ów dar*

komuś innemu, wybrać sposób i chwilę odejścia, dać Feniksowi nowe życie, nowy początek.

Jednak Ja-Orzeł zbyt wiele widział, zarówno na Wyspie Cielecej, jak i poza nią, widział, jak Grimus gotów był dla pewnej idei niszczyć ludzkie życie. Dla ja-Grimusa liczyły się przede wszystkim idee, odkrycia i nauka. Ja-Orzeł widział długie stulecia beznadziejnej wędrówki poprzedzające moje przybycie, widział ludzi w Ch. skazanych na ślepa filozofię zwykłego przetrwania, czepiających się kurczowo strzępów swojej indywidualności, świadomych, że brak im sił, by zmienić otaczającą ich rzeczywistość. Połączone siły nieograniczonej potęgi, nieograniczonej nauki i wyrafinowany, abstrakcyjny stosunek do życia, czyniący z obydwu najszczytniejsze cele ludzkości - tego właśnie Ja-Orzeł nie potrafił ożywić. Ja-Orzeł widział, jak to działa na Virgila Jonesa, na Dolores O'Toole, na Liv Jones, na Ptako-Psa, nawet na swoją siostrę, mimo że przez lata wyrosła między nimi przepaść. Nie, pomyślał Ja-Orzeł, ta Róża wcale nie jest największym darem.

Potem ustały wszelkie dyskusje, zarówno racjonalne, jak i myślowo-formalne, i ja-Grimus we mnie zaatakował ja - Orła z całą mocą swojej potężnej woli. Wojna w środku trwała, a Media przyglądała się, jak poruszam(y) się chwiejnym krokiem, i złapała

Być może właśnie to wzmocniło ja-Orła. Nie byłem sam. Towarzyszyła mi Media. Media - jedna z tych, których życie zostało przez niego wypaczone. Media - jedna z tych, za którą Ja-Orzeł czuł się odpowiedzialny. Wciąż czułem się winny niedawnych wydarzeń. Walczyłem o wyspę. On walczył o siebie. I przegrał.

Na zewnątrz Moonshy i Peckenpaw plądrowali dom.

Przemówiłem, Ja-Orzeł, do Medii. Ja-Grimus we mnie wycofał się, pulsujący ból gdzieś w tyle głowy.

- Zamierzam zniszczyć Różę - powiedział Ja-Orzeł. - Nie będę udawał, że nie wiąże się to z żadnym ryzykiem. Możemy wszyscy po prostu zniknąć.

- Nie warto ratować maszyny Grimusa - powiedziała. -Zrób to teraz. Może lepiej, żeby nie istniała, niżbyśmy mieli żyć w ciągłym lęku przed... tym.

Ja-Orzeł skinął głową i raz jeszcze schronił się do mojego umysłu, znajdując ja-Grimusa i zmuszając go do wyjawienia sekretów Róży. Wiedząc, dlaczego się ich domagam, nie chciał ulec, lecz został pokonany. Znalazłem w nim tę wiedzę i przygotowałem podłoże. Potem wszystko było jedynie kwestią Konceptualizacji.

Najpierw Ja-Orzeł rozmontował Subwymiar, co nie nastęczało większych trudności. Wewnątrz mojego umysłu stworzyłem obraz, obraz Wyspy Cielęcej jako jedności, z domostwem Grimusa na szczycie, stopniami wiodącymi do domu Liv. Żadnych bram, żadnych barier. Pamiętałem, kiedy coś takiego działało. Przypominało to w pewien sposób ustalanie Wymiaru Wewnętrznego. Po chwili wiedziało się, że tam jest, ustalony, dokładnie taki, jakim się go pomyślało. Na chwilę zastygłem w niemym podziwieniu, widząc ten Przedmiot, tak nieprawdopodobnie złożony, a zarazem tak nieprawdopodobnie prosty. Potem wróciłem do rzeczywistości i zabrałem się do znacznie trudniejszego zadania.

Zacząłem odtwarzać Wyspę Cielęcą w pierwotnym kształcie, z jedną tylko różnicą: miało nie być na niej Róży. Stwierdziłem, że jest to lepsze niż fizyczne zniszczenie Róży. A już z pewnością mniej ryzykowne, zwłaszcza mając na uwadze to, co wydarzyło się po próbie Deggle'a.

Właśnie wtedy ja-Grimus podjął swoją ostatnią próbę. Pokazał mi coś, o czym zapomniałem: współrzędne mojego Wymiaru, do którego tak dawno temu wyrzucił Nicholasa Deggle'a. Sens tego gestu był jednoznaczny: jeśli powstrzymam się od zniszczenia Róży, będę mógł wrócić do swojego świata. Ja-Grimus wolał raczej odejść razem z ja-Orzelem, opuścić Różę, nawet pogodzić się z myślą, że nigdy nie znajdzie jej odpowiednika w żadnym Wymiarze, niż patrzeć na zniszczenie.

Ja-Orzeł nie mógł zaprzeczyć, że ta propozycja jest kusząca; lecz na przeszkodzie stanęła Media, Media i wszyscy ci, którzy byli ode mnie zależni.

- A, do diabła - powiedziałem. - Co ja właściwie bym tam robił?

I Grimus nie mógł już nic na to poradzić.

Wykorzystałem go. Przede wszystkim ukształtował tę wyspę, więc znał się na rzeczy. Wydobyłem z niego tę wiedzę, by następnie jej użyć. Odnosiłem wrażenie, że trwa to całą wieczność, lecz formy myślowe poruszają się szybciej niż cokolwiek innego i w rzeczywistości nie zajęło to aż tak dużo czasu.

Stałem w tajemnym pokoju z przejętą lękami Media, spoglądając na trumnę Kamiennej Róży.

Była pusta.

Róża zniknęła, ale my nie.

Mężczyzna, który niegdyś był Trzepoczącym Orłem, a teraz był na poły Orłem i na poły Grimusem, kochał się z Media, która kiedyś była dziwką, a teraz była jego ostoją, podczas gdy Chupor Pteszpod, który przeniósł się na szczyt Góry Cielecej, wyczuł coś niedobrego.

Mgły wokół wyspy.

Mgły, które krążyły i otaczały.

Wieczne, wiszące mgły.

Mgły gęstniały. Powoli, powoli opadały, okrywając wyspę ze wszystkich stron, coraz ciaśniej i ciaśniej, gęste szare mgły, coraz ciaśniej i ciaśniej.

I to wcale nie były mgły.

Świat Góry Cielecej, pozbawiony połączeń ze wszystkimi względnymi Wymiarami, powoli się odczyniał, a jego cząsteczki i atomy pękały, rozpuszczały się, zmieniając się bezgłośnie w pierwotną, bezkształtną energię. Surowiec bytu odbierał to, co do

Tak więc, gdy Trzepoczący Orzeł i Media wili się na swoim łóżku, Góra Grimusa odtańczyła do końca Taniec Słabości.

SPIS ROZDZIAŁÓW

CZEŚĆ PIERWSZA. CZASY OBECNE.....	7
1. Trzepoczący Orzeł	9
2. Ptako-Pies	14
3. Pan Sispy	19
4. Feniks	24
5. La Femme-Crampon.....	29
6. Podróże.....	37
7. Brama	41
8. Pan Jones.....	46
9. Pod Górą Cielecą.....	51
10. Ptaki	55
11. Garb.....	60
12. Drżenie	65
13. Wymiary.....	67
14. Wrogowie	75
15. Skrzynia.....	76
16. Trzask.....	80
17. Wspinaczka	84
18. Magister Anagrammaticus.....	87
19. Gorączka	92
20. Jonasz	97
21. Tancerz Siły.....	101
22. Khallit i Mallit	106
23. Morze.....	111
24. Tunel.....	115
25. Obrońca Axony	120
26. Nie-Porządek.....	127
27. Postrach.....	133
28. Potem	135
29. Deggle.....	137
30. Walhalla	142

CZĘŚĆ DRUGA. CZASY MINIONE	145
31. Kamienie	147
32. Błysk	152
33. Przed Elbaroomem	165
34. W Elbaroomie	167
35. Zaproszenie	177
36. Gribb	179
37. Wzwodzony Koniec	188
38. U Czerkasowów	194
39. Sodomia	210
40. Huśtawka	217
41. Czarny jeździec	221
42. Madame Jokasta	223
43. Obsesja	230
44. Strusie i wtargnięcie	232
45. Media	236
46. Błada wróżbiarka	237
47. Śmierć	252
48. Pogrzeby	257
49. Azyl	264
50. Tryumf albo zgon	272
51. Kamień	279
52. Pani O'Toole	283
53. Anagram	285
CZĘŚĆ TRZECIA. GRIMUS	287
54. Pięćdziesiąt cztery	289
55. Kamienna Róża	323